

FROM THE NEW YORK TIMES BESTSELLING AUTHOR

WORLD OF WARCRAFT

WAR OF THE ANCIENTS
TRILOGY

B L I Z Z A R D L E G E N D S



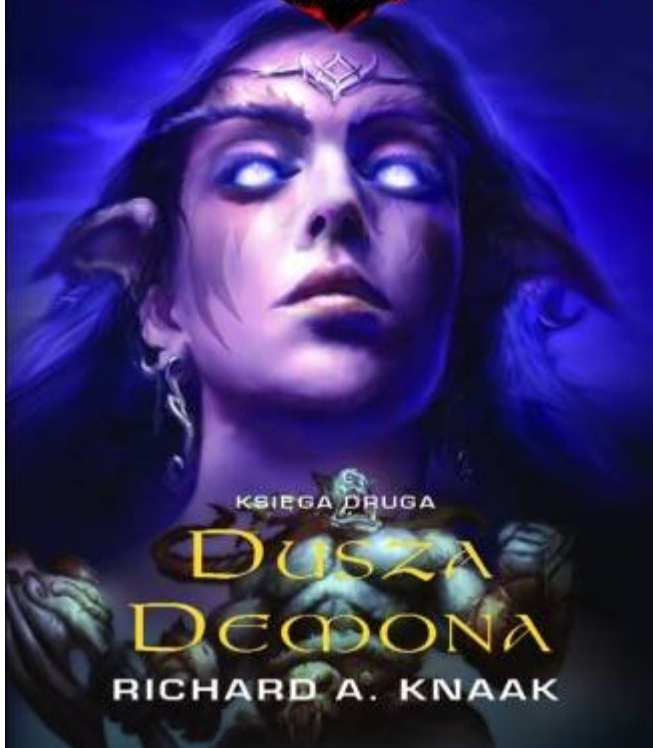
BOOK TWO

THE DEMON SOUL

BY RICHARD A. KNAAK

WARCRAFT

WOJNA STAROŻYTNYCH
CRUŁOGIA



KSIĘGA DRUGA

DUSZA DEMONA

RICHARD A. KNAAK

RICHARD A. KNAAK



WOJNA STAROŻYTNYCH

DUSZA DEMONA

The Demon Soul

Przełożyła: Karolina Post-Paśko



2007

Spis treści

Karta tytułowa

W SAMYM ŚRODKU PŁOMIENNEJ KULI...

Dedykacja

DUSZA DEMONA

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

**W SAMYM ŚRODKU PŁOMIENNEJ KULI
POJAWIŁ SIĘ PUNKCIK NIEPRZENIKNIONEJ CZERNI.**

Z jego wnętrza dotarł do umysłu Mannorotha głos znany mu równie dobrze jak jego własny.

Mannorothu... to ty...

Ale nie był to głos Sargerasa.

Czekaliśmy zbyt długo... powiedział głos chłodnym, analitycznym tonem, który sprawił, że wielki demon skurczył się w sobie. Droga musi zostać otwarta. Dopilnuję, aby tak się stało. Bądź gotów na moje przybycie, Mannorothu... Przybywam.

Gdy padły te słowa, czarny punkt rozszerzył się, stając się pustą wyrwą nad wzorem. Portal różnił się nieco od tego, który nocne elfy stworzyły za pierwszym razem, gdyż teraz wzmacniał go również ten, który przemawiał z innego świata. Tym razem brama nie miała prawa się zawalić.

– Na kolana! - ryknął Mannoroth. Pozostający pod jego wpływem magowie nie mieli wyboru, jak tylko natychmiast wypełnić rozkaz. Piekielni gwardziści i elfi żołnierze poszli zaraz w ich ślady. Nawet kapitan Varo'then padł na kolana.

Demon ukląkł jako ostatni, ale zrobił to z najgłębszym szacunkiem. Bał się tego, który miał przybyć, prawie tak jak Sargerasa.

Jesteśmy gotowi, oznajmił. Mannoroth wbił wzrok w posadzkę. Każdy najdrobniejszy przejaw nieposłuszeństwa mógł oznaczać bolesny koniec. My, niegodni, czekamy na twoje przybycie... Archimondzie...

*Dla Thomasa „Sonny’ego” Garetta,
znakomitego pisarza i przyjaciela.*

DUSZA

DEMONA

JEDEN



Chodząc po ogromnej pieczarze, słyszał w głowie szepty. Kiedyś pojawiały się tylko od czasu do czasu, ale teraz nie cichły nawet na chwilę. Także we śnie nie był w stanie przed nimi uciec... chociaż teraz wcale tego nie chciał. Wielki czarny smok słuchał ich już od tak dawna, że stały się jego częścią, nieodróżnialną od jego własnych pokrętnych myśli.

Nocne elfy unicestwią świat...

Studnia wymknęła się spod kontroli...

Nie możesz nikomu ufać...

chcą twoich tajemnic, twojej władzy...

Malygos odbierze ci to, co do ciebie należy...

Alexstrasza chce cię sobie podporządkować...

Są nie lepsze od demonów...

Musisz je traktować jak demony...

Głosy bezustannie powtarzały podobne oskarżenia, ostrzegając go przed dwulicowością i zdradą. Nie mógł ufać nikomu prócz siebie. Inni zostali

skażeni przez pomniejszych rasy. Uznają jego decyzję za niebezpieczną, zamiast widzieć w niej jedyną nadzieję dla świata.

Smok wypuścił z nozdrzy kłęb trującego dymu, oburzony zdradą dawnych towarzyszy. Choć miał dość mocy, by uratować świat, musiał zachować ostrożność; gdyby odkryli prawdę zbyt wcześnie, mogłoby dojść do katastrofy.

Nie mogą poznać mojego sekretu, dopóki nie będzie za późno na zmiany, zadecydował. Nie mogę go im pokazać aż do chwili rzucenia zaklęcia. Nie pozwolę im zniszczyć mojego dzieła!

Drapiąc wielkimi szponami skalną posadzkę, pokryty łuskami behemot wkroczył do swojej kryjówki. Pomimo swych rozmiarów w ogromnej pieczarze wydawał się maleńki. Przez środek jaskini przepływała rzeka lawy. Na ścianach migotały wielkie kryształy. Ze sklepienia, niczym miecze zagłady, zwisały ogromne stalaktyty, zaś z ziemi wyrastały stalagmity tak ostre, jak gdyby tylko czekały, aż ktoś się na nie nadzieje.

I rzeczywiście, na jednym z nich ktoś tkwił.

Szczerząc zębiska, wielki czarny smok spojrział w dół na szamoczącą się postać. Z jej wątlej, falującej piersi sterczał kamienny kolec. Z tułowia o dziwnym kształcie zwisały strzępy czarno-szkarłatnej szaty i fragmenty misternie zdobionego złotego pancerza. Z czaszki nieszczęśnika wyrastały długie rogi podobne do kozich, a szkarłatna twarz najbardziej przypominała smokowi podłużną czaszkę o szerokiej, najeżonej kłami paszczy. Oczy ziały mroczną pustką, która natychmiast spróbowała wciągnąć smoka w głąb, ale okazała się bezsilna wobec woli behemota.

Rogata postać, nie dość, że nadziana na stalagmit, była jeszcze przykuta do podłoża jaskini grubymi, żelaznymi łańcuchami. Naprężone pęta przygwaźdżały demona do stalagmitu i przyciągały mu ręce i nogi do ziemi.

Usta jeńca poruszały się bez przerwy, jak gdyby wykrzykiwał coś z wściekłością, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Mimo to nie ustawał w wysiłkach, zwłaszcza kiedy zobaczył zbliżającego się lewiatana. Smok przyglądał się przez chwilę swojemu więźniowi, a potem mrugnął. Komnatę natychmiast wypełnił jadowity, chrapliwy głos stwora:

– Jest Sarger! Upuści ci krwi! Zrobi sobie płaszcz z twojej skóry! Nakarmi twoim mięsem swoje psy! Umieści twoją duszę we fiole, aby móc ją torturować, gdy tylko zechce! Sarger...

Smok mrugnął ponownie, próbując uciszyć jeńca. Mimo to demon wciąż wywrzaskiwał nieme groźby i obelgi, aż w końcu czarny behemot rozwarł wielkie szczęki i odetchnął, otaczając więźnia pióropuszem gorącego dymu i wprawiając go znów w bolesny dygot.

– Znajdujesz się w towarzystwie mojej wspaniałej osoby - zagrzmiął smok. - Jestem Strażnikiem Ziemi. Będiesz traktował mnie z szacunkiem, na jaki zasługuję.

Długi, gadzi ogon demona smagnął skalne podłoże. Usta otworzyły się, zapewne do kolejnych niemych bluźnierstw.

Neltharion potrząsnął grzebieniastym łbem. Spodziewał się więcej po Eredarczyku. Warlockowie byli dowódcami Płonącego Legionu, demonami biegłymi nie tylko w sztuce magicznej, ale i obeznanymi z taktyką wojenną. Smok spodziewał się po takiej istocie inteligentniejszych wypowiedzi, ale więzień mógłby równie dobrze być jednym z bestialskich infernalni - płonących, czaszkołowych behemotów, które zachowywały się jak tarany albo pociski powietrzne. Ten, którego badał przed pojmaniem Eredarczyka, był tępy jak głaz, jeśli nie bardziej.

Ale z drugiej strony Neltharion nie wysyłał smoków ze swojego stada po demony, żeby móc z nimi konwersować. Nie, jeńcy mieli posłużyć innemu celowi, wielkiemu celowi, którego niestety nigdy nie będą w stanie docenić.

A Eredarczyk był ostatnim i najważniejszym jeńcem. Wrodzone zdolności magiczne czyniły go kluczem do realizacji pierwszego etapu misji Strażnika Ziemi.

Już czas... szeptały głosy. Już czas...

Smok uniósł wielką łapę wnętrzem do góry i skoncentrował się. Jej wnętrze natychmiast zapłonęło złotym blaskiem, który stał się tak olśniewający, że nawet pojmany demon przerwał swoją tyradę i wbił wzrok w przedmiot przywołany przez Nelthariona.

Maleńki dysk był równie złoty jak zwiastujący jego pojawienie się blask, ale poza tym nie było w nim nic niezwykłego. Nie wypełniłby dłoni nawet o wiele mniejszej istoty - na przykład nocnego elfa. Przypominał dużą złotą monetę o zaokrąglonych krawędziach i lśniącej, nieskazitelnej powierzchni. Jego niepozorny wygląd był zasługą Nelthariona. Jeśli talizman miał spełnić swoje zadanie, musiał wyglądać zupełnie niewinnie i niegroźnie.

Strażnik Ziemi wyciągnął go w stronę warlocka, pozwalając Eredarczykowi zobaczyć, co go czeka. Ale na demonie nie zrobiło to chyba większego wrażenia. Wodził tylko szyderczym wzrokiem od dysku do smoka.

Neltharion zauważył to. Cieszyło go, że Eredarczyk nie rozpoznał potęgi dysku. To oznaczało, że pozostali też nie odgadną prawdy... dopóki nie będzie już za późno.

Na niemy rozkaz Strażnika Ziemi przedmiot uniósł się łagodnie w powietrze. Zawisł na chwilę nad jego łapą, po czym podpłynął do jeńca.

Na potwornej twarzy warlocka po raz pierwszy pojawił się cień niepewności. Kiedy dysk zaczął opadać, jeniec wznowił daremną szarpaninę.

Złoty talizman spoczął na czole demona. Krótki rozbłysk szkarłatnego światła oświetlił twarz Eredarczyka... i dysk wpił mu się w ciało.

Wymów je... nalegał chór głosów. Wymów słowa... przypieczętuju akt...

Z dzikiego, pozbawionego warg smoczego pyska popłynęły słowa w języku, który nie pochodził ze śmiertelnego świata. Każde z nich było przesycone złem, od którego drżał nawet demon. Ale Strażnikowi Ziemi wydawały się najcudowniejszymi dźwiękami, jakie kiedykolwiek słyszał, idealnie melodyjnymi nutami... językiem bogów.

Dysk znów się rozjarzył. Jego blask wypełnił przepastną komnatę, stając się bardziej intensywny z każdą sylabą.

Nagle zapłonął jasno.

Eredarski warlock rozdziawił usta najszerszej jak potrafił w bezgłośnym krzyku. Z jego przerażających ślepiów pociekły krwiste łzy, ogonem bił szaleńczo o skałę. Szarpał więzy z takim zapalem, że starł sobie skórę kostek i nadgarstków. Ale mimo to nie był w stanie się uwolnić.

Potem zaczęła mu gnąć skóra, odchodząc od wijącego się szkieletu i wykrzywionej we wrzasku twarzy. Mięso demona, łuszczące się suchymi, szarymi płatami, wyglądało, jak gdyby było martwe od tysiąca lat.

Oczy zapadły się. Ogon pomarszczył i skurczył. Z warlocka został tylko szkielet otaczający rozkładające się błyskawicznie wnętrzości. Przez całą tę makabryczną próbę nie przestawał wrzeszczeć, gdyż Neltharion i dysk nie pozwalali mu zaznać ukojenia śmierci.

Ale w końcu nawet kości nie wytrzymały i załamały się. Szczeka odpadła, a żebra runęły z grzechotem na ziemię. Moc uwolniona przez dysk ze straszliwą skutecznością pochłonęła szczątki demona. Smuga prochu zajęła miejsce stóp, nóg, tułowia, aż w końcu została tylko czaszka.

I dopiero wtedy Eredarczyk znieruchomiał.

Złowieszcze światło przygasło. Łańcuchy pętające wcześniej demona obwisły.

Niczym troskliwy ojciec sięgający ku ukochanemu dziecku, czarny smok za pomocą dwóch szponów delikatnie uniósł talizman z czaszki. Kiedy to zrobił, czaszka też obróciła się w proch. Szary pył rozsypał się po ziemi.

Neltharion wpatrywał się z podziwem w swoje dzieło. Nie był nawet w stanie wyczuć nadzwyczajnych mocy ukrytych teraz w dysku, ale wiedział, że tam są - i że kiedy nadejdzie czas, będzie mógł nimi rozporządzać.

W chwili, w której o tym pomyślał, czyjaś obecność musnęła jego umysł. Głosy ucichły, jak gdyby obawiały się, że zostaną wykryte przez intruza. Strażnik Ziemi natychmiast stłumił swoje pragnienia.

Neltharion świetnie znał ten dotyk. Kiedyś wierzył, że należy do przyjaciółki. Teraz mroczny lewiatan rozumiał, że nie może ufać ani jej, ani reszcie.

Neltharionie... Muszę z tobą porozmawiać...

Czego sobie życzysz, droga Alexstraszo? Strażnik Ziemi miał ją przed oczyma: lśniąca smoczyce barwy płomienia nieco większą od niego. Tak jak on był fizycznym Aspektem wewnętrznej siły świata, tak ona była Aspektem Życia rozwijającego się na ziemi, nad nią i wewnątrz niej.

Niebezpieczne siły otaczają pałac królowej nocnych elfów... musimy podjąć jakąś decyzję i to szybko...

Nie obawiaj się, odparł kojąco Neltharion. *Zrobimy to, co konieczne...*

Modłę się o to... jak szybko możesz zjawić się w Komnacie?

Strażnik Ziemi wyobraził sobie tamto miejsce, gigantyczną pieczarę, przy której jego własna wydawała się norką robaka. Komnata Aspektów, jak nazywały ją z szacunkiem zwykle smoki, była również idealnie okrągła, jak gdyby w przeszłości - jeszcze przed pojawieniem się smoków - ktoś wprowadził w ruch wielką kulę, wygładzając wszelkie nierówności i formacje skalne spotykane w jaskiniach. Nozdormu, którego fascynowało wszystko,

co miało związek z historią, wierzył, że jest ona dziełem stwórcy świata, ale nawet on nie potrafił tego dowiedzieć. Ukryta w polu magicznym, które oddzielało ją od reszty śmiertelnego świata, Komnata była najbezpieczniejszym miejscem znanym smokom.

Czarny smok zasyczał niecierpliwie. Jego czerwone oczy spojrzały na dysk. Może powinien się tam teraz udać. Będą tam wszyscy pozostali. Powinno mu się udać...

Nie... jeszcze nie, odezwały się głosy w zakamarkach jego podświadomości, tak cicho, że ledwie je usłyszał. Musisz wybrać odpowiedni moment, inaczej ukradną ci to, co do ciebie należy...

Neltharion nie mógł na to pozwolić, nie gdy był już tak bliski triumfu. *Nie teraz, odpowiedział w końcu czerwonej smoczycy, ale wkrótce... Obiecuję, że już niedługo...*

Nie masz wyboru, odparła Alexstrasza. Zostało nam niewiele czasu...

Opuściła jego myśli równie szybko, jak się w nich pojawiła. Neltharion zawahał się, próbując ustalić, czy zdradził się przed nią w jakikolwiek sposób. Jednak głosy zapewniły go, że nie, że spisał się bardzo, bardzo dobrze.

Czarny smok uniósł wysoko dysk, a potem, z zadowolonym błyskiem w płonących oczach, umieścił go za pomocą magii tam, gdzie trzymał go ukrytego przed wszystkimi, nawet własnymi pobratymcami.

– Niedługo... - wyszeptał, gdy dysk zniknął, a jego potworny pysk rozciągnął się w szerokim uśmiechu, ukazując kły. - Bardzo niedługo, w końcu obiecałem...



Wspaniały pałac wznosił się na skraju górskiego urwiska nad ogromnym, wzburzoną jeziorem o wodach tak ciemnych, że aż czarnych. Drzewa wzmocnione magicznie litą skałą tworzyły wysokie, spiralne wieże przypominające budzących grozę wojowników. Ogromną budowlę otaczały mury z wulkanicznej skały związane monstrualnymi pnączami i korzeniami drzew. Szkielet głównej budowli tworzyło sto gigantycznych pni przygiętych do siebie mocą budowniczych, a później pokrytych kamieniem i pnączami.

Kiedyś pałac wraz z otoczeniem jawił się każdemu, kto nań spojrzał, jednym z cudów świata... ale to uległo zmianie, zwłaszcza ostatnio. Teraz główna wieża nie miała górnej części. Poczerniałe kamienie i zwisające pnącza świadczyły o sile eksplozji, która zniszczyła basztę. Ale pałac przypominał senny koszmar także z innego powodu - z powodu ruin otaczających z trzech stron dumny niegdyś przybytek.

Kiedyś było to wspaniałe miasto, ukoronowanie rządów nocnych elfów. Rozsiane wśród krajobrazu i wrosnięte weń wysokie nadrzewne domy i rozległe naziemne siedziby tworzyły cudowne tło dla pałacu. To tutaj zbudowano Zin-Azshari - Chwałę Azshary w starym języku - stolicę królestwa nocnych elfów. Tutaj tętniła życiem metropolia, której mieszkańcy każdego dnia o zmierzchu oddawali cześć swojej ukochanej królowej.

I właśnie tutaj, nie licząc kilku otoczonych murami rezydencji przylegających do pałacu, miała miejsce rzeź niewinnych istot, jakiej świat jeszcze nie widział.

Zin-Azshari legło w ruinach, krew ofiar wciąż plamiła osmalone ruiny ich domostw. Wysokie nadrzewne domy zostały obalone, a te wzniesione na ziemi obrócone w gruzy. Nad koszmarnym krajobrazem unosiła się gęsta, zielona mgła. Wszystkie inne zapachy zagłuszał odór śmierci - trupy setek

ofiar rozkładały się powoli na ulicach, tym wolniej i bardziej groteskowo, że w pobliżu nie było absolutnie żadnych padlinożerców. Żadne kruki, szczury ani owady nie oskubywały porąbanych i porozrywanych ciał, bo one także albo uciekły z garstką ocalałych, albo padły ofiarą nawały, która zdobyła miasto.

Lecz choć wokół nich miała miejsce tak straszliwa rzeź, pozostali mieszkańcy Zin-Azshari wydawali się nie zwracać na to uwagi. Wysokie, smukłe nocne elfy, które pozostały w mieście, zajmowały się swoimi sprawami jak gdyby nigdy nic. W strojnych, wielobarwnych szatach postacie o ciemnofioletowej skórze wyglądały, jak gdyby brały udział w jakiejś ważnej uroczystości. Nawet ponurzy strażnicy w ciemnozielonych pancerzach pełniący wartę na parapetach i murach patrzyli na sceny mordu bez mrugnięcia okiem. Na ani jednej pociągłej twarzy o ostrych rysach nie malowała się zgroza.

Ani jedna nie reagowała przerażeniem czy trwogą na widok groteskowych olbrzymów przetrząsających ruiny w poszukiwaniu ocalałych lub szpiegów.

Setki opancerzonych wojowników Płonącego Legionu przeczesywało Zin-Azshari, a kolejne setki demonów opuszczały pałac przez główną bramę, aby zasilić szeregi armii walczącej za murami stolicy. To z ich ręki padło to piękne królestwo i jeśli nie zostaną powstrzymane, spustoszą resztę świata, zabijając wszystkich, którzy staną im na drodze.

Większość demonów miała ponad dziewięć stóp wysokości, górowały więc wzrostem nawet nad mierzącymi siedem stóp elfami. Każdego z nich otaczał nieustannie wściekle zielony płomień, nie czyniąc im jednak krzywdy. Dolną połowę ciała miały dziwnie wąską, a pierś wyjątkowo szeroką. Ich potworne oblicza przypominały zębate i rogate czaszki o krwistoczerwonych ślepiach, które omiatały krajobraz wygłodniałym

wzrokiem. Większość dzierżyła wielkie kanciaste tarcze i żarzące się buzdygany oraz miecze. Byli to piekielni gwardziści stanowiący główną część sił Legionu.

Nad nimi, unosząc się na płomiennych skrzydłach, obserwowali horyzont strażnicy zagłady. Od swoich braci w dole różnili się nieznacznie wzrostem i bardziej inteligentnym spojrzeniem. Śmigali tam i z powrotem nad Zin-Azshari niczym sępy. Od czasu do czasu któryś z nich kierował jednego z piekielnych strażników w miejsce, gdzie mógł się ukrywać jakiś zbieg.

Obok piekielnej straży także inne diabelskie stwory tropiły uciekinierów, przede wszystkim wielkie, straszliwe, czworonożne monstra podobne trochę do psów albo wilków. Te pokryte łuską poczwary z grzebieniem szorstkiej szczeciny na grzbiecie węszyły pośród ruin nie tylko wielkimi nosami, ale i dwoma żylastymi mackami z przyssawkami na końcach. Piekielne bestie biegały ochoczo pomiędzy trupami, od czasu do czasu przystając, aby obwąchać któreś ze zmasakrowanych ciał.

Ale podczas gdy to wszystko miało miejsce poza terenem pałacu, nie mniej straszliwe sceny rozgrywały się w jego południowej wieży. W jej wnętrzu stojący w kręgu Szlachetnie Urodzeni - tak nazywano magów służących królowej wszystkich nocnych elfów - nachylali się nad heksagonalnym wzorem wyrytym w posadzce. Kaptury misternie wyszywanych turkusowych szat mieli naciągnięte głęboko na czoło, tak że prawie zasłaniały srebrne, pozbawione źrenic oczy... oczy lśniące teraz niepokojącym czerwonym blaskiem.

Nocne elfy nachylały się nad wzorem, mamrocząc słowa potężnego zaklęcia. Otaczała ich plugawa zielona poświata, przenikająca nawet ich dusze. Ich ciała były stale napięte z wysiłku, ale nie poddawali się. Ci, którzy w przeszłości okazali podobną słabość, zostali wyeliminowani. Teraz

tylko ci najbardziej wytrzymali tkali czarną magię czerpiąc moc z jeziora w dole.

– Szybciej - wychrypiała koszmarna postać stojąca obok żarzącego się kręgu. - Tym razem musi się udać.

Gigantyczny demon poruszał się na czterech olbrzymich nogach, miał kły, szerokie, szponiaste łapy i wielkie, błoniaste skrzydła, które teraz były złożone. Gadzi ogon grubości pnia drzewa uderzał niecierpliwie o podłogę, zostawiając w twardym kamieniu potężne pęknięcia. Ropuszy łeb prawie drapał sufit, gdy przechadzał się między znacznie mniejszymi, schodzącymi mu przezornie z drogi piekielnymi gwardzistami. Zielona, płomienna grzywa biegnąca od czubka głowy do koniuszka każdego grubego kopyta, migotała dziko przy każdym kroku, od którego trzęsła się ziemia.

Spod posepnego, łysego czoła złowrogie ślepie o barwie równie złowieszczej zieleni wpatrywały się w mroczną scenę. Ten, który kierował wysiłkami nocnych elfów, był przyzwyczajony do wzbudzania strachu, a nie odczuwania go. Ale tej burzliwej nocy demona zwanego Mannorothem nękał niepokój. Jego pan powierzył mu przywództwo, a on zawiódł. Nie zdarzyło się to nigdy wcześniej. Był Mannorothem, jednym z dowódców Prześwietnego...

– I jak? - warknął skrzydlaty demon do nocnych elfów. - Czy mam urwać łeb kolejnemu z was, wy żałosne robaki?

Oszpecony blizną nocny elf w ciemnozielonym pancerzu gwardii pałacowej odważył się przemówić:

– Ona nie będzie tym zachwycona, panie.

Mannoroth odwrócił się do śmiałka. Cuchnący oddech owiał napiętą twarz żołnierza w hełmie.

– Czy będzie bardzo niepokieszona, jeśli postanowię ofiarować jej twoją głowę, kapitanie Varo'thenie?

– To bardzo prawdopodobne - odparł nocny elf z kamiennym wyrazem twarzy.

Demon wyciągnął ku niemu łapę tak wielką, że zmieściłyby się w niej jego hełm i czaszka. Szponiaste palce otoczyły głowę elfa... i cofnęły się. Pan Mannorotha zarządził na samym wstępie, że królowa nocnych elfów i ważne dla niej osoby mają pozostać nietknięte. Byli cenni dla pana Płonącego Legionu.

Przynajmniej na razie.

Nakaz nietykalności dotyczył zwłaszcza Varo'thena. Po śmierci doradcy królowej, lorda Xaviusa, kapitan został najbliższym współpracownikiem królowej. Za każdym razem, gdy wspaniała Azshara nie uznała za stosowne zaszczyć elfów pracujących w komnacie swoją obecnością, kapitan gwardii zajmował jej miejsce. Ze wszystkiego, co usłyszał i zobaczył, zdawał raport swojej pani... i przez ten krótki czas, przez jaki Mannoroth obserwował królową, przekonał się, że nie jest wcale taką pustą lalką, jak można się było spodziewać. Miała w sobie spryt, który jej ospałe ruchy skrywały dobrze, ale nie dość dobrze. Demon był ciekaw, jakie zamiary miała wobec jego pana, gdy ten wkroczy wreszcie do tego świata.

Jeśli wreszcie wkroczy do tego świata.

Portal prowadzący do jego królestwa pomiędzy światami i wymiarami, gdzie Płonący Legion tkwił pomiędzy jedną łupieżczą wyprawą a drugą, zawalił się wskutek magicznego ataku. Ta sama siła rozerwała też na dwie części pierwszą wieżę, w której pracowali Szlachetnie Urodzeni i demony. Mannoroth nadal nie wiedział, co się właściwie stało, ale kilka elfów, które przeżyły katastrofę, wspominało o niewidzialnym wrogu, który zabił doradcę. Mannoroth domyślał się, kim jest niewidzialny intruz, i wysłał już myśliwych, aby go odszukali. Teraz skupiał się wyłącznie na odbudowaniu cennego portalu - o ile było to w ogóle możliwe.

Nie, pomyślał. To jest możliwe.

Ale na razie ognista kula energii unosząca się tuż nad wzorem tylko płonęła. Kiedy behemot patrzył na nią, nie czuł dotknięcia wieczności, ani przytłaczającej obecności swojego pana. Mannoroth nic nie czuł.

Nic oznaczało porażkę, a w Płonącym Legionie porażka oznaczała śmierć.

– Słabną - zauważył beznamiętnie kapitan Varo'then. - Znów stracą nad nim kontrolę.

Mannoroth przyznał żołnierzowi rację. Warcząc, potworny demon sięgnął umysłem i włączył się do czarów. Jego wtargnięcie wstrząsnęło Szlachetnie Urodzonymi czarodziejami, prawie niwecząc całą ich pracę, ale Mannoroth przejął kontrolę nad grupą i zogniskował ich wysiłki.

Tym razem się uda. Tym razem...

Pod jego kierunkiem magowie dali z siebie więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Determinacja Mannorotha wprowadziła ich w niemal maniacki stan. Ich obramowane szkarłatem oczy rozszerzyły się do granic możliwości, a ciała drżały z fizycznego i magicznego napięcia.

Mannoroth wpatrywał się ponuro w oporną kulę energii. Nie chciała ulec przemianie, nie chciała dać mu dostępu do jego pana. Po czole demona spływały żółte kropelki potu. Na szerokie, żabie wargi wystąpiła piana. Choć porażka oznaczała odcięcie od Prześwietnego, Mannoroth miał pewność, że i tak poniesie karę.

Nikt nie mógł ujść przed gniewem Sargerasa.

Pamiętając o tym, napał jeszcze wścieklej, wrywając z nocnych elfów tyle mocy, ile tylko zdołał. W kręgu rozległy się jęki...

Nagle w samym środku płomiennej kuli pojawił się punkcik nieprzeniknionej czerni. Z jego wnętrza dotarł do umysłu Mannorotha głos znany mu równie dobrze jak jego własny.

Mannorothu... to ty...

Ale nie był to głos Sargerasa.

Tak, odpowiedział niechętnie. Droga jest znów otwarta.

Czekaliśmy zbyt długo... powiedział głos chłodnym, analitycznym tonem, który sprawił, że wielki demon skurczył się w sobie. *Rozczarowałeś go...*

Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy!, zaprotestował Mannoroth, zanim rozsądek ostrzegł go przed podobną nierozwagą.

Droga musi zostać w pełni otwarta. Dopilnuję, aby tak się stało. Bądź gotów na moje przybycie, Mannorothu... Przybywam.

Gdy to powiedział, czarny punkt rozszerzył się, stając się pustą wyrwą nad wzorem. Portal różnił się nieco od tego, który nocne elfy stworzyły za pierwszym razem, ale to dlatego, że teraz wzmacniał go również ten, który przemawiał z innego świata. Tym razem brama nie miała prawa się zawalić.

– Na kolana! - ryknął Mannoroth. Pozostający pod jego wpływem magowie nie mieli wyboru, jak tylko natychmiast wypełnić rozkaz. Piekielna gwardia i elfi żołnierze poszli zaraz w ich ślady. Nawet kapitan Varo'then padł na kolana.

Demon ukląkł jako ostatni, ale zrobił to z najgłębszym szacunkiem. Bał się tego, który miał przybyć, prawie tak jak Sargerasa.

Jesteśmy gotowi, oznajmił. Mannoroth wbił wzrok w posadzkę. Każdy najdrobniejszy przejaw nieposłuszeństwa mógł oznaczać bolesny koniec. My, niegodni, czekamy na twoje przybycie... Archimondzie...

DWA



Świat, który znał, świat, który wszyscy znali, przestał istnieć. Środkowa część Kalimdoru zmieniła się w spustoszoną równinę. Ciągące w różnych kierunkach demony dokonały rzezi na pysznej, zmanierowanej cywilizacji nocnych elfów. Poległy ich setki, może nawet tysiące, a Płonący Legion parł niezmordowanie naprzód. Ale nie wszędzie, musiał sobie przypomnieć Malfurion Stormrage. Zatrzymaliśmy ich w tym miejscu, a nawet zepchnęliśmy ze zdobytych pozycji.

Potworni najeźdźcy spotkali się z najsilniejszym oporem właśnie na zachodzie. Była to w ogromnej mierze zasługa samego Malfuriona, który odegrał kluczową rolę w rozproszeniu zaklęcia Szlachetnie Urodzonych, które odcięło wszystkich prócz mieszkańców pałacu Azshary od mocy Studni Wieczności. Malfurion stawiał czoła lordowi Xaviusowi, doradcy królowej, i unicestwił go w bohaterskim pojedynku.

Ale choć lord Kur'talos Ravencrest, pan Gawroniej Twierdzy i dowódca sił nocnych elfów udzielił mu pochwały przed swoimi oficerami, Malfurion nie czuł się wcale jak bohater. Podczas starcia Xavius wywiódł go

kilkakrotnie w pole i tylko dzięki pomocy towarzyszy udało mu się pokonać złowrogiego doradcę oraz demony, którym służył.

Rozpuszczone, długie do ramion włosy Malfuriona miały zaskakujący ciemnozielony odcień, wyróżniający go spośród nocnych elfów. Tylko jego brat bliźniak Illidan, który też miał ostre, niemal wilcze rysy twarzy, budził większe zainteresowanie. Malfurion miał oczy srebrne, najczęściej spotykane u jego ludu, a oczy Illidana były lśniąco bursztynowe, co miało mu zwiastować wielką przyszłość. Illidan ubierał się z ekstrawagancją charakterystyczną dla swej rasy, podczas gdy Malfurion wolał skromniejsze stroje - płócienną tunikę, prosty skórzany kaftan i spodnie oraz buty do kolan. Ponieważ wybrał drogę druidyzmu, czułby się jak błazen, gdyby próbował rozmawiać z drzewami, zwierzętami i ziemią odziany jak pretensjonalny dworak spieszący na wielki bal.

Marszcząc brwi, po raz tysięczny spróbował się skoncentrować. Młody nocny elf przybył w to odludne miejsce w dziewiczej puszczy Ga'han, aby się wyciszyć i skupić na nadchodzących dniach. Wielkie siły zebrane pod wodzą lorda Ravencresta miały wkrótce wymaszerować - dokąd, nikt jeszcze nie wiedział. Płonący Legion atakował z tyłu stron, że armia szlachcica mogła podróżować tam i z powrotem przez wiele lat, staczając bitwę za bitwą bez żadnych wymiernych rezultatów. Ravencrest wezwał najlepszych strategów, aby ustalić, jak odnieść decydujące zwycięstwo, i to szybko. Każdy dzień zwłoki oznaczał śmierć kolejnych niewinnych istot.

Czoło Malfuriona pokryły jeszcze głębsze bruzdy, gdy spróbował odnaleźć wewnętrzny spokój. Powoli jego umysł wyciszył się na tyle, by elf usłyszał szelest liści. To była mowa drzew. Przy pewnym wysiłku potrafił z nimi rozmawiać, ale na razie wystarczyło mu przysłuchiwanie się ich melodyjnym głosom. Puszcza miała inne poczucie czasu niż elfy, co przejawiało się wyjątkowo wyraźnie w słowach drzew. Wiedziały o wojnie,

ale rozmawiały o niej w abstrakcyjny sposób. Choć były zaniepokojone losem innych lasów pustoszonych przez demony, leśne bóstwa czuwające nad nimi nie dały im jak na razie powodów do prawdziwego niepokoju. Jeśli zagrożenie się zbliży, z pewnością dowiedzą się o tym wkrótce.

Ich samozadowolenie irytowało Malfuriona. Zagrożenie, jakim był Płonący Legion dla wszystkich żywych istot, nie tylko nocnych elfów, było oczywiste. Rozumiał, dlaczego las może tego jeszcze w pełni nie pojmować, ale powinni to rozumieć jego opiekunowie.

Ale gdzie się podzieli Cenarius i reszta?

Kiedy postanowił podążyć drogą druidyzmu, wybierając życie, na jakie przed nim nie zdecydował się jeszcze żaden nocny elf, wyruszył w głąb puszczy rosnącej za granicami Suramaru w poszukiwaniu mitycznego półboga. Skąd przyszło mu do głowy, że uda mu się znaleźć istotę, której nie znalazł nikt przed nim, nie potrafił powiedzieć, ale jemu się to udało. Już to było zdumiewające, ale kiedy władca lasu zaofiarował się go uczyć, Malfurion nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

Przez wiele miesięcy Cenarius był jego *shan'do*, czcigodnym nauczycielem. To on nauczył Malfuriona wchodzić w Szmaragdowy Sen, miejsce pomiędzy śmiertelnym planem a śnieniem, i tworzyć zaklęcia za pośrednictwem sił natury. Naukom półboga Malfurion zawdzięczał nie tylko własne życie, ale i ocalenie pozostałych obrońców.

Więc dlaczego Cenarius i pozostałe leśne bóstwa nie wspomogły swoimi cudownymi siłami zrozpaczonych obrońców?

– Ha! Domyśliłem się, że tu będziesz.

Po głosie tak podobnym do własnego Malfurion błyskawicznie rozpoznał przybysza. Porzucając próby odzyskania równowagi wewnętrznej, wstał i z powagą przywitał gościa.

– Illidanie? Dlaczego mnie szukasz?

– Jak to? - Jego brat bliźniak jak zawsze nosił granatowe włosy związane w koński ogon. Ale ubrany był inaczej niż zwykle: w spodnie i kaftan z takiej samej czarnej skóry jak wysokie buty z rozszerzającymi się u góry cholewami. Do kaftana, dokładnie na sercu, miał przyczepioną niewielką odznakę, na której została wyryta czarna ptasia głowa otoczona szkarłatnym pierścieniem.

Ubiór był nowy, przypominał trochę mundur. Znak na odznace był emblematem domu Kur'talosa Ravencresta... nowego patrona Illidana.

– O zmierzchu lord Ravencrest ma coś ogłosić, bracie. Musiałem wcześniej wstać, żeby cię odszukać i sprowadzić z powrotem na czas.

Tak jak większość nocnych elfów Illidan był wciąż przyzwyczajony do przesypiania prawie całego dnia. Za to Malfurion nauczył się spać w nocy, a czuwać w dzień, aby lepiej wykorzystywać uśpione siły natury. To prawda, mogliby się uczyć druidyzmu także w nocy, ale w ciągu dnia więź jego ludu ze Studnią Wieczności była najsłabsza. To oznaczało niemożność uciekania się do magii przy rzucaniu nowego zaklęcia po raz pierwszy, co na początku nauki było konieczne. Teraz Malfurion czuł się pewniej za dnia niż w nocy.

– Sam miałem właśnie wracać - powiedział, idąc w kierunku brata.

– Źle by to wyglądało, gdybyś się nie pojawił. Lord Ravencrest nie lubi bałaganu ani opóźnień, zwłaszcza ze strony tych, od których uzależnia swoje plany. Sam dobrze to wiesz, Malfurionie.

Choć ich ścieżki rozeszły się w różnych kierunkach, obaj bracia byli biegli w praktykowanym przez siebie rodzaju magii. Po tym, jak Illidan uratował pana na Gawroniej Twierdzy przed demonem, szlachcic mianował go swoim osobistym czarodziejem, którą to pozycję zwykle powierzano starszym członkom Księżycowej Gwardii, mistrzom magii nocnych elfów. Illidan odegrał również kluczową rolę w odparciu ataków demonów na

zachodzie. Przejął dowodzenie nad Księżycową Gwardią po śmierci ich dowódcy i skutecznie pokierował mocą grupy w starciu z najeźdźcą.

– Musiałem opuścić Suramar - wyjaśnił Malfurion. - Czułem się osaczony. Nie słyszałem lasu.

– Połowa budowli w Suramarze powstała na żywych drzewach. Co to za różnica?

Jak miał wytłumaczyć Illidanowi wrażenia atakujące każdego dnia jego umysł? Im bardziej Malfurion zagłębiał się w swoją sztukę, tym bardziej wyczulony robił się na każdy element świata. W lesie czuł wszechogarniający spokój drzew, skał, ptaków... wszystkiego.

W mieście odbierał tylko skarłale, niemal obłąkane emanacje wytworów swojego ludu. Drzewa, które teraz służyły za domy, ziemia i kamienie, które przeniesiono i ukształtowano tak, aby teren mogły zasiedlić nocne elfy, nie były już takie, jak w stanie naturalnym. Ich myśli były pomieszane, skierowane do wewnątrz. Nie rozumiały nawet samych siebie, tak wielkim przeobrażeniom poddali je budowniczcy. Za każdym razem, gdy Malfurion szedł przez miasto, wyczuwał jakąś fałszywą nutę, wiedział jednak, że jego lud, a także krasnoludy i inne rasy, mają prawo tworzyć własne cywilizacje. Nie popełniali przestępstwa, budując domy i dostosowując krajobraz do swoich potrzeb. W końcu zwierzęta robiły to samo.

A jednak dyskomfort, jaki odczuwał, pogłębiał się za każdym razem, gdy przebywał w mieście.

– Wrócimy do naszych wierzchowców? - zapytał, demonstracyjnie nie odpowiadając na pytanie zadane przez brata.

Illidan uśmiechnął się krzywo i kiwnął głową. Bliźniacy ruszyli w milczeniu w górę zalesionego wzniesienia. Ostatnio coraz częściej nie mieli sobie nic do powiedzenia, jeśli nie licząc spraw związanych z wojną. Dwaj

bracia, którzy wcześniej byli nierozłączni, teraz mieli ze sobą mniej wspólnego niż czasem z zupełnie obcymi osobami.

– Smok zamierza nas opuścić, prawdopodobnie przed zachodem słońca - oznajmił ni z tego, ni z owego Illidan.

Malfurion nie słyszał o tym wcześniej. Staął, wpatrując się wielkimi oczyma w brata.

– Kiedy to powiedział?

Czerwony smok Korialstrasz był jednym z nielicznych sprzymierzeńców nocnych elfów. Młody, ale potężny lewiatan, który był ponoć oblubieńcem smoczej królowej, Alexstraszy, dołączył do nich wraz z jednym z dwóch tajemniczych podróżników, siwowłosym magiem Krasusem. Między Korialstraszem a Krasusem istniała bardzo silna więź, ale Malfurion nie odkrył jeszcze, na czym polegała. Wiedział tylko, że gdziekolwiek szła wychudzona, blada postać w szarej szacie, zawsze towarzyszył jej skrzydlaty behemot. Razem okazali się niepowstrzymaną siłą, przed którą demony pierzchały w popłochu, i która utorowała drogę zwycięstwu obrońców.

Ale kiedy zostawali rozdzieleni, obaj wydawali się bliscy śmierci...

Malfurion postanowił nie wtykać nosa w ich sprawy, po części dlatego, że chcieli pomóc nocnym elfom, ale i dlatego, że szanował i lubił ich obu. Ale teraz Korialstrasz postanowił ich opuścić, co oznaczało dla nocnych elfów katastrofę.

– Czy mistrz Krasus leci razem z nim?

– Nie, zostaje z mistrzem Rhoninem. - Illidan wymówił to ostatnie imię z takim samym szacunkiem, z jakim jego brat wymawiał imię Krasusa. Rudowłosy Rhonin przybył wraz ze starszym magiem z jakiejś nieznannej krainy, miejsca, o którym wspominali czasem, gdy opowiadali o swoich wcześniejszych doświadczeniach z Płonącym Legionem. Tak jak Krasus

był biegłym w sztuce czarodziejem, choć wyglądał na znacznie młodszego. Brodaty mag nosił brudnoniebieskie szaty podróżne prawie tak proste jak strój Malfuriona, ale nie tylko to odróżniało go od nocnych elfów. Krasus mógłby od biedy ujść za nocnego elfa - choć bardzo chorowitego i bladego - ale Rhonin, równie blady jak jego przyjaciel, należał do rasy, której nikt nie rozpoznawał. Sam nazywał się człowiekiem, ale niektórzy członkowie Księżycowej Gwardii twierdzili, że według ich badań jest jakimś rodzajem krasnoluda, który po prostu znacznie przerósł swoich pobratymców.

Kimkolwiek był, Rhonin okazał się równie nieocenionym sojusznikiem jak Krasus i smok. Nawet umiejętności Księżycowych Gwardzistów nie dorównywały wprawie, z jaką czerpał moc ze Studni. A co ważniejsze, Rhonin wziął pod swoje skrzydła Illidana, wiele go ucząc. Illidan wierzył, że stało się tak, ponieważ dostrzegł jego potencjał, ale Malfurion zdawał sobie sprawę, że przybysz zrobił to także po to, aby okiełznać porywczosć młokosa. Pozostawiony sam sobie, Illidan miał skłonności do ryzykowania nie tylko własnym życiem, ale i życiem swoich towarzyszy.

– To niedobrze, Illidanie.

– To jasne - odparł jego bursztynowooki brat - ale damy sobie radę. - Uniósł rękę, aby Malfurion mógł się jej przyjrzeć; otaczała ją czerwona aura. - Nie jesteśmy bezsilni. - Nocny elf sprawił, że aura znikła. - Nawet jeśli obawiasz się wykorzystać w pełni to, czego nauczył cię Cenarius.

Mówiąc „wykorzystać w pełni”, brat Malfuriona miał na myśli zaklęcia, które czyniły spustoszenie nie tylko w szeregach wroga, ale także wśród przyrody i wszystkiego, co znalazło się na ich drodze. Illidan wciąż nie rozumiał, że druidyzm wymaga działania zgodnie z delikatną równowagą natury, a nie przeciwko niej.

– Robię to, co mogę, gdy jest to konieczne. Jeśli...

Malfurion nie zdążył dokończyć, bo w tej samej chwili opadła na ziemię postać jak z sennego koszmaru.

Piekielny gwardzista otworzył makabryczny pysk i zaryczał. Choć miał na sobie płonącą zbroję, Malfurionowi wcale nie zrobiło się gorąco - wręcz przeciwnie, pojawienie się demona zmroziło go do szpiku kości. Rogaty stwór zamachnął się uniesionym mieczem na najbliższego przeciwnika - Illidana.

– Nie! - Malfurion odepchnął brata w bok, jednocześnie wzywając las i niebios, by przyszły mu z pomocą.

Nagły poryw silnego wiatru uderzył w demona, odrzucając go jak liść kilka jardów w tył. Gwardzista wpadł na drzewo, łamiąc pień, i osunął się na ziemię.

Niczym macki wielkiej ośmiornicy, korzenie wszystkich pobliskich drzew wyciągnęły się w stronę oszołomionego napastnika. Demon próbował się podnieść, ale jego nogi, ręce, tułów i głowa zostały nagle przygwożdżone do ziemi. Wyrывał się, ale udało mu się tylko wypuścić broń z ręki.

Unieruchomiwszy ofiarę, korzenie natychmiast zanurkowały z powrotem w głąb ziemi - przebijając na wskroś ciało demona.

Z pyska potwornego zabójcy wydobyło się tylko sykliwe westchnienie, nim korzenie oderwały mu łeb od reszty ciała. Ze straszliwych ran trysnęła zielona posoka. Niczym rozsypana układanka fragmenty ciała stwora potoczyły się z powrotem w kierunku jego niedoszłych ofiar.

Ale ledwie Malfurion poradził sobie z pierwszym, z drzew zeskoczyli dwaj następni piekielni gwardziści. Przeklinając, Illidan dźwignął się na kolana i wskazał ręką tego bliższego.

Demon, który miał właśnie rzucić się na elfa, nagle wyrznął buzdyganem swego niespodziewającego się niczego towarzysza, wgniatając

mu czaszkę jednym straszliwym ciosem.

Malfurion nagle poczuł się nieswojo. Czując, jak włoski na karku stają mu dęba, zaczął się oglądać przez ramię.

Makabryczna, czworonożna bestia skoczyła na niego. Dwie wijące się macki zakończone przyssawkami wczepiły mu się w pierś. Pole widzenia wypełniło mu kilka rzędów pożółkłych kłów. W nozdrza uderzył go odór gnijącego ściierwa.

Usłyszał urwany krzyk Illidana, zagłuszony odgłosem przypominającym wycie psa.

Zostali oszukani, rozproszeni frontalnym atakiem, żeby znacznie bardziej niebezpieczny wróg mógł ich zająć od tyłu. Piekielne bestie miały za zadanie rzucić się na nich, gdy tylko nadarzy się okazja.

Malfurion wrzasnął kiedy wampiryczne macki zaczęły wydzierać magię z jego ciała tak, jak kły wyszarpują mięso. Piekielne bestie były dla każdego maga wyjątkowo niebezpiecznym przeciwnikiem, ponieważ polowały na tych parających się magią i wysączyły ją, aż z ofiary nie zostawało nic prócz pustej powłoki. Jeśli demonicznym psom udało się pochłonąć dość energii, potrafiły się mnożyć, powodując epidemię zła.

Spróbował oderwać macki, ale trzymały się mocno. Nocny elf poczuł, że opada z sił...

...a potem usłyszał coś, co przypominało bębnienie kropel deszczu.

Piekielna bestia zadygotała. Macki wypuściły elfa, młóćąc wściekle powietrze, aż w końcu, z ciężkim stęknięciem, demon przewrócił się na bok, prawie przygniatając Malfurionowi rękę.

Mrugając załzawionymi oczyma, nocny elf odkrył kilkanaście ostrych grotów sterczących z grubej skóry stwora. Każda ze strzał tkwiła w jednym z jego czułych miejsc. Demon skonał, nim jego ciało dotknęło ziemi.

Z lasu za nimi wyjechało ponad czterdziestu jeźdźców w szarozielonych pancerzach dosiadających wielkich czarnych szablozębnych kotów zwanych nocnymi panterami. Ogromne zwierzęta przemykały między drzewami ze zwinnością i chyżością, jakiej nie mogło dorównać prawie żadne inne stworzenie.

– Rozproszyc się! - zawołał młody oficer, którego głos wydał się Malfurionowi znajomy. - Sprawdźcie, czy nie ma ich więcej!

Żołnierze poruszali się szybko, ale ostrożnie. Malfurion potrafił docenić ich starania, wiedział bowiem, że za dnia nie są w szczytowej formie. Mimo to nie mógł im odmówić godnych podziwu umiejętności, nie po tym, jak ocalili mu życie.

Oficer podjechał do Malfuriona i szarpnięciem wodzy osadził syczącego kota. Nocnym panterom też nie podobała się zmiana trybu życia z nocnego na dzienny, ale stopniowo zaczynały się do niego przyzwyczajać.

– Więc już tylko to mnie czeka? - zapytał nieco pulchnawy nocny elf. Wydawał się przyglądać Malfurionowi bardzo uważnie, choć ten wiedział, że wrażenie to wynika częściowo ze skośnego osadzenia srebrzystych oczu dowódcy. - Ratowanie was przed niechybną śmiercią? Powinienem być poprosić jego lordowską mość o zatrzymanie mnie w Gwardii Suramarskiej.

– Ale wtedy wszystko mogłoby się skończyć inaczej, kapitanie Shadovsong - odparł Malfurion.

Żołnierz westchnął ze złością.

– Nie, bo lord Ravencrest nie pozwoliłby mi wrócić do Gwardii! Chyba sądzi, że zostałem namaszczony przez samą Księżycową Matkę, aby ochraniać jej wybrańców!

– Wróciłeś do Suramaru w towarzystwie moim, nowicjuszki Elune, tajemniczego czarodzieja... i smoka, kapitanie. Myślę, że wpłynęło to na

twój obraz w oczach lorda Ravencresta i innych dowódców. Już nigdy nie zobaczą w tobie zwykłego oficera gwardii.

Shadowsong skrzywił się.

– Nie jestem bohaterem, mistrzu Malfurionie. Ty i pozostali zabijacie demony machnięciem ręki. Ja tylko dbam o to, żebyście nadal mogli to robić.

Jarod Shadowsong miał pecha pojmać Krasusa, kiedy mag próbował dostać się do Suramaru. Mag wykorzystał kapitana, aby uzyskać pomoc dla siebie, dzięki czemu Malfurion i pozostali, również Korialstrasz, wreszcie się spotkali. Na swoje nieszczęście kapitan poczuwał się w obowiązku towarzyszyć więźniowi podczas tego incydentu; właśnie to utkwilo w pamięci lorda Ravencresta, który zdecydował, że jego czarodzieje potrzebują kogoś, kto będzie ich chronił. Jarod Shadowsong został wkrótce „ochotniczym” dowódcą oddziału wyborowych żołnierzy, których większość miała znacznie większe doświadczenie od niego.

– Cała ta strzelanina była zupełnie niepotrzebna - warknął Illidan, dołączając do brata. - Panowałem nad sytuacją.

– Takie mam rozkazy, mistrzu Illidanie. I tak prawie przeoczyłem fakt, że wyruszasz sam, wbrew rozkazom jego lordowskiej mości. - Shadowsong przeniósł wzrok na Malfuriona. - A kiedy odkryłem, od jak dawna nie ma ciebie, panie...

– Hmmp - brzmiała odpowiedź Illidana. Po raz pierwszy od kilku dni bliźniacy byli wreszcie co do czegoś zgodni: żadnemu nie spodobał się rozkaz lorda Ravencresta, który domagał się, by byli bezustannie pilnowani. Wzmogło to tylko chęć ucieczki. W przypadku Malfuriona wynikała ona z natury jego powołania, zaś Illidan nie miał cierpliwości do niekończących się narad, nie dbał o plany bitew - chciał tylko stanąć do walki i zabijać demony.

Tyle... tyle że tym razem mało brakowało, a demony zabiłyby jego. Ani on, ani Malfurion nie wyczuli ich bliskości, co było czymś nowym i przerażającym. Płonący Legion nauczył się lepiej ukrywać swoich skrytobójców. Nawet las pozostał nieświadomy skazy czającej się w jego sercu. To nie wróżyło nic dobrego.

Jeden z żołnierzy podjechał do Shadowsonga.

– Teren jest czysty, kapitanie - powiedział, salutując. - Ani śladu...

Po lesie poniósł się echem mrozący krew w żyłach wrzask.

Malfurion i Illidan odwrócili się i pobiegli w jego kierunku. Jarod Shadwsong otworzył usta, żeby ich zatrzymać, ale zaraz zacisnął je z powrotem i zmusił wierzchowca do biegu.

Nie musieli biec daleko. Prawie zaraz za linią drzew towarzysze zatrzymali się przed makabryczną sceną. Jedna z nocnych panter leżała na ziemi z rozszarpaną klatką piersiową, z której wylewały się wnętrzności. Szkliste oczy wielkiego kota wpatrywały się niewidzącym wzrokiem w niebo. Zwierzę nie żyło od najwyżej minuty lub dwóch.

Ale to nie ono wydało z siebie mrozący krew w żyłach wrzask. Wydał go żołnierz, który wisiał przybity własnym mieczem do potężnego dębu. Nogi nocnego elfa dyndały kilka stóp nad ziemią. Jego klatka piersiowa została metodycznie otwarta - i to pomimo noszonego pancerza. Pod stopami nieszczęśnika wały się wydarte z niego wnętrzności. Usta miał otwarte, a wyraz jego oczu stanowił dokładną kopię pustego spojrzenia ślepi pantery.

Illidan rozejrzał się zapalczywie wokoło, ale Malfurion położył krzepką dłoń na ramieniu brata i potrząsnął głową.

– Zrobimy tak, jak chce kapitan. Wracamy. Teraz.

– Zdejmijcie ciało - rozkazał Shadwsong, którego twarz wydawała się nieco mniej fioletowa. Wskazał bliźniaków. - Przydzielcie im eskortę,

natychmiast! - Nachylając się w stronę braci, dodał z lekkim zniecierpliwieniem: - Jeśli nie macie nic przeciwko temu, rzecz jasna.

Malfurion nie pozwolił bratu odrzucić propozycji. Obaj pomaszerowali układowo w stronę swoich wierzchowców stojących na szczycie wzniesienia. Większa część eskorty otaczała ich kordonem jak stado wilków osaczających ofiarę. Malfurion uznał za paradoksalny fakt, że on i jego brat władają większą mocą niż wszyscy ci żołnierze razem wzięci, a jednak mogli zginąć, gdyby nie interwencja Jaroda Shadowsonga.

Musimy się jeszcze wiele nauczyć, pomyślał młody druid zbliżając się do swojej nocnej pantery. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Ale wszystko wskazywało na to, że demony nie dadzą nikomu czasu, jaki był do tej nauki potrzebny.



Krasus był starszy od wszystkich, którzy go otaczali. Jego szczupłą, siwowłosa postać dawała jakieś pojęcie o zdobytej przez niego mądrości, ale tylko patrząc magowi w oczy można było odkryć prawdziwą głębię jego wiedzy i doświadczenia.

Nocne elfy uważały go za odmienca należącego jednak do ich rasy, kogoś w rodzaju albinosa albo mutanta. Był do nich wystarczająco podobny, choć jego oczy przypominały bardziej oczy krasnoluda, bo miały źrenice. Jego gospodarze uznali te „deformacje” za dowód potężnych związków z magią. Krasus posługiwał się sztuką tajemną lepiej niż wszyscy osławieni Księżycowi Gwardziści razem wzięci i dało się to prosto wytłumaczyć.

Nie był ani nocnym elfem, ani w ogóle elfem... Krasus był smokiem.

I to nie pierwszym lepszym smokiem, ale starszą wersją tego samego lewiatana, z którym spędzał większość czasu, Korialstrasza.

Zakapturzony mag nie przeżył razem z rudowłosym Rhoninem z dalekiej krainy, jak dał do zrozumienia elfom. W rzeczywistości on i ludzki czarodziej przybyli z odległej przyszłości, z czasów po drugim i decydującym starciu z Płonącym Legionem. Nie pojawili się tu jednak dobrowolnie. Obaj badali w górach dziwną i niepokojącą anomalię, która pochłonięła ich i wypluła w starożytnym Kalimdorze.

I nie tylko ich. Pochłonięty został również pewien ork, weteran wojenny Broxigar. Lud Broxa brał udział w drugiej wojnie z demonami, a jego wódz wysłał go wraz z jeszcze jednym orkiem, aby potwierdzili lub rozwiali obawy szamana, którego nawiedził koszmar senny. Towarzysz Broxa, który znalazł się na skraju anomalii, został przez nią rozerwany na strzępy, przez co starszy ork, kiedy wylądował w przeszłości, był zdany wyłącznie na siebie.

Okoliczności doprowadziły w końcu do spotkania smoka, orka i człowieka, którzy wcześniej byli nieprzyjaciółmi. Ale okoliczności nie zostawiły im drogi powrotu w przyszłość i właśnie to najbardziej martwiło Krasusa.

– Znowu nad czymś dumasz - zagrzmiął smok.

– Niepokoi mnie twój zbliżający się odlot - odpowiedział Krasus swojemu młodszemu ja.

Czerwony smok kiwnął wielkim łbem. Stali u stóp szerokich, potężnych murów Gawroniej Twierdzy, imponującej cytadeli, skąd lord Ravencrest dowodził elfimi siłami. W odróżnieniu do swoich pobratymców lubiących barwne, krzykliwe domostwa, Ravencrest mieszkał w prawdziwej warowni. Gawronią Twierdza została wykuta w grubej, czarnej jak heban skale.

Wszystkie komnaty pod i nad ziemią zostały w niej wydrążone. Wielu Gawronia Twierdza jawiła się jako niezdojta forteca.

Dla Krasusa, który miał już do czynienia z potworną furią Płonącego Legionu, był to tylko kolejny domek z kart.

– Nie chcę cię opuszczać - powiedział czerwony smok - ale wśród naszych zapadła cisza. Nie jestem nawet w stanie wyczuć mojej ukochanej Alexstraszy. Ty jak nikt inny powinieneś rozumieć moją potrzebę poznania prawdy.

Korialstrasz wiedział, że jego towarzysz też jest smokiem, ale nie powiązał jeszcze przeszłości z przyszłością. Tylko jego królowa i oblubienica, Matka Życia, znała prawdę, ale nie zdradziła jej swojemu nowemu partnerowi. Zrobiła to dla niego - a raczej dla jego starszego wcielenia.

Krasus też odczuwał tę pustkę i dlatego godził się, aby jego młodsza wersja poleciała odkryć jej przyczynę, nawet jeśli było to ryzykowne dla nich obu. Razem stanowili zaskakującą siłę, cenioną wysoko przez lorda Ravencresta. Korialstrasz zionął w demony pióropuszcami ognia, Krasus zaś rozniecał z nich prawdziwą burzę ognistą, dzięki czemu smok zabijał setki wrogów pojedynczym oddechem. Ale kiedy zostawali rozdzieleni, podupadali na zdrowiu do tego stopnia, że byli prawie zupełnie bezsilni.

Ostatnie promienie słońca znikły za horyzontem. Wokół fortecy trwała już gorączkowa krzątanina. Nocne elfy nie pozwalały sobie na beczynność, ani w dzień, ani wieczorem. Zbyt wiele z nich zginęło na początku wojny z powodu siły przyzwyczajenia. Mimo to ciemność witały z radością, bo choć związane ze Studnią Wieczności, potrafiły też czerpać siłę z księżyca i gwiazd.

– Zastanawiałem się nad czymś - powiedział Krasus, wystawiając do wiatru twarz o ostrych rysach. Z powodu swoich ogromnych rozmiarów

Korialstrasz nie mógł wejść do środka Gawroniej Twierdzy, ale solidna konstrukcja budowli pozwalała mu siedzieć na jej szczycie. Krasus postanowił spać razem z nim, otulając się tylko cienkim wełnianym kocem dla ochrony przed chłodem. Na blankach jadał też i spędzał prawie cały swój wolny czas, a schodził na dół tylko wtedy, gdy wzywały go obowiązki. W innych sprawach zwracał się do Rhonina, jedynej osoby, która w pełni rozumiała jego sytuację.

– Chyba znam sposób, który pozwoli nam podróżować osobno - podjął.

– Zamieniam się w słuch.

– Masz na sobie przynajmniej jedną obłuzowaną łuskę, prawda?

Smok rozpostarł skrzydła i otrząsnął się jak wielki pies. Łuski zabrzęczały rytmicznie. Czoło behemota pokryły zmarszczki, gdy znieruchomiał, nasłuchując, a potem wykręcił zmiłową szyję, aby przyjrzeć się łuskom koło prawej tylnej nogi.

– Chyba mam tu jedną.

Smoki gubiły łuski mniej więcej tak samo jak inne stworzenie sierść. Nagie ciało pod spodem twardniało, stając się w końcu nową łuską. Gdy wypadła więcej niż jedna, smok musiał się mieć na baczności, bo miękkie ciało było przez pewien czas podatne na zranienia i zatrucia.

– Chciałbym ją dostać... jeśli pozwolisz.

Każdemu innemu Korialstrasz pewnie by odmówił, ale Krasusowi ufał jak sobie samemu. Krasus miał nadzieję, że kiedyś wyjawi smokowi prawdę, oczywiście pod warunkiem, że pożyją dostatecznie długo.

– Jest twoja - odparł bez wahania szkarłatny olbrzym. Tylną łapą podrapał odpowiednie miejsce i chwilę później luźna łuska spadła na ziemię.

Krasus podniósł ją szybko, przyjrzał się jej i uznał, że się nada. Popatrzył na towarzysza.

– A teraz ja muszę dać ci coś w zamian.

– Nie ma takiej potrzeby...

Ale smoczy mag wiedział lepiej; źle by się stało, gdyby jego młodszemu wcieleniu coś się stało, dlatego że on wmieszał się w przeszłość.

– Owszem, jest.

Odłożywszy na bok łuskę rozmiaru własnej głowy, wbił wzrok w swoją lewą rękę i skupił się.

Długie, smukłe palce wygięły się nagle, nabierając gadziego wyglądu. Ciało pokryły łuski, najpierw same koniuszki palców, a potem resztę dłoni, aż powyżej nadgarstka. Ostre, zakrzywione szpony wyrosły tam, gdzie jeszcze przed chwilą były płaskie paznokcie...

W trakcie transformacji Krasusa przeszył ostry ból. Zgiął się wpół i prawie upadł na ziemię. Korialstrasz instynktownie sięgnął ku drobnej postaci, ale mag zbył go machnięciem ręki.

– Wytrzymam!

Z trudem łapiąc oddech, wciąż zgięty wpół, Krasus chwycił przeobrażoną dłoń i szarpnął za łuski. Nie ustąpiły, W końcu zagryzł zęby i pociągnął za dwie z nich najmocniej jak potrafił.

Oderwały się, zostawiając szlaczek krwi na monsturalnej kończynie. Przełykając z trudem ślinę, wychudzona postać natychmiast pozwoliła dłoni powrócić do dawnej postaci. Ból ustał.

Nie dbając o zadaną sobie ranę, Krasus przyjrzał się wyrwanym łuskom. Oczy bystrzejsze od oczu jakiegokolwiek nocnego elfa szukały najdrobniejszych skaz.

– Wiesz, że to, co nam obu dolega, nie pozwala ci wrócić do normalnej postaci, tak jak mnie nie pozwala przybrać innej postaci niż smocza - upomniał go Korialstrasz. - Narazasz się na ogromne ryzyko.

– To było konieczne - odparł Krasus. Obrócił łuski w dłoni. - Ta jest pęknięta - wymamrotał, pozwalając, by zdmuchnął ją wiatr - ale ta jest idealna.

– Co zamierzasz z nią zrobić?

– Musisz mi zaufać.

Smok zamrugął.

– A czy kiedykolwiek ci nie ufałem?

Biorąc drobnutką łuskę w dłoń, mag podszedł do miejsca, z którego Korialstrasz zdarł własną. Było ono wciąż czerwone, miękkie i na tyle duże, że celny łucznik z łatwością mógł w nie trafić.

Szepcząc słowa starsze niżli smoki, Krasus przycisnął łuskę do samego środka nagiego placka.

Łuska rozjarzyła się jaskrawą żółcią. Korialstrasz sapnął, ale była to jego jedyna reakcja. Oczy smoka obserwowały uważnie to, co robił jego towarzysz.

Krasus zaczął powtarzać słowa pradawnej inkantacji, z każdym kolejnym razem coraz szybciej i szybciej. Łuska pulsowała i rosła. W ciągu kilku sekund dorównała wielkością tym wokół niej.

– Przyklei ci się do ciała za kilka sekund - poinformował lewiatana Krasus. - Na pewno jej nie zgubisz.

Chwilę później odsunął się i przyjrzał swojemu dziełu. Smok obrócił głowę, żeby zrobić to samo.

– Czuję się... normalnie - stwierdził lewiatan.

– Mam nadzieję, że będziesz miał z niej większy pożytek. Ponieważ teraz ja noszę przy sobie część ciebie, ty nosisz część mnie. Modłę się, żeby po naszym rozstaniu tkwiąca w nich synergiczna energia pozwoliły nam czuć się tak jak wtedy, gdy rzeczywiście przebywamy obok siebie.

Korialstrasz rozpostarł skrzydła.

– Możemy się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

Krasus zgadzał się z nim; aby przekonać się, czy zaklęcie zadziałało, musieli się rozdzielić.

– A więc żegnaj, dobry Korialstraszu.

Smok opuścił nisko łeb.

– Żegnaj.

– Alexstrasza...

– Powiem jej o tobie i twoich pragnieniach, Krasusie. - Smok przyjrzał się uważnie drobnej postaci. - Domyślam się natury łączących nas więzów, ale szanuję twoją potrzebę zachowania swoich sekretów dla siebie. Jedno odkryłem bardzo szybko - kochasz ją równie mocno jak ja. Dokładnie tak jak ja.

Krasus nic nie odpowiedział.

– Gdy tylko będę mógł, przekażę ci, jak się ma. - Przesuwając się na skraj murów, smok spojrział w niebo. - Do kolejnego spotkania, krewniaku...

I z tymi słowy szkarłatny tytan skoczył w powietrze.

Krewniaku... Krasus zmarszczył brwi ze zdziwieniem. Smoki określały tym słowem członka bardzo bliskiej rodziny. Nie zwykłego towarzysza ani członka klanu, ale kogoś jeszcze bliższego - brata z tego samego łęgu, dziecko albo rodzica...

Albo... tę samą istotę w dwóch ciałach...

Krasus znał siebie lepiej niż ktokolwiek inny. Nie wątpił w inteligencję swojego młodszego ja. Korialstraszu był bardzo bliski odkrycia prawdy i mag nie miał pojęcia, co to może oznaczać dla nich obu.

Nagle ogarnęła go słabość. Łzawiącymi oczyma odszukał łuskę Korialstrasza. W chwili, w której ją chwycił, ból i znużenie zelzały. Ale

samo dotknięcie nie wystarczało - aby efekt był trwały, musiał trzymać ją bliżej siebie.

Odkrył pierś, którą owiał chłodny nocny wiatr, i przycisnął wielką łuskę do ciała. Znów wymamrotał starożytne słowa, budząc siły, których żaden nocny elf nie był w stanie zrozumieć, a już na pewno dzierżyć.

Łuskę otoczyła taka sama złota poświata jak poprzednio. Krasus zadygotał, usiłując zachować równowagę.

Aura zbladła równie szybko, jak się pojawiła. Patrzył w dół na swoją pierś, której środkową część przykrywał teraz pożegnalny podarunek jego młodszego wcielenia.

Wciąż odczuwał lekkie znużenie, ale ani ono, ani lekki ból, jaki wciąż mu dokuczał, nie były czymś, czego nie był gotów znosić. Teraz mógł przynajmniej przebywać wśród pozostałych bez wzbudzania w nich litości. Teraz mógł walczyć z nimi ramię w ramię przeciwko demonom. Mag zadał sobie pytanie, dlaczego nie wpadł na to znacznie wcześniej, ale zaraz przypomniał sobie, że wpadł, ale odkładał realizację pomysłu, odkąd Korialstrasz wyraził chęć odszukania innych smoków.

Najwidoczniej trudno się rozstać z samym sobą. Jakże Rhonin śmiałyby się z jego zarozumiałstwa. Paradoksalność tej sytuacji sprawiła, że zachichotał. Alexstrasza też doceniłaby ten żart. Kilkakrotnie sugerowała, że jego nieustanne wtrącanie się w sprawy niższych ras trąci próżnością, ale to ostatnie zdanie było szczytem pychy...

Nagle zakręciło mu się w głowie.

Niewiele brakowało, żeby wypadł przez blanki. Atak szybko minął, ale Krasus jeszcze ponad minutę stał oparty o kamienny mur, dysząc ciężko.

Kiedy wreszcie był w stanie stanąć prosto, natychmiast sięgnął wzrokiem w dal, poza Gawronią Twierdzę, poza Suramar.

Ku odległemu, mrocznemu Zin-Azshari.

Krasus podtrzymywał cały czas kilka zaklęć, które miały za zadanie kontrolować działania innych czarodziejów. Bez fałszywej skromności mógł powiedzieć, że wyczuwał zmiany w intensywności magicznych sił tego świata lepiej niż ktokolwiek inny, ale nawet on nie był przygotowany na zmianę takiego kalibru.

– Udało im się... - wydyszał, wpatrując się w niewidoczne miasto. - Portal znów stanął otworem.

TRZY



Ból konania był nieznośny. Został unicestwiony na ponad kilkanaście straszliwych sposobów jednocześnie, a każdy z nich przepelił go tak dojmującym cierpieniem, że powitał niebytniczym wytęsknioną kochankę. Ale śmiertelna agonia nie mogła się nawet równać z tym, co nastąpiło potem. Nie miał ciała, ani substancji. Nawet duch nie był właściwym określeniem tego, co z niego zostało. Wiedział, że istnieje, bo cierpiał, i rozumiał, że dręczący go bez ustanku ból jest karą. Zawiodł Prześwietnego, a porażka, jaką poniósł, była niewybaczalnym grzechem.

Jego więzieniem była nieskończona nicość. Nic nie słyszał, nic nie widział, nie czuł nic prócz bólu. Jak długo to trwało - dni, tygodnie, lata, wieki... czy tylko kilka straszliwych minut? Jeśli to ostatnie, to tortury, jakim go poddano, były naprawdę potworne. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ból ustał. Gdyby miał usta, krzyknąłby z ulgi i z radości. Jeszcze nigdy nie czuł takiej wdzięczności.

Ale zaraz zaczął się zastanawiać, czy ta chwilowa ulga nie oznacza, że za chwilę spotka go jakaś nowa, jeszcze bardziej przerażająca tortura.

Postanowiłem cię odkupić...

Głos boga napęknął go nadzieją i strachem zarazem. Chciał się pokłonić, ukorzyć przed nim, ale nie miał ciała, które mogłoby wykonać jakikolwiek gest.

Uznałem, że jest dla ciebie miejsce. Wejrzałem w mrok w głębi twej duszy i odszukałem to, co kiedyś mi się spodobało. Uczynię to jądrem osoby, którą się staniesz, dzięki czemu będziesz znacznie potężniejszym sługą niż dotychczas...

Jego wdzięczność za ten najwspanialszy z darów nie miała granic, ale znów nie mógł jej wyrazić.

Musisz otrzymać nową postać, lecz aby inni widzieli w tobie chwałę, jaką obdarzam, i karę, jaką wymierzam, zwracam to, po czym poznają cię najlepiej...

Wstrząsnęło nim wyładowanie elektryczne. Drobinki materii wpadły nagle w sam środek burzy elektrycznej, zbierając się i kondensując, ponownie tworząc substancję. Wiele z nich należało do niego, zanim został unicestwiony, i tak jak jego dusza zostały zabrane przez boga w chwili śmierci.

Powoli, stopniowo, zaczął obrastać ciałem. Nie mógł się poruszyć, nie mógł oddychać. Otaczała go ciemność, która uświadomiła mu, że odzyskuje wzrok.

I kiedy po raz pierwszy od chwili śmierci zaczął naprawdę widzieć, zauważył, że jego nogi i ręce różnią się od tych, które miał wcześniej. Nogi wyginały się na wysokości kolan w tył i kończyły rozszczepionymi kopytami. Nogi, ramiona i dłonie porastało gęste futro, a palce były długie i wyrastały z nich szpony.

Czuł, że twarz nabiera obcych kształtów, i że z czoła wyrastają mu zakrzywione rogi. Nic w jego nowej postaci nie przypominało mu poprzedniego wcielenia i zastanawiał się, po czym mają go poznać inni.

A potem, z wahaniem, uniósł rękę i dotknął swoich oczu... i wiedział już, że są jego znakiem rozpoznawczym. Czuł, jak ukryta w nich siła staje się coraz potężniejsza, coraz bardziej precyzyjne z każdą mijającą sekundą. Widział teraz pasma magicznej energii odtwarzające jego osobę i widział, jak niewidzialna ręka boga rekonstruuje jego ciało tak, by był wspanialszy niż kiedykolwiek.

Obserwował dzieło boga, nie posiadając się z zachwytem nad jego doskonałością. Patrzył, jak staje się pierwszym z nowego gatunku sług, któremu zazdrościć będą nawet inni poddani pana.

Patrzył sztucznymi oczyma z czarnego kryształu, których środek przecinały rubinowe żyłki.

To po nich odgadną jego imię ci, którzy go kiedyś znali - i poznają, co to strach.



Lord Kur'talos Ravencrest stał przed wysokim, kamiennym tronem, gdzie zazwyczaj przyjmował interesantów i spotykał się z dowódcami. Wysoki nawet jak na elfa, miał długą, pociągłą twarz przywodzącą na myśl głowę czarnego ptaka* [* Raven (ang.) - kruk], którego imię nosił - miał nawet haczykowaty nos. Broda i surowe oczy przydawały jego postaci mądrości i potęgi. Miał na sobie szarozielony żołnierski strój, ale jego wysoką rangę podkreślał suty złoty płaszcz i wielki hełm zwieńczony szkarłatnym grzebieniem, z którego spoglądała w dół stylizowana głowa kruka.

Za tronem wisiały bliźniacze proporce jego domu, kwadratowe flagi barwy głębokiej purpury z białą sylwetką ptaka na środku. Proporzec domu

Ravencrest stał się de facto symbolem obrońców i byli tacy, którzy wyrażali się o szlachcicu w słowach zarezerwowanych dotychczas dla królowej.

Ale sam lord Ravencrest do nich nie należał i Malfurion, w miarę słuchania coraz bardziej niepokoił się planowanym kierunkiem kontrataku.

– Jest rzeczą jasną - dowodził brodaty nocny elf - że celem natarcia musi być Zin-Azshari! To stamtąd wzięły się te monstra i właśnie tam musimy uderzyć!

Wśród zebranych nocnych elfów rozległy się pomruki poparcia. Odciąć wroga od źródła jego potęgi. Bez Zin-Azshari, które zasilalo ich szeregi, demony, które już znalazły się w polu, z pewnością poniosą klęskę.

Ravencrest nachylił się w stronę słuchaczy.

– Ale musimy stawić czoła nie tylko potworom z innego świata! W Zin-Azshari zmierzmy się z najbardziej zdradzieckim wrogiem - naszymi współbraćmi!

– Śmierć Szlachetnie Urodzonym! - krzyknął ktoś.

– Tak! Szlachetnie Urodzonym! To oni, pod wodzą doradcy królowej, lorda Xaviusa, sprowadzili na nas to nieszczęście! To oni zakosztują teraz naszych mieczy i lanc i zapłacą za swoje zbrodnie! - Twarz szlachcica przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz. - To oni więżą naszą ukochaną Azshare!

Teraz rozległy się gniewne okrzyki. Kilka elfów zawołało:

– Błogosławiona niech będzie Azshara, Światło Świateł!

Ktoś obok Malfuriona wymamrotał:

– Nawet teraz pozostają ślepi.

Odwrócił się i zobaczył rudowłosego maga Rhonina. Choć o stopę niższy od elfów, dziwny przybysz był od nich potężniej zbudowany i równie dobrze mógł być wojownikiem, jak i mistrzem magii. Jedyne człowiek wśród nich - jedyny człowiek w ogóle, na ile Malfurion się

orientował - budził zainteresowanie samą swoją obecnością. Nocne elfy, wyniosłe i uprzedzone w stosunku do innych ras, traktowały go z szacunkiem z uwagi na jego moc, ale tylko nieliczne zaprosiłyby go do swojego domu.

A już na pewno nie otrzymałby takiego zaproszenia groteskowy osobnik stojący obok niego, prawie tak wysoki jak Malfurion, ale zbudowany jak niedźwiedź. Przez plecy nosił przewieszony wielki obosieczny topór bojowy, który był wykonany z drewna, mimo to lśnił, jak gdyby był ze stali.

– Tych, którzy nie znają swojego wroga, czeka klęska - mruknął zielonoskóry wojownik. Ta filozoficzna uwaga zadawała kłam jego nieokrzesanemu wyglądowi.

Broxigar - albo Brox, jak wolał być nazywany - potrząsnął głową, zirytowany niezachwianą wiarą nocnych elfów w swoją królową. Cyniczny uśmiech, jakim Rhonin skwitował słowa orka, tylko pogłębił zawstydzenie Malfuriona wrażeniem, jakie jego lud zrobił na przybyszach. Od razu dostrzegli to, co niewielu jego pobratymców potrafiło zauważyć - Azshara musiała wiedzieć, co się dzieje w pałacu.

– Gdybyście wiedzieli, czym dla nas była - wyszeptał nocny elf - zrozumielibyście, dlaczego tak trudno im się pogodzić z jej zdradą.

– To, co myślą, nie ma znaczenia - wtrącił się stojący z przodu Illidan. - Tak czy inaczej zaatakują Zin-Azshari i efekt będzie taki sam. Koniec z demonami.

– A co, jeśli Azshara wyjdzie im naprzeciw i powie, że odebrała Szlachetnie Urodzonym kontrolę nad demonami, i że wszyscy są już bezpieczni? - odparował Rhonin. - Co jeśli każe swojemu ludowi złożyć broń, mówiąc, że to koniec walki? Co będzie, jeśli wtedy Płonący Legion spadnie na Ravencresta i resztę, a królowa będzie się śmiała do rozpuku z ich głupoty?

Illidan nie potrafił na to odpowiedzieć, ale Brox owszem. Chwycił rękojeść sztyletu i wymamrotał pod nosem:

– My wiemy o jej zdradzie. My wiemy. Dopilnujemy, żeby nie próbowała żadnych sztuczek...

Rhonin przekrzywił okrytą kapturem głowę w bok, rozważając jego propozycję; beznamiętna twarz Illidana nie zdradzała, co o tym wszystkim myśli. Malfurion zmarszczył brwi, rozdarty pomiędzy resztkami oddania Azsharze, a świadomością, że ktoś w końcu będzie musiał skończyć z królową, jeśli świat ma przetrwać tę potworną inwazję.

– Kiedy, i jeśli, nadejdzie czas, zrobimy to, co konieczne - odparł w końcu.

– Ta chwila zbliża się bardzo szybko.

Do komnaty wśliznął się Krasus. Kiedy do nich dołączył, towarzysze oniemieli. Blady, zagadkowy czarodziej poruszał się żwawo i wydawał się całkiem zdrowy, a przecież smok, którego obecność dodawała mu siłę, nie mógł przebywać w komnacie.

Rhonin natychmiast do niego podszedł.

– Krasusie, jak to możliwe?

– Zrobiłem, co zrobiłem - powiedział Krasus, bezwiednie dotykając trzech drobnych blizn na twarzy. - Powinieneś wiedzieć, że Korialstrasz odleciał.

Choć spodziewali się tego, był to dla nich ogromny cios. Bez smoka nocne elfy były jeszcze bardziej zdane na ich małą grupkę. Po drugiej stronie pomieszczenia lord Ravencrest kontynuował swoje przemówienie.

– Kiedy już tam będziemy, druga armia pod wodzą lorda Desdela Stareye'a nadciągnie z południa, biorąc ich w kleszcze.

Stojący obok podwyższenia bardzo szczupły nocny elf odziany w taką samą zbroję jak Ravencrest, ale w płaszczu we wzór ze splecionych ze sobą

zielonych, pomarańczowych i fioletowych pasów, skinął mu głową. Hełm Stareye'a wieńczył długi, lśniący grzebień z futra nocnej pantery. Sam hełm zdobiła masa drobniutkich gwiazdek wysadzanych klejnotami. W środku każdej z nich była osadzona złota kula. Osobom z zewnątrz wygląd dowódcy mógł się wydać nieco jarmarczny, ale jego pobratymcy doceniali takie ozdoby. Nocny elf wyglądał tak, jak gdyby cały czas spoglądał na wszystkich z góry - oczywiście z wyjątkiem swojego dowódcy. Desdel Stareye wiedział, jak ważny jest dla niego sojusz z domem Ravencresta.

– Musimy działać szybko, to pewne - dodał niepotrzebnie Stareye. - Uderzyć w samo serce. Demony będą drzeć ze strachu przed naszymi ostrzami, błagać o litość, której nie będziemy mieli. - Sięgnął do kapciucha przy pasie, wyciągnął z niego szczyptę białego proszku i wciągnął go w nozdrza.

– Niech niebiosa mają nas w swojej opiece, jeśli ten fircyk zostanie kiedykolwiek naszym dowódcą - mruknął Rhonin. - Jego zbroja lśni tak, jak gdyby właśnie została wykuta. Czy on brał kiedykolwiek udział w wojnie?

Malfurion skrzywił się.

– Niewiele nocnych elfów wojowało. Większość woli zostawić ten „niesmaczny” obowiązek lordowi Ravencrestowi, Księżycowej Gwardii i miejscowym siłom. Niestety to pochodzenie decyduje, kto otrzyma wysoką szarżę w czasach niepokoju.

– Podobnie jak u ludzi - zauważył Krasus, zanim Rhonin zdążył odpowiedzieć.

– Uderzyć w serce, i to szybko - zgodził się lord Ravencrest. - I to zanim Szlachetnie Urodzeni otworzą drogę kolejnym potworom...

Ku zaskoczeniu Malfuriona i pozostałych Krasus wystąpił naprzód i ośmielił się mu przerwać.

– Obawiam się, że jest już na to za późno, panie.

Kilka nocnych elfów oburzyło się, że ktoś nie należący do ich rasy ośmiela się przerwać szlachcicowi. Nie zważając na nie, Krasus ruszył w stronę podwyższenia. Malfurion zauważył, że mag wciąż porusza się z pewnym wysiłkiem. Cokolwiek zrobił, by nie musieć przebywać w towarzystwie smoka, nie zdołał uwolnić się całkowicie od tajemniczej dolegliwości, jaka go trapiła.

– Co to ma znaczyć? Co masz na myśli, czarodzieju?

Krasus stanął przed Ravencrestem.

– To, że portal jest już otwarty.

Jego słowa rozeszły się wśród zgromadzonych. Fioletowe twarze kilku elfów zbladły nagle o kilka odcieni. Malfurion nie miał im tego za złe. Nie takich wieści oczekiwali. Zastanawiał się, jak zareagują na wiadomość, że jedyny smok, który im pomagał, odleciał.

Desdel Stareye spojrział z góry na przybysza.

– A skąd ty to wiesz?

– Poczulem emanacje. Wiem, co oznaczają. Portal został otwarty.

Wyniosły szlachcic pociągnął nosem, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nie ufa takiemu wątpliwemu świadectwu. Za to lord Ravencrest przyjął oświadczenie Krasusa z ponurym spokojem.

– Kiedy?

– Zaledwie kilka minut temu. Sprawdziłem tę informację dwukrotnie, zanim ośmieliłem się tu wejść.

Pan Gawroniej Twierdzy odchylił się na oparcie tronu i zamyślił.

– To bardzo złe wieści! Ale powiedziałaś, że stało się to dopiero przed chwilą...

– Jest jeszcze nadzieja - powiedział mag, kiwając głową. - Jest słaby. Czuję to. Nie będą w stanie sprowadzić zbyt wielu naraz. A co

najważniejsze, ich pan nie będzie mógł go jeszcze użyć. Jeśli spróbuje, zniszczy portal...

– A co za różnica, czy znajdzie się tutaj, czy zostanie tam, gdzie jest, i będzie nimi po prostu kierował? - zapytał Stareye, znów pociągając nosem.

– Płonący Legion jest tylko cieniem jego straszliwej osoby. Uwierzcie, że nie wszystko będzie stracone, choćby każdy demon, który mu służy, przeszedł przez portal, ale jeśli zabijemy je wszystkie, a on wkroczy do naszego świata, nie zostanie nam nawet iskierka nadziei.

Po jego słowach zapadła cisza. Malfurion zerknął na Rhonina i Broxa - ich miny potwierdzały słuszność ostrzeżeń Krasusa.

– To niczego nie zmienia - oznajmił raptownie Ravencrest. Stanął przed słuchaczami ze stanowczą miną. - Zin-Azshari tym bardziej powinno pozostać naszym głównym celem! Czekają tam na nas portal i nasza ukochana Azshara, więc tam pomaszerujemy!

Nocne elfy poparły go niemal natychmiast, tak dużym zaufaniem darzyły swojego dowódcę. Tylko nieliczni mogli się pochwalić równie doskonałą reputacją jak lord Ravencrest. Potrafił zjednoczyć lud pod swoim sztandarem prawie równie skutecznie jak królowa.

– Wojownicy są już gotowi do wymarszu! Czekają tylko na naszą decyzję! Zezwalam wam wszystkim na opuszczenie twierdzy i przygotowanie własnych oddziałów! Przed końcem jutrzejszego dnia ruszymy na stolicę! - Ravencrest uniósł wysoko opancerzoną pięść. - Za Azshare! Za Azshare!

– Za Azshare! - zawtórowały mu pozostałe nocne elfy, nie wyłączając Illidana. Malfurion wiedział, że jego brat zawtórował im, ponieważ został niedawno osobistym czarodziejem szlachcica. Cokolwiek Illidan sądził o królowej Azsharze, nie miał zamiaru ryzykować utraty swojej nowej pozycji.

Oficerowie prawie wybiegli z komnaty, tak szybko chcieli wrócić do swoich żołnierzy. Kiedy wylewali się na korytarz, Malfurion dziwował się zmienności swego ludu. Jeszcze przed chwilą biadali nad odtworzeniem portalu, a teraz zachowywali się tak, jak gdyby w ogóle nie przejęli się tą straszliwą wieścią.

Ale nawet jeśli o niej zapomnieli, Rhonin i Brox pamiętali. Kręcili głowami, a rudowłose czarodziej mruknął:

– To nie wróży nic dobrego. Wasi ludzie nie zdają sobie sprawy, co ich czeka.

– Czy mają inny wybór?

– Musisz ponownie rozważyć wysłanie posłańców, panie – powiedział nagle Krasus.

Czarodziej wciąż stał przed lordem Ravencrestem, któremu towarzyszyło już tylko dwóch ponurych gwardzistów i Desdel Stareye. Krasus stanął jedną stopą na podwyższeniu; Malfurion jeszcze nigdy nie widział go w stanie takiego ożywienia.

– Wysłanie posłańców? - zadrwił Stareye. - Żartujesz chyba!

– Rozumiem twój niepokój - odparł ich gospodarz - ale jeszcze nie upadliśmy tak nisko. Nie obawiaj się, mistrzu Krasusie, odbijemy Zin-Azshari i odetniemy portal! Obiecuję ci to! - Poprawił hełm. - A teraz myślę, że obaj musimy się przygotować do wymarszu, he?

To powiedziawszy, szlachcic wymaszerował z komnaty, jak gdyby już zwyciężył, a Stareye i gwardziści za nim. Illidan dołączył do swojego patrona, zanim oddalił się na dobre. Krasus patrzył za odchodzącym Ravencrestem z niezbyt przyjaznym wyrazem twarzy.

– Do czego próbowałeś go przekonać? - zapytał Rhonin. – Do kogo miał wysłać posłańców?

– Próbowałem, na próżno, jak się okazało, przekonać go, żeby poprosił o wsparcie krasnoludy i inne rasy...

– Inne rasy? - wybuchnął Malfurion. Gdyby Krasus zapytał go wcześniej o zdanie, młodzieniec natychmiast spróbowałby mu wyperswadować nawet sugerowanie czegoś takiego panu Gawroniej Twierdzy. Nawet gdyby cały Kalimdor był obleżony, a liczba ofiar szła w setki, a nawet tysiące zabitych, żaden lord nie zniżyłby się do myśli o szukaniu pomocy u innych ras. Większość nocnych elfów traktowała krasnoludy i im podobne istoty jako coś tylko trochę lepszego od robactwa.

– Tak... i widzę po wyrazie twojej twarzy, że próba porozmawiania z nim o tym później będzie równie daremna.

– Wiesz, jak trudno było przekonać krasnoludy, orki, elfy i ludzi do współpracy w naszych... stronach - zauważył Rhonin. - Nie mówiąc już o tym, jak trudno było przekonać różne frakcje i królestwa wewnątrz tych grup, aby sobie zaufały.

Krasus kiwnął głową ze znużeniem.

– Nawet moi pobratymcy nie są wolni od uprzedzeń...

Jeszcze nigdy nie był tak bliski wyjawienia, kim jest naprawdę, ale Malfurion nie naciskał. Jego ciekawość tożsamości sojusznika była niczym w porównaniu z zagładą, jaka ich potencjalnie czekała.

– Nie powiedziałeś im o odlocie smoka - przypomniał.

– Lord Ravencrest wie o tym. Wysłałem mu wiadomość, gdy tylko Korialstrasz obwieścił mi swoją decyzję.

Rhonin zmarszczył brwi,

– Nie powinieneś być mu na to pozwolić.

– Martwi nas obu pewna sprawa dotycząca smoków. Ciebie też powinna.
- Krasus spojrzał znacząco na drugiego maga. W końcu Rhonin kiwnął głową.

– Co robimy? - zapytał Brox. - Walczymy razem z nocnymi elfami?

– Nie mamy wyboru - odpowiedział Rhonin, zanim Krasus zdążył się odezwać. - Znaleźliśmy się w pułapce. Sytuacja skomplikowała się do tego stopnia, że nie możemy nie wziąć w niej czynnego udziału. - Wpatrzył się głęboko w oczy starszego maga. - Nie możemy stać z boku.

– Nie, nie możemy. Już na to za późno. Poza tym nie mam zamiaru czekać na pojawienie się zabójców dybiących na moje życie. Będę się bronił.

Rhonin kiwnął głowę.

– A więc ustalone.

Malfurion nie rozumiał wszystkiego, co mówili, ale domyślił się, że to koniec jakiegoś długiego, zaciętego sporu. Najwyraźniej, bez względu na to wszystko, co zrobił do tej pory dla nocnych elfów, Krasus wciąż miał wątpliwości, czy powinien im pomagać. Druid uznał to za paradoks, zważywszy na ogromny wysiłek, jaki przybysz włożył w przekonanie lorda Ravencresta, aby porozumiał się z krasnoludami i taurenami.

Nagle dotarło do niego, że wszyscy postanowili dołączyć do wojsk maszerujących na Zin-Azshari. Wyzbywszy się ostatnich wątpliwości, Malfurion uświadomił sobie, że jest jeszcze jedna osoba, z którą musi porozmawiać, zanim wyruszą. Nie mógł opuścić Suramaru bez zobaczenia się z nią.

– Muszę iść - poinformował ich. - Muszę... muszę coś załatwić.

Musiał się zarumienić, bo Krasus kiwnął uprzejmie głową, dodając:

– Przekaż jej, proszę, moje pozdrowienia.

– Tak... oczywiście.

Ale kiedy miał już minąć starszego maga, ten złapał go za przedramię.

– Nie broń się tak przed uczuciami, młodzieńcze. Są częścią twojego powołania, twojego przeznaczenia. Będą ci bardzo potrzebne w

nadchodzących dniach, tym bardziej, że on z pewnością już tu jest.

– Tu? - Rhonin zmarszczył brwi. - Kto? Co jeszcze zataiłeś przed nami?

– Ja tylko wyciągam wnioski, Rhoninie. Widziałeś tę bestię Mannorotha dowodzącą Legionem, kiedy demony wyruszyły z miasta. Wiesz, że pomimo jego obecności, zdołaliśmy nie tylko odciąć portal, ale poważnie osłabić armię demonów.

– Pokonaliśmy Mannorotha, wiem. Zrobiliśmy to też w... u siebie.

Oczy Krasusa miały dziwny wyraz, który znów wzbudził niepokój Malfuriona.

– W takim razie powinieneś też pamiętać, co się wydarzyło, gdy go pokonaliśmy.

Nocny elf zobaczył, że Rhonin zbladł. Brox też wyglądał na zaniepokojonego, ale reakcja orka bardziej przypominała jego własną. Brox rozumiał, że zaraz dowiedzą się czegoś strasznego, ale nie wiedział jeszcze, czego.

– Archimond. - Człowiek wyszeptał to imię tak cicho, jak gdyby martwił się, że ten, który je nosi, mógłby go usłyszeć nawet w twierdzy Ravenscrest.

– Archimond - powtórzył Brox, pojmując wszystko. Chwycił rękojeść sztyletu, wodząc oczyma na boki.

– Kim... kim jest ten Archimond? - zapytał Malfurion. Samo brzmienie tego imienia wywołało u niego niesmak.

Odpowiedział mu Rhonin z szeroko otwartymi oczyma i ustami wykrzywionymi zacieklą nienawiścią:

– Tym, który zasiada po prawicy pana Płonącego Legionu...



Kapitan Varo'then tak jak zawsze przekazał wieści królowej. Po śmierci lorda Xaviusa stał się jej faworytem... w więcej niż jednym znaczeniu tego słowa. Jego nowy mundur barwy olśniewającego szmaragdu wyszywany na piersi w złote słońca był ostatnim podarunkiem od Azshary. Pozostał kapitanem, ale tak naprawdę dowodził kilkoma generałami i nawet demony wykonywały jego rozkazy.

Varo'then odrzucił do tyłu błyszczący złoty płaszcz i wkroczył do prywatnych komnat królowej. Jej dama dworu natychmiast dygnęła, a potem odsunęła się na bok.

Azshara leżała na srebrnej sofie z głową opartą wdzięcznie na małej poduszce. Włosy, bardziej srebrzyste od sofy, opadały jej wdzięczną kaskadą na plecy i ramiona. Królowa miała podłużne, migdałowe oczy barwy czystego złota i idealne rysy twarzy. Suknia, w którą była odziana - cudowna, półprzezroczysta niebiesko-zielona szata - wspaniale podkreślała jej krągłe kształty.

W dłoni trzymała magiczną kulę pokazującą korzystającej z niej osobie tysiąc różnych egzotycznych elfich arcydzieł. Obraz, który rozwiął się, gdy żołnierz klękał, wydawał się przedstawiać samą Azsharę, ale Varo'then nie był tego pewny.

– Tak, mój drogi kapitanie?

Varo'then z trudem powściągnął rumieniec pożądania wypełzający mu na policzki.

– Światłości Księżyca, Kwiecie Życia, przynoszę ważne wieści. Prześwietny, Sarger...
Prześwietny, Sarger...

Natychmiast usiadła. Z szeroko otwartymi oczyma i rozchylonymi wargami zapytała:

– Jest tutaj?

Oficer poczuł ukłucie zazdrości.

– Nie, Światło Świateł, portal nie jest jeszcze gotowy na przyjęcie Prześwietnego... ale przysłał swojego najbardziej zaufanego sługę, aby przygotował dlań drogę.

– A więc muszę go powitać! - oświadczyła Azshara, wstając. Służki natychmiast wybiegły z ukrycia, aby podnieść jej tren. Srebrna suknia miała długi ogon i wycięcia, przez które, kiedy szła, widać było smukłe, gładkie nogi. Wszystko w wyglądzie Azshary miało uwodzicielski charakter i choć wiedział, że się nim bawi, nie dbał o to.

W chwili, w której ruszyła, z cieni wyłoniło się kilka nowych postaci. Mimo potężnej postury piekielni gwardziści, którzy służyli jej za gwardię przyboczną, pozostali niezauważalni aż do teraz. Dwaj wyszli przed parę elfów, a reszta ustawiła się w szyku za nią. Demony czekały cierpliwie i beznamyślnie, aż królowa znów zacznie iść.

Varo'then uniósł opancerzone przedramię, aby królowa mogła położyć na nim swoje doskonałe, smukłe palce. Kapitan poprowadził ją przez pomalowane na żywe barwy marmurowe korytarze pałacu do wieży, gdzie ocalali Szlachetnie Urodzeni czarodzieje wznowili swoje wysiłki. Idąc mijali stojących na baczność wartowników: elfy i demony. Varo'then miał już wystarczająco długo do czynienia z Legionem, by zauważyć, że choć Mannoroth i Hakkar wydają się zdumiewająco nieczuli na wdzięki królowej, pomniejszych demonów nie są już na nie tak odporne. Jej gwardziści strzegli jej szczególnie zazdrośnie, czasem nawet przypatrywali się nieufnie swoim pobratymcom.

Nawet demoniczni lordowie nie powinni lekceważyć władczyni nocnych elfów. Zewnętrznych drzwi pilnowały dwie piekielne bestie. Macki na grzbiecie przypominających psy demonów zadrgały, kierując się w stronę pary. Piekielni gwardziści natychmiast stanęli murem między Azsharą a ogarami. Piekielne bestie żywiły się magią tak jak niektóre owady piły

krew, a Azshara miała wbrew pozorom niemałe zdolności magiczne. Dla tych stworów byłaby łakomym kąskiem.

Varo'then dobył broni, ale Azshara dotknęła delikatnie jego policzka i powiedziała:

– Nie, drogi kapitanie.

Gestem poleciła gwardzistom rozstąpić się, po czym podeszła do piekielnych bestii. Ignorując ich groźne macki, uklękła przed nimi i uśmiechnęła się.

Jeden z potworów natychmiast nadstawił przerażający łeb pod jej wyciągniętą dłoń. Drugi otworzył zębatą paszczę i wywalił gruby jęzor. Oba zachowywały się jak trzydniowe kocięta nocnych panter, które Varo'then widział kiedyś podczas zabawy z Azsharą.

Poklepawszy stwory po szorstkich łbach, odepchnęła je na bok. Bestie natychmiast usłuchały - siadły pod ścianą i wyglądały tak, jak gdyby liczyły na jakiś smakołyk.

Kapitan schował miecz do pochwy. Nikt nie powinien lekceważyć możliwości ukochanej monarchini.

Azshara minęła piekielne bestie. Idący zaraz za nią Varo'then zobaczył, jak ogromny Mannoroth spogląda przez ramię na nowo przybyłych. Na twarzy demona, na tyle, na ile był w stanie odczytać jej wyraz, malował się lekki niepokój. Mannoroth wyraźnie nie był aż tak zachwycony przybyciem pierwszego pomocnika Prześwieconego.

Przybycia Archimonda nie sposób było przeoczyć.

Azshara po raz pierwszy straciła na chwilę zimną krew. Z jej ust wyrwał się stłumiony okrzyk, który natychmiast ucichł, ale mimo to zaskoczył Varo'thena... prawie tak samo jak sam demon.

Archimond był równie wysoki jak Mannoroth, ale tu kończyły się wszelkie podobieństwa. Był o wiele przystojniejszy i pod pewnymi

względami przypominał nocne elfy, nad którymi górował wzrostem. Skórę miał granatowo-czarną i dopiero po chwili Varo'then uświadomił sobie, że Archimond musi być spokrewniony z eredarskimi warlockami. Miał podobną budowę ciała, a nawet przerażający ogon tak jak oni. Czaszkę miał wielką, a uszy spiczaste i długie. Spod wąskiego czoła spoglądały ślepie barwy głębokiej zieleni. Zbroja płytowa ochraniała jego barki, golenie, przedramiona, tors... i niewiele więcej. Fascynujący tatuaż pokrywający ciało demona kolistymi, falującymi wzorami emanował wysoką magią.

– Jesteś królowa Azsharą - powiedział jedwabistym, czystym głosem, który kontrastował z bardziej gardłową mową Mannorotha czy syczeniem Hakkara. - Sargerasa cieszy twoja lojalność.

Nocna elfka zarumieniała się.

Nieruchome oczy zwróciły się ku kapitanowi Varo'thenowi.

– A zdolny wojownik zawsze zasługuje na uznanie Prześwietnego.

Varo'then upadł na jedno kolano.

– Jestem zaszczycony.

Jak gdyby para nocnych elfów przestała go interesować, Archimond odwrócił się do mozolących się czarodziejów. W samym środku wzoru, który stworzyli, ziała czarna dziura, dziura, która pomimo swoich rozmiarów nie bez trudu wypluła z siebie ogromnego demona.

– Dopilnujcie, żeby brama pozostała stabilna. Wkrótce przez nią przejdzie.

– Kto? - wypaliła Azshara. - Sargeras?

Archimond potrząsnął głową z całkowitą obojętnością.

– Nie. Ktoś inny.

Varo'then zaryzykował spojrzenie na Mannorotha i zobaczył, że on też jest zaskoczony.

Obrzeża czarnej dziury zamigotały nagle. Szlachetnie Urodzeni podtrzymujący portal zadygotali, jak gdyby zostali zmuszeni do jeszcze większego wysiłku. Kilku krzyknęło cicho, ale wszyscy wytrzymali.

A potem... w portalu scalił się jakiś kształt. Choć mniejszy od demonów, emanował potężną mocą, prawie dorównującą mocy Archimonda i Mannorotha, jeszcze zanim postawił stopę na śmiertelnym planie.

Stopę, a raczej... kopyto.

Na dwóch nogach przypominających kopyta włochatej kozy postać postąpiła w stronę przywódców demonów i nocnych elfów. Dolna część jej ciała należała do zwierzęcia, ale nagi tors barwy tak głębokiego fioletu, że prawie czarny, wyglądał zupełnie jak tułów nocnego elfa, tyle że był bardziej umięśniony. Długa grzywa granatowo- czarnych włosów zwisała luźno wokół wąskiej twarzy. Długie, zakrzywione rogi kontrastowały z eleganckimi, spiczastymi uszami. Jedynym strojem, jaki przybysz miał na sobie, była szeroka przepaska biodrowa.

Ale jeśli ktokolwiek, sugerując się rogami i dolną połową ciała stworza, pomyślał, że jest to tylko prymitywna bestia wysłana przez pana Legionu, wystarczyło, by spojrzeć jej w oczy, aby przekonać się, iż czai się w nich przebiegłość i inteligencja. Umysł bystrzejszy i bardziej przenikliwy niż przeciętny, chytry i elastyczny.

Dopiero wtedy żołnierz zobaczył jego oczy. Tych czarnych, kryształowych gałek - wyraźnie sztucznych - których środek przecinały szkarłatne żyłki, nie sposób było zapomnieć. Tylko jedna osoba, jaką znał, miała takie niesamowite oczy.

Kapitan Varo'then wstał, ale to nie on wypowiedział imię przybysza. Wymówiła je królowa Azshara, która nachyliła się do przodu, wydymając usteczka przyjrzała się chytrej twarzy, która była i nie była twarzą znaną jej i jej oficerowi, po czym zawołała:

– Lord Xavius!

CZTERY



Armia nocnych elfów zebrana przez lorda Ravencresta stanowiła naprawdę imponujący widok, ale Malfurion, który czekał, aż szlachcic da sygnał do wymarszu, nie znajdował pocieszenia w jej liczebności. Młodzieniec spojrział w prawo, gdzie jego brat i towarzysze też czekali na grzbietach swych wierzchowców. Rhonin i Krasus bez przerwy o czymś między sobą dyskutowali, zaś Brox patrzył przed siebie ze stoickim spokojem zaprawionego w bojach wojownika. Być może z nich wszystkich właśnie on najlepiej rozumiał, jak ogromny wysiłek ich czeka. W dłoni dzierżył topór, który stworzyli dla niego Malfurion i Cenarius, jak gdyby już zwęszył nieprzyjacielską nawałę.

Choć Brox wyraźnie znał się na rzemiośle wojennym, lord Ravencrest i reszta dowódców ani razu nie chcieli skorzystać z jego wiedzy i doświadczenia. Mieli przed sobą istotę, która walczyła wręcz z demonami, a jednak nikt nie zapytał go o ich słabe i mocne punkty, ani o nic, co mogłoby dać przewagę tym, którzy mieli walczyć w pierwszej linii. To prawda, wiele dowiedzieli się od Krasusa i Rhonina, ale na ich ogląd

sytuacji miała wpływ znajomość magii. Brox... Malfurion podejrzewał, że od Broxa mogli się nauczyć o wiele więcej o prawdziwej walce.

Jesteśmy ludem, który z powodu naszej własnej arogancji może wkrótce spotkać upadek... Malfurion skrzywił się, zde gustowany własnym pesymizmem, ale rozpromienił się natychmiast na widok jedynej osoby, która była w stanie go pocieszyć.

– Malfurionie! - zawołała Tyrande z zatroskaną miną. - Już myślałam, że cię tu nie znajdę!

Jej twarz wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał, bo już dawno temu wryła mu się w pamięć. Tyrande, przyjaciółka z dzieciństwa, teraz stała się przedmiotem jego marzeń. Jej skóra miała delikatny fioletowy odcień, a ciemnoniebieskie włosy srebrzysty połysk. Miała pełniejszą twarz niż większość elfek, co tylko przydawało jej urody. Rysy jej twarzy były delikatne, ale stanowcze, a jej srebrne oczy zdawały się wciągać Malfuriona w głąb. Usta miała miękkie i często błąkał się na nich cień uśmiechu.

Inaczej niż podczas ich poprzednich spotkań nowicjuszka Elune, Księżycowej Matki, miała na sobie strój bardziej odpowiedni na czas wojny niż pokoju. Zniknęły jej powłóczyste, białe szaty. Ich miejsce zajął dopasowany pancerz z ruchomych płytek zapewniający swobodę ruchów. Pancerz okrywał Tyrande od stóp do głowy, a na nim mienił się cieniutki jak babie lato płaszcz koloru księżycowego blasku. W zgięciu łokcia młodziutka kapłanka trzymała skrzydlaty hełm mający za zadanie chronić górną część jej twarzy.

Malfurionowi przypominała teraz kapłankę jakiegoś boga wojny i Tyrande wyczytała to bez trudu z jego miny.

– Może i celujesz w swoim nowym powołaniu, Malfurionie - skarciła go nieco obronnym tonem - ale chyba zapomniałeś o żywiołach Księżycowej Matki? Nie pamiętasz jej aspektu Nocnej Wojowniczk, która zbiera z pola

walki poległych bohaterów i w nagrodę zamienia ich w gwiazdy przemierzające nocny firmament?

– Nie chciałem obrazić Elune, Tyrande. Ale jeszcze nigdy nie widziałem cię w takim stroju. Obawiam się coraz bardziej, że ta wojna na zawsze zmieni nas wszystkich... pod warunkiem, że ją przeżyjemy.

Wyraz jej twarzy znów złagodniał.

– Przepraszam. Może to mój własny niepokój sprawia, że tracę panowanie nad sobą. No i rozkaz wysokiej kapłanki - mam sama poprowadzić grupę nowicjuszek do walki.

– Co masz na myśli?

– Dołączamy do armii nie tylko po to, by służyć zbrojnym naszymi mocami uzdrawiającymi. Wysoka kapłanka miała wizję, w której siostry brały w walce czynny udział, obok żołnierzy i Księżycowej Gwardii. Twierdzi, że wszyscy muszą podjąć się nowych ról, jeśli chcemy pokonać demony.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - odparł Malfurion, krzywiąc się. - Właśnie myślałem o tym, jak trudno naszemu ludowi zaakceptować jakiegokolwiek zmiany. Trzeba było widzieć, jak Krasus zaproponował lordowi Ravencrestowi współpracę z krasnoludami, taurenami i innymi rasami.

Elfka zrobiła wielkie oczy.

– To cud, że w ogóle zadają się z nim i z Rhoninem, nie mówiąc już o taurenach. Czy on nie zdaje sobie z tego sprawy?

– Owszem, ale jest równie uparty jak jeden z naszych, a może nawet bardziej.

Umilkł, bo niespodziewanie dołączył do nich jego brat. Illidan rzucił mu zdawkowe spojrzenie, całą swoją uwagę skupiając na Tyrande.

– Wyglądasz jak królowa wojowniczek - powiedział. - Sama Azshara nie mogłaby wyglądać lepiej.

Tyrande spłoniła się, a Malfurion pożałował, że sam nie obdarzył jej komplementem - jakimkolwiek komplementem - aby kapłanka pamiętała o nim, kiedy armia już wyruszy.

– Wyglądasz jak Nocna Wojowniczka we własnej osobie - ciągnął gładko Illidan. - Słyszałem, że powierzono ci dowództwo nad oddziałem twoich sióstr.

– Wysoka kapłanka uważa, że moje umiejętności znacznie się ostatnio poprawiły. Twierdzi, że przez wszystkie lata, jakie uczy, nie spotkała jeszcze uczennicy, która osiągnęłaby tak szybko równie wysoki poziom.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Zanim Malfurion zdążył powiedzieć coś równie pochlebnego, rozległo się granie rogu. Potem następnego, jeszcze jednego, i tak dalej w miarę jak każdy regiment potężnej armii sygnalizował gotowość do wymarszu.

– Muszę wracać do sióstr - powiedziała Tyrande. A do Malfuriona dodała: - Przyszłam, aby życzyć ci powodzenia. - I zaraz instynktownie odwróciła się do Illidana. - Tobie również, ma się rozumieć.

– Z twoim błogosławieństwem z pewnością odniesiemy zwycięstwo - odparł brat druida.

Tyrande znów spłonęła rumieńcem. Zagrał kolejny róg i kapłanka szybko wdziała hełm, obróciła panterę i odjechała.

– Wojenny strój wydaje się pasować jej bardziej niż nam obu - zauważył Malfurion.

– Tak. Jej wybraniec będzie prawdziwym szczęściarzem, co?

Nocny elf spojrział na brata, ale Illidan już zmierzał w stronę lorda Ravencresta. Jako osobisty czarodziej szlachcica Illidan miał jechać przy jego boku. Malfurionowi i pozostałym kazano trzymać się w zasięgu

krzyku, ale nie musieli towarzyszyć lordowi. Pan Gawroniej Twierdzy nie chciał, żeby jego wszyscy najpotężniejsi sprzymierzeńcy przebywali w jednym miejscu. Eredarczycy wiedzieli już, że muszą skupić ataki na druidzie i czarodziejach.

Jarod Shadowsong i trzech żołnierze podjechali do niego.

– Czas ruszać! Muszę cię prosić, żebyś pojechał z nami.

Malfurion kiwnął głową i wraz z kapitanem dołączył do pozostałych. Rhonin i Krasus mieli niemalże identyczne ponure miny. Wyraz twarzy Broxa nie zmienił się nawet na jotę, ale ork jakby recytował coś pod nosem.

– Nocny marsz - skomentował Krasus, odwracając się, żeby popatrzeć na ostatnie promienie słońca znikające za horyzontem. - Jakie to przewidywalne. Archimond to zauważy. Choć robią, co mogą, żeby się dostosować, cały czas padają ofiarą wygodnych przyzwyczajień.

– W takiej liczbie będziemy w stanie odeprzeć demony - upierał się kapitan Shadowsong. - Lord Ravencrest przepędzi potwory z naszej pięknej krainy.

– Miejmy nadzieję.

Zagrał ostatni róg i armia nocnych elfów ruszyła w kierunku Zin-Azshari. Choć pełne obaw, serce Malfuriona wezbrało dumą na widok zbrojnych sił ciągnących się aż po horyzont. Proporce trzech tuzinów głównych klanów podkreślały sojusze wiążące wszystkie rody królestwa. Piechota maszerująca równym krokiem przypominała armię mrówek szykujących się do uczty. Obok, wielkimi stadami liczącymi setki albo i więcej sztuk, biegły nocne pantery. Dosiadający ich jeźdźcy lustrowali uważnie teren przed sobą.

Większość żołnierzy była uzbrojona w miecze, lance i łuki. Za nimi jechały maszyny oblężnicze - balisty, katapulty i inne - ciągnięte przez zaprzęgi panter. Większość elfów obsługujących owe maszyny należała do

klanu lorda Ravencresta, gdyż nocne elfy zasadniczo nie korzystały z tego rodzaju urządzeń. Tylko Ravencrest wydawał się na tyle przewidujący, aby poprowadzić swój lud do zwycięstwa. Druid martwił się, że nie szuka pomocy u krasnoludów i innych ras, ale w ostatecznym rozrachunku nie miało to znaczenia. Pomimo ślepej wiary w niewinność Azshary szlachcic był w stanie zadać Płonącemu Legionowi krwawą klęskę.

Koniec końców, nie mieli przecież innego wyjścia.



Nocne elfy ponaglone rozkazami lorda Ravencresta i własną wiarą w zwycięstwo pokonały pierwszej nocy znaczny dystans. Ich dowódca zarządził wreszcie postój dwie godziny po świcie. Armia natychmiast rozbiła obóz i ustawiła z przodu długą linią wart, aby demony nie wzięły ich z zaskoczenia.

Tych ziemi Płonący Legion nie zdążył jeszcze splugawić. Na południu wciąż szumiały lasy. Na północy krajobraz usiany był wysokimi, zielonymi wzgórzami. Przywódca elfów rozesłał patrole we wszystkie strony, ale nie wykryły nigdzie wroga.

Malfurion natychmiast poczuł zew kniei, zupełnie jak gdyby las wołał go po imieniu. Kiedy tylko trafiła się okazja, odłączył się od towarzyszy i skierował wierzchowca w stronę drzew.

Jarod Shadowsong natychmiast to zauważył i pojechał za nim, wołając:

– Muszę cię prosić o powrót! Nie możesz tam pojechać sam! Pamiętaj, co się stało...

– Nic mi nie będzie, Jarodzie - odparł cicho Malfurion. Czuł, że do tej części puszczy nie mają wstępu nawet zabójcze demony, które karmiły się

magią jego i jego towarzyszy. Skąd to wiedział, nie potrafił powiedzieć, ale wiedział to z całą pewnością.

– Nie możesz tam jechać sam...

– Nie pojedę sam. Pojadę z tobą.

Żołnierz zgrzytnął zębami, ale z rezygnacją podążył za druidem w głąb lasu.

– Proszę... niech to nie trwa zbyt długo.

Nie obiecując niczego, Malfurion zapuszczał się coraz dalej w gąszcz. Był pełen wiary i ufności. Drzewa witały go, a nawet wydawały się go rozpoznawać...

Zaraz potem zrozumiał, dlaczego poczuł się tu zupełnie jak w domu.

– Witaj, mój *thero'shan*... mój czcigodny uczniu.

Kapitan Shadowsong obrócił się, starając ustalić, skąd dobiegł ten poruszający do głębi głos, głos przywołujący na myśl wichurę i grom. Za to Malfurion czekał cierpliwie, wiedząc, że rozmówca ujawni się we właściwy sobie sposób.

Nagle wiatr wokół dwóch elfów przybrał na sile. Oficer przytrzymał hełm, a druid odchylił głowę w tył, wystawiając twarz na podmuchy. Wicher, coraz gwałtowniejszy i bardziej porywisty, poderwał z ziemi opadłe liście. Ale tylko kapitan wydawał się przerażony - nawet nocne pantery uniosły pyski w górę, wdychając świeży powiew.

Przed jeźdźcami utworzyła się miniaturowa trąba powietrzna. Liście, chrust, kamyki i ziemia wirowały coraz szybciej, zbijając się w jakąś postać.

– Czekałem na ciebie, Malfurionie.

– Na Księżycową Matkę! - sapnął Jarod.

Olbrzym poruszał się na czterech potężnych nogach podobnych do jelenich kopyt. Cała dolna część jego tułowia należała do jelenia, ale z góry

na dwóch intruzów spoglądała oczyma złotymi jak słoneczny blask szeroka w barach postać przypominająca nocnego elfa. Fioletowa skóra istoty miała lekko zielone zabarwienie, a palce kończyły się powykręcanyymi, acz zabójczymi szponami z wiekowego drewna.

Przybysz potrząsnął głową, gęsta, zielona jak mech grzywa włosów zafalowała. Jego włosy i krzaczasta broda poprzetykane były liśćmi i gałązkami, ale jeszcze bardziej zdumiewające było ogromne, rozgałęzione poroże na głowie olbrzyma.

Malfurion uklonił się z szacunkiem.

– Mój *shan'do*. Mój czcigodny nauczycielu. - Podniósł wzrok. - Cieszę się, że cię widzę.

Choć oba nocne elfy mierzyły dobre osiem stóp, Cenarius górował wzrostem nad nimi i ich wierzchowcami. Sam miał przynajmniej dziesięć stóp wysokości, a z rogami co najmniej kolejne cztery. Robił tak imponujące wrażenie, że kapitan, który rozmawiał twarzą w twarz ze smokiem, wpatrywał się w niego z rozdziawionymi ustami, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Z cichym chichotem, który sprawił, że rozśpiewały się prawie wszystkie okoliczne ptaki, Cenarius oświadczył:

– Witaj, Jarodzie Shadowsong! Twój dziad był prawdziwym przyjacielem puszczy!

Jarod zamknął usta, otworzył je z powrotem, zamknął jeszcze raz, a potem po prostu skinął głową. Tak jak wszystkie nocne elfy słyszał w dzieciństwie o półbogu, ale jak większość z nich uważał, że istnieje on tylko w opowieściach.

Władca lasu spojrział na swojego ucznia.

– Przeżywasz kryzys. Czuję to nawet w Szmaragdowym Śnie.

Szmaragdowy Sen. Od czasu, gdy Malfurion przebywał w nim po raz ostatni, minęło już trochę czasu. W Szmaragdowym Śnie świat wyglądał tak, jak mógł wyglądać zaraz po stworzeniu - żadnych zwierząt, żadnych istot rozumnych, żadnej cywilizacji. Panował w nim spokój - na swój sposób groźny. Można się było w nim zapomnieć do tego stopnia, by nie móc odnaleźć drogi powrotnej na śmiertelny plan. Kto się w nim znalazł, mógł go przemierzać w nieskończoność, aż w końcu jego cielesna postać umierała.

Malfurion, którego Cenarius nauczył podróżować po śnieniu, wykorzystał tę umiejętność, aby dostać się do pałacu królowej, gdzie stoczył walkę z lordem Xaviusem. Ale od tego czasu młody druid bał się tam wrócić, gdyż wciąż nawiedzały go mgliste wspomnienia tego, co wydarzyło się potem. Gdyby nauczyciel przypadkiem go nie zauważył, unosiłby się w Szmaragdowym Śnie przez całą wieczność.

Cenarius dostrzegł jego niepokój.

– Nie możesz się bać znów weń wkroczyć, synu, ale teraz nie czas na to. Zaniedbałem niektóre aspekty twojego szkolenia i dlatego wykorzystałem tę przerwę, żeby się z tobą spotkać.

– Przerwę? Co masz na myśli?

– Pozostali wciąż nie mogą uzgodnić, jak postąpić z demonami. Będziemy z nimi walczyć, tak, ale jesteśmy istotami różnych sfer mocy. Współpraca nie układa nam się harmonijnie, bo każde z nas uważa, że wszystko wie najlepiej.

Te wieści w żaden sposób nie uspokoiły druida. Najpierw smoki nie wykazały chęci walki z Płonącym Legionem, a teraz nawet półbogowie, strażnicy świata przyrody, nie mogli uzgodnić właściwego trybu postępowania. Rzeczywiście, teraz wszystko zależało od nocnych elfów... a zwłaszcza Malfuriona i jego towarzyszy.

– Nie mamy wiele czasu. Muszę cię szybko nauczyć kilku rzeczy. Potrzebny nam będzie cały dzień...

– Wykluczone! - wypalił kapitan Shadowsong, zaskakując samego siebie. - Mam rozkaz...

Leśne bóstwo potruchtało z dobrotliwym uśmiechem w stronę żołnierza. Jarod zbladł, gdy Cenarius nachylił się nad nim.

– Przy mnie będzie bezpieczny, a wróci, kiedy twój dowódca będzie go potrzebował, Jarodzie Shadowsong. Nie zaniedbasz swoich obowiązków.

Oficer zamknął usta, wyraźnie oszołomiony faktem, że w ogóle ośmielił się przerwać Cenariusowi.

– Wróć do reszty swoich podopiecznych. Dopilnuję, żeby Malfurion wrócił cały i zdrowy.

Druid odniósł wrażenie, że dwaj pozostali traktują go jak dziecko, ale słowa półboga były dokładnie tym, co Jarod chciał usłyszeć. Kiwnął głową Cenariusowi, w ostatniej chwili obracając skinienie w ukłon.

– Jak sobie życzysz, panie.

– Nie jestem twoim panem, nocny elfie! Jestem tylko Cenariusem! Idź z moim błogosławieństwem!

Rzuciwszy Malfurionowi i jego nauczycielowi ostatnie, pełne trwożliwego podziwu, spojrzenie kapitan zawrócił nocną panterę i odjechał w stronę armii nocnych elfów.

Cenarius obrócił się do swojego ucznia.

– A teraz, mój *thero'shan*, musimy się wziąć do roboty. - Z twarzy półboga znikła cała dobrotliwość. - Obawiam się, że potrzebujemy całej naszej wiedzy, aby ocalić ten świat przed demonami.



W tej samej chwili ktoś, kto też obawiał się, że będą potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy, aby przeciwstawić się Płonącemu Legionowi, szybował nad krainą smoków, szukając wyniosłego górskiego szczytu, gdzie mieszkali jego pobratymcy.

Podczas długiego lotu Korialstrasz miał czas na przemyślenie wielu spraw. Jedną z nich było milczenie jego braci. Smoki były samotnikami, ale jeszcze nigdy nie doświadczył tak całkowitej ciszy. Nikt nie odpowiedział na jego wezwanie, nawet jego ukochana oblubienica Alexstrasza.

To nasunęło mu myśl o demonach. Nie chciało mu się wierzyć, by mogły zaatakować i wybić smoki, ale niemożność nawiązaniu kontaktu podsycała w nim obawy. Prawie żałował, że nie towarzyszy mu Krasus, bo miałby przynajmniej choć jednego czerwonego smoka, z którym mógłby się podzielić ponurymi myślami.

Ale osoba Krasusa stanowiła kolejną zagadkę. Korialstrasz zaczął stopniowo eliminować różne teorie na temat enigmatycznego smoka, którego słów słuchała z uwagą nawet sama Alexstrasza. Zachowywała się tak, jak gdyby Krasus był równy jej oblubieńcom, a nawet był jednym z nich. Ale to było niemożliwe... chyba że...

Nie... to niemożliwe, pomyślał szybujący behemot. To zbyt nieprawdopodobne...

Ale wyjaśniałoby tak wiele.

Podzieli się z Alexstraszą swoimi podejrzeniami, gdy tylko ją odnajdzie. Korialstrasz przechylił się, zwracając ku znajomej, otulonej mgłą górze. Kolejnym złym znakiem był brak wartowników, którzy zawsze strzegli tego miejsca.

Wielki czerwony smok opadł ku wylotowi pieczary służącemu za główne wejście do smoczej kryjówki. Kiedy wylądował, pokręcił potężną

głową na wszystkie strony, szukając śladów towarzyszy. W okolicy panowała martwa cisza.

Ale kiedy złożył skrzydła i ruszył naprzód, zderzył się niespodziewanie z wyraźną siłą niewidzialną dla reszty jego zmysłów. Miał wrażenie, że powietrze zrobiło się gęste jak miód. Z ogromną determinacją rzucił się naprzód, zderzając z niewidzialnym murem jak ze smoczym rywalem.

Przeszkoda zaczęła powoli ustępować. Czuł, jak napiera na niego ze wszystkich stron, prawie go otaczając. Miał trudności z oddychaniem, a widział tak, jak gdyby znalazł się pod wodą. Nie dawał jednak za wygraną.

I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znalazł się po drugiej stronie. Pozbawiony oparcia, poleciał naprzód. Uderzyłby o ziemię łbem, gdyby nie podparł się wielkimi łapami.

– Dobrze, że wróciłeś - zahuczał głęboki głos. - Martwiliśmy się o ciebie, młodzieńcze.

Tyranastrasz pomógł mu wstać. Na twarzy oblubieńca Alexstraszy malowała się troska. Za jego plecami tunelami sunęły smoki... ale Korialstrasz najbardziej zaskoczyło to, że są wśród nich smoki innych kolorów. Widział smoki niebieskie, zielone, brązowe i, rzecz jasna, czerwone. Bezustannie mieszały się ze sobą, bardzo czymś zajęte i wyraźnie podenerwowane.

– Alexstrasza! Czy ona...

– Nic jej nie jest, Korialstrasz. Dała słowo, że porozmawia z tobą, gdy tylko wrócisz... - Większy samiec zerknął na grzbiet młodszego, szukając czegoś - ...ty i Krasus, ale widzę, że nie ma go z tobą.

– Nie chciał opuścić innych.

– Ale w twoim stanie...

Rozprostowując skrzydła, Korialstrasz odpowiedział:

– Wymyślił sposób, dzięki któremu obaj czujemy się *prawie* całością. Nie jest idealny, ale na nic lepszego nie udało nam się wpaść.

– Bardzo interesujące...

– Tyranie... co tu się dzieje? Skąd wzięły się wśród nas smoki z innych stad?

Pysk starszego oblubieńca przybrał nieodgadniony wyraz.

– Życzyła sobie sama powiadomić cię o wszystkim, a ja nie będę się jej sprzeciwiał.

– Oczywiście.

Tyranastrasz poprowadził go korytarzami w głąb kryjówki czerwonych smoków. Mijając inne smoki, Korialstrasz nie potrafił pohamować chęci przyjrzenia się im. Zielone przemykały tunelami niczym cienie, znikając, zanim uświadomił sobie, że je w ogóle widział, a ich zamknięte oczy, które upodabniały je do lunatyków, robiły jeszcze bardziej niesamowite wrażenie. Brązowe sylwetki smoków ze stada Nozdormu wydawały się zupełnie nieruchome, ale kiedy mrugnął powiekami, nagle pojawiały się w zupełnie innym miejscu. Niebieskie ukazywały się to tu, to tam, w całkowicie chaotyczny sposób, wykorzystując w tym celu zarówno magię, jak i prawa fizyki. Im więcej ich widział, tym cieplej patrzył na członków własnego stada. Ci poruszali się w normalny sposób. Kiedy dokądś spieszyli, mógł śledzić każdy ich krok, widzieć każdy oddech.

Oczywiście domyślał się, że przybysze mają taki sam stosunek do innych stad.

Tyle różnych smoków, a jednak wszyscy się tu mieścimy, pomyślał nagle. A więc jest nas tak niewielu? Gdyby spróbować stłoczyć we wnętrzu tej góry wszystkie elfy albo krasnoludy, pękałaby w szwach, a jednak smoki miały w niej dość miejsca, żeby poruszać się swobodnie.

Na myśl o nieprzeliczonej hordzie Płonącego Legionu Korialstrasz zadał sobie pytanie, czy smoki mają dość sił, by ją powstrzymać.

Ale kiedy wszedł do następnej komnaty, pierzchły wszelkie trapiące go obawy. Stała tam, jak gdyby czekała właśnie na niego. Sama jej obecność nappełniła go spokojem. Kiedy spojrzała w jego stronę, Korialstrasz poczuł przypływ pewności siebie. Wszystko będzie dobrze. Królowa Życia zadba o to.

– Korialstrasz... mój ukochany. - Tylko jej oczy zdradzały, jak wiele mocy ma w sobie to proste zdanie. Niższe rasy często uznawały smoki za dzikie bestie, ale żadna z nich nie mogła się równać z pobratymcami Korialstrasza, gdy w grę wchodziła intensywność i głębia uczuć.

– Moja królowo, moje życie. - Pochylił nisko łeb, oddając jej cześć.

– Cieszę się, że wróciłeś. Baliśmy się o ciebie.

– A ja o was. Nikt nie odpowiadał na moje wołania, ani nie wyjaśnił przyczyny tego nagłego milczenia.

– Było to konieczne - odparła wielka samica. Pomimo zgrabnej sylwetki, Alexstrasza ważyła o połowę więcej od swoich oblubieńców. Tak jak wszystkie wielkie Aspekty władała mocami przekraczającymi znacznie możliwości jej partnerów. - Musieliśmy zachować dyskrecję.

– Dyskrecję? Po co?

Przyjrzała mu się.

– Krasus nie przybył z tobą?

Zauważył jej ogromny niepokój. Martwiła się o Krasusa tak samo jak o niego.

– Postanowił zostać. Użył sztuczki, która pozwala nam przebywać osobno i nie cierpieć z tego powodu... za bardzo.

Jej pokryty łuskami pysk rozciągnął się w uśmiechu.

– To oczywiste.

Zanim Korialstrasz pokierował rozmową tak, aby dowiedzieć się czegoś o Krasusie, z prawej strony wszedł do komnaty inny smok. Korialstrasz spojrzął na nowoprzybyłego oczyma wielkimi ze zdumienia.

– W rytuale muszą wziąć udział wszystkie smoki - zagrział czarny olbrzym głosem przypominającym huk wulkanu. - Moje stado już to zrobiło. Teraz inne muszą zrobić to samo.

Neltharion, jedyny smok, który mógł dorównać Alexstraszy rozmiarami i potęgą, wypełnił swoją postacią koniec komnaty. Strażnik Ziemi emanował tak intensywną mocą, że Korialstrasz poczuł się nieswojo.

– Mój ostatni oblubieniec wreszcie przybył - odparła Alexstrasza. - Przybyło też brązowe stado i choć nie ma z nimi Nozdormu, przyniosły ze sobą to, co stanowi jego istotę, tak by on również złączył się z nami. Pozostaje tylko Krasus, pojedynczy smok. Czy to bardzo źle?

Hebanowy smok przekrzywił łeb. Korialstrasz jeszcze nigdy nie widział tylu zębów.

– Tylko jeden smok... nie... chyba nie.

– O co chodzi? - ośmielił się zapytać młodszy samiec.

– Demony znów otworzyły portal prowadzący do naszego świata - wyjaśniła Alexstrasza. - Wylewają się z niego jak woda, podwajając swoje siły z każdym upływającym dniem.

Korialstrasz wyobraził sobie tę potworną armię i liczebność, jaką już osiągnęła.

– W takim razie musimy działać!

– Działamy. Neltharion obmyślił plan, który jest być może jedyną nadzieją na ocalenie świata.

– Jaki plan?

– Neltharion musi ci pokazać.

Czarny jak heban behemot kiwnął łbem, a potem zamknął oczy. Powietrze przed nim zafalowało. Magiczne zmysły Korialstrasza wyczuły jakąś zdumiewającą moc. Miał wrażenie, że komnatę zapełniły tysiące smoków.

Ale zamiast tego w powietrzu zmaterializował się maleńki, niepozorny złoty dysk, który unosił się tuż pod poziomem oczu zebranych lewiatanów. Korialstrasz nie wyczuł w nim nic godnego uwagi, ale wiedział, iż właśnie to oznacza, że jest o wiele potężniejszy, niż się na pierwszy rzut oka wydawało.

Strażnik Ziemi otworzył oczy, a jego gadzie rysy przybrały wyraz uniesienia. Korialstrasz miał wrażenie, że Neltharion oddaje cześć swojemu dziełu.

– Oto przedmiot, który wypędzi demony z naszego świata! - zagrzmiął czarny lewiatan. - Oto przedmiot, który oczyści świat ze wszelkiej skazy!

Maleńki dysk rozjarzył się jasnym blaskiem, tracąc całą swoją niepozorność. Teraz młody czerwony samiec czuł ogrom ukrytych w nim mocy... i rozumiał, dlaczego Alexstrasza uważa go za ich najpotężniejszą broń.

– Oto - zaryczał dumnie Neltharion - Dusza Smoka.

PIĘĆ



Cienie i hałasy nie były w stanie wyprowadzić kapitana Varo'thena z równowagi. Traktował je z takim samym stoickim spokojem, jak wszystko inne w swoim życiu. Oszpecony żołnierz urodził się, aby być wojownikiem, i pomimo wrodzonego sprytu nigdy nie widział się w innej roli. Nie pragnął zostać królem ani królewskim małżonkiem, chyba że ze względu na bliskość Azshary. Dowodził wojskiem w jej imieniu i to mu wystarczało. Polityczne machinacje zawsze zostawiał lordowi Xaviusowi, który oddawał się im ze znanstwem i upodobaniem, na jakie Varo'then nie potrafił się zdobyć.

Ale ostatnio jego umysł zaprzętały sprawy nie mające wiele wspólnego ze zbrojną walką. Wiązały się one z powrotem kogoś, kogo uznał już za martwego... Xaviusa. Doradca królowej powrócił z zaświatów dzięki niesamowitej mocy wielkiego Sargerasa i znów kierował wysiłkami Szlachetnie Urodzonych. Samo to nie powinno niepokoić Varo'thena, ale Xavius zmienił się, czego nie dostrzegła nawet królowa. Kapitan był pewny, że doradca - a raczej ta istota, która była kiedyś doradcą - ma na

uwadze nie chwale Azshary, ale inne cele. Varo'then, choć lojalny wobec pana Legionu, był przede wszystkim sługą królowej.

– Nasz rzutki kapitan. Oczywiście przemierza korytarze, nawet kiedy nie jest na służbie.

Oficer aż podskoczył i zaraz zaklął w duchu, zły na siebie.

Przed nocnym elfem, zupełnie jak gdyby wyłonił się z cienia, pojawił się lord Xavius. Idąc, stukał kopytami na marmurowej posadzce i prychał przy każdym oddechu. Archimond nazwał Xaviusa satyrem, jednym z błogosławionych sług Sargerasa. Spod wypukłego czoła spoglądały na elfa nienaturalne oczy, które szlachcic sam sobie wprawił. Oczy te uwięziły wzrok kapitana, wciągając go nieubłaganie w jakieś bardzo niepokojące miejsce.

– Sargeras wiąże z tobą duże nadzieje, kapitanie Varo'thenie. Widzi w tobie kogoś, kto może osiągnąć wysoką pozycję wśród jego sług. Widzi w tobie dowódcę swojej armii, na równi z Mannorothem - nie - nawet Archimondem!

Oczywiście Varo'then zobaczył się na czele hordy demonów, jak z mieczem wyciągniętym nad głową gromi nieprzyjaciela. Poczł dumę i miłość Sargerasa, gdy nacierał na tych, którzy osmielili się stawić opór Prześwietnemu.

– Czuję się zaszczycony, mogąc mu służyć - wymamrotał żołnierz.

Xavius uśmiechnął się.

– Tak jak my wszyscy... i będziemy mu służyć w każdy możliwy sposób, jeśli tylko pomoże to ziszczyć się marzeniu jeszcze szybciej, nieprawdaż?

– Oczywiście.

Koźlonoga postać nachyliła się bliżej, prawie dotykając twarzą twarzą żołnierza. Jej oczy wciąż wciągały Varo'thena w głąb, kusząc i niepokojąc go zarazem.

– Mógłbyś mu służyć w bardziej odpowiedni dla siebie sposób, w roli, która szybciej zapewni ci pozycję, jakiej pragniesz...

Oficer poczuł przyływ podniecenia. Znów wyobraził sobie, że dowodzi armią w imieniu królowej i Sargerasa. Wyobraził sobie, jak utoczona przez niego krew nieprzyjaciół spływa obfitą strugą, tworząc rzeki.

Ale kiedy próbował sobie wyobrazić samego siebie, nie widział wyraźnie własnej postaci. Spróbował wyobrazić sobie siebie jako wojownika, zbrojnego przywódcę jak ze starych epopoi... ale uparcie narzucał mu się inny kształt.

Kształt podobny do tego, jaki przybrał lord Xavius.

To pozwoliło mu wreszcie oderwać wzrok od oczu doradcy.

– Wybacz mi, panie, ale obowiązki wzywają.

Sztuczne oczy rozbłysły. Potem Xavius skinął uprzejmie głową i szerokim gestem zachęcił go do odejścia.

– Ależ oczywiście, kapitanie Varo'thenie, ależ oczywiście.

Szybciej, niż by chciał, Varo'then odmaszerował. Nie oglądał się za siebie. Rękę zaciskał na rękojeści miecza, jak gdyby chciał go dobyć. Nie zwolnił kroku, dopóki nie był pewny, że lord Xavius został daleko w tyle.

Ale nawet wtedy wciąż słyszał w myślach zniewalające słowa satyra... i wiedział, że choć on się im oparł, inni nie będą w stanie.



Gdy zapadła noc, Siostry Elune rozproszyły się po obozie żołnierzy lorda Ravencresta, aby pobłogosławić elfom. Nawet w stroju wojowniczek kapłanki przynosiły żołnierzom ukojenie. Elune, zawsze obecna na niebie, czuwała nad swoimi dziećmi, obdarzając nocne elfy siłą i pewnością siebie.

Choć wyraz jej twarzy tego nie zdradzał, Tyrande Whisperwind nie czuła ani siły, ani pewności siebie, jaką obdarzała swój lud. Wysoka kapłanka uważała, że Księżycowa Matka pobłogosławiła dziewczynie w wyjątkowy sposób, ale sama Tyrande nic takiego nie czuła. Jeśli Księżycowa Matka wyznaczyła jej jakieś zadanie, zapomniała powiadomić o tym samą zainteresowaną.

Ostatni promyk słońca skrył się za horyzontem. Tyrande spieszyła się, wiedząc, że wkrótce rozlegnie się granie rogów i armia znów ruszy ku Zin-Azshari. Dotknęła serca kolejnego żołnierza i skierowała kroki w stronę czekającej na nią pantery.

Ale zanim do niej doszła, stanął przed nią kolejny nocny elf. Tyrande odruchowo przyłożyła mu dłoń do piersi, ale on chwycił ją za nadgarstek.

Kapłanka podniosła oczy i z radości serce podskoczyło jej w piersi. Ale zaraz potem zauważyła ciemny uniform i włosy związane z tyłu w koński ogon.

Ale przede wszystkim zauważyła bursztynowe oczy.

– Illidan...

– Jestem ci oczywiście wdzięczny za błogosławieństwo - odparł z kwaśnym uśmiechem. - Ale większą pociechę przynosi mi twoja obecność.

Kapłanka zarumieniała się, ale z innego powodu niż myślał. Wciąż trzymając ją delikatnie za rękę, bliźniak Malfuriona nachylił się ku niej.

– To musi być przeznaczenie, Tyrande! Szukałem ciebie! Czekają nas niespokojne czasy. Należy podjąć pewne decyzje.

Zdjęta obawą, pojęła, o co zamierzał ją prosić - nie, powiedzieć jej. Bezwiednie wysunęła rękę z jego uścisku.

Twarz Illidana natychmiast przybrała kamienny wyraz. Nie umknęła mu ani jej reakcja, ani to, co się za nią kryło.

– To za wcześnie - wydusiła z siebie, próbując go ugłaskać.

– A może za późno? - Kwaśny grymas powrócił, ale teraz wydawał się jakby nieszczerzy, jak jakaś maska. Ale po chwili twarz Illidana rozluźniła się. - Byłem zbyt natarczywy. To nie jest dobra pora. Staralaś się przynieść pocieszenie zbyt wielu osobom. Porozmawiam z tobą znowu, kiedy moment będzie bardziej odpowiedni.

Nie mówiąc ani słowa więcej, ruszył w stronę jeźdźca w stroju klanu lorda Ravencresta, który przytrzymał mu wierzchowca. Kiedy odjeżdżali, nie odwrócił się ani razu.

Jeszcze bardziej zmartwiona niż zwykle, Tyrande odszukała własną panterę. Ale kiedy chciała jej dosiąść, ktoś znów wyrwał ją z zadumy. Tym razem okazał się jednak milej widzianym rozmówcą.

– Szamanko, wybaczone, że zakłócam twój spokój.

– Zawsze jesteś mile widziany, Broxigarze - przywitała orka łagodnym uśmiechem.

Tylko jej pozwalał zwracać się do siebie pełnym imieniem. Dla wszystkich innych, nawet dla lorda Ravencresta, był po prostu Broxem. Potężny ork był od elfki o głowę niższy, ale nadrabiał to ponad trzykrotnie potężniejszą posturą, z czego większość stanowiły mięśnie. Widziała, jak wpada między nieprzyjaciół z dzikością wielkiego kota, ale do niej odnosił się z większym szacunkiem niż wielu z tych, którzy prosili ją o błogosławieństwo.

Sądząc, że ork przyszedł ją prosić właśnie o błogosławieństwo, Tyrande wyciągnęła rękę ku jego piersi. Brox wyglądał na zaskoczonego, ale nie zaprotestował.

– Niech Księżycowa Matka prowadzi twój duch, niech obdarzy cię wewnętrzną siłą... - Ciągnęła tak jeszcze przez kilka sekund, dając mu pełne błogosławieństwo. Większość kapłanek, podobnie jak reszta nocnych elfów,

czuła do niego odrazę, ale w oczach Tyrande ork był takim samym stworzeniem Elune jak ona.

Kiedy skończyła, Brox pochylił głowę z wdzięcznością, a potem wymamrotał:

– Nie jestem godzien tego błogosławieństwa, szamanko, bo nie z jego powodu przyszedłem do ciebie.

– Nie?

Kwadratową twarz wykrzywił grymas, który Tyrande wzięła za żal.

– Szamanko... pewna rzecz nie daje mi spokoju. Muszę ci coś wyznać.

– Słucham.

– Szamanko, szukałem śmierci.

Zasznurowała usta, usiłując go zrozumieć.

– Chcesz powiedzieć, że próbowałeś się zabić?

Brox wyprostował się na swoją pełną wysokość, pochmurniejąc.

– Jestem orczym wojownikiem! Nie wbiłbym sobie sztyletu w pierś! - Furia opuściła go równie szybko, jak nim oładnęła, a jej miejsce zajął wstyd. - Ale próbowałem wystawić ją na ciosy innych.

I opowiedział jej całą historię. Opowiedział jej o ostatniej wojnie z demonami, o tym, jak wraz z towarzyszami bronił przełęczy, czekając na posiłki. Tyrande usłyszała, jak jeden za drugim zginęły wszystkie orki oprócz weterana. Postawa Broxa i jego towarzyszy zapewniła orkom zwycięstwo, ale w żaden sposób nie umniejszało to jego poczucia winy spowodowanego tym, że sam przeżył, a wszyscy inni zginęli.

Wojna skończyła się wkrótce potem i Brox nie miał jak odpokutować tego, co uznał za swoją klęskę. Kiedy wódz Thrall poprosił go, żeby odnalazł anomalię, uznał, że duchy dały mu wreszcie szansę na zakończenie cierpienia.

Ale podczas poszukiwań zginął jego młodszy towarzysz, przez co brzemień Broxa stało się jeszcze cięższe. Potem, kiedy okazało się, że Płonący Legion najedzie Kalimdor, ork znów zaczął mieć nadzieję na odkupienie. Rzucił się w wir walki, dając z siebie wszystko. Zawsze stał w pierwszej linii, rzucając wyzwanie każdemu wrogowi. Niestety walczył zbyt dobrze i choć zabił dwudziestu demonów, wyszedł z walki tylko draśnięty.

Lecz kiedy zebrane siły wyruszyły z Suramaru, siwiejący ork doszedł wreszcie do wniosku, że popełnił inny grzech. Uświadomił sobie, że wstyd, jaki czuł po śmierci dawnych towarzyszy, był fałszywy. Teraz czuł nowy wstyd: wszyscy wokół niego chcieli ocalić życie, podczas gdy on chciał od niego uciec. Szykowali się do walki z Płonącym Legionem z odwrotnego powodu niż on.

– Godzę się z tym, że mogę zginąć w bitwie, to zaszczytna śmierć dla orka, szamanko, ale czuję, że okryłem się hańbą, szukając jej kosztem tych, którzy walczą ze złem, aby ocalić siebie i innych.

Tyrande spojrzała w oczy orka. Reszta traktowała go jak bestię, a on po raz kolejny dał dowód swojej elokwencji i wrażliwości. Dotknęła jego szorstkiego policzka, uśmiechając się blado. Jaką arogancję okazywał jej lud, widząc tylko jego fizyczną postać, a nie serce i umysł.

– Nie musisz mi się spowiadać, Broxigarze. Wypowiadałeś się już swojemu sercu i duszy, co oznacza, że duchy i Elune usłyszały twój żal. Wiedzą, że dotarłeś do prawdy i żałujesz swoich wcześniejszych myśli.

Chrząknął, a potem ku jej zdziwieniu pocałował ją w dłoń.

– Mimo to dziękuję ci, szamanko.

W tej samej chwili zagrały rogi. Tyrande szybko dotknęła czoła orka, wypowiadając krótką modlitwę.

– Obojętni jaki los czeka cię w bitwie, Broxigarze, Księżycowa Matka będzie czuwała nad twoją duszą.

– Dziękuję ci za te słowa, szamanko. Nie będę cię już dłużej niepokoił.

Brox uniósł topór w geście szacunku i oddalił się truchtem. Tyrande patrzyła, jak ork znika wśród zbrojnych, a potem odwróciła się, słysząc sygnał swojego zgromadzenia wzywający ją do pośpiechu. Musiała być gotowa poprowadzić własny oddział, gdy tylko armia wyruszy. Musiała być gotowa na spotkanie z przeznaczeniem, jakie zgotowała dla niej Elune.

A to oznaczało coś więcej niż tylko nadchodzącą bitwę.



– Wcielili żołnierzy z dwóch kolejnych osad na północnym-zachodzie - powiedział Rhonin do jadącego obok Krasusa. - Słyszałem, że aż pięciuset.

– Płonący Legion jest w stanie sprowadzić tyle demonów w ciągu zaledwie kilku godzin, może jeszcze szybciej.

Rudowłosy czarodziej rzucił swojemu dawnemu nauczycielowi kwaśne spojrzenie.

– Jeśli to wszystko na nic, to po co w ogóle zawracać sobie głowę? Może lepiej sięść na trawie i czekać, aż demony poderzną nam gardła? - Przywołał na twarz udawane zdumienie. - Nie, zaczekaj! Przecież stało się inaczej! Nocne elfy jednak walczyły - i wygrały!

– Cicho! - syknął Krasus, rzucając człowiekowi równie gniewne spojrzenie, jak wcześniej on jemu. - Nie bagatelizuję wsparcia, tylko stwierdzam fakty. Poza tym musimy pamiętać, że nasza obecność tutaj i istnienie anomalii oznaczają, iż to, co się wydarzyło w przeszłości, nie musi się wydarzyć teraz. Jest bardzo, ale to bardzo prawdopodobne, że tym

razem Płonący Legion zatriumfuje... i to wszystko, co znamy, nigdy się nie wydarzy.

– Nie dopuszczę do tego! Nie mogę!

– Dla wieczności losy twojej małżonki Vereesy i waszych nienarodzonych bliźniąt nie mają znaczenia, Rhoninie... ale będę o nich walczył tak samo jak o przyszłość mojego własnego stada, bez względu na to, jak potworna się okaże, nawet jeśli zwyciężymy.

Rhonin ucichł. Wiedział równie dobrze jak smoczy mag, jaki los czeka czerwone stado. Nawet jeśli pokonają Płonący Legion w tej epoce, smoki i tak poniosą ciężkie straty. Skrzydła Śmierci, Niszczyciel, dopilnuje, by orki wzięły je w niewolę, głównie członków stada Krasusa, i wykorzystały jako zwierzęta bojowe. Wiele młodych smoków zginie bez żadnego powodu.

– Ale właśnie zaświtała nam iskierka nadziei - dodał Krasus, a jego wzrok zamglił się na chwilę. - I to, bardziej niż cokolwiek innego, przekonuje mnie, że historia się nie zmienia.

– Znam historię tylko z kronik przechowywanych przez czarodziejów z Dalaranu, Krasusie. Ty ją tworzyłeś...

Chuda, niemal elfia postać znów zasyczała:

– Twoja wiedza wyniesiona z lektury kronik jest zapewne bardziej precyzyjna niż wspomnienia mojego zmaconego umysłu. Doszedłem do wniosku, że ingerencja Nozdormu w moje myśli, choć pomogła nam w realizacji naszej misji, okazała się zbyt poważna, skutkując utratą innych wspomnień. - To właśnie Nozdormu, Aspekt Czasu, wezwał Krasusa, aby ostrzec go przed zbliżającym się kryzysem. Z ogromnym smokiem barwy piasku nie udawało się w żaden sposób nawiązać kontaktu, nawet w tej epoce, i Krasus obawiał się, że utknął w anomalii we wszystkich swoich wcieleniach. - Obawiam się, że nigdy nie przypomnę sobie w całości tego

okresu, a brakujące wspomnienia tylko podsycają moją niepewność co do wyniku tej wojny.

- A więc walczymy i nie tracimy nadziei.
 - Tak jak we wszystkich bitwach w historii.
- Brodaty człowiek kiwnął ponuro głową.
- Jak dla mnie może być.

Siły nocnych elfów pokonywały w szybkim tempie kolejne mile, ani razu się nie zatrzymując. Większość maszerujących była w dobrych nastrojach, bo wydawało im się, że wrogowi wcale nie spieszo do skrzyżowania z nimi ostrzy. Krasus, który miał słuch bardziej wyczulony niż otaczające go istoty, słyszał, jak żołnierze przekonują się nawzajem, że ogrom zniszczeń i liczba ofiar wynikały z ataku na nieprzygotowaną i niczego niespodziewającą się ludność cywilną. Gdyby demony napotkały zorganizowany opór, same zostałyby wymordowane. Niektórzy spekulowali nawet, że gdyby po pierwszej bitwie nocne elfy ścigały Płonący Legion aż do Zin-Azshari, zamiast się wycofać i przegrupować, byłoby już po wojnie.

Takie uwagi martwiły Krasusa; inną rzeczą była pewność siebie, a inną przekonanie, że wroga uda się z łatwością pokonać. Nocne elfy musiały zrozumieć, że Płonący Legion jest wcieloną śmiercią.

Jego wzrok padł na jedyne go nocnego elfa, który wydawał się świadomy powagi sytuacji. Krasus przypominał sobie, że Malfurion ma odegrać kluczową rolę w wygraniu tej wojny, ale nie pamiętał, jaką. Nie bez znaczenia był fakt, że młodzieniec został pierwszym druidem, ale nie tylko to się liczyło. Smoczy mag postanowił już, że musi zrobić wszystko, co w jego mocy, by go chronić.

Kiedy noc miała się już ku końcowi, z południowego-wschodu powrócili niespodziewanie zwiadowcy. Z rozkazu Ravencresta patrole regularnie

dostarczały armii najświeższych wieści.

Trzej jeźdźcy wyglądali na utrudzonych. Musieli przez dłuższy czas jechać forsownym tempem na dyszących ciężko nocnych panterach. Ich twarze zrosił pot, odzienie mieli uwalane błotem. Gdy tylko napili się wody, donieśli o swoim odkryciu.

– Niewielka kolumna demonów posuwa się metodycznie przez region Dy-Jaru, panie - oznajmił starszy zwiadowca. - Widzieliśmy dymy, pożary i uchodźców.

– Szacowana liczebność nieprzyjaciela?

– Trudno mieć pewność, ale na pewno znacznie mniejsza od naszej.

Ravencrest zaczął szarpać brodę, zastanawiając się.

– Dokąd kierują się uchodźcy?

– Wygląda na to, że do Halumaru, panie, ale nie dadzą rady. Demony następują im na pięty.

– Czy możemy zastąpić im drogę?

– Tak, jeśli się pospieszymy. Dzieli ich jeszcze spora luka.

Szlachcic wyciągnął rękę w bok.

– Mapa.

Natychmiast wręczono mu odpowiednią mapę. Rozwinął ją, a potem kazał zwiadowcom wskazać położenie uchodźców i Płonącego Legionu. Przyjrzał się mu i skinął głową.

– Musimy zwiększyć tempo i przygotować się na starcie w świetle dnia, ale da się to zrobić. Nadal będziemy na drodze do Zin-Azshari. Możemy sobie pozwolić na to niewielkie zboczenie z trasy.

– Zwłaszcza, że może uda nam się ocalić kilka niewinnych istot - mruknął Rhonin do Broxa.

Krasus nachylił się do przodu.

– Czy przyjrzelście się demonom? Jakie rodzaje rozpoznaliście?

– Głównie tych zwanych piekielnymi gwardzistami.

Jeden ze zwiadowców dodał:

– Widziałem kilka ogarów i jednego skrzydlatego demona, strażnika zagłady.

Smoczy mag zmarszczył brwi.

– Czyli nic nadzwyczajnego.

– Z pewnością w swej nadgorliwości wysunęły się przed główne siły - oświadczył lord Ravencrest. - Już my je nauczymy powściągliwości... choć nie pożyją na tyle długo, żeby skorzystać z tej nauki. - A oficerom polecił: - Wydajcie rozkazy! Musimy stawić im czoła!

Armia przegrupowała się niemal natychmiast. Nocne elfy zwałowo wykonywały manewry, gotowe nie tylko ratować pobratymców, ale zasmakować pierwszego zwycięstwa w drodze do stolicy.

Illidan i Księżycowi Gwardziści zmienili pozycje, rozstawiając się na całej szerokości armii. Siostry Elune zrobiły to samo, dzieląc się na grupy przygotowane zarówno do pomocy rannym, jak i walki wręcz. Rhonin, Krasus i Brox, jako jedyni przybysze z zewnątrz, trzymali się razem, choć dwaj czarodzieje postanowili już wcześniej, że Rhonin będzie miał oko na Illidana, kiedy zacznie się bitwa. Obaj wciąż powątpiewali w roztropność młodzieńca.

Malfurion został z nimi, głównie dlatego, że Ravencrest wciąż nie był do końca pewny, jak najlepiej wykorzystać jego nadzwyczajne umiejętności. Ponieważ czwórki przyjaciół pilnował oddział kapitana Jaroda, szlachcic uznał, że druid będzie na tyle dobrze chroniony, by móc samemu decydować, jaki atak okaże się najskuteczniejszy przeciwko demonom.

Malfurion, który uczył się z Cenariusem przez cały dzień, a potem jechał przez całą noc ze świadomością zbliżającej się nieuchronnie bitwy, czuł rosnące wyczerpanie. Półbóg nauczył go, jak wydajniej czerpać siły z

otaczającej go przyrody, i młodzieniec miał nadzieję, że będzie miał okazję to uczynić, zanim nocne elfy zetrą się z Płonącym Legionem.

Słońce wynurzyło się zza horyzontu, znikając zaraz w gęstej, niskiej pokrywie chmur, co właściwie było elfom na rękę. Zaklęcia, które Krasus i Rhonin rzucili na siebie oraz Broxa, pozwalały ich wzrokowi przystosować się natychmiast do zmiany oświetlenia, ale oczom większości żołnierzy zajmowało to więcej czasu. Zasłona chmur przyniosła nocnej rasie ulgę i napełniła elfy jeszcze większym entuzjazmem.

Zwiadowcy wciąż krążyli między dwiema armiami, zbierając informacje. Demony nie dogoniły jeszcze uciekających nocnych elfów, ale były już blisko. Ośmielony Ravencrest popędzał swoich wojowników. Wysłał przodem kontyngent nocnych panter i zamierzał uderzyć na Płonący Legion z dwóch stron naraz.

Kiedy nadeszły wieści, że wojsko jest już na wysokości luki między uchodźcami a ich prześladowcami, szlachcic kazał zadąć w rogi. Sygnał postawił żołnierzy w stan gotowości bojowej.

I wreszcie, po pokonaniu kilku łagodnych wzgórz, nocne elfy ujrzały przed sobą wroga.

Płomienne demony pustoszyły każdy cal zdobyczej ziemi, zostawiając za sobą tylko pogorzelisko. Po ich przejściu nic nie zostało się przy życiu. Martwa ziemia, jaką Krasus widział już z grzbietu Korialstrasza, ciągnęła się aż po horyzont, co jeszcze bardziej zmobilizowało obrońców.

– Zwiadowcy nie kłamali - wymamrotał pan Gawroniej Twierdzy, dobywając miecza. - Tym lepiej. Pokażemy im, jakim szaleństwem było podniesienie ręki na naszą piękną krainę.

Krasus przyglądał się hordzie. Wróg był nadal groźny, ale nie aż tak, by nocne elfy nie mogły sobie z nim poradzić.

– Panie, mimo wszystko doradzałbym ostrożność... - zaczął mag, ale Ravencrest go nie słuchał; zamachał mieczem i wszystkie rogi w armii zagrały jednocześnie.

Wznosząc bojowy okrzyk, nocne elfy runęły na demony.

Widok liczebniejszych sił nie zatrzymał Płonącego Legionu. Opancerzone demony, nie nasyciwszy się jeszcze rzezią, jakiej dokonały w Kalimdorze, zaryczały donośnie. Zapominając o uciekinierach, rzuciły się w stronę atakujących sił.

Powietrze przeszyły dwa wysokie dźwięki, po których niemal natychmiast niebo przesłoniła chmara strzał. Niczym wrzeszczące banshee, groty spadły pomiędzy potwornych wojowników, przebijając gardła, kończyny i głowy. Martwe i ranne demony padały pokotem na ziemię, zmuszając pozostałe do zwolnienia kroku.

W sam środek hordy uderzył złoty grom, rozrzucając piekielnych gwardzistów na wszystkie strony. Na ocalałych spadł deszcz skrawków mięsa i śluzowatej posoki. Krasus spojrzał w lewo i zobaczył Illidana śmiejącego się z efektów swojego pierwszego ataku. Młody czarodziej na samym początku starcia ustawił kilku Księżycowych Gwardzistów w szyku takim jak podczas pierwszej bitwy z Płonącym Legionem. Illidan zamierzał czerpać moc ze swoich towarzyszy i wzmacniać ją swoją osobą.

Smoczy mag sposepniał. Taka taktyka osłabiała bardziej osoby dostarczające moc niż tę rzucającą zaklęcia. Jeśli Illidan nie będzie uważał na stan swoich towarzyszy, wyczerpie ich do tego stopnia, że nie będą w stanie sami się bronić, jeśli zaatakują ich Eredarczycy.

Ale zamiast zamartwiać się skutkami zaniedbań Illidana, skupił uwagę na wrogu. Krasus po raz pierwszy rzucił zaklęcie bez wsparcia ze strony Korialstrasza. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale kiedy poczuł narastającą w sobie moc, uśmiechnął się.

Straszliwy wichur smagnął środek pierwszej linii demonów, cisnął rogatych wojowników na siebie, nabijając ich na własny oręż. W szeregach nieprzyjaciela zapanował chaos.

Elfy potraktowały to jako świetną okazję do ataku. Pierwsi żołnierze, którzy natarli na demony, zasiękli je bez trudu. Czoło Legionu poszło w rozsypkę. Piekielni gwardziści padali jak muchy, na próżno usiłując się przegrupować.

Kolejna salwa zdziesiątkowała dalsze szeregi. Minęło zaledwie kilka minut, a jedna czwarta hordy była już martwa, albo konająca. Krasus powinien poczuć przypływ animuszu, ale wciąż miał wrażenie, że wszystko przychodzi im zbyt łatwo. Płonący Legion jeszcze nigdy nie dał się tak szybko pokonać.

Nie mógł jednak porozmawiać o swoich wątpliwościach z pozostałymi. Brox wśliznął się między walczących i nagle znalazł się daleko na przedzie. Dosiadając okrakiem nocnej pantery, rąbał toporem na prawo i lewo. Jego ostrze zostawiało po sobie śmierć wszędzie, gdzie spadło. Nad zielonoskórym wojownikiem, który wzniósł właśnie okrzyk bojowy, przeleciał odrąbany łeb demona.

Jeśli chodzi o Rhonina, to rzucał zaklęcia tak potężne, że Krasus spoglądał nań z zazdrością. Rudowłosy czarodziej dotykał zielonych płomieni otaczających sylwetki demonów, zmieniając je w prawdziwy ogień, który pożerał stwory. Padały jeden za drugim, obracając się w garść popiołu i kupę żelastwa. Krasus nie widział u żadnego innego obrońcy tak zawziętej miny; smoczy mag nie wątpił, że jego dawny uczeń myśli bezustannie o swojej żonie i nienarodzonych dzieciach, których przyszłość zależała od wyniku tej wojny.

Gdzie się podział Malfurion? Początkowo tyczkowany czarodziej nie mógł nigdzie dostrzec druida, ale potem zauważył go na tyłach armii.

Malfurion siedział cicho na grzbiecie swojego wierzchowca, oczy miał zamknięte w skupieniu. Krasus w pierwszej chwili niczego nie zauważył, ale potem wyczuł w głębi ziemi jakieś ciśnienie posuwające się w stronę Płonącego Legionu. Swoimi magicznymi zmysłami podążył za nim, ciekaw, co z tego wyniknie.

Nagle spod pierwszych szeregów hordy wystrzeliły w górę korzenie. Korzenie drzew, korzenie traw... każdy rodzaj, jaki tylko można sobie wyobrazić. Krasus uświadomił sobie, że Malfurion nie tylko sprawił, że wyciągnęły się poza granicę nieskażonej ziemi, ale urosły na długość, jakiej w normalnych warunkach nigdy nie zdołałyby osiągnąć.

Jakiś rogaty wojownik potknął się, a potem, ze zdumionym rykiem, runął naprzód prosto na ostrze nocnego elfa. Jakaś piekielna bestia warknęła, kłapiąc paszczą, gdy jej potężne łapy zaplątały się w korzenie. Wszędzie demony potykały się, chwiały i walczyły o utrzymanie się na nogach. Stały się łatwą ofiarą i z powodu korzeni ginęły całymi dziesiątkami. Krasus zauważył jednak, że ani jeden nocny elf nie ma z nimi problemów. Kilka razy korzenie utorowały nawet żołnierzom drogę, pomagając ich sprawie.

Walczyła już mniej niż połowa demonów, zwycięstwo było bliskie... a jednak Krasus nie wierzył w sukces swojej armii. Omiótł wzrokiem pole bitwy, ale nie dojrzał niczego, co potwierdziłoby jego obawy.

Niczego, prócz pojedynczego skrzydlatego demona mknącego ku pokrywie chmur. Krasus patrzył, jak wzbija się w górę, a potem rzucił błyskawiczny czar.

Dosięgnął demona, gdy ten miał już zniknąć w obłokach. Mgła otuliła strażnika zagłady niczym całun, przyklejając mu skrzydła do smukłej, opancerzonej sylwetki. Demon szarpał się, ale nie był w stanie nic zrobić. Chwilę później runął niczym zabójczy pocisk między własnych towarzyszy.

Krasus nie miał czasu na pogratulowanie sobie udanej akcji. Skierował wierzchowca w stronę lorda Ravencresta, usiłując zwrócić na siebie uwagę szlachcica. Niestety, Ravencrest oddalał się od niego, zajęty wydawaniem rozkazów żołnierzom.

Smoczy mag spojrział w chmury. Wciąż jeszcze mieli szansę. Jeśli ostrzeże nocne elfy wystarczająco szybko, unikną nieszczęścia.

Nagle poczuł w całym ciele łaskotanie. Tracąc panowanie nad członkami, osunął się na barki pantery i byłby z niej spadł, gdyby nie szeroki grzbiet zwierzęcia. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że zdekoncentrowany troską o los armii obrońców, wystawił się na atak eredarskiego warlocka.

Kiedy zmagał się z rzuconym nań zaklęciem, jego wzrok padł na niebo. Chmury zgęstniały, pociemniały. Zdawały się obwisać pod swoim ogromnym ciężarem...

Nie... wszystko, co widział, było iluzją, i wiedział o tym. Walcząc z zaklęciem warlocka i wizją na niebie, wreszcie przeniknął fasadowy czar rzucony przez demony na burzowe niebo. Wzdęte brzuszyska chmur zniknęły, ukazując prawdę.

Z niebios spadł na obrońców Płonący Legion.

SZEŚĆ



Malfurion poczuł, że coś jest nie tak, kiedy rzucone przez niego zaklęcie zaczęło w pełni działać. Rośliny były zadowolone, mogąc spełnić jego życzenie, gdyż demony budziły w nich odrazę. Niemą namową skłonił je, by wyciągnęły się na o wiele większą długość niż zwykle, a potem manipulując nimi sprawił, że przypominały bardziej wijące się macki krakena niż zwykłe korzenie. W ten sposób ułatwił żołnierzom zabicie wielu demonów.

Ale w pewnej odległości od pola bitwy jego wyostrzone zmysły wykryły jakąś nieprawidłowość, która musiała być zaklęciem ochronnym. Nie otwierając oczu, Malfurion sięgnął ku niej i odkrył, że jej źródło znajduje się nie na ziemi, ale gdzieś wysoko nad nimi.

W chmurach.

Wciąż posługując się mocami, jakimi obdarzył go Cenarius, druid wgryzł się w pokrywę chmur i odszukał to, co chciało pozostać ukryte.

Setki powietrznych demonów.

Głównie strażników zagłady - tak wielu, że musieli się zlecieć z różnych części hordy. Groźny oręż i srogie oblicza nadawały im przerażający

wygląd. Nawet bez niczyjego wsparcia byli niebezpiecznym przeciwnikiem.

Ale jeszcze większy niepokój budziły istoty unoszące się między nimi. Dziesiątki eredarskich warlocków. Nie mieli skrzydeł, ale utrzymywali się w powietrzu dzięki zaklęciom. Patrząc na nich, Malfurion odkrył, że część wciąż pracuje nad utrzymaniem iluzji, a część już wyszukuje słabe punkty nocnych elfów.

Ale choć budziły grozę, najbardziej wstrząsnęły Malfurionem stwory mknące ku polu bitwy zza strażników zagłady i eredarczyków. Spomiędzy chmur, jak wystrzelone z tysiąca katapult, opadały ze straszliwą precyzją wielkie, ogniste gązdy. Starając się nie zwracać na siebie uwagi czujnych warlocków, druid wyteżył zmysły i zobaczył, czym w rzeczywistości są pociski.

Infernale.

Malfurion otworzył gwałtownie powieki, krzycząc do wszystkich wokoło:

– Uwaga na niebo! Atakują z powietrza!

Na krótko udało mu się przykuć uwagę lorda Stareye, ale szlachcic tylko prychnął i skupił się z powrotem na przerzedzonych szeregach demonów. Malfurion pchnął wierzchowca naprzód i złapał jednego ze strażników.

– Daj sygnał ostrzegawczy! Demony atakują nas spomiędzy chmur!

Ale żołnierz patrzył na niego jak odurzony, nie rozumiejąc. W górze wciąż utrzymywała się iluzja, za sprawą której każdy, kto spojrział w niebo, brał druida za szaleńca.

W końcu Malfurion dostrzegł jedyną osobę, która wydawała się dostrzegać niebezpieczeństwo. Przed oczyma przemknął mu miotający się gorączkowo Krasus. Ich spojrzenia spotkały się i obaj pojęli, że ten drugi wie. Krasus wskazał kogoś palcem - nie Ravencresta, lecz Illidana.

Malfurion kiwnął głową, w lot łapiąc, o co mu chodzi - miał ostrzec jedną z nielicznych osób, która była w stanie zareagować szybko na zagrożenie z powietrza.

– Illidanie! - krzyknął Malfurion, stając w strzemionach w nadziei, że jego bliźniak go zauważy. Ale Illidan był zbyt pochłonięty swoimi zaklęciami, aby cokolwiek dostrzec.

Malfurion skupił się i zwrócił o pomoc do wiatru. Kiedy ten wyraził zgodę, elf poprosił, by pomknął ku Illidanowi. Prowadząc wiatr palcem, druid potarł dwa razy policzek.

Jego brat dotknął gwałtownie własnego policzka muśniętego podmuchem naśladującym dotyk Malfuriona. Spojrzał przez ramię i zobaczył brata bliźniaka.

Wskazując niebo, Malfurion wykonał ostrzegawczy gest. Illidan prawie się odwrócił, ale rozeźlony druid rzucił mu wściekłe spojrzenie. Jego brat wreszcie podniósł wzrok.

W tej samej chwili pierwsze demony przedarły się przez iluzję.

Eredarczycy uderzyli w tej samej chwili, w której stali się widzialni. Nad szeregami nocnych elfów przetoczyła się fala magii. Na żołnierzy spadły ciężkie krople, które wzbudziły ich niepokój dopiero, gdy zaczęły się wgryzać w pancerze i ciało. Ulewa przeszła w potworne oberwanie chmury, wyrywając z gardeł ofiar nieludzkie wrzaski. Nocne elfy, z obłączonymi ze skóry twarzami, padały na ziemię, wijąc się z bólu.

Malfurion znów zwrócił się do wiatru, prosząc, by przegnał owe potoki, byle dalej od jego ludu. W tej samej chwili wyczuł, że Illidan i Księżycowi Gwardziści kontratakują.

Jeden z warlocków eksplodował z wrzaskiem, zginął też strażnik zagłady obok niego. Ale kiedy czarodzieje nocnych elfów próbowali zabić kolejnych, ich ataki odbiły się od niewidzianej tarczy.

Silny podmuch wezwany przez druida zepchnął potworną ulewę w bok, ale poniesionym stratom nie dało się już zapobiec. Linia obrońców załamywała się.

Wtedy z nieba zaczęły spadać infernale.

Pierwsza fala nie dotarła do ziemi. Dwa wybuchły, a kilka następnych odbiło się nagle od pustego powietrza i poleciało w różne strony. Błękitna błyskawica trafiła, jednego po drugim, trzy demony.

Lecz pomimo wysiłków czarodziejów, ludzkiego maga i druida, było ich zbyt wiele. Jeden runął w sam środek rozczłonkowanego szeregu elfów, co miało katastrofalne skutki. Kilkanaście katapult pełnych łatwopalnego prochu mogłoby poczynić tylko ułamek zniszczeń, jakie spowodował jeden demon. Nocne elfy zostały rozrzucone jak liście na wietrze. Szok uderzenia powalił resztę na ziemię, gdzie piekielni gwardziści szybko rozprawili się z nimi w okrutny sposób.

W dół spadły kolejne infernale. W pierwszych szeregach elfów zapanował totalny chaos. Na domiar złego każdy potężny demon, który wylądował w dymiącym kraterze, zaraz podnosił się i z całym impetem taranował nocne elfy.

Potężne korzenie wezwane przez Malfuriona okazały się bezradne wobec czaszkogłowych infernali, które przedzierały się przez nie jak przez puch. Płomienne behemoty kładły elfy pokotem, wywołując zamęt wszędzie, gdzie się znalazły.

Nagle lanca upuszczona przez jednego z poległych żołnierzy wzniosła się w powietrze tuż przed jednym z infernali. Rozbłyskując błękitem, wystrzeliła ku niemu z taką szybkością, że nawet demon wydał się przy niej ślamazarny. Gdy tak leciała z bezbłędną precyzją w jego stronę, jej ostrze zmieniło się w ostry kolec podobny do igły.

Przeszyła infernala z taką łatwością, że demon zrazu nie zauważył, że jest martwy. Behemot rozdziawił pysk, a potem zadygotał jak szalony, wytracając impet. Napędzana magią lanca wciąż mknęła naprzód.

Ogromny demon został porwany w tył, jak gdyby był lekki jak niemowlę. Pędząca coraz szybciej włócznia przebiła następnego infernala, który właśnie wyłaniał się z krateru. Stwór zdążył tylko wytrzeszczyć ślepie.

Nie zwalniając ani na chwilę, magiczna lanca przeszła zniemacka trzeciego infernala. Dopiero wtedy wytraciła prędkość i wraz z trzema ofiarami upadła między poległych.

Stojący obok Malfuriona Rhonin pokiwał głową z satysfakcją. Ale kiedy szala zwycięstwa znów zaczęła się przechylać na stronę obrońców, na północy odezwały się rogi.

– To Legion! - krzyknął Krasus. - Zachodzą nas z flanki!

Cała straszliwa prawda wyszła na jaw. Na północy, jak gdyby wyrastając z ziemi, ukazała się nieprzeliczona zgraja demonów, która opadła walczących tam żołnierzy. Tak jak wrogów na niebie, wcześniej ukrywało je zaklęcie, a teraz wyroiły się jak pszczoły. Nocne elfy walczyły dzielnie, ale ich nadwyrężone szeregi uginały się pod tą nową nawałą.

– Musimy się wycofać! - powiedział Rhonin. - To nasza jedyna szansa.

Początkowo wydawało się, że lord Ravencrest nie robi tego, co konieczne. Nie rozległ się sygnał do odwrotu, choć demony napierały coraz mocniej. Z nieba wciąż spadały infernale, a Eredarczycy rzucali jeden plugawy czar za drugim. Malfurion i jego towarzysze nie mogli już atakować - całą swoją uwagę musieli poświęcić odpieraniu ataków warlocków. Nawet Księżycowi Gwardziści ograniczyli się do ochrony osłabionej armii.

W końcu rogi dały sygnał do odwrotu. Ale Płonący Legion nie znał litości i każdy krok wstecz był okupiony krwią.

– Ich napór jest zbyt silny! - syknął Krasus, dołączając do druida. - Musimy stworzyć lukę między nami a nimi!

– Ale jak? - zapytał Malfurion.

Pociągła twarz maga sposepniała jeszcze bardziej.

– Musimy zaprzestać walki z Eredarczykami i skupić się wyłącznie na utrzymaniu głównych sił demonów z dala od naszego wojska!

– Ale warlockowie uderzą wtedy ze zdwojoną siłą! Zabiją masę żołnierzy...

– Jeszcze więcej zginie, jeśli będziemy się wycofywać w takim żółwym tempie!

Krasus miał rację, choć druid bardzo by chciał, żeby się mylił. Piekielni gwardziści siekli elfy z prawa i z lewa, skracając o głowę każdego, kto znalazł się w ich zasięgu. Za to Eredarczycy potrzebowali czasu, żeby rzucać swoje zaklęcia, i choć te też powodowały straszliwe zniszczenia, większe szkody czyniły teraz ostrza ich towarzyszy.

– Musisz powiedzieć swojemu bratu, żeby robił to, co my - rozkazał mag.

– Nie posłucha mnie. Nie w tej sprawie. - Problemem było już samo zmuszenie Illidana, żeby popatrzył w ich stronę. Przekonanie go, żeby zastosował się do polecenia Krasusa, zajęłoby zbyt wiele czasu, o ile w ogóle było możliwe.

– Ja to zrobię - zaproponował Rhonin. - Może mnie posłucha.

Rzeczywiście, Illidan podziwiał człowieka. Rhonin potrafił rzucać zaklęcia, z jakimi bliźniak Malfuriona nie dawał sobie jeszcze rady. Nocny elf widział w nim nieomal swojego *shan'do*.

– W takim razie zrób, co w twojej mocy - powiedział Krasus.

Gdy rudowłosy czarodziej odjechał, Malfurion zapytał;

– Co robimy?

– Cokolwiek, byle oddzielić ich od nas.

Druid liczył na bardziej szczegółowe wskazówki, ale rozumiał, że Krasus chce mu zostawić większą swobodę. Będą działać skuteczniej, jeśli każdy zajmie się tym, co potrafi najlepiej. Starszy mag mógł mieć inne przyzwyczajenia niż Malfurion.

Nie czekając na to, co wymyśli nocny elf, Krasus wskazał ręką pole bitwy. Początkowo Malfurion nie potrafił powiedzieć, co zrobił, ale potem zauważył, że demony na przedzie jak gdyby skurczyły się o stopę lub dwie. Dopiero po chwili dostrzegł, że szamoczą się w bagnie, które pojawiło się pod ich nogami. Te za nimi zbiły się ciasno, usiłując przedostać się na drugą stronę.

Zamiast próbować ponowić atak, nocne elfy roztropnie kontynuowały odwrót. Ale Krasus zdołał wspomóc tylko jeden odcinek frontu - Malfurion widział, że w innych miejscach demony wciąż szlachtują obrońców. Natychmiast sięgnął ku roślinom, prosząc, by znów użyczyły mu swoich korzeni. Były świadome powagi sytuacji i tego, że kiedy zabraknie nocnych elfów, one i reszta przyrody zostaną unicestwione przez Legion. Dlatego z własnej nieprzymuszonej woli zdobyły się na wielkie poświęcenie.

Płacząc nad ich losem, Malfurion tkął starannie zakłęcie. Korzenie wypełzły w górę jeszcze większymi skupiskami, tworząc istny las. Demony próbowały przedrzeć się przez ten gąszcz, ale nawet infernale musiały zwolnić. Druid czuł każdy cios zadany korzeniom, lecz jego czar odniósł zamierzony skutek. Coraz więcej elfów oddalało się od wrogów.

Z południa przybyła nagle odsiecz w osobach jeźdźców dosiadających nocnych panter. Malfurion zapomniał o oddziale wysłanym wcześniej przez lorda Ravencresta. Choć było ich mniej niż zapamiętał, walczyli z nie

mniejszą furia. Kilka panter było rannych, a jeźdźców poturbowanych, lecz mimo to wcinali się między demony, zyskując cenne sekundy dla pieszych towarzyszy.

– Północ! - zawołał Krasus. - Skupcie się na północy!

Choć nie widzieli walk toczących się z tamtej strony, Malfurion i mag znali inne metody, które pozwalały im je obserwować. Druid sięgnął umysłem ku ptakom i skrzydlatym owadom. Ptaków nie znalazł, ale odszukał kilka insektów. Nawet najmniejsze zwierzęta rozumiały, że przebywanie w pobliżu demonów grozi śmiercią, ale żuczki, na które natrafił, zgodziły się posłużyć mu za oczy.

Wkrótce druid oglądał ich dziwacznymi oczyma koniec pola bitwy. To, co tam zobaczył, sprawiło, że zamarło w nim serce. Płonący Legion, liczniejszy niż kiedykolwiek, dosłownie zalewał elfich żołnierzy. Wszędzie wały się ciała poległych. Twarze zbyt podobne do jego własnej wpatrywały się pustym wzrokiem w swoich zabójców. Piekielne bestie buszowały wśród trupów, a pozostałe demony pracowały gorliwie nad zwiększeniem ich liczby.

Malfurion rozejrzał się za jakimś stworzeniem albo rośliną, którą mógłby wykorzystać, ale w pobliżu były tylko żuki. Podmuch wiatru porwał jednego z nich, co nasunęło druidowi pewien pomysł. Rozmawiając z wiatrem za pośrednictwem owada, najpierw wyraził swój podziw dla jego potężnych porywów, a potem przekonał, by zademonstrował, na co go jeszcze stać.

Wiatr spełnił jego prośbę, tworząc burzę pyłową. Dzięki dalszym zachętom Malfuriona burza wzmogła się, przesłaniając ogromne demony i zwielokrotniając stukrotnie swą siłę.

Gdy stała się wystarczająco potężna, druid skierował ją przeciwko pierwszym szeregom demonów.

Płonący Legion początkowo ignorował dziką wicherę... dopóki nie porwała kilku demonów, odbierając im życie. Te najbliżej rozproszyły się, ale teraz ścigało je prawdziwe tornado. Malfurion nie czuł litości dla demonów i miał nadzieję, że do zabitych dołączą wkrótce ich towarzysze.

– Nie bądź zbyt pewny siebie - dosłyszał głos Krasusa. - Nasza taktyka pozwoliła nam zyskać na czasie, ale nic więcej.

Druid sam dobrze o tym wiedział, ale się nie odezwał. Nocne elfy nie były w stanie przechylić szali zwycięstwa na swoją stronę. To wszystko, czego dokonali Malfurion i inni czarodzieje, uchroniło tylko żołnierzy przed pewną śmiercią.

Nie do końca zadowolony ze swoich wysiłków, nocny elf poszukał oczyma żuków czegokolwiek, co mogło się przydać w walce z demonami. Owady fruwały dzielnie nad Płonącym Legionem, dzięki czemu miał nań widok z pięciu różnych punktów. Na pewno da się coś...

Druid wrzasnął, gdy coś chwyciło i zmiażdżyło jednego z żuków. Dwa z pozostałych pięciu natychmiast odleciały, ale ostatnia para obróciła się, pozwalając elfowi zobaczyć mordercę dwóch nieszczęsnych owadów.

Pośród demonów stała ciemnoskóra postać górująca wzrostem nad resztą Płonącego Legionu. Olbrzym kroczył między demonami jak między własnymi dziećmi i ze spokojem dyrygował wysiłkami przerażających wojowników. Malfurionowi przypominał trochę Eredarczyków, ale miał się do nich tak, jak oni do infernali. Nosił misternie zdobione naramienniki i przyglądał się zamętowi na polu walki z analityczną obojętnością. Z prawej dłoni ogromnego demona wypadły resztki pancerza, który był kiedyś żukiem... a potem spojrział prosto na jednego z owadów, których wciąż używał Malfurion.

I w głąb umysłu druida.

A więc... to ty.

Malfurion poczuł rozpierający ból głowy. Miał wrażenie, że mózg mu się powiększa, naciskając na czaszkę.

Próbował wezwać pomoc, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa. Zrozpaczony zaczął szukać w pobliżu demona czegoś, co go rozproszy, zanim będzie za późno.

W głębi ziemi coś się poruszyło. Skały, najstarsze i najtwardsze żywe istoty, przebudziły się z wiecznej drzemki. Najpierw ich gniew zwrócił się przeciwko Malfurionowi, bo niewiele rzeczy było dla nich ważniejsze niż sen. Ale druid szybko przypomniał im, co je czeka, jeśli zwycięży Płonący Legion, który niszczył wszystko na swojej drodze.

Niewiele osób zdawało sobie sprawę, że skały żyją, a jeszcze mniej, że odbierają zmysłami otaczający je świat. Teraz te, które obudził druid, odkryły straszliwą prawdę o demonach - nawet ziemia nie mogła ujść śmierci z ich rąk. Plugawa magia stanowiąca istotę demonów zabijała wszystko. Nic, choćby było najgłębiej zakopane, nie było w stanie przed nią uciec.

Taki los czekał nawet skały. Te, które Płonący Legion zostawił za sobą, były już całkowicie pozbawione czucia. Ich esencja życiowa została unicestwiona z taką samą łatwością, z jaką klingi piekielnych gwardzistów zabijały nocne elfy.

Malfurion padł na jedno kolano, czując, jak atak demona ściska mu czaszkę. Nie był w stanie myśleć. Zaczęło mu się robić ciemno przed oczyma...

Ziemia zagrzmiała, Malfurion padł na kolana. Rzecz dziwna, ciśnienie w czaszce zelżało.

Oczyma żuków patrzył ze zdumieniem, jak wszędzie wokół potwornej postaci, która go zaatakowała, otwierają się szczeliny w ziemi. Mniejszy demon stojący obok runął w jedną z rozpadlin, która natychmiast się nad

nim zamknęła. Inne demony rzuciły się do ucieczki, zostawiając olbrzymiego przywódcę samemu sobie.

Wyraz twarzy przeciwnika Malfuriona pozostał obojętny, ale widać było, że z trudem utrzymuje równowagę wśród coraz szerszych szczelin dookoła. Ponury kolos wyciągnął łapę w stronę jednego z żuków, ale Malfurion natychmiast rozkazał dwóm pozostałym przy życiu owadom uciekać.

Gdy odlatywały, druid zobaczył, że demon rysuje wokół siebie krąg. W jego miejscu pojawiła się wielka zielona kula chroniąca go przed gwałtownymi wstrząsami. Unosiła się nad chaosem, mimo że inne, pomniejsze demony, ginęły w otwierających się w ziemi rozpadlinach.

Głęboko osadzone, potworne ślepia wpatrywały się w wycofujące się sylwetki.

Poznam cię, insekcie...

Nie miał na myśli żuków, tylko Malfuriona. Kiedy zniknął druidowi z oczu, ten uświadomił sobie, że też pozna demona, kiedy znów się spotkają. Malfurion domyślał się, jak mu na imię, bo mógł to być tylko jeden ze straszliwych dowódców potwornej hordy.

Mógł to być tylko Archimond.

Czyjeś ręce złapały go za ramię, zrywając łączność z żukami. Malfurion pomyślał odruchowo, że zaraz zostanie rozerwany przez jakiegoś demona, ale dłonie okazały się delikatne, a głos łagodny i troskliwy.

– Mam cię, Malfurionie - wyszeptała mu do ucha Tyrande.

Mógł tylko kiwnąć głową. Jak przez mgłę dotarło do niego, że nie siedzi już na grzbiecie nocnej pantery, i zaczął się zastanawiać, co się stało ze zwierzęciem. Tyrande delikatnie wciągnęła go na grzbiet swojego wierzchowca. Wykazując się niezwykłą siłą, posadziła go przed sobą, po czym spięła wielkiego kota do biegu.

Z sercem walącym w piersi, unoszony przez kapłankę Malfurion patrzył na przesuwane się jak w kalejdoskopie obrazy katastrofy. Setki żołnierzy pokonywały szybkim krokiem falujące wzgórza, ścigane przez widoczne w oddali demony. W kilku miejscach wrogie armie rozdzieliły płomienie, a tu i ówdzie eksplozji wywołanej przez zaklęcie towarzyszyły krzyki - elfów, czy demonów, nie potrafił powiedzieć. W pewnej chwili przemknął obok niego łopoczący na wietrze proporzec lorda Ravenscresta, ale nie dostrzegł nigdzie samego szlachcica.

Pantera Tyrande niosła ich w bezpieczne miejsce, a jemu migały przed oczami twarze nocnych elfów. Nie było już na nich ani śladu triumfu. Jego miejsce zajęła straszliwa świadomość - było bardzo możliwe, że przegrają tę walkę.

Musiał jęknąć na ten widok, bo Tyrande nachyliła mu się nad uchem, szepcząc:

– Nie lękaj się, Malfurionie... zajmę się twoimi ranami, gdy tylko się zatrzymamy.

Druid zdołał się obrócić i spojrzeć jej w twarz. Większą jej część przesłaniał hełm Sióstr Elune. Resztę pokrywało błoto... i krew. Nie jej, odgadł Malfurion po zdecydowanych ruchach elfki. Przeraziła go myśl, że musiała się znaleźć o wiele bliżej ognia walki niż on. Zawsze uważał jej powołanie za lżejsze, nawet gdy nosiła zbroję.

– Tyrande - wykrztusił w końcu druid. - Co z pozostałymi?

– Widziałam Broxigara, czarodziejów, twojego brata. Nawet byłego kapitana Shadowsong, który prowadził ich niczym troskliwy pasterz. - To ostatnie powiedziała z lekkim uśmiechem.

– Ravenscrest?

– Wciąż jest panem Gawroniej Twierdzy.

A więc nawet w obliczu tylu strat trzon sił armii pozostał nienaruszony. Jednak ani Ravencrest, ani jego czarodzieje nie byli w stanie zapobiec klęsce.

– Tyrande...

– Cicho, Malfurionie. Zdumiewa mnie, że po tym, co przeszedłeś, wciąż jesteś w stanie mówić.

Zdawał sobie sprawę z intensywności mentalnego ataku Archimonda, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób to wyczuła.

Nagle kapłanka przytuliła go. Choć Malfurion przyjął jej dotyk z radością, nie spodobał mu się niepokój, jaki od niej bił.

– Elune musiała nad tobą czuwać! Tyle elfów wokół ciebie zostało rozszarpanych, nawet twój własny wierzchowiec, z którego została tylko sterta kości i mięsa, a ty nie masz nawet zadrapania.

Rozszarpanych.. Jego własny wierzchowiec rozerwany na strzępy... co się działo wokół niego? Dlaczego nie zauważył takiej rzezi? Jak wyszedł z tego cało pomimo mentalnego ataku? Na samą myśl o straszliwym spektaklu, jaki rozegrał się wokół niego, zadrżał.

Malfurion nie znał odpowiedzi na swoje pytania, ale rozumiał jedno. Przeżył zaklęcie rzucone nań przez jednego z arcydemonów. Z jednej strony mógł być wdzięczny za ten cud; z drugiej zdawał sobie sprawę, że został naznaczony przez Archimonda. Był pewny, że jeszcze się spotkają.

A kiedy do tego dojdzie, władca demonów zrobi co w jego mocy, by tym razem nie udało się Malfurionowi uciec.

SIEDEM



Znużony Peroth'arn wszedł do swojej komnaty, zadowolony, że może wreszcie zregenerować siły nadwątlone podczas bezustannej pracy nad utrzymaniem portalu. Archimond, zanim opuścił pałac, aby objąć dowodzenie nad hordą demonów, zostawił im dokładne wytyczne, dzięki którym mieli przygotować portal na nadejście wielkiego Sargerasa. W przeciwieństwie do Mannorotha, który zmuszał Szlachetnie Urodzonych magów do pracy ponad siły, Archimond zdawał sobie sprawę, że nocne elfy nie dadzą rady wypełniać swoich obowiązków, jeśli nie będą mogły spać ani jeść. Zmuszał je do ogromnego wysiłku, to prawda, ale przerwy, na jakie im pozwalał, sprawiały, że praca postępowała szybciej niż kiedykolwiek przedtem, nawet pod kierunkiem lorda Xaviusa.

Na myśl o swoim dawnym panu Peroth'arn obejrzał się mimowolnie przez ramię. Pokój - niewielką komnatkę wyposażoną w drewnianą pryczę, stół i mosiężną lampkę oliwną - zalegały cienie, z których każdy przypominał czarodziejowi o istocie, która przybyła zaraz po wspaniałym Archimondzie. Dwunożna bestia, która była kiedyś Xaviusem, budziła lęk większości Szlachetnie Urodzonych. Wszyscy żyli w strachu przed doradcą

królowej, kiedy był jeszcze jednym z nich, ale teraz roztaczał wokół siebie niepokojącą aurę, która ostatnio nawiedzała Peroth'arna nawet w snach.

Próbując o tym zapomnieć, nocny elf przyjrzał się z niesmakiem pryczy. Był oddany pracy tak jak wszyscy, ale jako jeden ze Szlachetnie Urodzonych przywykł do znacznie lepszych warunków. Tęsknił za swoją willą i partnerką, których nie oglądał od wielu dni. Mannoroth nie pozwalał nikomu opuszczać pałacu i co do tego między nim a Archimondem panowała pełna zgoda. Dlatego czarodzieje byli zmuszeni spać, gdzie popadło - w tym wypadku w komnatach należących kiedyś do oficerów gwardii. Kapitan Varo'then chętnie zaproponował je magom, ale Peroth'arn mógłby przysiąc, że oszpecony żołnierz zrobił to z lekko drwiącym uśmiechem. Varo'then i jego podkomendni przywykli do spartańskich warunków i Peroth'arn podejrzewał, że czerpią satysfakcję z niewygód, jakie czarodzieje muszą teraz znosić dla dobra sprawy.

Ale wszystkie te poświęcenia zostaną nagrodzone, kiedy pan Legionu wreszcie przybędzie. Wszystko to, co nieczyste i niegodne, zostanie zmiecione z powierzchni świata. Tylko Szlachetnie Urodzeni, najdoskonalsi ze sług Azshary, ocaleją. Peroth'arn i jemu podobni zaludnią nową, odmienioną ziemię, tworząc raj, o jakim nikt wcześniej nie śnił.

Oczywiście czekało ich wiele pracy. Jak wytłumaczyła im królowa, Płonący Legion będzie musiał zrównać z ziemią to, co już istniało. Świat trzeba będzie stworzyć od nowa. Oczekiwania wobec Szlachetnie Urodzonych były wysokie, ale kiedy ich wysiłki zbiorą plon, nagrodom nie będzie końca.

Z męczeńskim westchnieniem Peroth'arn opadł na twardą pryczę. Kiedy już stworzą raj, pierwszą rzeczą, jakiej sobie zażyczy, będzie wygodniejsze miejsce do spania.

Ledwie przyłożył głowę do szarego tobołka służącego za poduszkę, gdy jakiś głos wyszeptał mu do ucha:

– Tyle poświęceń... tyle niezasłużonych trudów...

Peroth'arn zerwał się z pryczy, siadając na baczność. Znów rozejrzał się po pokoju, ale nie zobaczył niczego prócz ohydnych, pustych ścian i mizernych sprzętów pozbawionych jakichkolwiek ozdób.

– Zmuszony do znoszenia takiej nędzy... zasługujesz na podziw, drogi Peroth'arnie...

Szlachetnie Urodzony wciągnął gwałtownie powietrze, gdy od zalegającego róg izby mroku oderwał się fragment cienia. Onyksowe oczy poprzecinane rubinowymi żyłkami wbiły się w przestraszonego czarodzieja.

– Xavius...

Satyr zbliżył się Peroth'arna, stukając cicho kopytami.

– Nosilem kiedyś to imię - wyszeptał. - Teraz nie ma już dla mnie takiego znaczenia.

– Co tutaj robisz?

Xavius zarechotał, co zabrzmiało trochę jak beczenie kozy.

– Znam twoje ambicje, Peroth'arnie. Znam twoje marzenia i wiem, jak ciężko na nie pracowałeś.

Mimo nieufności wobec rogatej postaci, nocny elf poczuł się doceniony. Nikt inny nie rozumiał, jak wiele z siebie dawał. Nawet królowa i Archimond.

– Wiele od ciebie wymagałem, ale wiesz, że tylko dlatego, iż i wiele się spodziewałem, przyjacielu.

Peroth'arn nie wiedział, ale słysząc o tym teraz od swojego dawnego pana, poczuł, jak serce wzbiera mu dumą. Lord Xavius był probierzem, za pomocą którego inni Szlachetnie Urodzeni oceniali swoje umiejętności. W

sztuce magii nie miał sobie równych. Kto inny wyrzekłby się własnych oczu, aby lepiej rozumieć moce, którymi włada? Doradca nigdy nie wymagał od innych poświęceń, na które sam pierwszy się nie zdobył.

– Jestem... jestem zaszczycony.

Satyr przechylił głowę i wyszczerzył zęby. Z jakiegoś powodu jego uśmiech nie wydał się Peroth'arnowi tak przerażający jak wcześniej.

– Nie... to ja jestem zaszczycony, drogi Peroth'arnie... a teraz przychodzę w nadziei, że uczynisz mi jeszcze większy honor.

– Nie rozumiem, mój... nie rozumiem.

– Trochę wina? - Koźlonoga postać wyczarowała z powietrza flaszkę wina i podała ją nocnemu elfowi. Peroth'arn odkorkował ją i pociągnął nosem. Uderzający do głowy bukiet działał silnie na zmysły. Z pewnością było to wino z kwiatów tęczowca, jego ulubione.

Xavius nachylił się bliżej.

– Z jej własnej piwniczki... - powiedział z szerokim uśmiechem. - Ale to może być nasz sekret.

Czarodziej w pierwszej chwili osłupiał, słysząc o tak jawnym naruszeniu zasad ustalonych przez Azshare, ale zaraz zadrżał z przejęciem. Xavius dopuścił się tego aktu zdrady wobec królowej tylko ze względu na niego. Azshara skazywała wiernych poddanych na śmierć za drobniejsze przewinienia.

– Kapitan Varo'then byłby przerażony - stwierdził Peroth'arn.

– Nie jest jednym z nas... a więc nie ma powodów do obaw.

– To prawda. - Reszta Szlachetnie Urodzonych traktowała kapitana i jego żołnierzy jak zło konieczne. Byli sługami królowej, to jasne, ale brakowało im szlachetnej krwi i ekstrawaganckiego sposobu bycia pozostałych. Większość Szlachetnie Urodzonych uważała ich za nie lepszych od elfów mieszkających kiedyś za murami zamku, ale nigdy nie

dawali tego po sobie poznać. Kapitan Varo'then miał swoje sposoby na radzenie sobie po cichu z tymi, którzy okazywali mu pogardę.

– Pij - nalegał Xavius, unosząc flaszkę.

Szyjka butelki znalazła się tak blisko ust Peroth'arna, że nie widział powodów, by się dłużej wahać. Pozwolił aksamitnemu trunkowi spłynąć na język i do gardła. Kiedy przełknął, poczuł mrowienie w całym ciele.

– Zaległa nagroda - powiedział Xavius. - Jedna z wielu.

– Wyborne.

Jego koźlonogi towarzysz kiwnął łbem. Im dłużej elf siedział obok satyra, tym mniej się go obawiał. Były doradca okazał mu szacunek, na który nie zasłużył. Dla nocnego elfa był to wielki zaszczyt, bo czyż Xavius nie był teraz czcigodnym sługą wielkiego Sargerasa? Czyż nie był teraz bliższy panu Legionów niż wszyscy Szlachetnie Urodzeni razem wzięci?

– Tobie też się przygląda - powiedział cicho satyr, jak gdyby dzielił się sekretem z zaufanym towarzyszem.

– On? Masz na myśli...

– Jego mądry wzrok ogarnia wszystkich, nawet z tak daleka. - Satyr wycelował spiczasty palec w czarodzieja. - Ale niektórych obserwuje uważniej niż innych... w nadziei, że uda się ich przysposobić do wielkich czynów.

Peroth'arn nie potrafił znaleźć słów. Sargeras uważał go za kogoś takiego? Szybko wypił jeszcze jeden wielki łyk. Oczy miał rozwarłe szeroko, widać było, że coś kalkuluje. Jakże inni będą mu zazdrościć.

– Dla swych wrogów Sargeras jest śmiercią wcieloną, ale dla tych, którzy wiernie mu służą, jego dobroć nie ma granic. - Xavius znów przystawił flaszkę do ust Peroth'arna. - Przywrócił mnie z zaświatów. Pozwolił mi wrócić i nie tylko obdarzył ponownym życiem, ale i wyjątkowym miejscem u swego boku.

Prostując się na pełną wysokość, satyr zaprezentował się Peroth'arnowi w całej swej okazałości. Teraz, gdy widział w jego postaci cenny dar wielkiego boga, nocny elf naprawdę ją podziwiał. Xavius był teraz kimś znacznie wspanialszym niż w poprzednim życiu. Miał szersze, bardziej wyraziste rysy twarzy. Wydawał się silniejszy i bardziej zwinny, pomimo kopyt. Było też jasne, że posługuje się magią z jeszcze większym kunsztem. Peroth'arn czuł moc, jaką emanuje jego dawny pan, i nagle poczuł ukłucie zazdrości. On też zasługiwał na taką moc.

Może to wino sprawiło, że Peroth'arn stał się mniej powściągliwy w wyrażaniu swych emocji, gdyż nagle Xavius odsunął się od niego jak oparzony. Satyr prawie wtopił się z powrotem w mrok. Peroth'arn ścisnął butelkę w dłoni, obawiając się, że obraził bożego pomazańca.

Ale równie szybko, jak się cofnął, Xavius wrócił. Nachylił się nad siedzącym na pryczy nocnym elfem, wpatrując się głęboko w jego oczy. Czarodziej nie był w stanie odwrócić wzroku.

– Nie... - wyszeptał Xavius na poły do siebie. - Jeszcze za wcześnie... ale on powiedział, że mam odnaleźć tych, którzy są godni... może mógłbym... tak... ale przyjęcie takiej powłoki wymagałoby siły i zdecydowania... czy mogę mieć nadzieję, że masz w sobie tyle determinacji, przyjacielu Peroth'arnie?

Peroth'arn zerwał się z pryczy i zawołał:

– Mam w sobie siłę i determinację! Zrobię wszystko, by stać się godnym mojej królowej i Sargerasa! Daj mi szansę stać się jednym z wybranych, błagam!

– Musiałbyś podążać niebezpieczną ścieżką, drogi Peroth'arnie... ale wybiłbyś się ponad pozostałych Szlachetnie Urodzonych! A ja byłbym twoim przewodnikiem! Wszyscy, którzy by cię ujrzeli, wiedzieliby, że zostałeś pobłogosławiony przez pana Legionu. Twoja moc wzrosłaby

dziesięciokrotnie! Wszyscy by ci zazdrościli i jako pierwszy dołączyłbyś do mnie!

– Tak! - ryknął nocny elf. - Zrobię wszystko, co trzeba, lordzie Xaviusie! Nie opuszczaj mnie! Jestem godny! Przysięgam! Obdarz mnie tym darem!

Rogata postać wyszczerzyła zęby, ale teraz widok ten napełnił elfa nie niepokojem, a nadzieją.

– Tak, mój drogi Peroth’arnie... wierzę ci. Wierzę, że rzeczywiście jesteś godny przyjąć postać jego najbardziej zaufanego sługi, tak jak ja.

– Jestem.

– Twój świat już nigdy nie będzie taki sam... będzie znacznie lepszy.

Peroth’arn odłożył butelkę na pryczę, po czym upadł na jedno kolano.

– Jeśli mogę zostać przyjęty tu i teraz, proszę o to. Proszę, powiedz, że to możliwe!

Uśmiech satyra stał się jeszcze szerszy.

– O, to da się zrobić nawet teraz.

– A więc zaklinam cię, Xaviusie, uczyni mnie podobnym do siebie! Obdarz mnie bożym błogosławieństwem, abym mógł mu jeszcze lepiej służyć! Jestem godny!

– Jak sobie życzysz. - Xavius zrobił krok w tył, rosnąc w oczach i przesłaniając elfowi całe pole widzenia. Rubinowe żyłki w ślepiach satyra zapłonęły dziko.

– Z początku możesz poczuć ból - wymamrotał do neofity - ale nie masz wyboru: będziesz musiał go znieść.

Xavius uniósł wysoko szponiaste ręce...

Ale kiedy czar uderzył w Peroth’arna, elf wrzasnął. Miał wrażenie, że zostaje obrany z mięsa do kości, kawałek po kawałku. Nawet nie wyobrażał sobie takiego cierpienia. Oczy zaszyły mu łzami i niezdolny do

wyartykułowania choćby słowa, jękiem błagał, by agonia dobiegła końca. Nie tego chciał.

– Nie - odparł satyr, ignorując jego błagania. - Musimy dokończyć.

Wrzaski stały się jeszcze bardziej przeraźliwe. To, co było kiedyś Peroth'arnem, nie zostałyby rozpoznane przez innych Szlachetnie Urodzonych. Jego ciało nieustannie mutowało, zbliżając się powoli do pożądanego przez Xaviusa kształtu. Krzyki przeszły w szloch, ale nawet to nie skłoniło satyra do przerwania mrocznych czarów, mimo że elf łkał coraz rozpaczliwiej.

– Tak... - powiedział Xavius z błyskiem w nikczemnych ślepiach. - Wyzwól ból. Wyzwól furję. Nikt poza tą komnatą cię nie usłyszy. Możesz krzyczeć do woli... tak jak ja. - Jego uśmiech stał się dziki, zwierzęcy. - Cierpienie dla chwały Sargerasa nie jest wysoką ceną...



Nocne elfy myślały, że demony zatrzymają się gdzieś po drodze. Spodziewały się, że kiedy wrócą do Suramaru, będą mogły się przynajmniej przegrupować. Były też pewne, że jeśli wszystko inne zawiedzie, Gawronią Twierdza da im schronienie.

Myliły się we wszystkich tych punktach. Rhonin i Krasus zrozumieli to jeszcze przed lordem Ravenscrestem i pozostałymi elfami. Jako pierwsi pojęli plany Archimonda, posępnego olbrzyma, który nie bez powodu dowodził Legionem z plugawym błogosławieństwem swojego pana.

– Nie da nam nawet chwili wytchnienia - stwierdził smoczy mag, mówiąc na głos to, o czym obaj od dawna myśleli. Bezwiednie dotknął klatki piersiowej, gdzie przykleił łuskę, przypominając sobie bezbożną nieustępliwość Archimonda.

– Prędzej zagoni demony na śmierć, niż do tego dopuści - zgodził się Rhonin. - Ale my padniemy o wiele szybciej niż one.

Nocne elfy na próżno usiłowały zatrzymać nieprzyjaciela na wysokości Suramaru, chcąc zyskać na czasie i przygotować Twierdzę na swoje przybycie. Ledwie mieściła się w niej okoliczna ludność, nie mówiąc już o wojsku zebranych przez lorda Ravencresta, ale szlachcic miał nadzieję, że zabezpieczenie jej napełni nadzieją serca żołnierzy. Stało się jednak inaczej. Nie mieli czasu, żeby schronić się w fortecy. Żołnierze utrzymali się na pozycjach na tyle długo, by zdążyła do niej zbiec ludność cywilna, ale ani chwili dłużej. Nie było szans na przygotowanie twierdzy do obrony, choć Ravencrestowi trzeba było oddać sprawiedliwość, że nie szukał tam schronienia, kiedy Płonący Legion pustoszył wszystko wokół.

– Nigdy bym nie pomyślał, że Twierdza okaże się równie bezużyteczna! - warknął szlachcic do Illidana. - Ale pomimo strat nasza armia jest wciąż zbyt liczna, a jeśli będziemy tu sterczeć, demony zrobią sieczkę z tych, którzy zostali na zewnątrz, po czym wezmą głodem tych w środku.

– Z pewnością wytrzymamy oblężenie! - zaprotestował bliźniak Malfuriona.

– Przeciwno komuś innemu, tak, ale demony nie znużą się i nie dadzą za wygraną! Zniszczą wszystko wokół nas, a potem będą czekać na nieuniknione! - Brodaty nocny elf potrząsnął głową. - Nie pozwolę, by spotkał nas tak haniebny koniec!

Po niecałym dniu zostawili Suramar na pastwę wroga, świadomi, że nie będzie czego odbudowywać, jeśli nawet pokonają Płonący Legion. Gdziekolwiek pojawiły się demony, zostawały tylko ruiny. Jeszcze zanim miasto zginęło zupełnie w oddali, obrońcy widzieli, jak pod nieustannymi atakami gną się potężne drzewa i wałły mury.

Lecz choć spora część Płonącego Legionu starała się zrównać Suramar z ziemią, szeregi demonów nękających wojska elfów w ogóle nie topniały. Jak na razie przeciągający się odwrót miał tylko jedną zaletę - osłabiło zagrożenie z powietrza. Eredarczycy wciąż miotali w elfy zaklęciami, ale byli wyraźnie wyczerpani. Zelżały również ataki infernali, przynajmniej te z powietrza. Ale gdy tylko nadarzyła się okazja, bezrozumne stwory wysuwały się na czoło armii, taranując linie obrońców.

Dzień przeszedł w noc, noc w dzień, a siły lorda Ravencresta wciąż się cofały. Niejeden jeździec drzemał na grzbiecie nocnej pantery i wielu piechurów przyglądało im się z zazdrością. Na domiar złego z każdą godziną rosła liczba ciągnących przed armią uchodźców, którym brakowało koordynacji i wytrzymałości zbrojnych. Lata pokoju nie przygotowały ich na taką katastrofę i wkrótce żołnierze zaczęli się mieszać ze zmęczonymi cywilami.

– Ruszać się tam! - krzyknął Jarod Shadowsong do kilku postaci wlekących się przed nim i jego podkomendnymi. - Nie możecie się zatrzymać. Ruszać się!

Krasus zmarszczył brwi.

– Będzie coraz gorzej. Ravencrest nie będzie w stanie utrzymać kontroli nawet nad własnymi żołnierzami, jeśli oni i uchodźcy się ze sobą przemieszają. Właśnie tego chce Archimond.

– Ale co możemy zrobić? - Rhonin miał mocno podkrążone oczy. Tak jak pozostali właściwie nie spał od chwili, gdy zostali wciągnięci w pułapkę. Z nich wszystkich tylko Brox wyglądał w miarę dobrze. Ork, który dorastał podczas wojen, nie raz musiał się obywać bez snu przez kilka dni. Ale nawet on wydawał się gotowy zapaść w drzemkę, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

To właśnie Brox odpowiedział na pytanie Rhonina, choć nie słowami. Ich oddział został otoczony przez rzekę uchodźców i ork postanowił przystąpić do działania. Wepchnąwszy się przed Jaroda, ryknął na najbliższych cywilów i zawinął toporem nad głową. Stanowił tak niezwykle widok, że nocne elfy rozstąpiły się przed nim z przestrachem.

– Nie! - zagrział. - Naprzód! Nie na boki! Naprzód! Pomóżcie innym!

I na oczach towarzyszy groteskowy osobnik zaczął zaganiać uchodźców, jak gdyby przez całe życie robił to samo z owcami albo bydłem. Żaden z nocnych elfów nie chciał się narazić na jego furię i wykonywali rozkazy co do joty.

Jarod poszedł zaraz w jego ślady, rozstawiając szeroko gwardzistów, którzy popychali przed sobą cywilów. Wkrótce przywrócono porządek, a ponieważ coraz więcej oficerów naśladowało zachowanie gwardii, zaczął się tworzyć prawdziwy front. Wojsko z ostrożnym namysłem pchało cywilów przed sobą. Tempo marszu wzrosło.

Ale Płonący Legion wciąż następował im na pięty. Krasus zauważył w pewnej odległości górę, która wzbudziła w nim niejasne wspomnienia. Popatrzył na Jaroda i zapytał:

– Kapitanie Shadowsong, czy ten dziki szczyt ma jakąś nazwę?

– Tak, mistrzu Krasusie. To Hyjal.

– Hyjal... - Mag zasnuował usta. - Aż tak daleko nas zepchnęli?

Rhonin zauważył wyraz jego twarzy. Zniżając głos, zapytał Krasusa:

– Pamiętasz tę nazwę?

– Tak... co oznacza, że sytuacja nocnych elfów jest bardzo poważna.

Człowiek prychnął.

– To żadna nowość.

Oczy Krasusa pociemniały.

– Nie możemy pozwolić, żeby wycofały się jeszcze dalej. Armia musi stawić czoła najeźdźcom. Jeśli cofniemy się za Hyjal, wszystko będzie stracone.

– Coś ci się przypomniało?

– Podpowiada mi to zdrowy rozsądek. Tak czy siak, uważam, że nie powinniśmy przekraczać linii gór. Bez względu na to, co mówi historia, nie widzę dla nocnych elfów możliwości triumfu, jeśli się nie zatrzymamy.

– Przecież lord Ravencrest robi, co w jego mocy, a chcąc zyskać na czasie, opadliśmy z sił.

– Musimy się zdobyć na coś więcej. - Smoczy mag uniósł się w siodle na tyle, na ile był w stanie. - Gdybym tak mógł znaleźć Malfuriona. Jego umiejętności bardzo by się nam teraz przydały.

– Ostatni raz widziałem go z kapłanką, Tyrande. Chyba nie spotkałem nigdy bledszego nocnego elfa. Walczył z czymś, co prawie go zniszczyło.

– Tak, myślę, że był to Archimond.

– W takim razie Malfurion powinien być zginąć.

Krasus potrzęsnał głową.

– Nie... i właśnie dlatego chciałbym, żeby tu był. Tak czy inaczej, z nim czy bez niego, musimy znów rozpocząć natarcie.

– Co takiego?

Dawny mentor Rhonina odwrócił się z powrotem w stronę demonów.

– Tak, musimy znów przejść do ofensywy.



Najwspanialsze ze smoków zebrały się w Komnacie Aspektów, dokąd zaprowadzili je Alexstrasza i Neltharion. Cztery obecne Aspekty czuwały nad zgromadzeniem, towarzyszyli im tylko oblubieńcy oraz oblubienice ich

i nieobecnego Nozdormu. Wszystkie pozostałe smoki wzięły już udział w rytuale, ale te najpotężniejsze czekały wciąż na swoją kolej, gdyż w ich przypadku wymagało to większej subtelności.

Trzech partnerek Strażnika Ziemi prawie nie było zza niego widać. Były większe od Korialstrasza, ale wydawały się drobne w porównaniu z czarnym samcem. Przyglądając się im, najmłodszy oblubieniec Alexstraszy zauważył, że wydają się zaledwie cieniami Strażnika Ziemi, a każdy ich ruch naśladuje to, co Neltharion zrobił lub powiedział. Czerwonemu smokowi wydało się to niepokojące, ale nikt oprócz niego nic nie zauważał.

Szmaragdowe samce towarzyszące Yserze były smukłe, niemal widmowe w porównaniu z pozostałymi lewiatanami. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że tak jak ich pani chodziły z zamkniętymi oczami. Jednak widać było, że pod powiekami ich gałki oczne poruszają się w różne strony. Zielone smoki istniały na dwóch planach jednocześnie, ale częściej w Szmaragdowym Śnie. Były nieruchome i milczące, ale Korialstrasz czuł, że bezustannie kontrolują sytuację magicznymi zmysłami.

Malygos i jego oblubienice byli w bezustannym ruchu, ocierali się o siebie nawzajem i rozglądali na wszystkie strony. Ich błękitno-białe łuski migotały magią, a co pewien czas jakiś drobny fragment ich postaci zmieniał się w całkowicie dowolny sposób. Zdaniem Korialstrasza było w nich o wiele więcej życia niż w czarnych i zielonych smokach.

Prawie równie poważne jak Ysera i jej partnerzy były cztery oblubienice Nozdormu. Miały taki sam piaskowy kolor jak Aspekt, ale wydawały się bardziej stałe niż prawie płynny władca czasu. Korialstrasz zastanawiał się, gdzie dokładnie podział się Nozdormu, skoro nie przybył na tak ważne spotkanie. Z tego, co udało mu się wyciągnąć z królowej, wywnioskował, że nawet oblubienice Aspektu nie wiedzą na pewno, co się stało.

Jednak znajdowała się tu jego istota i to było najważniejsze. W łapach najstarszej z samic spoczywała klepsydra, która wydawała się zrobiona z czystego słonecznego blasku. Wewnątrz niej migoczący płowy piach przesypywał się nie z góry na dół, lecz z dołu do góry. Kiedy górna część się wypełniła, piasek spadał w dół i znów zaczynał przesypywać się w górę.

Piach stanowił część Nozdormu, oddzieloną przez niego na wypadek, gdyby jego stado znalazło się w potrzebie. Ponoć wszystkie Aspekty odłożyły na czarną godzinę jakąś część swojej osoby, były bowiem czymś więcej niż wielkimi gadami. Reprezentowały najpotężniejsze moce świata, jego tkankę stworzoną przez tych, którzy go ukształtowali. To prawda, obowiązywały ich ziemskie prawa, ale górowały nad innymi smokami tak samo, jak smoki nad młodszymi rasami.

Inne stada złożyły już ofiarę, jedno po drugim. Zostały jeszcze tylko dwa smoki, a ostatnim, jak na ironię, miał być Korialstrasz.

Z jakiegoś powodu wcale nie czuł się zaszczycony.

Ale zanim Korialstrasz wystąpił naprzód, należało złożyć w ofierze esencję Wiecznego. Trzymając delikatnie klepsydrę w lewej przedniej łapie, Saridormi, jego pierwsza oblubienica, podeszła do Duszy Smoka.

Twór Nelthariona unosił się na samym środku komnaty, jego prosta forma emanowała strasznym, acz majestatycznym blaskiem. Wszystko było skąpane w tęczy kolorów, które nie przez przypadek odpowiadały barwom smoków.

– Trzymam reprezentację Tego, Który Nie Ma Końca, Tego, Który Widzi Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość! - zaintonowała Saridormi. Wzniosła migoczącą klepsydrę ponad błyszczący dysk. - W jego imieniu dodaję jego siłę, jego moc, jego Ja, do tego oręża, którego użyjemy przeciwko demonom atakującym nasze królestwo!

Jednym ruchem potężnej łapy gigantyczna smoczyca skruszyła klepsydrę.

Piasek stanowiący istotę Nozdormu nie spadł na kupkę, czego spodziewał się Korialstrasz. Zamiast tego wysunął się z klepsydry, jak gdyby był żywą, rozumną istotą, i zaczął wirować nad Duszą Smoka, spadając na nią deszczem brązowych ziarenek. Uderzeniu każdej z nich w dysk towarzyszyła oślepiająca światłość, która zaraz zniknęła wewnątrz talizmanu.

Gdy ostatnie ziarnko piasku zniknęło wewnątrz dysku, komnatę rozświetlił jaskrawy blask, który na chwilę oślepił Korialstrasza. Odwrócił wzrok i zczekał, aż światło przygaśnie. Czerwony lewiatan zauważył, że pozostałe smoki, nawet te zielone, były zmuszone osłonić oczy. Tylko Neltharion nie odwrócił wzroku, spijając każdy szczegół.

– Moja miłości - dobiegł go szept Alexstraszy.

Wciąż nieswój z powodów, których nie potrafił wyjaśnić, Korialstrasz ruszył naprzód. Sam wolałby odmówić Duszy Smoka części swojej istoty, ale jego królowa poprosiła go o to tak samo jak wszystkich innych; jak mógłby być jedynym, który jej odmówi? Mimo to patrzył na talizman tak, jakby widział w nim nie zbawienie świata, ale coś, co może go skazić.

To niedorzeczne, pomyślał. Po co Strażnik Ziemi miałby popełnić równie odrażający czyn?

A potem zobaczył przed sobą Duszę Smoka. Z tak bliska nie było w niej nic zwyczajnego. To była moc, o jakiej w przeszłości wielu marzyło, a inni będą jeszcze marzyć przez wieki. Przed sobą widział połączoną istotę wszystkich smoków, najpotężniejszych dzieci świata.

– Czeka na ciebie.

Czerwony smok podniósł oczy na wielki pysk czarnego. Neltharion przestał mrugać. Oddech miał przyspieszony, jak gdyby gorączkował się

coraz bardziej z każdą sekundą wahania Korialstrasza.

Coś tu jest nie w porządku... pomyślał oblubieniec Alexstraszy. Ale zaraz przypomniał sobie, jak chętnie ona, Malygos i Ysera poświęcili część siebie. Malygos był nawet zdecydowany zrobić to jako pierwszy, aby poprzeć w ten sposób inicjatywę przyjaciela. Jeśli Mistrz Magii ufał dziełu Nelthariona, kim był Korialstrasz, by twierdzić inaczej?

I z tą myślą czerwony smok otworzył się przed Duszą Smoka.

Dysk rozjarzył się, zalewając go swoim onieśmielającym blaskiem. Korialstrasz wypiął pierś i opuścił wszelkie magiczne osłony, jakie utrzymywały wokół siebie smoki. Czuł, jak Dusza Smoka sięga w głąb niego, jak gdyby opancerzona łuska była tylko iluzją...

Kilka sekund później niepokojąca siła wysunęła się z jego klatki piersiowej - ale wraz z nią Dusza Smoka zaczerpnęła coś jeszcze. Było to nieuchwytnie, szamoczące się coś - nie światło, ale i nie substancja. Otaczała to coś bladoczerwona poświata, a kiedy ostatnia cząstka oddzieliła się ostatecznie od Korialstrasza, odczuł stratę, która napełniła go smutkiem.

Opanowując się, czerwony smok patrzył, jak blask Duszy Smoka przyciąga ofiarę ku sobie. Powoli światło wsiąkło z powrotem w dysk.

Kiedy za światłem podążyło to, co odebrała mu Dusza Smoka, Korialstrasz sapnął. Chciał wyciągnąć łapę i zatrzymać to, co do niego należało, ale w ten sposób zniweczyłby cały ich wysiłek, a co gorsza, okrył się wstydem przed swoją ukochaną Alexstraszą.

Dlatego patrzył bezradnie, jak Dusza Smoka wchłania jego istotę, dodając ją do esencji pozostałych smoków. Patrzył bezsilnie, jak Neltharion chwyta dysk pożądlivym gestem i pokazuje go pozostałym lewiatanom.

– Dokonało się... - oświadczył Strażnik Ziemi. - Wszyscy oddali to, co musiało zostać oddane. Teraz zapieczętuję na zawsze Duszę Smoka, tak aby to, co osiągnęliśmy, nie zostało zaprzepaszczone.

Neltharion zamknął oczy. Jego ciało otoczyła czarna, złowieszcza aura, która zaczęła spływać na niepozorny, choć potężny talizman, który trzymał w przedniej łapie.

Inne wielkie smoki wzdrygnęły się. Na chwilę, krótką, ale bardzo znamienne, Dusza Smoka zrobiła się równie czarna jak jej stwórca.

– Tak ma być? - zapytała cicho Ysera.

– Aby stała się taka, jak należy, owszem - odparł Neltharion z nutką wyzwania w głosie.

– To oręż niepodobny do żadnego innego. Musi być wyjątkowy - dodał znający się zawsze na rzeczy Malygos.

Słyszając słowa błękitnego smoka, Strażnik Ziemi kiwnął głową z aprobatą. Neltharion rozejrzał się po komnacie, sprawdzając, czy ktoś jeszcze ma do niego pytania. Korialstraszowi przyszło ich kilka do głowy, ale nie czuł się godny zadania ich, skoro królowa była zadowolona z przebiegu wydarzeń.

– Ostatni etap trochę potrwa - poinformował pozostałych czarny lewiatan. - Musi zostać zabrana do miejsca odosobnienia, gdzie rzucę na nią ostatnie, najbardziej subtelne zaklęcia.

– Jak długo? - zapytała Alexstrasza. - Czas nagli.

– Będzie gotowa na czas. - To powiedziawszy, Neltharion rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze. Jego partnerki zrobiły dokładnie to samo, prawie jak marionetki, których sznurki przyczepiono do Strażnika Ziemi.

Pozostałe smoki patrzyły, jak znika w litej ścianie komnaty, a potem same zaczęły odlatywać. Alexstrasza pozostała na swoim miejscu, Korialstrasz również.

Ale kiedy odprowadzał wzrokiem odlatujące behemoty, jego myśli wciąż krążyły wokół wydarzeń tego dnia. Nie mógł powątpiewać w niewiarygodną moc małego złotego dysku. Neltharion rzeczywiście

stworzył broń, jakiej nie mogły się oprzeć nawet niezliczone hordy demonów.

Ani nawet, uświadomił sobie ponieważ, smoki.

OSIEM



Malfurion śnił. Śnił, że on i Tyrande mieszkają w pięknym nadrzewnym domu w środku Suramaru. Zaczęło się lato i wszystko było w pełnym rozkwicie. Bujna roślinność pokrywała elfią krainę niczym kobierzec. Ogromne drzewo chłodziło ich swym gęstym, cienistym listowiem, a podstawę pnia otaczały kwiaty wszelkich kolorów i rodzajów.

Tyrande, odziana w przepiękną, pomarańczowo-żółto-zieloną suknię, grała na srebrnej lirze, podczas gdy ich dzieci, chłopiec i dziewczynka, biegały wokół drzewa, chichocząc i zaśmiewając się. Malfurion siedział przy oknie, wdychając świeże powietrze i rozkoszując się życiem, na jakie zasłużył. Na świecie panował pokój i nic nie mąciło szczęścia jego rodziny.

Nagle drzewo zatrzęsło się gwałtownie. Malfurion złapał się framugi i z przerażeniem zobaczył walące się domy i wieże. Elfy wrzeszczały i wszędzie wybuchały pożary.

Rozejrzał się za swoimi dziećmi, ale nigdzie ich nie było. Tyrande nadal siedziała na jednym z zewnętrznych konarów, wygrywając na lirze melodię.

Odważywszy się wychylić, krzyknął:

– Tyrande! Wejdz do środka! Szybko!

Lecz choć groziło jej wielkie niebezpieczeństwo, nie usłyszała go, pochłonięta muzyką.

Nadrzewny dom przechylił się gwałtownie. Malfurion spróbował użyć druidycznych mocy, aby uchronić go przed upadkiem, ale nic się nie wydarzyło. Drzewo - jak i cała roślinność - było martwe.

Przechylenie się domu otrzeźwiło wreszcie Tyrande. Upuściwszy lirę, krzyknęła i wyciągnęła ręce ku Malfurionowi, ale odległość była zbyt duża. Partnerka Malfuriona straciła równowagę i zsunęła się z gałęzi...

Z ziemi poderwał się ciemny kształt, który wzbił się w powietrze, łapiąc elfkę. Illidan uśmiechnął się wspaniałomyślnie do Tyrande, a potem skinął uprzejmie głową bratu. Ale zamiast przyjść mu z pomocą, zaczął się oddalać wraz ze zdobyczą.

– Illidanie! - krzyknął Malfurion, starając się utrzymać. - Wracaj!

Jego brat zatrzymał się w powietrzu. Wciąż przyciskając do siebie Tyrande, odwrócił się i wybuchnął śmiechem.

I kiedy się tak śmiał, zaczął się przeobrażać i rosnąć, budząc coraz większą zgrozę. Odzienie podarło się na nim, ukryty pod spodem pancerz wy dostał się na wierzch. Skóra mu ściemniała, a z tyłu wyrósł groźny, poszarpany ogon. Szponiasta dłoń trzymająca Tyrande wyciągnęła się nad ruiny miasta, potrząsając elfką jak szmacianą lalką.

Malfurion patrzył ze zgrozą, jak Archimond wypuszcza Tyrande...



– Niiieee!

Usiadł gwałtownie, a potem prawie sturlał się z nocnej pantery, na grzbiecie której siedział. Czyjeś smukłe, acz silne palce pomogły mu utrzymać chwiejną równowagę i przycisnęły go do opancerzonego tułowia.

Przypominając sobie Archimonda, druid instynktownie spróbował się odsunąć od tej zbroi.

– Cicho, Malfurionie! Ostrożnie!

Głos Tyrande sprawił, że całkowicie odzyskał przytomność. Spojrzał w jej zatroskaną twarz. Miała uniesioną zasłonę, więc widział ją wyraźnie. Jakże miły był mu ten widok!

– Śniło mi się... - zaczął, ale zaraz urwał. Jego sen był zbyt osobisty, by móc opowiedzieć go komuś, z kim nie był jeszcze po słowie. - Miałem sen - dokończył przepaszająco.

– Wiem, mówiłeś przez sen. Wydawało mi się, że słyszałam imię swoje i Illidana.

– Tak. - Nie śmiał powiedzieć nic więcej.

Kapłanka dotknęła jego policzka.

– To musiał być koszmar, Malfurionie... ale przynajmniej się przespałeś.

Uświadamiając sobie nagle jej bliskość, druid wyprostował się. Rozejrzał się, dopiero teraz zauważając morze otaczających ich postaci. Większość stanowili cywile, wielu z nich wyglądało na kompletnie zdezorientowanych. Rzadko który nocny elf wycierpiał tyle, co oni. Wysiedlenie musiało doprowadzić wielu z nich do granic wytrzymałości.

– Gdzie jesteśmy?

– W pobliżu góry Hyjal.

Popatrzył na szczyt.

– Tak daleko? To niemożliwe.

– Obawiam się, że jednak możliwe.

Malfurion zwiesił głowę. A więc mimo ich wysiłków jego lud był skazany na zagładę. Skoro demony zepchnęły obrońców tak daleko, jak nocne elfy miały z tego wybrnąć?

– Elune czuwa nad nami - wyszeptała Tyrande, odczytując wyraz jego twarzy. - Modlę się do niej o wskazówki. Na pewno nie pozwoli nam zginąć.

– Mam taką nadzieję. Gdzie pozostali?

– Twój brat jest z Księżycową Gwardią, tam. - Wskazała na północ. - Od pewnego czasu nie widziałam Krasusa i reszty.

To nie z Illidanem chciał porozmawiać Malfurion. Po konfrontacji z Archimondem druid rozpaczliwie pragnął odszukać czarodziejów. Musi ich ostrzec, że potężny demon dowodzi ścigającymi ich siłami.

Zakładając, rzecz jasna, że Krasus i reszta wciąż żyli. Czy Archimond osaczył ich po konfrontacji z nim?

– Tyrande, muszę odszukać przybyszów. Wierzę, że są kluczem do naszego przetrwania.

– Pieszono nigdy ich nie dogonisz. Jesteś wciąż słaby. Weź moją panterę.

Zawstydził się, że jest gotowa oddać mu wierzchowca, aby mógł poszukać towarzyszy.

– Tyrande, ja...

Ale ona spojrzała na niego tak, jak nigdy przedtem - jej twarz przybrała stanowczy, niezłomny wyraz, jaki widywał tylko u starszych, najwierniejszych kapłanek Elune.

– Wiem, że to ważne, Malfurionie.

Zsunęła się z wielkiego kota, zanim mógł jej to wyperswadować. Zabrała tylko swój plecak i broń, spojrzała na druida i ponagliła go:

– Jedź.

Mogąc tylko kiwnąć głową na znak wdzięczności, Malfurion usiadł wygodniej i zmusił nocną panterę, by wjechała w ciżbę. Był zdecydowany nie zawieść zaufania Tyrande. Jeśli czarodzieje wciąż żyli, znajdzie ich.

Kot przeciskał się między żołnierzami i cywilami, powarkując, ale nie próbował atakować mimo wyraźnego dyskomfortu spowodowanego bliskością tyłu ciał. Malfurion z zadowoleniem odnotował, że żołnierze poradzili sobie z grubsza z zachowaniem porządku. Udawało im się w uprzejmy, acz stanowczy sposób poganiać przed sobą większość cywilów i utrzymywać stałe tempo marszu. Demony bez wątpienia liczyły na chaos spowodowany przemieszaniem się obu grup. Przynajmniej to zagrożenie udało im się na razie odsunąć.

Ale w takiej masie elfów znalezienie nawet trzech tak wyjątkowych postaci, jak ork, człowiek i Krasus okazało się beznadziejnym zadaniem. Dopiero gdy po raz dwunasty z kolei omiótł tłum wzrokiem, postanowił zrobić użytek ze swoich umiejętności.

Nie chciał jeszcze wchodzić w Szmaragdowy Sen - znał inne sposoby pozwalające mu ich odnaleźć. Druid zatrzymał panterę, zamknął oczy i zaczął sondować otoczenie. Dotknął umysłów panter, które widział, przemawiając do nich tak jak do leśnych zwierząt podczas lekcji. Musnął nawet umysł wierzchowca Tyrande, aby nie zmarnować żadnej szansy. Koty, zaznajomione dobrze ze swoimi jeźdźcami, z pewnością wyczułyby obcy zapach trzech przybyszów.

Ale pierwsze zwierzęta nie rozpoznały tych, których szukał Malfurion. Druid zebrał się w sobie, wyteżył zmysły i sięgnął jeszcze dalej, ku zwierzętom poza zasięgiem jego wzroku. Niektórzy uchodźcy zabrali ze sobą swoich pupili i Malfurion wypytywał nawet ich. Z im większą ilością umysłów nawiąże kontakt, tym większe będą szanse powodzenia.

W końcu odpowiedziała mu jedna z panter. Odpowiedź nie przyszła w słowach, ale w zapachach i obrazach. Przetrawienie ich zajęło druidowi chwilę, ale w końcu pojął, że zwierzę widziało niedawno orka. Brox był najbardziej charakterystyczny z całej trójki, nic więc dziwnego, że nocna

pantera zapamiętała go najlepiej. Dla kota wojownik stanowił mieszanię mocnych, uderzających do głowy zapachów przywodzących na myśl dzikie górskie zbocze. Pantera wyczuła w Broksie pokrewną duszę. W jej umyśle przypominał stojącą na tylnych łapach nocną panterę o jednym ramieniu zakończonym wielkimi szponami - zapewne chodziło o topór orka.

Ale dojście do tego, gdzie i kiedy kot widział orka, okazało się nieco trudniejsze. Poczucie czasu i odległości zwierząt i nocnych elfów bardzo się różniło. Jednak przy pewnym wysiłku druidowi udało się w końcu ustalić, że pantera widziała Broxa zaledwie godzinę czy dwie temu, w mniej więcej środkowej części fali uciekinierów.

Kierując wierzchowca w tamtą stronę, Malfurion przepytывał inne nocne pantery. Coraz częściej trafiał na takie, które przypominały sobie nie tylko Broxa, ale także Rhonina i Krasusa. Teraz w umysłach zwierząt na pierwszy plan wysuwało się coś w postaci starszego maga: traktowały go z szacunkiem, jakim wielkie drapieżniki darzą tylko lepszych od siebie. Nie bały się go jednak jak innego zwierzęcia, zupełnie jak gdyby rozumiały, że jest kimś znacznie więcej. Malfurion odkrył wkrótce, że nocne pantery byłyby bardziej skłonne wykonać rozkaz Krasusa niż treserów, którzy je wychowali.

Uznając to za kolejną tajemnicę otaczającą elfiego-nieelfiego maga, Malfurion spał kota ostrogami. Poruszali się z trudem, bo jechali w przeciwnym kierunku niż fala uchodźców, ale dzięki prowadzeniu druida nocna pantera brnęła naprzód nie czyniąc nikomu krzywdy.

Sytuacja uległa zmianie na gorsze, gdy dotarł do miejsca, gdzie powinni się znajdować przybysze. Z oddali dolatywały odgłosy bitwy, a na horyzoncie widać było groźne szkarłatne i ciemnozielone rozbłyski. Tutaj żołnierze byli bardziej wyczerpani i spięci. Musieli to być ci sami, którzy jeszcze niedawno starali się powstrzymać ofensywę demonów. Blizny i

straszliwe rany, jakie widział Malfurion u mijanych wojowników, świadczyły o niesłabnącej furii Płonącego Legionu.

– Co ty tu robisz? - zapytał jakiś oficer, którego pancerz, niegdyś nieskazitelnie czysty, teraz był uwalany krwią i posoką. Łzawiły mu oczy. - Wszyscy, którzy nie biorą udziału w walce, na czoło! Precz!

Zanim druid zdążył wyjaśnić, ktoś za jego plecami zawołał:

– On powinien tu być, kapitanie. Powinien ci wystarczyć rzut oka na jego twarz.

– Illidan? - Malfurion spojrział przez ramię i zobaczył jadącego w swoją stronę brata. Illidan nie odniósł właściwie żadnego uszczerbku, a na jego twarzy gościł uśmiech. Pierwszy, jaki Malfurion widział od początku swojej podróży. W tej sytuacji wydawał się jednak tak niestosowny, że Malfurion zaczął się obawiać, czy jego brat nie oszalał.

– Myślałem, że już po tobie! - powiedział czarodziej, z całej siły klepiąc Malfuriona w ramię. Nie zwracając uwagi na skrzywienie brata, zwrócił się do oficera: - Jeszcze jakieś pytania?

– Nie, mistrzu Illidanie! - Żołnierz zasalutował i odjechał.

– Co się z tobą działo, bracie? - zapytał odziany na czarno bliźniak. - Ktoś mówił, że widział cię powalonego na ziemię, twój wierzchowiec został rozszarpany...

– Zostałem uratowany... Tyrande zabrała mnie w bezpieczne miejsce. - W chwili, w której wymienił jej imię, już zaczął tego żałować.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Illidana, ale ulotniła się z niego cała wesołość.

– Doprawdy? Cieszę się, że znalazła się tak blisko ciebie.

– Illidanie...

– Dobrze, że jesteś - ciągnął brat druida, ucinając temat kapłanki. - Starszy czarodziej ma pewien pomysł i chyba myśli, że się na coś przydasz.

– Krasus? Gdzie on jest?

Uśmiech czarodzieja stał się prawie makabryczny.

– Jak to? Tam dokąd zmierzasz, bracie. Na samej linii frontu...



Wiatr wył. Nocne elfy wysłane na linię frontu smagnęła fala potwornego żaru. Co chwila słyhać było okrzyki elfich żołnierzy, a zaraz potem triumfalne ryki demonów.

– Gdzie Illidan? - zapytał Krasus, bo nawet jego niezwykła cierpliwość była na wyczerpaniu. - Księżycowi Gwardziści nie chcą współpracować bez niego, jedyne, na co są gotowi, to samoobrona.

– Powiedział, że przyjedzie - odrzekł Rhonin. - Musiał najpierw porozmawiać z Ravencrestem.

– Jeśli nam się uda, i tak zbierze wszystkie pochwały, a nikt nie będzie miał do niego pretensji, jeśli przegramy, bo i tak wszyscy będziemy martwi.

Rhonin nie mógł się nie zgodzić ze swoim dawnym nauczycielem. Illidan dbał tylko o to, by zadowolić swojego patrona. Brat Malfuriona był jego dokładnym przeciwieństwem - ambitny, nieokiełznany i gotowy ryzykować życiem innych. Dwaj czarodzieje zdążyli już odkryć, że trzech Księżycowi Gwardziści, na których pomoc liczyli, zniknęli. Nie zabiły ich demony; byli kompletnie wyczerpani karmieniem Illidana swoją mocą.

Lecz choć wykorzystywał inne nocne elfy w lekkomyślny sposób, byli na niego zdani. Kiedy przychodziło do rzucania zaklęć, Illidan potrafił to, do czego oni nie byli zdolni. Poza tym cieszył się poparciem lorda Ravencresta, a nocne elfy zwracały ogromną uwagę na prestiż, nawet w obliczu zagłady.

Rhonin wyprostował się nagle.

– Uwaga!

Na elfie wojsko opadało coś, co najbardziej przypominało chmurę mgły w kształcie grzyba. Zanim czarodzieje zdążyli zareagować, jej krawędzie dotknęły żołnierzy.

Kilku wojowników wrzasnęło, gdy ich twarze pokryły się masą czerwonych, piekących krost, które pękały, odrastały i znów pękały, rozprzestrzeniając się błyskawicznie po wszystkich nieosłoniętych częściach ciała ofiary.

– *Jekar tryn!* - syknął Krasus, wskazując obłok.

Eksplozja intensywnie błękitnego światła wgryzła się w chmurę, ratując życie dziesiątkom żołnierzy nietkniętych jeszcze zarazą. Niestety, nie dało się już ocalić tych zarażonych. Padali jeden po drugim, a ich wyniszczone ciała przypominały ziemię porozrywaną wulkanicznymi erupcjami.

Rhonin patrzył na to z obrzydzeniem.

– Ohyda! Niech będą przeklęte!

– Oby! Nie możemy dłużej czekać! Jeśli Księżycowa Gwardia nie pójdzie za nami, musimy spróbować coś zdziałać bez ich pomocy.

Właśnie wtedy Rhonin zauważył parę zbliżających się jeźdźców.

– Nadjeżdża Illidan... i jest z nim Malfurion!

– Chwała niech będzie Aspektom! - Krasus odwrócił się w stronę braci. Kiedy podjechali do nich, stanął przed Illidanem. - Spóźniłeś się! Zbierz Księżycową Gwardię! Musisz być gotowy na moje rozkazy!

Illidan mało komu pozwał sobą komenderować, ale obu czarodziejów, a zwłaszcza Rhonina, darzył zdrowym szacunkiem. Zerkając na Krasusa i widząc ponurą minę Rhonina, kiwnął głowę i pospieszył wykonać rozkaz.

– Co chcecie zrobić? - zapytał Malfurion, zeskakując na ziemię.

– Musimy zatrzymać demony - odparł Krasus. - Nie możemy dać się zepchnąć za Hyjal. Musimy przejść od odwrotu do agresywnego ataku!

Druid kiwnął głową, a potem powiedział:

– Archimond tam jest. Ledwie mu uciekłem.

– Domyśliłem się tego. - Krasus zmierzył elfa wzrokiem. - A fakt, że przeżyłeś konfrontację z nim, potwierdza tylko, że miałem rację, domagając się twojej obecności.

– Ale... co ja mam zrobić?

– To, do czego cię szkolono, ma się rozumieć.

To powiedziawszy, Krasus odwrócił się z powrotem do Rhonina, który już gotował się do walki z widocznymi w oddali demonami. Starszy mag stał obok swojego dawnego ucznia, a Malfurion dołączył do nich chwilę później.

Krasus popatrzył na człowieka.

– Rhoninie, w sprawach magii Illidan nikogo nie poważa tak jak ciebie. Nawiązanie z nim kontaktu zostawiam tobie.

– Jak sobie życzysz. - Rudowłosa postać mrugnęła. - Zrobione.

Mag skupił uwagę na druidzie.

– Malfurionie, pomyśl o najpotężniejszym zaklęciu, jakie znasz. Ale pod żadnym pozorem nie mów mi, co to za zaklęcie! Użyj wszelkich dostępnych metod, wszelkich powiązań z mocami świata natury, ale nie rzucaj czaru, dopóki ci nie powiem. Nie możemy okazać wrogom litości.

– Ro... rozumiem.

– Świetnie! W takim razie zaczynamy. Za mną. Rhoninie?

– Jestem gotów - odparł młodszy czarodziej. - Już wiem, co chcę zrobić.

Oczy Krasusa rozszerzyły się.

– Ach! Jeszcze jedna rzecz, Malfurionie: bądź gotów zmienić cel ataku w razie potrzeby. Rzuć go w miejsce, gdzie powstanie luka między naszymi czarami. Rozumiesz?

– Tak mi się wydaje.

– A więc niech moc światłości będzie z nami.

To powiedziawszy, Krasus raptownie znieruchomiał. Przystając mrugać powiekami, wbił wzrok w lukę oddzielającą nocne elfy od demonów.

Rhonin szybko nachylił się w stronę Malfuriona.

– Daj z siebie wszystko. Nie oszczędzaj zaklęć na czarną godzinę. Liczy się wszystko albo nic.

– Zbliżają się do wyznaczonego punktu - poinformował towarzyszy Krasus. - Oby Archimond znalazł się w pierwszej linii.

Wszyscy wyczuwali zbliżającą się hordę. Zło było obecne w powietrzu pod postacią wyciągającej się ku nim plugawej aury. Nawet Krasus się wzdrygnął, ale z obrzydzenia, nie ze strachu.

– Rhoninie, Jarod Shadovsong jest gotowy. Czy Księżycowa Gwardia jest przyszykowana?

– Tak.

– Jeszcze nie... - Błada twarz ściągnęła się. Powieki Krasusa zatrzepotały. - Teraz.

Nie wiedzieli, na jakie czary zdecydowali się pozostali, dokładnie tak jak zaplanował Krasus. Zależało mu na zupełnie chaotycznym efekcie, który mógłby pokrzyżować plany Archimonda. Jego plan miał równie duże szanse zakończyć się porażką, co sukcesem, ale właśnie na to liczył smoczy mag.

Z chmur spadły nagle lśniące lodowe włócznie, mierząc we wrogą zgraję. Na północy ziemia zatrzęsła się i zafalowała, zwalając demony z nóg. W innym miejscu pojawiły się jakby znikąd wielkie czarne ptaki, które skierowały się ku powietrznym siłom Legionu.

Na całej długości frontu nieprzyjaciół zasypał grad zaklęć. Niektóre były skupione w jednym miejscu, inne wydawały się działać wszędzie. Nie było

wśród nich dwóch podobnych do siebie i choć kilka weszło ze sobą w konflikt, czyniły znacznie większe spustoszenia wśród szeregów wroga.

Demony ginęły przeszyte lodem, spopielone szkarłatnymi płomieniami, pogrzebane pod hałdami ziemi. Te unoszące się w powietrzu spadały w dół, zmaltretowane i poszarpane przez setki szponów, albo zderzały się z innymi miotanymi przez wiatr sługami Sargerasa, co też kończyło się upadkiem.

Eredarczycy próbowali przejść do kontrofensywy, ale Krasus zarządził nagle:

– Zmieńcie cel ataków!

Malfurion, Rhonin, a na północy Księżycowi Gwardziści i Illidan zmienili kierunek rzucania zaklęć. Krasus wyczuł, że zdezorientowało to warlocków, którzy nie mogli zdecydować, gdzie najpierw skierować kontratak. Na ziemi piekielni gwardziści i inni demoniczni wojownicy na próżno usiłowali bronić się przed czymś, czego ich broń nie była w stanie przeciąć na pół ani przebić.

Nieubłagany marsz demonów został zahamowany.

– Zatrzymali się! - krzyknął Krasus. - Przyciśnijcie ich jeszcze mocniej! Musimy zmusić ich do odwrotu!

Ponownie zmienili cel ataków. W kilku miejscach zrobiło się spokojniej, ale kiedy Płonący Legion miał już wykorzystać tę przejściową ciszę, któryś z czarodziejów wypełniał lukę. Demony już nigdzie nie były w stanie utrzymać się na zdobytych pozycjach, nie mówiąc o dalszym natarciu.

– Ustępują! - zawołał Malfurion.

– Nie odpuszczajcie! - Krasus zgrzytnął zębami. - Rhoninie, zaalarmuję kapitana!

Druid przez chwilę nie śmiał spojrzeć na człowieka.

– O co mu chodzi?

– Trzeba go było trochę przekonywać, ale Shadovsong pojechał do Ravencresta! Czeka na nasz sygnał!

– Sygnał do czego?

Zamiast odpowiedzi usłyszał granie rogów. Nagle nocne elfy poczuły przypływ energii. Znow wstąpiła w nie ginąca już nadzieja. Żołnierze po raz kolejny odpowiedzieli ochoczo na głos rogów i armia ruszyła do ofensywy.

Czarodzieje też zaczęli się powoli przesuwać naprzód. Razem z żołnierzami maszerowali w stronę wroga, a ich wyszkolone koty szły zaraz za nimi.

I w końcu Płonący Legion zaczął się cofać.

Najpierw nocne elfy przekroczyły pas spustoszonej ziemi, dzieło czarodziejów, którzy chcieli zyskać na czasie. Potem zaczęły przechodzić nad pierwszymi trupami demonów. Mijały też wielu poległych elfów, zabitych kilka godzin wcześniej, ale wśród ciał było z każdą chwilą coraz więcej nieprzyjaciół. Płonący Legion, zmiękczony nieprzewidywalnymi atakami czarodziejów, cofał się, spychany nacierające elfy.

Znow zagrały rogi. Z gardeł elfów wydobył się przeciągły, triumfalny ryk, gdy rzuciły się naprzód, podwajając tempo.

– Ravencrest musi trzymać się planu! - warknął Krasus. - Nie mogą zapędzić się za daleko!

Na demony spadł grad strzał, kładąc trupem kolejne dziesiątki legionistów. Jeźdźcy na grzbietach szarżujących panter natarli na stawiające wciąż opór odcinki frontu.

Serce Malfuriona zabiło szybciej.

– Zwyciężamy!

– Nie popuszczajcie im! - podkreślił mag.

Nie popuszczali. Zachęceni sukcesem, druid i pozostali wspierali atakujących żołnierzy. Choć wyczerpani, doskonale zdawali sobie sprawę, że jest to moment krytyczny. Za nimi wciąż majaczył Hyjal, ale góra oddaliła się nieco.

Zaraz potem czekała ich następna miła niespodzianka - ze środka nacierającej cizby dobiegły ich słowa recytacji. Siostry Elune, olśniewające w swych pancerzach, udzieliły walczącym dodatkowego wsparcia. Choć był jasny dzień, rytmiczny śpiew kapłanek napełniał mocą nocnych wojowników. Zupełnie jak gdyby sam księżyc zawisł nad armią obrońców.

Parli naprzód, jard za jardem, z każdym krokiem spychając demony coraz dalej. Krasus spojrzał w zachmurzone niebo i zawołał:

– Teraz! Uderzcie w Eredarczyków!

Każdy mag skupił wysiłki na unoszących się w powietrzu warlockach. Po niebie przetoczył się grom. Strzelały różnobarwne błyskawice. Wył wicher.

Nie widzieli efektów swoich ataków, ale mogli je wyczuć w inny sposób. Eredarczycy próbowali się przegrupować, ale musieli też chronić demony w dole, co znacznie ich osłabiało. Za każdym razem, gdy jakiś czar zabijał jednego z demonicznych magów, obrońcy czuli, jak otaczające ich siły zła słabną. A im częściej do tego dochodziło, tym zacieklej grupa Krausa atakowała ocalałych.

W końcu warlockowie zupełnie się wycofali. Ich odwrót pozbawił monstrualnych wojowników w dole jakiegokolwiek osłony przed czarodziejami i Księżycową Gwardią.

– Uciekają! - wyszeptał Malfurion, oszołomiony sukcesem ich drużyny.

– Są zbyt cenni. Archimond będzie ich jeszcze potrzebował - opowiedział ponuro Krasus. - Nie wygraliśmy wojny, ale zwyciężyliśmy w tej bitwie.

– Czy nie powinniśmy ich ścigać, dopóki nie zepchniemy ich do portalu i z powrotem do ich piekielnej krainy?

Krasus zachichotał, co było u niego tak niespotykane, że nawet Rhonin się wzdrygnął.

– Zabrzmiałeś zupełnie jak twój brat, Malfurionie. Nie pozwól, by euforia wzięła górę nad trzeźwą oceną sytuacji. Ta armia nie wytrzyma tak zażartej walki aż do samego Zin-Azshari. Opadli z sił, jedyne, co ich trzyma na nogach, to siła woli.

– A więc... po co to wszystko?

– Rozejrzyj się, młodzieńcze. Twój lud przeżył. Jeszcze przed godziną nikt w to nie wierzył.

– Czy Ravencrest cię posłucha? - zapytał Rhonin, odwracając się i szukając podporządkowanego szlachcica.

– Tak mi się wydaje. Spójrzcie tam, na północ.

Tam atakujący zwolnili i zamiast zajmować dalszy teren, skupili się na zabezpieczeniu zdobytych pozycji. Dosiadający panter oficerowie kierowali żołnierzy ku głównym siłom. Niektórzy sprawiali wrażenie lekko rozczarowanych, ale pozostali byli szczęśliwi, mogąc odpocząć, choćby nawet na stojąco.

W ciągu kilku minut cała linia frontu zatrzymała się. Wkrótce nocne elfy zaczęły oczyszczać pole bitwy i wzmacniać czoło armii, ustawiając na przedzie ponurych wojowników zdecydowanych przepędzić każdego, kto spróbuje zniweczyć zwycięstwo, jakie udało im się osiągnąć.

Dopiero wtedy Krasus odetchnął.

– Posłuchał. Chwała niech będzie Aspektom. Posłuchał.

Przed sobą widzieli tylko rozmyte sylwetki demonów. Płonący Legion znalazł się już daleko poza zasięgiem strzału, a nawet zaklęć znużonych czarodziejów.

– Udało nam się - wydusił Rhonin ochryłym głosem. - Nie zdołali nas zepchnąć za Hyjal.

– Tak - wymamrotał Krasus, wpatrując się nie w demony, lecz w wynędzniałych obrońców. - Tak, udało nam się. Teraz zacznie się najtrudniejszy etap.

DZIEWIĘĆ



Mannoroth pochylił się przed czarnym portalem. Klęczał na przednich przysadzistych nogach, szerokie, błoniaste skrzydła miał ciasno zwinięte za sobą. Demon starał się sprawiać wrażenie jak najmniejszego, gdyż rozmawiał właśnie z Sargerasem, który wcale nie był w najlepszym humorze.

Droga wciąż jest przede mną zamknięta... spodziewałem się czegoś więcej...

– Staramy się - tłumaczył Mannoroth - ale zadanie... mamy wrażenie, że cały świat sprzysiągł się, by nie dopuścić do twojego przybycia, o Prześwietny.

Nie dam się zbyć...

– N-nie, o Prześwietny.

Na chwilę zapadła cisza, a potem głos w głowie Mannorotha powiedział: *Wyczuwam jakieś zakłócenie, nieprawidłowość... spowodowane przez tych, których nie powinno tu być, a są, i tych, którzy próbują obudzić to, co powinno pozostać uśpione.*

Olbrzymi demon nawet nie próbował udawać, że rozumie, ale mimo to odparł:

– Tak, Sargerasio.

Mają kluczowe znaczenie. Muszą zostać pojmani.

– Archimond dowodzi armią, a Łowczy jest na polowaniu. Wichrzyciele zostaną pojmani.

Złowieszcza wyrwa zaczęła fluktuować, pulsując niczym żywa istota. Mannoroth czuł, jak mocno pan Legionu pragnie dostać się do tego świata. Frustracja, jaką odczuwał, zmroziła nawet jego.

Jednemu z nich nie może stać się krzywdą... abym mógł, powoli i bez pośpiechu, rozerwać go z rozkoszą na dwoje.

W umyśle Mannorotha pojawił się obraz niepozornej istoty tej samej rasy co Szlachetnie Urodzeni. Elf był jednak młodszy i odziany w zielono-brązowy strój, bury i niezbyt strojny w porównaniu z szatami jego pobratymców. Wizja przedstawiała go w pałacu Azshary. Mannoroth rozpoznał komnatę, w której otwarto pierwszy portal... teraz została z niej tylko smagana wichrem ruina.

Zapamiętaj go dobrze.

– Już go zapamiętałem, o Prześwietny. Archimond, Hakkar i ja wszędzie go szukamy. Jeden z nas go usidli.

Żywcem, rozkazała istota z innego planu, zaczynając opuszczać umysł Mannorotha. Żywcem... tak abym mógł go poddać torturom...

Kiedy Sargeras zniknął, Mannoroth zadygotał, wiedząc dobrze, jaki los czeka tego Malfuriona, kiedy Sargerasa dostanie go w swoje szpony.



Wyjątkowo trudne zadanie zreorganizowania armii utrudniała dodatkowo ogromna liczba uchodźców, ale lord Ravencrest robił, co w jego mocy. Sporządził spis całego prowiantu i rozdzielił go według uznania. Niektórzy wysocy rangą uciekinierzy protestowali, że nie dostali tyle, ile im się ich zdaniem należało - ale wystarczyło jedno groźne spojrzenie brodatego dowódcy, aby ich uciszyć.

Tyrande i inne siostry dwoiły się i troiły, aby przynieść ulgę żołnierzom i cywilom. Ze zsuniętym do tyłu hełmem, prowadząc za uzdę pożyczoną nocną panterę, kapłanka Elune szła przez obóz, zatrzymując się przy kolejnych osobach. Wszyscy, starzy i młodzi, z wysokiej i niskiej kasty, witali ją ciepło. Może była to zasługa chwili, ale miała wrażenie, że po jej przejściu czują się wyraźnie pokrzepieni. Tyrande nie widziała w swoim działaniu jakiegoś szczególnego daru, uważając, że pociechę przynosi im jej łagodny sposób bycia kontrastujący ostro ze wszystkim, co dzisiaj przeszli.

Jakaś drobna, skulona postać przykuła uwagę kapłanki. Dziewuszka, której do wstąpienia na służbę u Elune brakowało dwóch, trzech lat, siedziała w ponurej ciszy, patrząc przed siebie pustymi oczyma.

Tyrande uklękła obok niej i dotknęła jej ramienia. Dziewczynka wzdrygnęła się i spojrzała na nią wzrokiem zaszczutego zwierzątka.

– Pokój z tobą... - powiedziała kojąco Tyrande, podając jej bukłak. Zaczekała, aż dziewczyna skończy pić, i dodała: - Jestem ze świątyni. Jak masz na imię?

– Sh...Shandris Feathermoon - odpowiedziała dziewczynka po chwili wahania.

– Gdzie twoja rodzina?

– N-nie wiem.

– Jesteś z Suramaru? - Kapłanka nie przypominała jej sobie, ale to nie musiało o niczym świadczyć.

– Nie... Ara-Hinam.

Tyrande z trudem opanowała niepokój. Shandris należała do uchodźców ściganych przez demony, kiedy obrońcy próbowali wciągnąć Legion w pułapkę. Z tego, co kapłance udało się dowiedzieć od innych ocalałych, wiele elfów zginęło, zanim Płonący Legion pozwolił reszcie uciec. Rodzina dziewczynki mogła jeszcze żyć... albo i nie.

– Kiedy widziałaś ich po raz ostatni?

Shandris zrobiła wielkie oczy.

– Byłam z przyjaciółką... kiedy pojawiły się potwory. Chciałam pobiec do domu, ale ktoś mnie złapał... powiedział, że muszę uciekać w przeciwną stronę. Więc uciekłam. - Zakryła twarz dłońmi, płacząc. - Powinnam była wrócić do domu!

Jej tragiczna opowieść nie była tym, co Tyrande chciała usłyszeć. Kapłanka zamierzała zasięgnąć języka, ale była prawie pewna, że nikt z najbliższej rodziny Shandris nie przeżył, i że dziewczynka została teraz na świecie zupełnie sama.

– Czy od czasu ucieczki ktoś się tobą opiekował?

– Nie.

Uchodźcy z niewielkiej osady Ara-Hinam, zanim natknęli się na armię, uciekali już od dwóch dni. To niezwykle, że Shandris, zdanej tylko na siebie, udało się przetrwać tak długo. Wiele starszych nocnych elfów nie wytrzymało tempa; lud Tyrande nie nawykł do tego rodzaju konfliktów. Nocne elfy, choć na pewno nie słabowite, bardzo źle znosiły wyrwanie ze swojego cukierkowego świata, co ujawniło się dopiero teraz. Tyrande dziękowała Elune, że ona, Malfurion i Illidan zostali wychowani w inny sposób. Mimo to stanowili mniejszość.

Wielu znalazło się w takiej samej sytuacji jak Shandris, ale coś w tej dziewczynce wzruszyło kapłankę w szczególny sposób. Może to, że twarzą

i figurą przypominała nieco Tyrande w tym samym wieku. Bez względu na przyczynę, kapłanka kazała dziecku wstać.

– Chcę, żebyś wdrapała się na grzbiet nocnej pantery. Pojedziesz ze mną.
- Działała wbrew rozkazom, ale nie dbała o to. Choć nie mogła uratować wszystkich, dla Shandris zrobi wszystko, co w jej mocy.

Ze ściągniętą twarzą, ale bystrym wreszcie spojrzeniem, Shandris dosiadła kota. Tyrande sprawdziła, czy dobrze się trzyma, i ruszyła w dalszą drogę.

– Dokąd idziemy? - zapytała dziewczynka.

– Mam jeszcze wiele pracy. Znajdziesz trochę suszonych owoców w sakwie z lewej strony.

Shandris z zapalem odwróciła się ku sakwie, poszperała w niej i w końcu znalazła skromny poczęstunek. Tyrande nie wspomniała, że zjada także jej rację. Kapłanki Elune uczyły się obywać prawie bez jedzenia. W ciągu roku były nawet cztery okresy rytualnego postu, którego przestrzegaly na znak oddania bogini. Teraz, podczas wojny, okazało się to przydatne.

Tyrande podchodziła do kolejnych uchodźców, kontynuując swoje zabiegi. Większość cywilów była po prostu skrajnie wyczerpana, ale niektórzy byli ranni. Tym zawsze starała się ulżyć w cierpieniu, modląc się do Księżycowej Matki o siłę i wskazówki. Ku jej radości tego dnia bogini odpowiadała na wszystkie jej supliki.

Ale w pewnej chwili natrafiła na jęczącą się ranę, która ją zaszokowała. Z początku nie potrafiła powiedzieć, czy została zadana przypadkiem, czy z rozmysłem. Przyglądała się zielonej ropie wzbierającej wokół dziwnych rozcięć, zastanawiając się nad ich pochodzeniem. Starszy mężczyzna, leżał blydy i nieprzytomny, oddychając ciężko. Jego partnerka, o włosach

spiętych tym, co zostało z inkrustowanej rubinami i szmaragdami broszy, trzymała jego głowę na kolanach.

– Czym się tak zranił? - zapytała Tyrande, nie mając pewności, czy uda jej się choć spowolnić postępy infekcji. W ranie było coś niepokojącego.

– Nie zranił, a został zraniony.

– Nie rozumiem.

Twarz starszej kobiety ściągnęła się, jak gdyby zachowanie spokoju przychodziło jej z trudem.

– Ta istota... powiedział, że wyglądała... jak wilk albo ogar... ale pokraczny, jak z nocnego koszmaru...

Tyrande zadrżała. Pojęła, że kobieta ma na myśli piekielną bestię. Czworonożne demony już kilka razy prawie zabiły Malfuriona. Polowały przede wszystkim na tych, którzy potrafili władać magią i wysączały ją z nich, zostawiając puste powłoki.

– I w takim stanie dotarł tutaj aż z Ara-Hinam? - Kapłanka nie mogła się nadziwić, jakim cudem ktoś z tak straszliwą raną utrzymał się tak długo przy życiu.

– Nie... stamtąd uciekliśmy cali i zdrowi. - W słowach kobiety pobrzmiwała gorycz. - Tę ranę otrzymał zaledwie dwa dni temu, kiedy wymknął się, żeby zdobyć dla nas trochę jedzenia.

Dwa dni temu? Wtedy wraz z całym tłumem uchodźców cofali się w stronę Hyjału. Ale żaden z demonów nie zdołał przebić się na tyły wroga, tego była pewna.

– Dajesz słowo, że minęły tylko dwa dni? To stało się gdzieś w pobliżu?

– W lasach, na południe stąd, przysięgam.

Kapłanka zagryzła wargę. Lasy znajdowały się na tyłach wojska.

Nachylając się nad raną, powiedziała:

– Zobaczę, co się da zrobić.

Dotknęła jej z niechęcią, w nadziei, że przynajmniej uda jej się zahamować działanie jadu. Zza pleców usłyszała stłumiony okrzyk Shandris. Dziewczynka bała się o nią i nie bez racji. Nigdy nie można było mieć pewności, jaki efekt wywoła dotknięcie rany zadanej przez demona. Płonący Legion mógł się posunąć do próby wywołania zarazy.

Na niebie nie było widać księżyca, ale Tyrande nie martwiła się o to. Choć kapłanki były najsilniejsze, kiedy był widoczny, miały świadomość, że zawsze znajduje się w pobliżu. Ich więź z Elune pozostawała silna bez względu na porę dnia i nocy, a nawet fazę księżyca.

– Księżycowa Matko, usłysz moje wołanie - wyszeptała. - Obdarz tego oto elfa swoim chłodnym, kojącym dotykiem. Poprowadź moje dłonie do źródła tej ohydy i pozwól mi usunąć skazę, aby ten niewinny mógł ozdrowieć...

Tyrande zaczęła nucić pod nosem, koncentrując się na czekającym ją zadaniu. Rany Broxigara bladły w porównaniu z tymi, którymi miała się zaraz zająć. Musiała użyć całej siły woli, żeby nie poddać się zwątpieniu.

Bez żadnego ostrzeżenia jej palce otoczyło blade, srebrzyste światło. Partnerka ofiary wpatrywała się w nie wielkimi oczyma, a Shandris westchnęła głośno. W serce Tyrande wstąpiła nadzieja - Elune znów odpowiedziała na jej wyzwanie. Bogini towarzyszyła jej przez cały dzisiejszy dzień!

Uzdrowicielka obwiodła ranę palcami, poświęcając szczególną troskę miejscom, które wyglądały najohydniej. Dotykając nabiegłych ropą szram nie była w stanie powstrzymać grymasu obrzydzenia. Jaką nikczemnością musiały być przesiąknięte demony, skoro ich ugryzienia, czy może drapania, zostawiały tak straszliwe ślady?

Muskana koniuszkami palców rana z każdą chwilą wyglądała coraz lepiej. Wrzody skurczyły się, a w końcu zniknęły. Krwawe rozcięcie

zweżyło się na obu końcach, jak gdyby powoli się zasklepiało.

Zachęcona Tyrande nie przestawała się modlić. Infekcja skurczyła się do niewielkiej, owalnej łatki, a sama rana zmieniła w bliznę, najpierw świeżą, a potem prawie niewidoczną.

Mężczyzna stęknął nagle, jak gdyby przebudził się z głębokiego snu, ale Tyrande nie ustawała w wysiłkach. Nie mogła zakładać, że zanik zewnętrznych objawów oznacza, iż rana zagoiła się też od wewnątrz. Mogło dojść do zakażenia krwi.

Kilka pełnych napięcia sekund później, kiedy klatka piersiowa mężczyzny zaczęła wznosić się i opadać w spokojniejszym tempie, a elf zamrugał i otworzył oczy, kapłanka wiedziała już, że pokonała truciznę demona. Z ciężkim westchnieniem odchyliła się do tyłu i podziękowała Elune. Bogini pozwoliła jej dokonać cudu.

Kobieta złapała ją za rękę.

– Dziękuję ci, siostrze! Dziękuję!

– Jestem tylko służką Księżycowej Matki. Jeśli chcesz komuś podziękować, to tylko Elune.

Mimo to zarówno uleczony mężczyzna, Karius, jak i jego partnerka, nie przestawali dziękować kapłance za jej heroiczne wysiłki. Byli tak wdzięczni, że Tyrande prawie musiała się od nich opędzać.

– Możecie mi się odwdzięczyć opowiadając, jak właściwie do tego doszło - powiedziała w końcu do niedoszłej ofiary.

Kiwnąwszy głową, Karius opowiedział jej wszystko, co zdołał sobie przypomnieć. W trakcie ucieczki małżonkowie uświadomili sobie, że nie mają jedzenia. Ale wśród ogólnego zamieszania nie byli w stanie znaleźć wśród uchodźców nikogo, kto chciałby się z nimi podzielić. Większość zabrała z sobą tylko tyle pożywienia, ile była w stanie unieść.

Dojrawszy las, gdzie liczył na znalezienie jagód i świeżej wody, Karius opuścił małżonkę, obiecując, że niedługo wróci. Do tak lekkomyślnego kroku popchnęła go desperacja, bo inni z pewnością zdążyli już ogołocić las ze wszystkiego, co jadalne.

Karius był zmuszony zapuścić się w knieję głębiej, niż zamierzał. Zaczynał się nawet martwić, że już nigdy nie odnajdzie żony, chociaż obiecała mu zostać w tyle, gdyby wyprawa się przedłużyła. Kiedy w końcu odkrył krzak obsypany dojrzałymi, fioletowymi jagodami, postarał się jak najszybciej zapełnić nimi sakwę przy pasie, tylko od czasu do czasu pozwalając sobie na zjedzenie jednego owocu, aby zachować siły.

Ale kiedy napełnił sakwę, usłyszał, jak coś wielkiego przebija się przez las. Najpierw pomyślał, że to tauren albo niedźwiedź. Zaczął się wycofywać, oglądając się co chwila przez ramię, żeby bestia nie wzięła go z zaskoczenia.

Los chciał, że patrzył akurat w przeciwnym kierunku, kiedy potwór zaatakował.

Karius, który służył kiedyś w Gawroniej Twierdzy, pomimo męczącej podróży zachował szybkość reakcji. Okręcił się w momencie, w którym stwór - demoniczny ogar, któremu z grzbietu wyrastały dwie straszliwe macki - próbował się na niego rzucić. Bestia, zamiast chwycić go za gardło, wczepiła mu się w nogę.

Jakimś cudem stłumił wrzask, choć domagało się go każde włókno jego jestestwa. Na wpół przytomny, rozejrzał się za czymś, czym mógłby się obronić. Macając ziemię wokoło, natrafił ręką na spory, zaostzony kamień, którym z całej siły wyrzucił potwora w nos.

Usłyszał chrobot. Bestia zawyła i puściła nogę. Nawet wtedy nie wierzył, że uda mu się uciec demonowi, ale z oddali dobiegł ich ostry dźwięk.

Dźwięk wywołał natychmiastową i zaskakującą reakcję obmierzłego stwora. Najpierw się skulił, a potem natychmiast skoczył w stronę, z której odgłos dobiegł. Instynkt samozachowawczy kazał Kariusowi powlec się natychmiast w przeciwnym kierunku. Nawet nie zadał sobie trudu opatrzenia rany, która wtedy nie nabiegła jeszcze ropą. Poturbowany elf dotarł do czekającej nań żony, przy każdym chwiejnym kroku spodziewając się powrotu bestii.

Opowieść mężczyzny nappełniła Tyrande złymi przeczuciami. Karius miał ogromne szczęście, że udało mu się ująć z życiem ze spotkania z piekielną bestią. Ale martwiło ją to, że monstrum znalazło się na ich tyłach. Oczywiście z jedną bestią Malfurion czy inni czarodzieje mogli sobie dać radę. Ale jeśli było ich więcej?

Mając to na uwadze, zapytała:

– Wspomniałeś o odgłosie, który ją odciągnął. Co to był za dźwięk?

Karius zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

– Ostry trzask.

– Jak grzmot?

– Nie... przypominał... trzask bicza.

Kapłanka wstała.

– Dziękuję ci za cierpliwość. Wybaczcie, ale muszę ruszać dalej.

– Nie! - zaprotestowała elfka. - To my ci dziękujemy, siostrze! Myślałam już, że go stracę.

Tyrande nie miała czasu na sprzeczenie się z nią. Pobłogosławiła obojgu, po czym szybko podeszła do Shandris, która obserwowała ją oczyma wielkimi jak spodki.

– Całkowicie go uleczyłaś! Myślałam, że umrze, zanim jeszcze zaczniesz!

– Ja również! - odparła Tyrande, sadowiac się za nią na grzbiecie pantery. - Księżycowa Matka okazała mi dziś wielką szczodrość.

– Pierwszy raz widzę, żeby kapłanka uleczyła tak okropną ranę... a potwór, który ją zadał...

– Cii, Shandris, muszę pomyśleć. - Elfka przejęła wodze kota, kierując go w stronę, gdzie widziała ostatni raz czarodziejów. Z racji bycia kapłanką Tyrande często uzyskiwała informacje, jakich nie udawało się zdobyć nawet strategom lorda Ravencresta. Teraz znów usłyszała coś, o czym Malfurion i Krasus musieli się dowiedzieć.

Skrytobójcy Legionu osaczali ich.



Pod osłoną nocy czarne smoki powróciły do swej przepastnej kryjówki. Neltharion chciał już wracać do domu, bo czekało go wiele pracy. Jego plan był tak bliski realizacji, że czuł już prawie smak zwycięstwa.

Mniejszy samiec usadowiony na szczycie przypominającym wzniesiony szpon pochylił przed nim łeb. Strażnik Ziemi nie zwracał na niego uwagi, zbyt pochłonięty chwilą. Wylądował w wylocie głównej jaskini i natychmiast odwrócił się do swoich oblubienic, które znalazły się tuż za nim. Z głębi góry dochodziły porykiwania innych smoków.

– Schodzę na dół, nikt nie może mi przeszkadzać.

Samice, które słyszały to polecenie wiele razy, kiwnęły łbami. Nie pytały, co Aspekt robi na dole. Jak wszyscy członkowie czarnego stada, istniały, aby wypełniać rozkazy. Każde stworzenie mieszkające we wnętrzu góry dotknęło w mniejszym lub większym stopniu to samo szaleństwo, które ogarnęło Nelthariona.

Wielki czarny samiec przeciskał się korytarzami, które ledwo mieściły jego wielkie cielsko. W miarę jak schodził coraz niżej, odgłosy smoczego życia cichły, a echo niosło nowy, dziwny dźwięk. Każdemu, kto słuchał, przywodził na myśl odgłosy dobiegające z kuźni, bo słysząc było rytmiczne uderzanie metalu o metal. Nie ustawało ono nawet na chwilę, a w miarę jak jego tempo stawało się szybsze, dziki uśmiech Nelthariona stawał się coraz szerszy i coraz bardziej zadowolony. Tak, wszystko szło zgodnie z planem.

Ale smok nie kierował się ku źródłu dźwięku. Skręcił w boczny korytarz i schodził jeszcze niżej. Po pewnym czasie walenie ucichło i w mrocznych tunelach słysząc było tylko ciężki oddech Nelthariona. Nikomu oprócz niego nie wolno było zapuszczać się do tych dolnych sal.

W końcu Strażnik Ziemi dotarł do ogromnej komnaty, gdzie rzucił zaklęcie na Eredarczyka. Ale kiedy wszedł do środka, uniósł głowę, czując, że wbrew pozorom nie jest tu sam.

Głosy w jego głowie, głosy, które pozostawały cichymi szeptami, kiedy przebywał wśród innych smoków, teraz podniosły się, ogarnięte podnieceniem.

Wkrótce...

Wkrótce...

Świat zostanie naprawiony...

Wszyscy, którzy cię zdradzili, poznają swoje miejsce...

Porządek zostanie przywrócony...

Obejmiesz prawowite rządy...

Powtarzały te i inne obietnice raz za razem. Serce Strażnika Ziemi wezbrało dumą, błyszczały mu oczy. Wkrótce świat stanie się taki, jak sobie wymarzył!

– Wszystkie złożyły ofiarę - oznajmił. - Nawet nieobecny Nozdormu.

Głosy nie odpowiedziały, ale smok uznał, że są zadowolone. Kiwnął łbem, a potem zamknął oczy i skupił się.

Na jego wezwanie zmaterializowała się Dusza Smoka.

– Podziwiajcie jego piękno - zagrzmiął, patrząc na dysk unoszący się na poziomie jego oczu. - Podziwiajcie jego doskonałość, jego moc.

Smocze dzieło otaczał złoty blask intensywniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Kiedy Neltharion skupił na niej swą wolę, Dusza Smoka zaczęła cicho wibrować. Stalaktyty i stalagmity w całej komnacie zadrżały, jak gdyby budziły się do życia.

Z każdym żarliwym oddechem Strażnika Ziemi dysk wibrował coraz mocniej. Teraz trzęsła się już cała komnata. Od sklepienia oderwały się fragmenty skał, a kilka większych stalaktytów zadrżało złowieszczo.

– Tak... - zasyczał z przejęciem smok. Oczy płonęły mu niecierpliwie. - Tak...

Teraz zahuczała sama góra, jak gdyby zatrzęsł ją wybuch wulkanu albo jakiś inny wstrząs. Sklepienie zaczęło pękać. Wszędzie spadały wielkie głazy, uderzając o ziemię z ogłuszającym hukiem. Wiele odbijało się od twardej skóry ogromnego smoka, ale nie dbał o to.

Z Duszy Smoka wypłynęły jakieś eteryczne kształty. Były cieniami światła, ulotnymi mirażami. Większość miała skrzydła i przypominała sylwetką Nelthariona. Niektóre były czarne, lub brązowe, a inne niebieskie lub czerwone. Zaczęły kłębić się nad dyskiem, z każdą chwilą było ich coraz więcej.

Były wśród nich także inne kształty, mniejsze, ale bardziej groteskowe. Żarzyły się chorobliwą zielenią, miały rogi, a ich oczy ziały nicością. Tych było znacznie mniej, ale otaczająca je aura nikczemności sprawiała, że przykuwały uwagę tak samo jak duchy nad nimi.

Były to esencje tych wszystkich istot, które przyczyniły się do powstania Duszy Smoka, czy to dobrowolnie, czy pod przymusem. Związane z dyskiem, tworzyły potęgę, z którą nie mogła się równać nawet moc Aspektu takiego jak Neltharion. Samo ich pojawienie się wystarczyło, by w litej skale pojawiły się pęknięcia i rozpadliny, a cała góra dygotała gwałtownie.

Od sklepienia oderwał się nagle gigantyczny stalaktyt. Zamyślony Neltharion zauważył to, gdy było już za późno.

Tylko odłam skalny tej wielkości był w stanie ranić czarnego smoka. Uderzył Nelthariona w lewą stronę szczęki, zdzierając twarde, pokryte łuską mięso. Fragment zakrwawionej łuski wyleciał w powietrze i jego ostra krawędź uderzyła w środek Duszy Smoka.

Neltharion zaryczał z przerażenia, bojąc się nie o siebie, ale o to, co stało się z jego cennym dziełem. Łuska nacięła głęboko dysk, niwecząc jego doskonałość. Kształty nad i pod Duszą zawirowały jak szalone.

Smok zareagował natychmiast, kończąc działanie zaklęcia. Widmowe postacie wsiąkały w dysk, ale wolniej, mniej pewnie, niż by chciał. Kiedy zniknęły, wstrząsy ustały, pozostawiając ślad w postaci unoszącego się w powietrzu kurzu.

Kiedy było to już bezpieczne, Neltharion chwycił Duszę Smoka i przyjrzał się jej z bliska. Rysa nie była tak głęboka, jak myślał, ale sama jej obecność prawie przyprawiła go o napad szału. Nie spodziewał się, że cokolwiek, a już na pewno nie on sam, może stanowić zagrożenie dla dysku.

– Zostaniesz uzdrowiony - wyszeptał, tuląc w łapie drobny kawałek metalu tak jak matka tuli w ramionach swoje dziecko. - Znów będziesz doskonały...

Ściskając dysk w jednej łapie, wyszedł z komnaty na pozostałych trzech i ruszył w górę najszybciej jak potrafił. Roztaczał wokół siebie aurę melancholii, która zaniepokoiła nawet jego oblubienice. Oddychał szybko i z trudem, jak gdyby obawiał się, że wszystko, czego dokonał, pójdzie na marne.

Ale zamiast wrócić tam, gdzie mieszkali jego pobratymcy, skręcił w boczne tunele. Gdy przeciskał się wąskimi korytarzami, walenie przybrało na sile, a wkrótce przeszło w odgłosy wyteżonej pracy. Słyszał trajkotanie dziwnych głosów, ale słowa zagłuszał huk młotów.

Neltharion wpadł do następnej komnaty. Dopiero po chwili wzrok przyzwyczał mu się do płomiennego oświetlenia. W pieczarze uwijały się dziesiątki drobnych, zwinnych goblinów zajętych obróbką metalu. Wszędzie buchały wielkie piece zasilane płynącą dołem lawą. Pół tuzina zielonych stworów z mozołem wyciągało z owalnej formy coś, co przypominało tarczę dla olbrzyma. Metal w środku żarzył się jaskrawym oranżem. Goblino szybko odwróciły formę, pozwalając jej zawartości wpaść do kadzi z wodą. Znad cebra buchnął obłok pary, w którym prawie ugotował się ślamazarny robotnik.

Pozostałe goblino kuły różne elementy uzbrojenia. Kilka ubranych w fartuchy przechadzało się pomiędzy pozostałymi, pilnując, czy wszyscy przykładają się do swoich zadań.

Neltharion rozejrzał się po komnacie i nie znajdując tego, kogo szukał, zaryczał:

– Meklo! Meklo, do mnie!

Krzyk lewiatana zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Zaskoczone goblino przerwały pracę. Dwa prawie oblały towarzyszy stopionym żelazem.

– Do roboty, do roboty! - warknął wysoki, poirytowany głos. - Chcecie wszystko zepsuć?

Robotnicy natychmiast usłuchali. Z pomostu na górze zbiegł ku zniecierpliwionemu smokowi patykowaty, starszawy goblin, całkiem łysy, jeśli nie liczyć kępki szarego futra na czubku głowy. Majster przez całą drogę coś do siebie mamrotał, ale w jego głosie nie było słychać gniewu. Wydawało się, że coś sobie oblicza.

– Grubość osiem cali przy powierzchni stu dwudziestu stóp kwadratowych, co oznacza dodanie do mieszanki jeszcze co najmniej czterdziestu dwóch funtów... - Jego stopa odbiła się od środkowego palucha łapy smoka. Goblin podniósł głowę, jak gdyby zaskoczył go widok lewiatana. - Lord Neltharion?

– Meklo! Spójrz na to!

Strażnik Ziemi uniósł wielką łapę, aby goblin mógł się przyrzeć dyskowi. Meklo zmrużył oczy, cmokając.

– Takie cacuszko, a spaskudzone! A było nieskazitelne!

– Spadła na to moja łuska, goblinie! Wytłumacz mi, w jaki sposób uszkodziła coś, co powinno być niezniszczalne!

– Musiała być na niej krew. - Maklo podniósł wzrok, przyglądając się przez chwilę ranie Nelthariona, i znów zacmokał. - Oczywiście, to jasne jak słońce! Mój lordzie Neltharionie, odegrałeś kluczową rolę przy tworzeniu dysku, tak?

– Byłeś przy tym, goblinie. Sam wiesz.

– Tak. Stworzyłeś matrycę jego konstrukcji. - Majster zastanowił się jeszcze chwilę, a potem zapytał: - Pozostałe smoki oddały swoją esencję? Są związane z matrycą dysku?

– Oczywiście.

– Aaa, ale ty nie. Stworzyłeś matrycę Duszy Smoka, stworzyłeś ją swoją mocą i krwią, ale jesteś jedynym smokiem, który nie jest z nią bezpośrednio związany. - Goblin wyszczerzył w uśmiechu spiczaste, żółtawe zęby. -

Jesteś jej jedyną słabością, panie. Łuska, twoja krew... każda część twojego ciała może zniszczyć Duszę Smoka. Myślę, że mógłbyś go z łatwością zmiążyć. - Meklo udał, że zgniata coś kciukiem i palcem wskazującym.

Strażnik Ziemi wybałuszył ślepią, przerażając nawet goblina.

- Nigdy bym tego nie zrobił!

- Ależ oczywiście, oczywiście! - wybełkotał Meklo, płaszcąc się przed Neltharionem. - Co oznacza, że nic go nigdy nie zniszczy, hę?

Furia trzęsąca smokiem opadła nieco. Wargą Nelthariona uniosła się do góry, ukazując kły większe od goblina.

- Tak, nic. A więc moja Dusza Smoka jest... niezniszczalna!

- Tak długo jak sam nie spróbujesz jej zniszczyć, panie - ośmielił się przypomnieć patykowaty osobnik.

- Do czego nigdy nie dojdzie! - Neltharion spojrzał na rysę na Duszy Smoka. - Ale to musi zostać usunięte! Dysk musi być znów idealny!

- Będę potrzebował tego samego, co ostatnio.

Smok prychnął szyderczo.

- Dostaniesz tyle mojej krwi, ile będzie trzeba! Ma być cały!

- Oczywiście, oczywiście... - Meklo obejrzał się na pozostałe goblina. - Reszta twoich planów będzie musiała poczekać. One też wymagają twojej magii i krwi.

- Wszystko inne może poczekać! Dysk nie!

- A więc zaczniemy od razu, panie. Daj mi chwilę, zarządzę fajrant. Zaraz wrócę z konieczną asystą.

Kiedy goblin się wycofał, Neltharion odetchnął spokojniej. Jego cenne dzieło zostanie naprawione. Tak jak on będzie znów idealne.

I razem będą panować nad całym światem...

DZIESIĘĆ



To niewybaczalne! - powiedział Lord Stareye, wyjmując z kapciucha szczyptę tabaki i wciągając ją w dziurkę nosa. - Zmarnowaliśmy doskonałą okazję, Kur'talosis!

– Może tak, Desdelu. Może nie. Co się stało, to się nie odstanie, teraz musimy patrzeć w przyszłość.

Obaj szlachcice stali w namiocie lorda Ravencresta wraz z kilkoma innymi arystokratami i omawiali dalszy plan działania. Desdel Stareye był jednak święcie przekonany, że Krasus przedwcześnie zaniechał pościgu za wrogami, których właśnie zmusili do odwrotu. Stareye miał pewność, że nocne elfy byłyby w stanie dotrzeć aż do Suramaru, gdyby tylko go posłuchały - o czym, odkąd dołączyli do nich Krasus i pozostali, bez przerwy napomykał.

– Żołnierze walczyli mężnie - odparł uprzejmie mag - ale są istotami z krwi i kości i opadli z sił. Muszą odpocząć.

– I coś zjeść - mruknął Brox, który towarzyszył czarodziejom. Obecność orka była nocnym elfom wyraźnie niemiła, ale ponieważ Ravencrest nie

rozkazał go wyprowadzić, nikt, nawet Stareye, nie ośmielił się zaprotestować.

– Tak, oczywiście - zgodził się pan Gawroniej Twierdzy. - Żołnierze i uchodźcy mają się najeść i wyspać, koniec kropka. Przejdźmy dalej - co będzie naszym następnym celem?

– Zin-Azshari, rzecz jasna! - zapiszczał lord Stareye. - Musimy ocalić królową Azshare!

Pozostali szlachcice zawtórowali mu jak echo. Krasus zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. On i pozostali przedyskutowali tę kwestię przed naradą i wszyscy zgodzili się, że nocne elfy będą się upierać, iż ich królowa została uwięziona przez demony. Ale ponieważ Zin-Azshari było również punktem, przez który demony dostawały się do Kalimdoru, przekonywanie ich, że jest inaczej, nie miało sensu. Z tej czy innej przyczyny musieli zająć stolicę.

Krasus nie wierzył jednak, by pobratymcom Malfuriona udało się to bez niczyjej pomocy.

Nie dbając o protokół, wystąpił naprzód i oznajmił:

– Lordzie Ravencrest! Musimy porozmawiać na temat, który jest ci przykry, ale nie da się tego uniknąć!

Ravencrest przyjął kielich wina podany mu przez lorda Stareye. Nawet podczas kryzysu szarży należały się pewne przywileje.

– Masz na myśli kontakt z krasnoludami i im podobnymi.

Stojący obok Stareye prychnął pogardliwie. Wszyscy pozostali szlachcice mieli równie szydercze miny.

Choć było jasne, że znów poniesie porażkę, mag nalegał:

– W tej chwili krasnoludy, taurenowie i inne rasy walczą samotnie z Płonącym Legionem. Osobno macie niewielkie szanse przetrwania, ale

wspólny wysiłek wszystkich ras umożliwiłby zdobycie Zin-Azshari o wiele mniejszym kosztem!

– Taurenowie w Zin-Azshari! - wybuchnął jeden ze szlachciców. - Co za barbarzyństwo!

– Wolą, żeby panoszyły się w nim demony? - wymamrotał Rhonin do Malfuriona.

– Nie zrozumiesz tego - odpowiedział posępnie druid.

– Nie rozumiem.

Brodaty dowódca wychylił kielich i oddał go lordowi Stareye. Patrzył na maga tak, jak patrzy się na szanowanego, acz tkwiącego w błędzie starca.

– Mistrzu Krasusie, doceniamy twoje zasługi dla naszego zwycięstwa. Twoja znajomość sztuki magicznej przekracza znacznie umiejętności naszych magów. W sprawach magii chętnie zwracam się do ciebie o radę. - Ravencrest spochmurniał jeszcze bardziej. - Ale gdy w grę wchodzi inne kwestie, muszę ci przypomnieć, że nie jesteś jednym z nas. Nie rozumiesz podstawowych spraw. Nawet gdybym zdecydował się na takie szaleństwo jak wezwanie na pomoc krasnoludów i taurenów, czy naprawdę sądzisz, że przybędą? Nie ufają nam tak samo jak my im! Zresztą nawet gdyby się zgodzili, jak to sobie wyobrażasz, mieliby walczyć z nami ramię w ramię?

– Krasnoludy najpewniej by nas zdradziły - wtrącił się Stareye. - Ich chciwość jest dobrze znana. Obrabują nas, a potem czmychną do tych swoich nor.

A inny oficer dodał:

– A taurenowie będą przez większość czasu walczyć sami ze sobą. To bestie, a nie inteligentne istoty! Wywołany przez nie chaos ogarnie naszych wojowników, którzy zostaną rozgromieni przez demony!

Lord Ravencrest zgadzał się z nim.

– Widzisz, mistrzu Krasusie? Spowodowalibyśmy w ten sposób nie tylko chaos, ale i pewną klęskę.

– Która i tak nas pewnie spotka, jeśli staniemy do walki sami.

– Ta rozmowa dobiegła końca, drogi czarodzieju, i muszę cię z całym szacunkiem poprosić, abyś więcej nie poruszał tego tematu.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez kilka sekund... i to Ravencrest pierwszy odwrócił wzrok. Ale pomimo tego drobnego zwycięstwa Krasus nie nalegał dłużej.

– Wybacz, że przekroczyłem swoje kompetencje - rzekł.

– Zaraz będziemy omawiać aprowizację i logistykę, mistrzu Krasusie. Podczas tej sesji nie będziemy potrzebować żadnych magów oprócz Illidana, który mi bezpośrednio podlega. Tobie i twoim towarzyszom radziłbym udanie się na zasłużony odpoczynek. Wasze umiejętności będą nam potrzebne, kiedy znów wyruszymy.

Krasus uklonił się grzecznie, nie mówiąc ani słowa więcej. Wyszedł z namiotu, a pozostali za nim.

Ale gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu elfów w namiocie, blady mag zauważył gorzko:

– Ich krótkowzroczność będzie miała tragiczne skutki. Sojusz z innymi rasami jest kluczem do zwycięstwa...

– Nie ma mowy - upierał się Malfurion. - Mój lud nigdy nie sprzymierzy się z kimś takim.

– Korialstrasza zaakceptowali dość szybko - odparował Rhonin.

– Niewielu jest w stanie odmówić smokowi, mistrzu Rhoninie.

– To prawda - mruknął Krasus, zamyślając się. - Rhoninie, muszę je odnaleźć.

– Kogo?

– Moich... smoki, rzecz jasna.

Brox prychnął, a Malfurion zrobił zdziwioną minę. Druid wiedział, że Krasusa łączy z Korialstraszem jakaś więź, ale nawet teraz nie domyślał się prawdy.

– Smoki, mistrzu Krasusie? Przecież to potężna siła! Jak chcesz tego dokonać?

– Mam swoje sposoby... ale potrzebuję szybkiego środka transportu. Nocne pantery na nic się tu nie zdadzą. Potrzebuję czegoś, co lata.

– Na przykład smoka? - zapytał kwaśno Rhonin.

– Może być coś mniejszego, przyjacielu.

Ku ogólnemu zdumieniu to Malfurion wpadł na pewien pomysł:

– Niedaleko stąd widziałem las. Może... może uda mi się porozumieć z Cenariusem. Myślę, że on znajdzie rozwiązanie.

Po minie Krasusa odgadł, że nie jest tym zachwycony, ale nikt nie wymyślił nic lepszego. W końcu mag kiwnął głową.

– W takim razie musimy wyruszyć jak najszybciej. Inaczej kapitan Shadrowsong będzie próbował nas zatrzymać, albo, co gorsza, ruszy za nami ze swoim oddziałem. Boję się, że w ten sposób ściągnie nam na głowy i Płonący Legion, i nocne elfy.

Jarod i reszta gwardzistów dostali czas na zregenerowanie sił. Nikomu nie przyszło do głowy, że czarodziejom może pośrodku armii grozić jakieś niebezpieczeństwo, a przed magicznymi atakami potrafili się obronić sami. Oczywiście w chwili wymarszu gwardziści mieli podjąć swoje obowiązki.

Ale do tego czasu Krasus miał nadzieję być już dawno w drodze.

– Naprawdę uważasz, że to konieczne? - zapytał rudowłosy czarodziej.

– Mam ku temu dwa powody, Rhoninie. Pierwszy to ten, o którym rozmawialiśmy. Smoki mogą przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę. Drugi powód jest natury osobistej. Chcę sprawdzić, dlaczego wyczuwam z ich strony tylko ciszę. Nie powinno tak być. Muszę poznać prawdę.

Nikt więcej nie zgłaszał sprzeciwu. Lord Ravencrest planował wymarsz o zmierzchu, więc Krasus musiał się oddalić wystarczająco daleko, zanim zostanie zauważona jego nieobecność.

Rhonin kiwnął głową.

– A co z Broxem i ze mną?

– Jeśli nasz przyjaciel druid zdoła załatwić mi transport, tak jak twierdzi, zdąży wrócić dobrze przed nocą. Tymczasem ty i Brox musicie schodzić lordowi Ravencrestowi z oczu. Może o nas pytać. Będzie wściekły, kiedy się dowie, że mnie nie ma.

– Może tak, może nie. Przynajmniej nikt nie będzie kwestionował przy innych jego decyzji.

Puszczając żart mimo uszu, Krasus zwrócił się do Malfuriona:

– Musimy ruszać. Jeśli podprowadzimy parę nocnych panter w stronę obozu uchodźców, żołnierze nie zwrócą na nas uwagi. Potem możemy go okrążyć i skierować się w stronę lasu. A potem musimy się modlić, żeby twój patron przyszedł nam z pomocą.



Nie zwlekając zostawili towarzyszy, biorąc sobie do serca sugestie starszego maga. Żołnierze przyglądali się im z pewną podejrzliwością i zaciekawieniem, ale ponieważ nie kierowali się w stronę frontu, szybko stracili zainteresowanie dwójką jeźdźców.

Malfurion wciąż nie miał przekonania do misji Krasusa, ale nie kwestionował decyzji czarodzieja. Szanował jego mądrość i wiedział, że Krasus rozumie smoki lepiej niż ktokolwiek, kogo znał. Czasem wydawał się nawet być jednym z nich. W przeszłości Krasus musiał z pewnością

mieszkać przez pewien czas wśród tych prastarych istot. Jak inaczej wytłumaczyć więź łączącą go z lewiatanami?

Dotarcie do lasu zajęło im prawie trzy godziny. Ale tym razem Malfurion nie doznał ulgi, jaką przyniósł mu poprzedni pobyt w kniei. Puszcza została skażona przez Legion. Gdyby nie nagła szarża obrońców pewnie by już nie istniała.

Pomimo bliskości zagrożenia życie wciąż bujnie tu kwitło. Ptaki śpiewały, a drzewa przekazywały sobie wieść o nowych przybyszach. Szelest liści przybierał na sile zwłaszcza wtedy, gdy podchodził do nich Krasus, zupełnie jak gdyby puszcza też wyczuwała jego odmienność. Witały też oczywiście nocnego elfa, zauważając otaczającą go aurę i błogosławieństwo Cenariususa.

Ale druid nie wyczuwał nawet śladu obecności półboga. Cenarius miał pełne ręce roboty, przede wszystkim starał się przekonać inne bóstwa, żeby wzięły czynny udział w zorganizowanej obronie ich świata. Jak w takim razie mógł liczyć na to, że leśny bóg znajdzie czas, aby odpowiedzieć na jego wezwanie?

– Ta ziemia dość już wycierpiała - rzekł jego towarzysz. - Wyczuwam zło, które tu wkroczyło.

– Ja również. Krasusie, nie wiem, czy Cenarius mnie tu usłyszysz.

– Mogę cię tylko prosić, żebyś spróbował się z nim skontaktować, Malfurionie. Jeśli ci się nie uda, nie będę miał pretensji. Będzie mi musiała wystarczyć nocna pantera, choć to znacznie spowolni moją podróż.

Dotarli do miejsca w głębi kniei, gdzie druid poczuł większy spokój. Poinformował o tym Krasusa i obaj zeskoczyli na ziemię.

– Mam cię zostawić samego? - zapytał mag.

– Jeśli Cenarius postanowi przybyć, zrobi to, nawet jeśli będziesz przy mnie, mistrzu Krasusie.

Malfurion usiadł wśród miękkiej, dzikiej trawy. Krasus stanął z szacunkiem z boku, aby nie przeszkadzać druidowi.

Zamknawszy oczy, Malfurion skoncentrował się. Sięgnął najpierw ku drzewom, roślinom i zwierzętom, szukając wśród nich śladów niedawnej obecności półboga. Jeśli Cenarius tu był, wkrótce się o tym dowie.

Ale las milczał. Sfrustrowany druid zaczął rozważać inne opcje. Niestety tylko Szmaragdowy Sen umożliwił mu natychmiastowy kontakt ze swoim *shan'do*.

Tego się właśnie obawiał. Wydychając powietrze, Malfurion skupił się na eterycznej krainie. Nie musiał do niej wkraczać, a jedynie musnąć jej skraj. Wtedy będzie mógł posłać swoje myśli Cenariusowi. Nawet tego typu kontakt napawał Malfuriona niepokojem, ale nie miał innego wyjścia.

Poczuł, że zaczyna się oddzielać od swojej śmiertelnej powłoki. Ale zamiast pozwolić, by tak się stało, druid zatrzymał się w połowie drogi. Okazało się to bardziej wyczerpujące niż przypuszczał, ale nie zamierzał pozostać długo w tym stanie. Wyobraził sobie postać Cenariususa, tworząc w ten sposób połączenie...

Ze skupienia wytrącił go nagle czyjś głos.

– Malfurionie! Nie jesteśmy sami!

Nagły powrót do własnego ciała wstrząsnął druidem. Oszołomiony, przez chwilę mógł tylko siedzieć z otwartymi oczyma... patrząc na piekielną bestię mknącą w jego stronę.

Ktoś wymruczał słowa mocy i obmierzły ogar skurczył się w sobie. Bestia zwinęła się i skręciła, stając się groteskową miazgą kości i ścięgien.

Krasus złapał elfa za ramiona i dźwignął go z ziemi z zaskakującą siłą.

– Czy jesteś już w stanie się bronić? - zapytał starszy mag.

Druid nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle w lesie zaroilo się nie tylko od demonicznych ogarów, ale i rogatych piekielnych gwardzistów. Mieli nad

dwoma czarodziejami przynajmniej dziesięciokrotną przewagę liczebną. Wierzchowce towarzyszy, przywiązane do drzewa, parskały i szarpały wodze, ale nie były w stanie się uwolnić. Demony nie zwracały na nie jednak uwagi - ich celem musieli być mag i druid.

Krasus zakreślił wokół nich niewidzialną linię, wypowiedział kolejny krótki czar. Z ziemi wyrosły kryształowe szpikulce wysokości nocnego elfa.

Trzej piekielni gwardziści nadziali się na kolce. Jedna piekielna bestia zawyła, gdy któryś ze szpiców oderwał jej kawałek chrap.

Szybka akcja Krasusa dała Malfurionowi czas na zastanowienie się. Popatrzył na drzewa stojące najbliżej atakujących demonów i poprosił je o pomoc.

Grube, okryte listowiem konary sięgnęły w dół, chwytając czterech potwornych wojowników. Wciągnęły demony tak wysoko, że te zniknęły im z oczu. Malfurion nie widział, co się stało z ofiarami, ale już więcej się nie pojawiły.

Inne drzewa wysunęły po prostu gałęzie, tarasując drogę atakującym demonom. Jedna piekielna bestia potknęła się i poleciała na łeb na szyję. Kolejna miała jeszcze mniej szczęścia i skręciła kark, zderzając się z niespodziewaną przeszkodą.

Mimo to wokół nich wciąż roiło się od demonów, głównie ogarów śliniących się żarłocznie na widok dwóch uwieczonych magów.

Choć atak Malfuriona okazał się nader skuteczny, demony jak gdyby bardziej obawiały się Krasusa - i nie bez powodu. Mag, który znał tajniki swojej sztuki znacznie lepiej niż nocny elf, rzucał zaklęcie za zaklęciem z wyjątkową bezwzględnością. Zupełnie nie przypominał wymizerowanej postaci, jaką był, gdy spotkali się po raz pierwszy. To prawda, Krasus działał pod wielką presją, ale nie wahał się ani przez chwilę.

Przez las przetoczył się echem trzask przypominający huk gromu. Krasus złapał się za gardło, wokół którego owinęła się cienka, płomienna macka, zaciskając się jak pętla. Obalony na ziemię, zaczął sunąć w stronę kolców, które sam stworzył.

Ośmieliwszy się spojrzeć przez ramię, nocny elf zobaczył postać równie przerażającą jak Archimond - wielkiego, rogatego kościotrupa o płomiennych ślepiach osadzonych w nagiej czaszce, który przyciągał ku sobie Krasusa przerażającym biczem. Nowoprzybyły był wyższy od innych demonów, a po sposobie, w jaki się przed nim rozstąpiły, Malfurion odgadł, że jest ich dowódcą.

Druid zerwał kilka źdźbeł trawy, rzucił nimi w stronę złowrogiego bata. Źdźbła zawirowały w locie, wgrzyły się w bicz niczym dobrze zaostrzone noże. W końcu jedno z nich zdołało go przeciąć.

Krasus padł na kolana, łapiąc spazmatycznie powietrze i usiłując odplątać koniec rzemienia. Demon zatoczył się kilka kroków w tył, ale zdołał utrzymać równowagę. Wzniósł to, co zostało z bicia, ale tym razem zamierzył się na druida.

Otoczony przez demony, pozbawiony wsparcia obezwładnionego towarzysza, Malfurion nie wierzył, że wyjdzie z tego cało. On i Krasus nie tylko narazili się na atak ścigających ich demonicznych zabójców, ale tym razem ich dowódca przybył dopilnować, żeby żaden z nich nie ocalał. Jarod nie przyjdzie im z pomocą. Tylko Rhonin i Brox wiedzieli o ich wyjeździe, ale obaj zakładali, że nic im się nie stanie. Wszyscy byli w błędzie.

Jednak ku jego zaskoczeniu demon nie od razu ponowił atak. Zamiast tego wysyczał:

– Poddaj ssię, ssstworze, a zossstaniesz oszczędzony! Przysssięgam ci w imieniu mojego czcigodnego pana, Sssargerassa! To twoja jedyna szansssa...

Krasus zakaszlał, usiłując odchrząknąć.

– P...poddać się Płonącemu Legionowi t...to los znacznie gorszy niż najstraszliwsza śmierć! Musimy walczyć, nawet jeśli czeka nas klęska, Malfurionie!

Ponure wspomnienie spotkania z Archimondem sprawiło, że nocny elf był tego samego zdania. Potrafił sobie wyobrazić, jaki los czeka jeńców, zwłaszcza tych, którzy odegrali do tej pory ważną rolę w udaremnieniu planów Legionu.

– Nigdy się nie poddamy!

Płomienne ślepie zapłonęły, demon strzelił cztery razy z bicia. Za każdym razem, gdy uderzał nim o ziemię, hukowi towarzyszyła błyskawica. Przed demonem pojawiły się nagle wielkie kształty. Przy każdym trzaśnięciu z bata materializował się kolejny piekielny ogar.

– W takim razie nakarmię wami moich pupilów! Krasus wparł stopy w ziemię i wbił wzrok w dowódcę demonów, mrużąc groźnie oczy.

Ale kościotrupi rycerz był przygotowany na jego atak. Zawinął nad głowę biczem, otaczając się mgiełką. Mgła roziskrzyła się nagle, jak gdyby coś zderzyło się z nią i wybuchło.

Malfurion zmełł w ustach przekleństwo. Ich przeciwnik poradził sobie z łatwością z potężnym zaklęciem.

– Tego się obawiałem - mruknął Krasus. - To Łowczy. Hakkar!

Malfurion chętnie dowiedziałyby się od Krasusa, co o nim wie, ale w tej samej chwili pozostałe potwory znów rzuciły się do ataku. Kolce stanowiły pewną ochronę przed nimi, ale demony zaczęły je szarpać, targać i rwać pazurami. Zza pleców usłyszeli śmiech ich przywódcy przypominający syk setki żmij.

Ale kiedy pierwszy piekielny gwardzista przedarł się przez barierę, ze wszystkich stron nadszedli wojownicy dosiadający nocnych panter, które

rozszarpały część demonów, zanim te w ogóle zauważyły, że zostały zaatakowane. Nowoprzybyli atakowali z pieśnią na ustach.

Malfurion westchnął, dostrzegając dopiero teraz, iż nie są to żołnierze Jaroda Shadowsonga. Ich pancerze były bardziej srebrzyste i - przyjrzał im się dwukrotnie - dopasowane do bardziej kobiecych sylwetek. Pieśń, którą usłyszał, sławiła Nocną Wojowniczkę, straszliwe bitewne wcielenie Księżycowej Matki.

Siostry Elune przybyły im z odsieczą.

Malfurion po raz pierwszy zobaczył ciche, łagodne kapłanki w ich wojennym żywiole. Wiele z nich dzierżyło długie, zakrzywione szable, inne krótkie lance zakończone ostrzami na obu końcach. Kilka miało nawet krótkie łuki, z których ciskały w nieprzyjaciela strzałami.

Sytuacja na polu bitwy uległa drastycznej zmianie. Naszpikowane grotami piekielne bestie padały jak muchy. Jedna z kapłanek zamachnęła się mieczem, z wprawą godną żołnierza odrąbując łeb rogatemu wojownikowi. Dwie nocne pantery spadły na kolejnego ogara, szarpiąc go z dwóch stron pazurami, aż zostało z niego krwawe truchło.

Wśród tych groźnych postaci gromiących demony druid rozpoznał Tyrande.

Zanim zdążył ją zawołać, jeden z demonów spróbował go przyszpilić. Wysoki piekielny gwardzista byłby go nadział, gdyby nie szybki refleks druida. Nocny elf przetoczył się w bok i rzucił zakłęcie.

Ziemia pod stopami przeciwnika zmieniła się w mokrą piaszczystą breję. Piekielny gwardzista zapadł się po pas, ale zdołał utrzymać się na powierzchni. Wolną ręką drapał twardy grunt, próbując się wygramolić.

Malfurion nie pozwolił mu na to. Kopniakiem wytrącił klingę z ręki demona i pobiegł za nią. Potworny wojownik skręcił się w pasie, próbując podciąć mu nogi. Malfurion pośliznął się, złapany za jedną stopę przez

wroga. Chwycił rękojeść miecza w chwili, w której demon zaczął go wlec w stronę ruchomych piasków.

Zamachnąwszy się z całej siły, zatopił ostrze w łbie stwora.

Kiedy demon zapadał się powoli w bagno, Malfurion odkrył, że nie wszystkim idzie równie dobrze. Siostry miały wciąż przewagę, ale kilku groziło poważne niebezpieczeństwo. Kiedy się prostował, jedną zdarł z siodła piekielny ogar, przegryzając jej szyję, jak gdyby to był jedwab. Następna siostra spadła na ziemię, gdy demon wraził miecz w otwartą paszczę jej nocnej pantery, tak że ostrze wyszło między łopatkami zwierzęcia. Drugi wojownik dobił kapłankę zaraz potem.

Ale najbardziej przeraził go widok Tyrande. Zajęta walką z jednym z piekielnych gwardzistów, nie widziała Łowczego ani jego bicza.

Bat powinien był owinąć się wokół jej szyi, ale pantera targnęła się i przycisnęła jej tylko ramiona do boków. Kościotrupi rycerz szarpnął mocno, ściągając elfkę z grzbietu wierzchowca, jak gdyby opancerzona postać była lekka jak piórko.

– Nie! - zawołał Malfurion, rzucając się w jej stronę.

Krasus, będący właśnie w trakcie rzucania czarą, złapał go za ramię.

– Druidzie, jesteś bezpieczniejszy tutaj...

Ale nocny elf myślał tylko o Tyrande. Zapominając o wszystkim, czego się nauczył, pobiegł przez pole bitwy. Kiedy znalazł się wystarczająco blisko, skoczył... ale nie ku przyjaciółce z dzieciństwa.

Ogromna postać Łowczego nie ugięła się pod ciężarem Malfuriona, ale udało mu się ją zdekoncentrować. Bicz oplatający ramiona kapłanki poluzował splot i elfka wylądowała miękko na ziemi.

– Głupcze! - warknął Łowczy, łapiąc druida za ramię. - Jesstem Hakkar... a ty jesssteś niczym.

Nie zauważył sztyletu, który Malfurion wyciągnął zza pasa. Niewielkie ostrze wbiło się w wewnętrzną stronę łokcia demona.

Hakkar wypuścił elfa ze skowytem. Wyrwał z rany sztylet, którego ostra klinga pokryta była gęstą posoką, ale zamiast użyć go przeciwko Malfurionowi, Łowczy odrzucił go w bok i podniósł z ziemi bicz. Ruszył w stronę wstającego druida, unosząc rękę.

– Rozkazał, jeśli to możliwe, zachować cię przy życiu... myślę, że nie będzie to możliwe...

Hakkar strzelił z bata. Malfurion wrzasnął, przeszyty błyskawicą bólu. Miał wrażenie, że jest palony żywcem.

Ale choć cierpiał, zachował spokój. Czerpiąc z nauk Cenariususa, stopniowo zapominał o bólu. Ogień smagnięcia powoli przygasał. Łowczy smagnął go jeszcze dwa razy, ale druid czuł tylko lekkie podmuchy wiatru.

Malfurion zdawał sobie sprawę, że choć nie odczuwa bólu, jego ciało zostanie zmasakrowane. Nauki jego *shan'do* pozwalały mu się tylko bronić... a i to było wątpliwe.

– Może jednak nie pozwolę ci ssszczęnać - zaszydził Hakkar, ponownie strzelając z bata. - Zosstawię w tobie issskierkę życia, tak by on mógł cię torturować. Właśnie tak...

Przerażający olbrzym uniósł bicz.

Malfurion uciekł wzrokiem ku niebu. Pokrywa chmur dawała mu największe szanse, a Łowczy paradoksalnie dopomógł elfowi w dokonaniu wyboru.

Pierwszy przyszedł mu z pomocą wiatr, spędzając chmury w jedno miejsce. Nie lubiły, gdy się im w ten sposób zakłóca spokój, i w gniewie szybko stały się czarne. Choć było to wbrew jego naturze, Malfurion podsycił ich wściekłość, a potem wykorzystał próżność, wskazując im tego, który władał własną błyskawicą i jeszcze się z tym obnosił.

Chmury zagrzmiały, zatrzęsły się.

W dół strzeliła błyskawica, podwójny piorun, który uderzył prosto w demona.

Hakkar zaryczał z bólu tak głośno, że każda kość w ciele Malfuriona zadrżała. Łowczy stał w słupie jaskrawego blasku, z rozpostartymi ramionami, jak gdyby chciał objąć to, co go zabijało. Bicz, czarny od spalenizny, wypadł z jego trzęsącej się dłoni.

Wszędzie dookoła piekielne bestie stawały jak wryte i zaczynały żałośnie wyć.

W końcu niebiańska światłość przygasła... i spopielony trup władcy demonów zwałił się bezwładnie na trawę.

Potworne ogary znów zawyły, a potem ich ciała rozjarzyły się tak jak wtedy, gdy zostały wezwane. Zniknęły równocześnie, choć ich skowyt wciąż unosił się w powietrzu.

Bez wsparcia Hakkara i jego pupili pozostałe demony nie stawiały większego oporu. Kiedy ostatni padł martwy, Malfurion pokuśtykał w stronę Tyrande.

Siedziała na ziemi, wciąż nieco oszołomiona. Ale kiedy go zobaczyła, na jej twarzy zagościł cudowny uśmiech, który sprawił, że druid zupełnie zapomniał o bólu.

– Tyrande! To prawdziwy cud...

– To nie żaden cud, Malfurionie. Uzdrowiony uchodźca opowiedział mi o piekielnej bestii na tyłach armii. Opisał też dźwięk, który skojarzył mi się z przywódcą demonów. - Rzuciła okiem na to, co zostało z Hakkara. - Chciałam ostrzec ciebie i pozostałych, ale powiedzieli mi, że już ruszyliście w tę stronę. Być może przemówiła przeze mnie sama Elune, ale byłam pewna, że grozi wam niebezpieczeństwo.

– Więc poprosiłaś o pomoc siostry. Widziałem niewielu żołnierzy, którzy walczyliby lepiej od was.

Znów obdarzyła go uśmiechem, tym razem zmęczonym, ale pełnym satysfakcji.

– Osoby z zewnątrz często nie rozumieją świątynnych zwyczajów. - Wyraz jej twarzy spoważniał. - Dobrze się czujesz?

– Tak... ale obawiam się, że nasza wycieczka w te lasy na nic się nie zdała. Miałem nadzieję, że uda mi się nawiązać kontakt z Cenariusem, a ten dostarczy czarodziejowi jakiegoś wierzchowca, który będzie w stanie zanieść go do krainy smoków.

– Rhonin i Brox wspominali o tym, ale nie mogłam w to uwierzyć. Czy on naprawdę wierzy, że uda mu się z nimi spotkać?

Druid zerknął na Krasusa, któremu dwie siostry pomogły właśnie wstać. Tak jak tylu innych traktowały go z czcią, choć same nie były pewne dlaczego. Mag ruszył z zafrasowaną miną w stronę miejsca, gdzie leżał Łowczy.

– Widzisz go. Ty też to wyczuwasz, Tyrande. Myślę, że jest do tego zdolny, jeśli tylko uda mu się dotrzeć do ich krainy.

– Ale jeśli nie zanieś go tam smok, jak zdąży tam dotrzeć na czas?

– Nie wiem. Ja... - Na dwójkę elfów padł cień. Malfurion podniósł wzrok i wyraz beznadziei na jego twarzy ustąpił zachwytowi.

Okrażyły drużynę trzy razy, zanim opadły na ziemię z dala od najbliższej nocnej pantery. Koty syczały, ale nie próbowały atakować przybyszów, może dlatego, że same nie wiedziały, co o nich myśleć.

Z powodu wielkich, pierzastych skrzydeł i kruczych głów na pierwszy rzut oka przypominały czarne jak noc gryfy. Nawet przednie łapy miały pokryte łuską i zakończone szponami. Był to jednak koniec podobieństw.

Zamiast lwiego tułowia i tylnych łap dwa stwory miała ciała koni, a nawet grube końskie ogony.

– Hipogryfy! - zawołał Krasus. Wyraz zatroskania na jego twarzy zastąpiony został przez głębokie zadowolenie. - Szybkie i pewne. Cenarius nie mógł dokonać lepszego wyboru.

Tyrande wcale nie wyglądała na zachwyconą.

– Ale są aż dwa.

Mag i Malfurion popatrzyli na siebie, dopiero teraz pojmując, dlaczego Cenarius wysłał więcej niż jednego wierzchowca.

– Wygląda na to, że mam lecieć z Krasusem - odparł druid.

Chwyając Malfuriona za ramię, Tyrande wybuchła:

– Nie, Malfurionie! Nie tam!

– Władca lasu miał swoje powody - wtrącił się Krasus. - Druid będzie potrafił pokierować hipogryfami, a więź łącząca go z Cenariusem zapewni mu poważanie u królowej czerwonych smoków, Alexstraszy... Tej, Która Jest Życiem.

Kapłanka popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem, ale Malfurion musiał się zgodzić.

– On ma rację. Muszę z nim lecieć. Wybacz mi, Tyrande. - Powodowany impulsem, uścisnął ją. Tyrande zawahała się, a potem odwzajemniła uścisk. Malfurion popatrzył na nią i dodał: - Obawiam się, że będziesz musiała pomóc Rhoninowi i Broxowi wytłumaczyć naszą nieobecność. Zrobisz to dla mnie?

W końcu pogodziła się z nieuniknionym.

– Oczywiście. Powinieneś znać mnie na tyle dobrze.

Hipogryfy zaskrzeczały, jak gdyby chciały już ruszać w drogę. Krasus szybko dosiadł jednego z nich, a Malfurion wspiął się na grzbiet drugiego, nie spuszczając wzroku z Tyrande.

Łapiąc go za nadgarstek, elfka zaczęła coś szeptać. Dopiero po chwili obaj jeźdźcy zrozumieli, że Tyrande udziela druidowi błogosławieństwa Elune.

– Bądźcie ostrożni - zakończyła cicho. - I wróc cały i zdrowy... dla mnie.

Druid przełknął ślinę, nie będąc w stanie wydusić ani słowa. Krasus zakończył tę niezręczną sytuację, delikatnie dźgając swojego hipogryfa piętami w zebra. Bestia zaskrzeczała, a potem obróciła się, gotując do lotu. Wierzchowiec Malfuriona instynktownie poszedł w jej ślady.

– Bywaj i dziękujemy, Tyrande - zawołał. - Wkrótce wrócę.

– Trzymam cię za słowo, Mal.

Uśmiechnął się, słysząc to dziecinne zdrobnienie, ale zaraz musiał się mocno chwycić hipogryfa, który wzbił się w powietrze w ślad za swoim towarzyszem.

– Podróż będzie długa - krzyknął Krasus - ale nie aż tak długa, dzięki podarunkowi półboga!

Malfurion kiwnął głową, ale jego uwagę zaprzętało coś innego. Wpatrywał się w malejącą postać w dole. Patrzył, jak odprowadza go wzrokiem, aż w końcu zupełnie stracił ją z oczu.

Ale nawet wtedy wpatrywał się w miejsce, w którym stała, w głębi serca wiedząc, że Tyrande robi dokładnie to samo.

JEDENAŚCIE



Demony nie przegrupowały się i nie zaatakowały ponownie, co nocne elfy uznały za dobry znak, nawet jeśli Rhonin i Brox byli odmiennego zdania. Ravencrest pozwolił swoim żołnierzom odpocząć jeszcze jeden wieczór, a choć obaj przybysze zgadzali się, że wypoczynek jest im potrzebny, wiedzieli też, że Płonący Legion nie będzie przez ten czas próżnował. Archimond knuł intrygi i snuł plany w każdej sekundzie zwłoki obrońców.

Zniknięcie Krasusa i Malfuriona nie zostało dobrze przyjęte. Jarod wyglądał, jak gdyby szedł na ścięcie, i miał ku temu powody. Odpowiadał za to, by rozpaczliwie potrzebnym czarodziejom nawet włos nie spadł z głowy, a okazało się, że niektórzy z nich odłączyli się od armii, uciekając mu sprzed samego nosa.

– Lord Ravencrest obedrze mnie za to ze skóry! - powtarzał były oficer gwardii, idąc wraz z pozostałymi w stronę namiotu szlachcica. Wcale nie pocieszał go fakt, że Tyrande, która właśnie wróciła z lasu, gdzie pożegnała Krasusa i Malfuriona, uparła się pomóc mu w wyjaśnieniu całej sytuacji. Był pewien, że zostanie ukarany najsurowiej jak można za to, że pozwolił tak cennym członkom armii po prostu ją opuścić.

I rzeczywiście, początkowo wszystko wskazywało na to, że brodaty starzec spełni jego obawy. Po usłyszeniu wieści, lord Ravencrest zaryczał wściekle i przewrócił niewielki stolik, na którym trzymał przeróżne mapy i notatki.

– Nie zezwoliłem na takie głupie pomysły! - krzyczał pan Gawroniej Twierdzy. - Postępując w tak oburzający sposób narażają nasze siły na destabilizację! Gdyby rozeszły się wieści, że dwóch magów opuściło nas w chwili próby...

– Nikogo nie opuścili - zaprotestował Rhonin. - Polecieli po pomoc.

– Czyją? Smoków? Ci dwaj mogliby równie dobrze wparadować do pyska pierwszego smoka, którego zobaczą, oto cała pomoc, jakiej możemy się spodziewać ze strony tych istot! Ulubieniec czarodzieja bardzo się nam przysłużył, ale dzikie smoki...

– Smoki są najstarszą i najinteligentniejszą rasą w naszym świecie. Wiedzą więcej, niż my się kiedykolwiek nauczymy.

– I prędzej nas pożrą, nim dadzą nam szansę! - odparował Ravencrest. Spojrzał na Tyrande i przemówił tonem, w którym było trochę więcej szacunku: - A jaką rolę odegrała w tym wszystkim Siostra Elune?

– Spotkaliśmy się już kiedyś, panie.

Przyjrzał się jej uważniej.

– Aaa tak! Oczywiście! Twoja przyjaciółka, Illidanie!

Czarodziej, który stał w milczeniu obok niego, kiwnął głową. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Ravencrest skrzyżował ramiona na piersi.

– Miałem nadzieję, że przynajmniej wy dwoje będziecie mieć wpływ na młodego Malfuriona. Wiem, że nikt, absolutnie nikt nie śmie rozkazywać mistrzowi Krasusowi.

– Malfurion miał zamiar wrócić - odparła kapłanka - ale jego patron dał mu do zrozumienia, że powinien towarzyszyć czarodziejowi.

– Patron? Masz na myśli te banialuki o półbogu Cenariusie?

Tyrande zasznurowała usta.

– Illidan może potwierdzić istnienie władcy lasu.

Bliźniak Malfuriona, na którego twarzy odbiły się wreszcie jakieś uczucia, wymamrotał:

– To prawda. Cenarius istnieje naprawdę. Widziałem go.

– Hhhmph. Smoki, a teraz półbogowie. Otacza nas tyle mocy i magii, a jednak tracimy siły, zamiast je zyskiwać! Przypuszczam, że ten Cenarius też ma swoje powody, żeby nie stawać po naszej stronie!

– On i jemu podobni walczą z demonami na swój własny sposób.

– A skoro już mowa o demonach, czy żadnemu z tych głupców nie przyszło do głowy, że wciąż grozi im niebezpieczeństwo ze strony siepaczy Legionu? A co, gdyby zostali zaatakowani, zanim... - Ravencrest urwał, widząc, że towarzysze spoglądają po sobie. - Zostali zaatakowani?

Kapłanka pochyliła głowę.

– Tak, mój panie. Byłam tam ja i moje siostry. Pomogłyśmy im pokonać demony. Żadnemu z magów nic się nie stało.

Stojący obok niej Jarod skrzywił się, a Illidan pokręcił głową z irytacją. Ravencrest odetchnął głęboko, po czym opadł na krótką ławę, której używał jako krzesła. Chwycił otwartą butelkę wina, wypił kilka głębszych łyków i wychrypiał:

– Opowiedz mi o tym.

Tyrande najpierw opowiedziała o tym, jak odkryła zabójców na tyłach armii, a potem o przerażeniu, jakie ogarnęło ją na wieść, że Malfurion i Krasus odjechali już ku lasom. Ona i jej siostry popędziły za nimi i odnalazły ich w samym środku zaciętej walki. Kapłanki zaatakowały, w

pełni świadome, że ryzykują własnym życiem, i kilka zginęło, ale wszystkie czuły, że Krasus i druid stanowią klucz do zwycięstwa. Żadne poświęcenie nie było zbyt wielkie, aby ich ocalić.

W tym momencie Illidanowi wyrwało się coś w rodzaju prychnięcia, ale Ravencrest sprawiał wrażenie żywo zainteresowanego opowieścią. Przysłuchiwał się uważnie szczegółom bitwy, a kiedy Tyrande wspomniała o demonie z biczem, zabłysły mu oczy.

– Jeden z głównodowodzących, na pewno przywódca zabójców - zauważył.

– Tak wyglądał. Był potężny, ale Malfurion przywołał z nieba błyskawicę i zabił go.

– Doskonale! - Szlachcic sprawiał wrażenie rozdartego między podziwem a irytacją. - I właśnie dlatego przynajmniej druid powinien być do nas wrócić! Potrzebujemy jego mocy.

– Księżycowa Gwardia i ja zastąpimy go - upierał się Illidan.

– Będziecie musieli, magu, będziecie musieli. - Ravencrest odstawił butelkę i spojrzał na towarzyszy, zwłaszcza Rhonina. - Czy dasz mi swoje słowo, czarodzieju, że nie pójdziesz w ślady swojego towarzysza?

– Pragnę, aby Płonący Legion został pokonany, lordzie Ravencrest.

– Hhhmph! To nie jest zadowalająca odpowiedź, ale spodziewałem się takiej po osobie twojego pokroju. Kapitanie Shadowsong...

Przełykając ślinę, młody nocny elf wyszedł naprzód i zasalutował.

– Tak, panie!

– Początkowo chciałem cię srogo ukarać za nie upilnowanie magów. Jednak im więcej się o nich dowiaduję, tym mniej potrafię sobie wyobrazić kogoś, kto byłby do tego zdolny. Fakt, że tak długo udawało ci się utrzymać ich całych i zdrowych, poczytuję ci za zasługę. Wypełniaj dalej swojej obowiązki, to jest o ile będziesz miał kogo pilnować.

Znaczenie tych słów dotarło do Jaroda dopiero po chwili. Kiedy zrozumiał, że szlachcic tak naprawdę pochwalił go za to, że udało mu się wytrzymać z czarodziejami, znów zasalutował.

– Tak, panie! Dziękuję ci, panie!

– Nie... to ja ci współczuję. - Ravencrest nachylił się do przodu, sięgając po jedną z map. - Jesteście wolni, wszyscy. Ty też, Illidanie. - Potrząsnął głową, przyglądając się mapie i mrużąc: - Księżycowa Matko, chroń mnie przed czarodziejami...

Brat Malfuriona poczuł się tak, jak gdyby dostał w twarz rękawicą. Pochylił głowę w ukłonie i wyszedł za pozostałymi z namiotu dowódcy.

Brox i Rhonin szli w milczeniu obok siebie. Tyrande szła z kapitanem, który wciąż nie mógł uwierzyć, że nadal ma głowę na karku.

Kapłanka poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

– Tyrande...

Odwróciła się do Illidana, pozwalając pozostałym odejść. Z twarzy elfa zniknęła już złość spowodowana bezceremonialną odprawą. Teraz pojawiło się na niej intensywne skupienie, takie samo jak wtedy, gdy rozmawiali poprzednim razem.

– Illidanie? Co się...

– Nie mogę już dłużej milczeć! Zmusza mnie do tego niewiarygodna wręcz naiwność Malfuriona! Ale tego już za wiele! Stał się lekkomyślny, nie zasługuje na ciebie!

Delikatnie spróbowała się odsunąć.

– Illidanie, to był długi, trudny...

– Wysłuchaj mnie! Przyjąłem do wiadomości wybór druidyzmu, ponieważ wiedziałem, że chce być inny. Nikt nie rozumie lepiej niż ja ambicji mojego brata!

– Malfurion nie jest...

Ale znów nie pozwolił jej dokończyć.

– Ścieżka, którą kroczy, jest chaotyczna, niebezpieczna! - wykrzyknął, a jego bursztynowe oczy zapłonęły. - To nic dobrego! Powinien był podążać tą samą drogą co ja! Odpowiedzią jest Studnia! Zobacz, ile osiągnąłem w tak krótkim czasie! Rozkazuję Księżycowej Gwardii i za jej pomocą posłałem wiele demonów na śmierć! Droga Malfuriona wiedzie go ku jego własnej zgubie... a możliwe, że i twojej!

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wiem, że nie jesteśmy ci obojętni, Tyrande, i my też żywimy wobec ciebie pewne uczucia. Jeden z nas zostanie ci przyobiecany, wszyscy o tym wiemy, lecz choć kiedyś miałem zamiar usunąć się na bok i pozwolić ci zdecydować, teraz nie mogę! - Ścisnął mocniej jej ramię. - Muszę cię chronić przed szaleństwem Malfuriona! Powtarzam jeszcze raz: Studnia Wieczności jest jedynym prawdziwym źródłem mocy, które może nas ocalić! Nawet kapłanki Elune nie potrafią rzucać zaklęć, jakie ja znam! Zostań moją, a ja cię ochronię! To nie wszystko, mogę nauczyć cię tego, czego nie nauczyła cię świątynia, pomogę ci zrozumieć, jaką moc może zaoferować ci Studnia! Razem możemy być siłą potężniejszą od całej Księżycowej Gwardii razem wziętej, będziemy bowiem jednym duchem i ciałem! Razem...

– Illidanie! - przerwała mu gwałtownie. - Opamiętaj się!

Natychmiast ją puścił. Minę miał taką, jak gdyby ugodziła go w samo serce.

– Tyrande...

– Illidanie, to, co mówisz o swoim bracie, przynosi ci wstyd, wyciągasz wnioski nie mające oparcia w faktach! Malfurion zrobił wszystko, co w jego mocy, by nas uratować, a jego wybór ma wielką wartość! To on może

nas ocalić, Illidanie! Studnia została skażona! Demony czerpią z niej w taki sam sposób jak ty. O czym to świadczy?

– Nie bądź śmieszna! Porównujesz mnie do demonów?

– Malfurion...

– Malfurion! - krzyknął z jeszcze bardziej ponurą miną. - Teraz wszystko rozumiem! Jakim głupcem, jakim błaznem muszę ci się wydawać! - Zacisnął pięść, z której trysnęła surowa energia. - Ty już wybrałaś, Tyrande, nawet jeśli to ukrywałaś.

– Nic podobnego!

– Malfurion... - powtórzył Illidan, zaciskając zęby. - Życzę wam obojgu szczęścia... o ile przeżyjemy.

Obrócił się i ruszył w stronę miejsca, gdzie stacjonowała Księżycowa Gwardia. Tyrande odprowadziła go wzrokiem. Po policzku spłynęła jej nieproszona łza.

– Szamanko? - usłyszała zza pleców.

Kapłanka podskoczyła.

– Broxigar?

Ork kiwnął poważnie głową.

– Skrzywdził cię, szamanko?

– N-nie... to tylko nieporozumienie.

Brox popatrzył za odchodzącym Illidanem. Z ust wojownika wyrwał się niski pomruk.

– Ten elf niewiele rozumie... i jeszcze mniej potrafi uszanować.

– Nic mi nie jest. Życzysz sobie czegoś?

– Nie - odparł ork, wzruszając ramionami.

– Wróciłeś, bo zostałam z Illidanem, prawda?

– Twój niegodny sługa wiele ci zawdzięcza, szamanko... a temu elfowi jest coś winien.

Kapłanka zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

Brox poruszył palcami, tym samymi, które Illidan kiedyś poparzył.

– To nic takiego, szamanko, nic takiego.

– Dziękuję, że przyszedłeś mi z pomocą, Broxigarze. Nic mi nie będzie... Malfurionowi również. Jestem tego pewna.

Ork chrząknął.

– Twój pokorny sługa ma taką nadzieję.

Ale wciąż nie spuszczał oczu z Illidana.



Rhonin przystanął, obserwując orka i kapłankę. Doskonale rozumiał, dlaczego Brox nagle zawrócił, aby porozmawiać z elfką. Uczucia Illidana wobec niej zaczynały graniczyć z obsesją. Czarodziej wcale nie obawiał się o życie brata i z tego, co człowiek zdążył zaobserwować, próbował wykorzystać nieobecność Malfuriona, aby poprawić swoje notowania u Tyrande.

Ale skomplikowane relacje trójki nocnych elfów był najmniejszym z jego zmartwień. Bardziej niepokoiło go to, czego dowiedział się o ataku w lesie. Choć poczuł ulgę na wieść, że Krasus i druid ocaleli, ich zwycięstwo wyprowadziło go z równowagi bardziej niż cokolwiek innego od chwili przybycia w te czasy.

Walczyli z Hakkarem, Łowczym. Imię to napełniało Rhonina zgrozą, gdyż plugawy demon potrafił przywołać za pomocą swego bicza dowolną liczbę piekielnych ogarów, wrogów każdego czarodzieja. Ilu dalarańskich magów zginęło straszną śmiercią z ich powodu podczas drugiej wojny z

Legionem? Tak. Sam dźwięk imienia Łowczego napawał Rhonina zgrozą, ale było coś, czego bał się jeszcze bardziej.

Bał się śmierci Hakkara, tutaj, w przeszłości.

Łowczy zginął w przyszłości. Demon przeżył wojnę z nocnymi elfami. Ale nie tym razem. Tym razem Hakkar został zabity... co oznaczało, że teraz przyszłość już na pewno potoczy się inaczej. Co oznaczało, że ta pierwsza wojna, pomimo unicestwienia bardzo potężnego demona, może zakończyć się klęską.



Hipogryfy szybowały wysoko nad ziemią, skracając dystans każdym ciężkim uderzeniem wielkich skrzydeł. Choć nie latały tak szybko jak smoki, niewiele istot dorównywało im chyżością. Te stworzenia urodziły się, by latać, i Krasus wyczuwał podniecenie, z jakim mknęły nad wzgórzami, rzekami i lasami.

Stworzony do podniebnych lotów smoczy mag wystawił twarz do wiatru, rozkoszując się doznaniem niedostępnymi mu z powodu transformacji. Uśmiechnął się na wspomnienie swojego pierwszego lotu z Alexstraszą. Tamtego dnia został dopiero co jej oblubieńcem i właśnie rozpoczęli swój pierwszy taniec godowy.

Podczas owego rytuału Krasus - albo Korialstrasz w swej prawdziwej postaci - krążył wokół znacznie większej samicy, popisując się przed nią siłą i zręcznością. Ona zaś zataczała wielkie koło wokół królestwa smoków. Samica leciała ze stałą prędkością, ani za szybko, ani za wolno. Jej nowy oblubieniec miał wykazać się sprawnością, ale musiał też zachować dość energii, by móc się z nią później parzyć.

Aby zrobić na niej wrażenie, Korialstrasz wykonywał najróżniejsze powietrzne akrobacje. Szybował na plecach. Śmigał między górskimi szczytami. Odważył się nawet spaść ku jednemu z najbardziej szpiczastych wierzchołków, unikając nadziania się nań o zaledwie kilka jardów. Bywał chwilami nieostrożny, ale stanowiło to część gry, część rytuału.

– Moja Alexstraza... - wyszeptał Krasus do wiatru, gdy wspomnienie zbladło. Możliwe, że z oka spłynęła mu łza, a może była to tylko kropla deszczu, która spadła z nieba. Tak czy inaczej wiatr porwał jego słowa i mag znów skupił się na czekającej ich podróży.

Teren w dole robił się coraz bardziej skalisty i górzysty. Byli już prawie w połowie drogi. Krasus był zadowolony, ale niecierpliwił się. Coś było nie tak, a on domyślał się przyczyny.

Neltharion.

Strażnik Ziemi.

W epoce Krasusa zwany Skrzydłami Śmierci.

Choć podczas podróży w czasie utracił wiele wspomnień, w żaden sposób nie mógł zapomnieć o tej czarnej bestii. W przyszłości Skrzydła Śmierci był ucieleśnieniem zła, spiskującym, aby przywieść świat do zagłady, a samemu królować na jego ruinach. Neltharion przekroczył już próg szaleństwa i Krasus boleśnie się o tym przekonał. Podczas poprzedniego pobytu w smoczej kryjówce, dokąd zaniósł go jego młodsza połówka, padł ofiarą paranoi Strażnika Ziemi. Obawiając się, i to nie bezpodstawnie, że smoczy mag ostrzeże pozostałych o planowanej przez niego zdradzie, czarny lewiatan rzucił na Krasusa subtelne zaklęcie, które uniemożliwiało mu wypowiedanie się na jego temat. Z tego powodu większość pozostałych smoków uważała teraz Krasusa za szaleńca.

Cisza, jaką wyczuł najpierw młody Korialstrasz, a potem jego starsze wcielenie, mogła oznaczać tylko jedno - Neltharion realizował swój plan.

Krasus nie był w stanie sobie przypomnieć na czym on dokładnie polegał, i bardzo go to bolało. Gdyby mógł zmienić w przeszłości jedną jedyną rzecz bez obaw o przyszłe następstwa, byłaby to zdrada Strażnika Ziemi. To przede wszystkim ona doprowadziła do upadku smoczej rasy.

Krasus uświadomił sobie, że Malfurion go woła. Potrząsając głową, popatrzył w stronę druida.

– Krasusie! Coś ci dolega?

– Tej dolegliwości nic nie jest w stanie uleczyć! - odkrzyknął starszy czarodziej. Spochmurniał, zły z powodu własnej nieostrożności. Po powrocie w te burzliwe czasy utracił doskonałą przez wieki umiejętność panowania nad emocjami. Teraz kontrolował je nie lepiej niż Rhonin, czy ork.

Kiwając głową, choć nie rozumiejąc, druid odwrócił wzrok. Krasus zbeształ się w duchu. Musiał panować nad sobą. Było to konieczne, jeśli nie chciał, by wszystko pogrążyło się w chaosie.

Malfurion nie rozumiał, co oznacza śmierć Hakkara, ale jak mógł rozumieć? Nie wiedział, że Łowczy należał do demonów, które zginęły w przyszłości. Rhonin to zrozumie, kiedy się dowie. Konsekwencje przyprawiły o zawrót głowy. Krasus nie miał już pojęcia, co przyniesie przyszłość.

O ile w ogóle czekała ich jakaś przyszłość.

Lecieli. Hipogryfy wylądowały raz, aby ugasić pragnienie nad rzeką, a dwójka towarzyszy skorzystała z okazji, żeby zrobić to samo. Po rozdzieleniu racji dosiedli stworów i znów wzbili się w powietrze. Krasus miał nadzieję, że następnym razem wylądują już w krainie jego pobratymców.

Krajobraz stał się bardziej górzysty. W niebo strzelały poszarpane szczyty. W oddali widział parę wielkich czarnych ptaków lecących ku nim z

przeciwnej strony. Smoczy mag stężał. Niedługo, już bardzo niedługo, będzie w domu. Modlił się tylko, by zastał wszystko w nienaruszonym stanie.

Hipogryf Malfuriona zaskrzeczał. Mag ponieważ zorientował się, że dwa ptaki wciąż lecą w ich stronę... i że są o wiele większe, niż początkowo sądził.

Zbyt duże, by mogły być ptakami.

Nachylił się do przodu, mrużąc oczy.

Smoki... czarne smoki.

Krasus dźgnął swojego wierzchowca w bok, krzyżąc do Malfuriona:

– Na południową stronę łańcucha górskiego! Szybko!

Druid, który też dostrzegł zagrożenie, posłuchał. Hipogryfy skrzyły raptownie, ale smoki nie zmieniły trasy lotu. Pomimo bystrego wzroku behemoty nie dostrzegły jeszcze mniejszych stworzeń.

Wiedząc, że w każdej chwili może się to zmienić, Krasus narzucił swojemu wierzchowcowi gorączkowe tempo. Być może spotkanie z olbrzymami było tylko przypadkiem, ale mag podejrzewał, że jest inaczej. Zdawał sobie sprawę z rosnącej paranoi Nelthariona i przypuszczał, że Strażnik Ziemi wysłał tych dwóch strażników, aby wyglądali intruzów zapuszczających się w głąb smoczego władztwa. Paradoksalnie jego paranoja miała się okazać słuszna.

Hipogryfy mknęły ku górom, spadając w dół z szybkością zapierającą dech w piersiach. Krasus miał nadzieję, że gdy się za nimi skryją, czarne smoki miną ich i polecą dalej.

Ale kiedy byli już niemal pewni, że nie zostaną zauważeni, jeden ze smoków spojrzął w ich stronę i zaryczał. Jego towarzysz skrzył żylastą szyję, aby sprawdzić, co przykuło uwagę pierwszego. Kiedy spostrzegł dwóch jeźdźców, też ryknął z wściekłości.

Z lekkością istot stworzonych do lotu smoki skręciły i pomknęły za zwierzyną.

– Co możemy zrobić? - zawołał Malfurion.

– Obniżyć lot! Jesteśmy bardziej zwrotni! Muszą lecieć za nami, albo ryzykować zgubieniem nas, a nie będą chciały rozgniewać swojego pana!

Było to wszystko, co mógł powiedzieć o Neltharionie, żeby ominąć rzucone przez smoka zaklęcie. Malfurion zaufał jego ocenie sytuacji i rozumiał, że jeśli mag chce, żeby uciekali, powinni uciekać.

Większy z dwóch stworów - czyli starszy z nich - wyprzedził towarzysza. Znów zaryczał, a z jego strasznej paszczy wystrzeliło coś, co początkowo przypominało płomienie.

Ognisty słup prawie dosięgnął maga - zabrakło zaledwie kilku jardów. Wierzchowiec Krasusa zaskrzeczał głośno. Powietrze wokół uciekinierów rozgrzało się o kilka stopni. „Płomienie” zaczęły spadać na ziemię, okazując się kolumną płynnej lawy, w jaką za sprawą magii zmieniał się oddech czarnych smoków.

Zanim smok zdążył oddać następny strzał, hipogryfy wleciały między górskie szczyty. Ich prześladowcy byli zaraz za nimi, ale musieli odpaść w bok, żeby nie zderzyć się z twardą skałą.

Krasus zmarszczył brwi. Wiedział, z jaką zwinnością potrafią manewrować jego pobratymcy. Smoki bawiły się w to od chwili narodzin. Wątpił, czy jemu i druidowi uda się uciec, ale musieli się postarać.

Zaraz potem mag przypomniał sobie zabawy z dzieciństwa i w jego serce znów wstąpiła nadzieja.

Ściągnął na siebie uwagę Malfuriona, wykonał kilka gestów, próbując wyjaśnić, czego oczekuje, a na samym końcu wskazał palcem jeden ze szczytów na północnym-wschodzie. Na szczęście druid złapał w lot, o co mu chodzi. Wyraz twarzy elfa świadczył o wątpliwościach, ale Malfurion

też rozumiał, że mają niewielkie szanse. Rzucenie zaklęcia, które zdołałoby przepędzić nie jednego, lecz dwa smoki, stanowiło nie lada wyzwanie nawet dla najlepiej wyszkolonych czarodziejów.

Kiedy zbliżali się do wybranego szczytu, druid skrzyknął gwałtownie w prawo. Krasus wykonał taki sam manewr, tyle że w lewo. Mag obejrzał się szybko przez ramię i zobaczył, że smoki też się rozdzieliły. Za nim poleciał ten większy.

– Alexstraszo, prowadź mnie... musi się udać... - wymamrotał.

Nie widział Malfuriona ani drugiego smoka, ale można się było tego spodziewać. Krasus nie myślał już o druidzie; jego plan zakładał dwa wyjścia, ale oba zależały od tego, czy uda mu się utrzymać przed prześladowcą.

Co wcale nie było proste. Wielki czarny smok świetnie latał; obracał się i skręcał, wślizgując w wąskie szczeliny, które wybierała ścigana przez niego zwierzyna. Hipogryf nie ustępował mu umiejętnościami, ale musiał machać wielkimi skrzydłami o wiele częściej, żeby utrzymać się na prowadzeniu. Pomimo jego wysiłków smok był coraz bliżej.

Donośny ryk ostrzegł Krasusa przed kolejną kolumną lawy, która przeleciała przez miejsce, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą. Tym razem uratowała go wyłącznie znajomość taktyki czarnego smoka. Mimo to jego szata obryzgana w kilku miejscach lawą dymiała, a hipogryf zwinął się z bólu, trafiony popiołem w tylną nogę.

Krasus przeleciał pod ogromnym występem skalnym w kształcie dzioba, a potem przemknął przez rozpadlinę rozczepiającą na dwoje jeden ze szczytów. Pomimo niewiarygodnej szybkości, z jaką leciał, czarnemu smokowi za każdym razem udawało się uniknąć zderzenia.

Góra, którą smoczy mag pokazał Malfurionowi, rosła w oczach. Nie dbając o grożące mu niebezpieczeństwo, Krasus zdążył rzucić okiem na

południe, gdzie powinien był zobaczyć druida. Nie zobaczył ani nie usłyszał niczego, ale trzymał się planu w nadziei, że wszystko się jakoś ułoży.

Smok znowu ryknął. Strumień lawy minął Krasusa, który zmarszczył brwi, zdziwiony niecelnością prześladowcy. Dopiero gdy strzaskany fragment zbocza przed nim runął w dół, pojął, że został przechytrzony.

Poderwał hipogryfa w bok, ale i tak spadł na nich grad ziemi i kamieni. Głaz wielkości głowy czarodzieja odbił się od boku zwierzęcia, które zapiszczało i prawie zrzuciło jeźdźca ze swego grzbietu. Tylko mocny chwyt uchronił Krasusa przed zsunięciem się w dół. Jeźdźca i rumaka otoczył zewsząd ohydny swąd. Czarny smok był tuż za nimi. Krasus uniósł dłoń i wypowiedział najszybciej działające zaklęcie, jakie znał.

Chaotyczna seria rozbłysków świetlnych eksplodowała przed nosem lewiatana. Były stosunkowo niegroźne, ale zaskoczyły smoka, a nawet oślepiły go na moment. Behemot zwinął się, rycząc wściekle. Jednym skrzydłem zawadził o zbocze góry, odrywając tony kamieni.

Dzięki szybkiemu refleksowi Krasus zyskał tylko kilka sekund, nic więcej. Miał nadzieję, że druidowi udało się umknąć przed drugim smokiem, ale znał upór swojej rasy. Jeśli Malfurion wciąż żył, nie miał nad swoim prześladowcą większej przewagi niż on sam.

I wtedy, w chwili, w której wyrosła przed nim góra wybrana na miejsce spotkania, kątem oka złowił postać drugiego jeźdźca. Malfurion chował głowę w szyi hipogryfa, który sprawiał wrażenie spanikowanego. Zaraz za nimi leciał drugi behemot.

Krasus skierował wierzchowca w stronę Malfuriona, manewrując tak, by w chwili, kiedy przetną się trasy ich lotu, znaleźć się nieco nad nim. Jego rumak krzyknął, ostrzegając nie tylko towarzysza, ale również druida.

Malfurion uniósł głowę, ale nic więcej nie wskazywało na to, że zauważył maga.

Kiedy spotkali się od południowej strony góry, Krasus kazał swojemu gryfowi okrążyć szczyt. Malfurion skierował się w przeciwną stronę. Chwilę później większy czarny smok, lekceważąc drugą drobną postać, pomknął w ślad za Krasusem. Jego towarzysz nadal ścigał druida.

Jeśli Krasus posiadał nad czarnymi smokami jakąś przewagę, to była nią ich nieświadomość, że należy do tego samego rodzaju. Nie zdawały sobie sprawy, że w swoim długim życiu latał tędy tak często, iż znał tysiące tutejszych korytarzy lepiej niż ktokolwiek inny.

Olbrzym za jego plecami znów ryknął, ale tym razem słup lawy uderzył tak blisko, że osmalił krawędź góry. Krasus zakrztusił się, ale hipogryf pędził dalej, zdając się na swoją chyżość i wskazówki jeźdźca. Krasus kazał mu leciutko opaść, a potem zwolnić. Zwierzę zaprotestowało, ale mag narzucił mu swą potężną wolę, przełamując wszelki opór. W chwili, w której zwierzę usłuchało, zza krawędzi szczytu wyłonił się Malfurion.

Krasus kazał gryfowi wznieść się nieco, aby zrównać się z nadlatującym druidem. On i Malfurion lecieli prawie na tym samym poziomie, do zderzenia brakowało im bardzo niewiele. Mag zauważył skraj błoniastego skrzydła za plecami towarzysza.

Znów zmusił hipogryfa, żeby opadł w dół.

Malfurion poderwał drugie zwierzę w górę z taką szybkością i gwałtownością, że prawie zsunął się z jego grzbietu. Prześladowca Krasusa nie miał czasu na zmianę kierunku lotu. Smok goniący druida również. Behemoty były tak pochłonięte pościgiem, że nie były już w stanie się zatrzymać. Dwa olbrzymy zderzyły się czołowo z ogłuszającym hukiem. Smoki zaryczały z bólu i oszołomienia. Splecione ze sobą, poleciały w bok, zderzając się ze szczytem wybranym przez Krasusa.

Ziemia zadrżała, gdy grzmotnęły w nią z całej siły. Z wysoka Krasusowi wydawało się, że usłyszał trzask pękających kości, ale nie miał ochoty tego sprawdzać. Kiedy dwa smoki zniknęły mu z oczu, machnął na Malfuriona. Zanim dwa lewiatany dojdą do siebie, on i druid zdążą już dawno odlecieć.

Krasus przyjrzał się wyrastającym przed nimi szczytom. Był teraz bardzo blisko celu...i bardziej niż kiedykolwiek chciał wiedzieć, co się tam dzieje.

DWANAŚCIE



Illidan powinien był omawiać kwestie taktyki z członkami Księżycowej Gwardii, ale w tej chwili wojna w ogóle go nie obchodziła. Był w stanie myśleć tylko i wyłącznie o tym, że zrobił z siebie skończonego głupca przed Tyrande. Obnażył przed nią duszę tylko po to, by dowiedzieć się, że jego brat zdążył już zawojować jej serce. Tyrande wybrała Malfuriona. A najgorsze było to, że jego brat był zbyt zajęty własnymi sprawami, żeby to zauważyć. Osobisty czarodziej lorda Ravencresta minął pikietę. Stojący na niej strażnik uniósł broń i nieco zaniepokojonym głosem oświadczył:

– Wszyscy mają pozostać w granicach obozu, mistrzu Illidanie. Z rozkazu...

– Wiem, z czyjego rozkazu.

– Ale...

Illidan wbił w niego bursztynowe oczy. Żołnierz przełknął ślinę i usunął się na bok.

Teren wokół obozu był wciąż zalesiony, bo Płonący Legion zajął okolice na krótko i nie zdążył wszystkiego zniszczyć. Choć wielu uznało ten fakt za pokrzepiający, Illidana nie wzruszyłoby puszczenie całej okolicy z dymem.

Uniósł lekko jedną rękę i przez moment zastanawiał się nawet, czy samemu nie wywołać pożaru, ale porzucił ten pomysł.

Choć Malfurion natknął się na południu na demony, jego brat nie obawiał się ich tutaj. Po pierwsze nie oddalił się aż tak od obozu, który pozostawał wciąż w zasięgu wzroku. Po drugie każdy demon, który spróbowałby go w tej chwili zaatakować, w mgnieniu oka obróciłby się w proch. Gniew miotający Illidanem był tak wielki, że marzył o walce z kimkolwiek, czymkolwiek, byle tylko uwolnić się od zazdrości, jaką budził w nim Malfurion.

Ale żaden piekielny ogar nie próbował pozbawić go magicznej mocy, żaden infernal nie próbował go staranować. Żaden Eredarczyk, strażnik zagłady, czy choćby jeden z żalosnych piekielnych gwardzistów. Cały Płonący Legion bał się stawić czoła Illidanowi, wiedząc, że nie są w stanie mu się oprzeć.

Oparła mu się tylko jedna osoba.

Illidan usiadł na jakimś głazie i zaczął rozmyślać o swoich wspaniałych planach. Awans na jednego z najbardziej zaufanych ludzi lorda Ravencresta był nie lada wyczynem. Pozwolił mu pomyśleć na poważnie o czymś, co nabierało w jego głowie kształtów już od przynajmniej trzech sezonów. Już dawno przestał uważać Tyrande za dziecko, widząc w niej urodziwą kobietę, jaką się stała. Podczas gdy Malfurion rozmawiał z ptakami, on zamierzał poprosić Tyrande, aby została jego wybranką.

W jego wyobraźni wszystko układało się wręcz idealnie. Nie można było nie podziwiać jego pozycji, wiele innych elfek dało mu do zrozumienia, że je pociąga. W krótkim czasie objął komendę nad ocalałymi członkami Księżycowej Straży i uratował wiele nocnych elfów przed zagładą. Był potężny, przystojny i był bohaterem. Tyrande powinna wychodzić z siebie, żeby należeć do niego.

I stałoby się tak, gdyby nie Malfurion.

Z gniewnym pomrukiem wskazał pobliski głaz, który natychmiast przekształcił się w podobiznę twarzy Malfuriona, tak podobną do jego własnej, a jednak inną.

Illidan zacisnął dłoń w pięść.

Twarz roztrzaskała się, odłamki kamienia posypały się na ziemię, tworząc stertę gruzu.

– Powinna być moja!

Echo podchwyciło jego słowa, poniosło w las. Słyszając własny głos, brat Malfuriona mruknął groźnie, bowiem każde powtórzenie przypominało mu, jak wiele stracił.

– Byłaby moja... - poprawił się, litując się nad sobą samym. - Gdyby nie ty, bracie Malfurionie, byłaby moja.

Zawsze ma przed tobą pierwszeństwo, przyszło mu nagle do głowy, choć powinno ono należeć do ciebie.

– Do mnie? Z powodu moich oczu? - Illidan zaśmiał się z siebie. - Moich cudownych bursztynowych oczu?

To oznaka wielkości... legendarny omen...

– Raczej żart bogów! - Czarodziej wstał i ruszył w głąb lasu, ale nawet idąc nie potrafił uciec przed tym głosem, tymi myślami... i w głębi ducha wcale tego nie pragnął.

Malfurion nawet nie wie, że ona go chce. A gdyby nigdy się o tym nie dowiedział?

– Co mam zrobić? Rozdzielić ich? Równie dobrze mógłbym zabronić księżycowi wzejść!

Ale gdyby Malfurion zginął podczas wojny, zanim poznałby prawdę, byłoby tak, jak gdyby nigdy nie dokonała wyboru! Z pewnością zwróciłaby się ku tobie, gdyby nie było już Malfuriona...

Czarodziej zatrzymał się. Złożył dłonie i przywołał obraz tańczącej Tyrande. Była nieco młodsza niż teraz i miała na sobie zwiewną spódnicę. Taką ją zapamiętał na festiwalu kilka sezonów temu. Wtedy po raz pierwszy popatrzył na nią inaczej niż na towarzyszkę zabaw.

Gdyby nie było już Malfuriona...

Illidan złożył dłonie, rozpraszając wizję.

– Nie! To by było barbarzyństwo!

Ale zaraz urwał, rozważając tę myśl z perwersyjną fascynacją.

Podczas bitwy może go spotkać wiele rzeczy. Może nie śmierć, ale demony z pewnością znają Malfuriona. Zniszczył pierwszy portal, zabił doradcę królowej, a teraz jednego z dowódców Legionu... będą go chciały dostać żywego... bardzo żywego...

– Oddać go... im? Ja...

Podczas bitwy panuje zamęt, niektórzy zostają w tyle. To niczyja wina...

– To niczyja wina... - wymamrotał Illidan. Otworzył dłonie i miniaturowa Tyrande znów zatańczyła dla niego. Przez chwilę przyglądał się jej, rozważając propozycję.

Ale zaraz złożył dłonie z powrotem. Potem, jak gdyby zohydzony swoimi posępnymi myślami, otarł ręce o ubranie i szybko ruszył w stronę obozu.

– Nigdy! - warknął pod nosem. - Nie mojego brata! Nigdy!

Idąc, czarodziej wciąż mamrotał pod nosem. Dlatego nie zauważył mrocznej postaci, która oderwała się od pnia drzewa, obserwując go z oddali i naśmiewając się z jego chwilowej utraty czci i poczucia miłości braterskiej.

– Ziarno zostało zasiane - wyszeptała z rozbawieniem postać - a ty sam zajmiesz się resztą, bliźniaku druida.

To powiedziawszy, postać ruszyła w przeciwną stronę... na dwóch włośchatych nogach zakończonych kopytami.



Następnego dnia, nie chcąc czekać dłużej na powrót druida i maga, lord Ravenscrest dał rozkaz do wymarszu. Było jasne, że większość nocnych elfów wolałaby wędrować nocą, ale szlachcic nie chciał, by demony uznały, że jest zbyt przewidywalny. Jego wojownicy przyzwyczajali się stopniowo do słońca, choć za dnia czuli się osłabieni. Ravenscrest liczył teraz na determinację swojego ludu, świadomość, że jeśli poniosą porażkę, będzie to oznaczało ich koniec.

Płonący Legion nie mógł być daleko. Nocne elfy maszerowały ze świadomością, że krwawa rzeź czeka je tuż za horyzontem, ale mimo to maszerowały przed siebie.

Wojna o Kalimdor toczyła się dalej.



Podczas gdy nocne elfy walczyły o przetrwanie, a Illidan próbował dojść do ładu ze swoimi plugawymi myślami, Krasus zmagał się z zupełnie inną przeszkodą, której zupełnie się nie spodziewał.

– Rozpościera się jak magią sięgnąć - syknął sfrustrowany mag.

Bariera była niewidzialna dla oka, ale jak najbardziej namacalna. Według szacunków Krasusa zatrzymała ich o dzień drogi od celu podróży.

O jej istnieniu przekonali się w dość bolesny sposób. Hipogryf Krasusa zderzył się z nicością z takim impetem, że mag zleciał z grzbietu rannego zwierzęcia. Malfurion, wiedząc, że jego własny wierzchowiec nie złapie

maga na czas, poszukał pomocy u wiatru. Potężny podmuch poderwał czarodzieja z powrotem w górę, dość wysoko, by druid złapał go za ramię. Potem wylądowali, aby przyjrzeć się tej nowej przeszkodzie.

Po kilkugodzinnych oględzinach Krasus nie był ani trochę bliższy znalezienia odpowiedzi... a widok maga zbitego z tropu niepokoił druida bardziej, niż dawał po sobie poznać.

W końcu Krasus powiedział rzecz nie do pomyślenia:

- Poddaję się.
- Nie wiesz, jak ją sforsować?
- Mało tego, druidzie, nie jestem w stanie skontaktować się z kimkolwiek po drugiej stronie. Nawet moje myśli nie mają tam dostępu.

Malfurion darzył Krasusa głębokim szacunkiem. Tajemniczy mag pomógł go ocalić, gdy lord Xavius uwięził jego duszę. Gdyby nie on, druid nie zdołałby pokonać doradcy królowej i zniszczyć pierwszego portalu. Widzieć go w takim...

– Tak blisko! - ciągnął mag. - Byliśmy tak blisko! To z pewnością jego sprawka!

– Czyja sprawka?

Krasus zmrużył oczy. Wyglądał teraz jak blady nocny elf, co nadawało jego twarzy jeszcze bardziej niepokojący wyraz. Zmierzył towarzysza wzrokiem i Malfurion odkrył, że ma nadzieję, iż okaże się godzien.

– Tak... powinieneś wiedzieć.

Druid wstrzymał oddech. Cokolwiek Krasus zamierzał mu wyjawić, musiała to być sprawa najwyższej wagi.

– Spójrz mi prosto w oczy, Malfurionie. - Kiedy nocny elf posłuchał, Krasus rzekł: - Ty i twoi pobratymcy nazywacie naszą trójkę przybyszami. Mam na myśli Rhonina, który nazywa sam siebie człowiekiem, i Broxa,

orka. Nie znasz ich ras, ale są tym, kim wydają się być - człowiekiem i orkiem.

Mag przerwał. Malfurion uznał, że czeka na potwierdzenie, więc kiwnął głową.

– Człowiekiem i orkiem.

– Czy kiedykolwiek mówiłem, kim ja jestem? Czy któryś z nich to wyjawiał?

Nocny elf nie przypominał sobie, żeby którykolwiek z nich wymienił nazwę rasy Krasusa.

– Płynie w tobie krew nocnych elfów. Jesteś do nas tak podobny, że...

– Przypominam nocnego elfa, ale takiego, co to skonał rok albo dwa temu. Na tym kończą się podobieństwa, tak? To, co widzisz, to tylko pozór; twojej i mojej rasy nie łączą więzy krwi... moja rasa nie jest też spokrewniona z ludźmi, orkami, krasnoludami ani taurenami.

Malfurion sprawiał wrażenie zmieszanego.

– W taki razie... czym jesteś?

Oczy Krasusa wciągały go jeszcze głębiej. Widział tylko te niesamowite oczy.

– Spójrz głęboko, druidzie. Spójrz głęboko i przypomnij sobie, co już o mnie wiesz.

Patrząc w oczy towarzysza, Malfurion przypominał sobie wszystko, co wiedział, a nie było tego wiele. Niezwykle utalentowany mag. Nawet kiedy był bardzo chory, roztaczał wokół siebie aurę ogromu doświadczenia i niewiarygodnych umiejętności. Wyczuwały to Siostry Elune, choć żadna z nich nie wiedziała, co to dokładnie oznacza, wyczuwała to Księżycowa Gwardia. Nawet nocne pantery traktowały go lepiej niż swoich panów, którzy je wychowali. Przez pewien czas mag cieszył się nawet przyjaźnią smoka...

Smok...

Pod nieobecność behemota Krasus cierpiał jak na łożu śmierci. Smok też zdradzał niezwykle znużenie. Ale razem stanowili jedność, ich siła ulegała zwielokrotnieniu. Ale było coś jeszcze. Korialstrasz rozmawiał z Krasusem jak z nikim innym - jak z kimś równym sobie, jak z bratem. Poznając po minie druida, że powoli zaczyna pojmować, Krasus wyszeptał:

– Stoisz na progu prawdy. Przekrocz go.

Otworzył się przed Malfurionem. W umyśle nocnego elfa Krasus zaczął się przeobrażać. Jego szaty podarły się na strzępy, a ciało urosło. Nogi wygięły się w odwrotną stronę, a dłonie i stopy przeobraziły w długie, szponiaste łapy. Z pleców wyrosły mu skrzydła, które rozrosły się, przesłaniając księżyc.

Twarz Krasusa zaczęła się rozciągać. Nos i usta zrosły się, wydłużyły w dziką paszczę. Sklejone włosy zmieniły w pokryty łuską grzebień biegnący przez całą długość pleców aż do koniuszka ogona, który wyrósł w tej samej chwili co skrzydła.

Kiedy czerwone łuski pokryły każdy cal ciała stwora, Malfurion wyrzucił z siebie nazwę, pod jaką wszyscy znali te wielkie, przerażające lewiatany.

– Smok!

Niewiarygodny obraz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Malfurion potrząsnął głową i przyjrzał się stojącej przed nim postaci.

– Tak, Malfurionie Stormrage, jestem smokiem. Czerwonym smokiem, ściśle rzecz biorąc. Od dawna noszę postać tej lub innej śmiertelnej istoty, ponieważ postanowiłem żyć wśród was, nauczać i uczyć się, aby doprowadzić do pokoju wśród wszystkich ras.

– Smokiem... - Malfurion potrząsnął głową. To wyjaśniało wiele spraw... i wywoływało kolejne pytania.

– Spośród obrońców tylko Rhonin wie, kim naprawdę jestem, choć ork może się tego domyślać, siostry też pewnie mają jakieś podejrzenia.

– Czy ludzie są sojusznikami smoków?

– Nie! Ale pod postacią, którą przed sobą widzisz, byłem nauczycielem Rhonina, wybitnie uzdolnionego maga nawet jak na przedstawiciela jego wszechstronnej rasy. Pod pewnymi względami ufam mu bardziej niż wielu moim pobratymcom.

Jak gdyby dla podkreślenia swoich słów Krasus - Malfurion nie przywykł jeszcze do nazywania go smokiem - klepnął dłonią niewidzialną barierę.

– A to tylko potwierdza moje domysły. Nie powinno jej tu być.

– Smok... dlaczego w takim razie nie przeobraziłeś się, żeby tu dolecieć? Dlaczego prosisz, żebym wezwał hipogryfy? - Nocnemu elfowi przypomniało się więcej takich dziwnych zdarzeń. - Kilka razy mogłeś zginąć, choćby podczas ostatniej bitwy z demonami!

– Nie mogę ci zdradzić wszystkiego, Malfurionie, ale mogę powiedzieć tyle: nie przeobrażam się, ponieważ nie mogę. Na jakiś czas zostałem pozbawiony tej umiejętności.

– Ro... rozumiem.

Krasus popatrzył znów na niewidzialną ścianę, szukając przejścia.

– Rozumiesz teraz, dlaczego byłem taki pewny, że uda mi się skontaktować ze smokami. Wiedziałem, że wysłuchają jednego ze swoich. I powiedzą mi, dlaczego zachowują się w taki tajemniczy sposób. - Zasyczał wściekle, czym zaskoczył nocnego elfa. - O ile uda mi się z nimi skontaktować.

– Czyja to może być sprawka?

Miał wrażenie, że Krasus chce mu odpowiedzieć, ale zaraz zacisnął usta. Po kilku sekundach wyraźnej walki z samym sobą, odparł ponuro:

– To nie ma znaczenia. Liczy się to, że poniosłem porażkę. Jedyna nadzieja, jaką miałem na zapewnienie tej wojnie pomyślnego zakończenia, przysła.

Smoczy mag zataił przed nocnym elfem wiele rzeczy i Malfurion zdawał sobie z tego sprawę. Druid szanował jednak Krasusa na tyle, by nie naciskać. W tej chwili chciał mu tylko pomóc, zwłaszcza że patrzył teraz na sytuację z nowej perspektywy. Gdyby Krasus zdołał przekonać swoich pobratymców, aby dołączyli do obrońców, oznaczałoby to rychły koniec Płonącego Legionu.

Ale ich zaklęcia nie były w stanie zrobić wyrwy w barierze, a ani jeden, ani drugi nie potrafił po prostu przez nią przejść pod postacią ducha czy...

Przełykając z trudem ślinę, druid powiedział:

– Chyba znam sposób dostania się na drugą stronę... przynajmniej dla mnie.

– Co masz na myśli?

– Mógłbym wkroczyć w... w Szmaragdowy Sen.

Krasus spochmurniał, zamyślił się. Malfurion miał nadzieję, że odrzuci jego pomysł, ale towarzysz skinął głową.

– Tak... to może być pewne wyjście.

– Ale czy to coś da? Nawet nie wiem, czy będą w stanie mnie zobaczyć albo usłyszeć... a nawet jeśli, czy mnie wysłuchają?

– Jedno z nich z pewnością. Musisz ją odszukać. Nazywa się Ysera.

Ysera. Cenarius wspomniał o niej, kiedy zaproponował uczniowi, że nauczy go przemierzać królestwo snu. Ysera była jednym z pięciu wielkich Aspektów. Władczynią Szmaragdowego Snu. Na pewno będzie w stanie zobaczyć i usłyszeć senną postać druida... ale czy zechce go wysłuchać?

Widząc wyraźne wahanie na twarzy nocnego elfa, Krasus dodał:

– Jeśli zdołasz ją przekonać, aby zaprowadziła cię przed oblicze Alexstraszy, czerwonej smoczy, może ona porozmawia z Korialstraszem, który z kolei zna nas oboje. Alexstrasza posłucha go.

Po sposobie, w jaki jego głos zmieniał się za każdym razem, gdy wymawiał imię smoczy, Malfurion domyślił się, że jest ona dla Krasusa kimś bardzo, bardzo ważnym. Wiedział, że Alexstrasza jest jednym z wielkich Aspektów i zastanawiał się, dlaczego Krasus wypowiada się o niej z taką swobodą. Jego towarzysz był kimś więcej niż tylko smokiem śledzącym poczynania młodszych ras; zajmował jakąś ważną pozycję wśród swoich pobratymców.

Ta wiedza dodała Malfurionowi sił.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Gdyby Ysera się wahała - doradził Krasus - dobrze by było wspomnieć przy niej o Cenariusie. Więcej niż raz, jeśli będzie to konieczne.

Nie wiedząc, co to za różnica, ale zdając się na mądrość Krasusa, Malfurion kiwnął głową i usiadł tam, gdzie stał. Smoczy mag obserwował w milczeniu, jak elf sadowi się wygodnie. Gdy przybrał właściwą pozycję, zamknął oczy i skupił się.

Najpierw medytował, uspakajając ciało. Kiedy się rozluźnił, poczuł pierwsze oznaki nadchodzącej drzemki. Powitał je z radością, zachęcił. Śmiertelny świat odsuwał się coraz dalej. Spokój otulił Malfuriona niczym ciepły koc. Wiedział, że Krasus nad nim czuwa, więc nie musiał się martwić o los opuszczonego ciała. Mag pilnował jego bezbronnej powłoki.

I zanim się zorientował, zapadł w sen. Ale jednocześnie czuł się bardziej rześki niż kiedykolwiek. Teraz skupił się na opuszczeniu śmiertelnego planu. Postępował zgodnie z instrukcjami Cenariusza, koncentrując się nad odłączeniem duszy od ciała.

To i odnalezienie drogi do Szmaragdowego Snu okazało się tak proste, że Malfurion zawstydził się swoich wcześniejszych wątpliwości. Tak długo jak pozostanie skupiony na swoim zadaniu, podróż przez krainę śnienia nie powinna być niebezpieczna.

Wszystko spowiała nagle zielona mgiełka. Krasus wtopił się w tło, a otoczenie Malfuriona uległo przemianie. Górzysty teren wydawał się zaskakująco podobny do tego na jawie, ale w Szmaragdowym Śnie górskie szczyty były ostrzejsze, bardziej szpiczaste. Tak właśnie wyglądały góry, gdy Stwórcy wydzwignęli je z pierwotnej gleby. Choć czas naglił, Malfurion podziwiał przez chwilę dzieło niebiańskich istot. Majestat tego, co widział, wprowadził go w osłupienie.

Wiedział jednak, że jeśli Płonący Legion nie zostanie powstrzymany, w prawdziwym świecie nie zostanie po tym wszystkim nawet ślad. Czas naglił. Wyciągnął rękę, spodziewając się oporu, ale nie natrafił na nic. A zatem w Szmaragdowym Śnie zakłęcie nie istniało. Smoki zakładały, że jeśli ktoś będzie próbował sforsować barierę, będzie istotą ziemską, a więc podlegającą prawom natury.

Minąwszy ścianę, Malfurion skierował się ku najwyższym szczytom w oddali. Przed zderzeniem z barierą Krasus twierdził, że właśnie tam odnajdą jego pobratymców. Ponieważ potem nie powiedział nic, co by temu przeczyło, druid zakładał, że powinien dalej zmierzać w tamtą stronę.

Leciał nad milczącą krainą, przytłoczony ogromem gór. Zielone zabarwienie wszystkiego wokół w połączeniu z brakiem jakichkolwiek oznak życia zwierzęcego potęgowało wrażenie surrealizmu.

Zbliżając się do celu podróży, skupił się. Zielona poświata zbladła nieco, dzięki czemu widział więcej szczegółów. Duch druida wciąż przemierzał Szmaragdowy Sen, ale teraz miał też wgląd w rzeczywisty świat. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był ogromny, dziki pysk czerwonego smoka.

Przerażony Malfurion cofnął się. Myślał, że łeb behemota wystrzeli do przodu i kłapnie paszczą, ale strażnik wciąż patrzył przez niego. Dopiero po kilku sekundach druid uświadomił sobie, że smok go nie widzi.

Obecność strażnika na wysokim, ostrym szczycie utwierdziła Malfuriona w przekonaniu, że miejsce zgromadzeń smoków jest już blisko. Uznał jednak, że nie ma czasu na przeszukiwanie góry za górą. Zastanowił się nad tym, co już wie. Ysera była władczynią Szmaragdowego Snu. Z tak bliska z pewnością usłyszy jego mentalne wołanie.

Ale czy odpowie, to była zupełnie inna sprawa.

Wiedząc, że nie zostaje mu nic innego, jak tylko spróbować, druid wycofał się z powrotem w Szmaragdowy Sen i wyobraził sobie zieloną smoczycę. Wiedział, że jego wyobrażenie o niej odbiega od rzeczywistości, ale dawał w ten sposób myślom punkt zaczepienia.

Ysero, władczyni krainy snów, wielki Aspekcie, pokornie proszę o rozmowę z Tobą... przynoszę wieści od kogoś, kto zna Tę, Która Jest Życiem, Twoją siostrę, Alexstraszę...

Malfurion czekał. Kiedy stało się jasne, że nie otrzyma odpowiedzi, spróbował ponownie.

Ysero, Pani Śnienia, w imię Cenariusza, Władcy Lasu, proszę Cię o przysługę. Proszę cię, abys...

Urwał, wyczuwając nagle czyjaś obecność. Druid obrócił głowę w prawo i zobaczył elfkę odzianą w półprzezroczystą szatę, która falowała, jak gdyby wiał wiatr. Spod kaptura szaty widać było tylko jej twarz, piękną, spokojną twarz, w której wybijały się tylko oczy... a raczej zamknięte powieki, które je przysłaniały.

Postać przypominała nocną elfkę, ale oprócz szmaragdowych włosów - intensywniej zielonych niż włosy jakiegokolwiek nocnego elfa - jej skóra, szaty, wszystko miało ten czy inny odcień zieleni.

Nie miał wątpliwości, że stoi przed nim Ysera.

– Przybyłam - oznajmiła cicho, acz stanowczo, nie otwierając oczu. - Choćby tylko po to, by uciszyć twoje wrzaski. Twoje myśli huczały mi w głowie jak nieustające bicie w bęben.

Malfurion zaczął klękać.

– Moja pani...

Machnęła smukłą ręką.

– Daruj sobie pochlebne gesty. Wezwałeś mnie. Przybyłam. Powiedz, co masz mi do powiedzenia, i odejdz.

Sukces, jaki odniósł, wciąż zdumiewał nocnego elfa. Oto, pod inną postacią, stała przed nim jedna z Aspektów. Wciąż nie mógł uwierzyć, że raczyła mu odpowiedzieć.

– Wybacz mi. Nie chciałem zakłócić twojego spokoju...

– A jednak tu jesteś.

– Przybyłem razem z kimś, kto dobrze cię zna, ze smokiem o imieniu Krasus.

– Jego imię jest mi znane, nawet jeśli jego umysł wydaje się zmałowany. Co z nim?

– Prosi o audiencję u Alexstraszy. Nie jest w stanie przedostać się przez barierę otaczającą to miejsce.

Mówiąc, Malfurion musiał być cały czas skoncentrowany na postaci Aspektu. Ysera mieniła się nieustannie, znikając i pojawiając się z powrotem, jak gdyby była wytworem jego wyobraźni. Wyraz jej twarzy nie zmieniał się, widoczny był tylko nieustanny ruch gałek ocznych pod powiekami. Nie wątpił, że go widzi, ale zachodził w głowę, jak to robi.

– Postawiliśmy barierę, ponieważ to, co planujemy, jest sprawą bardzo delikatnej natury - odpowiedziała smoczyca. - Ani słowo o tym, co robimy,

nie może się stąd wydostać, dopóki nie nadejdzie właściwy czas... tak twierdzi Strażnik Ziemi.

– Ale on musi się dostać...

– Ale się nie dostanie. Nie mam nic więcej do powiedzenia w tej sprawie. Czy to wszystko?

Malfurion przypomniał sobie słowa Krasusa.

– W takim razie może mógłby porozmawiać z Alexstraszą poprzez ciebie...

Ysera roześmiała się. Zmiana była tak niespodziewana, że nocny elf osłupiał.

– Jesteś zuchwałą, śmiertelniku! Chcesz, żeby za moim pośrednictwem niepokoił moją siostrę w tak ważnej chwili! Czy może chciałbyś poprosić o coś jeszcze?

– Na mojego *shan'do*, Cenariusu, to wszystko, o co proszę, a nie prosiłbym, gdyby nie było to konieczne.

Kiedy wymienił imię półboga, stała się rzecz dziwna. Postać Ysery rozmyśla się jeszcze bardziej i przez chwilę miał wrażenie, że ukryte pod powiekami oczy patrzą w dół. Reakcja ta, choć krótkotrwała, była bardzo wyraźna.

– Nie widzę powodu, by kontynuować tę irytującą wymianę zdań. Wracaj do swojego towarzysza, nocny elfie, i...

– Proszę, o władczyni Szmaragdowego Snu! Cenarius poręczy za mnie! On...

– Nie widzę powodu, by o nim wspominać! - warknęła Ysera. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że zaraz otworzy oczy. Wyraz jej twarzy przypinał teraz oblicze, które Malfurion pamiętał aż za dobrze. Wcześniej sądził, że Cenarius i Ysera byli kochankami. Ale wyraz jej twarzy mówił mu coś innego.

Ysera - Ta, Która Jest Śnieniem, jedna z pięciu wielkich Aspektów - zareagowała na imię półboga jak kochająca matka.

Nieco zawstydzony, druid odsunął się. Ysera, najwyraźniej pochłonięta jakimś wspomnieniem, nie zwracała na niego uwagi. Po raz pierwszy od spotkania z Krasusem Malfurion był na niego zły. Wykorzystanie posiadanej wiedzy w taki sposób było czymś niewłaściwym i jego towarzysz powinien był o tym wiedzieć.

Zaczął się wycofywać z sennej krainy, ale Ysera zwróciła ku niemu swój niewidzący wzrok i oznajmiła nagle:

– Posłużę za pośredniczkę, której potrzebujesz, aby porozumieć się z Alexstraszą.

– Pani...

– Albo przestaniesz paplać, nocny elfie, albo na zawsze wyrzucę cię z mojego władztwa.

Zacisnąwszy usta, Malfurion przystał na jej warunek. Na czymkolwiek opierała się jej relacja z władcą lasu, musiała być bardzo, bardzo głęboka i silna.

– Poprowadzę twojego ducha do miejsca, gdzie się teraz spotykamy, a ty zaczekasz, aż dam ci znak, że nadszedł czas na rozmowę z moją siostrą. Wtedy i tylko wtedy przekażę jej twoje słowa - twoje i jego.

Jadowity ton, jakim wypowiedziała ostatnie słowo, świadczył o wściekłości. Modląc się w duchu, by pochopna rada towarzysza nie sprowadziła na nich obu śmierci, druid wyraził niemą zgodę.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Złap mnie.

Malfurion usłuchał z najwyższym szacunkiem. Jeszcze nigdy nie dotknął innego ducha w Szmaragdowym Śnie i nie wiedział, czego się spodziewać. Jednak ku jego zaskoczeniu dłoń Ysery przypominała w dotyku dłoń

śmiertelniczki. Nie było w niej nic eterycznego. Równie dobrze mógłby trzymać dłoń swojej matki.

– Pamiętaj, że cię ostrzegałam - powiedziała Aspekt.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wkroczyli na śmiertelny plan. Przejście było tak nagłe, a jednocześnie tak gładkie, że nocny elf musiał się przyzwyczaić do zmiany otoczenia. A potem do gwałtownego zniknięcia Ysery.

Nie, Ysera nie znikła. Kilka jardów od miejsca, w którym się unosił, władczyni Szmaragdowego Snu objawiła się w całej swojej wspaniałości. Ogromna smoczyca o połyskliwych zielonych łuskach przytłaczała swym ogromem nawet Korialstrasza, jedyne smoka, jakiego druid miał okazję poznać.

I nie tylko ona. Kiedy się rozejrzał, odkrył, że nie są sami. Na środku wielkiej pieczary stały jeszcze trzy gigantyczne stwory. Czerwony musiał być Alexstraszą, smoczycą, której poszukiwał Krasus. Tak jak Ysera emanowała pięknem i godnością, ale było w niej więcej życia. Obok niej stał samiec niemal dorównujący jej rozmiarami, którego łuski bezustannie zmieniały barwę - od srebrzystej do błękitnej. Miał też - na ile to możliwe u smoka - rozbawiony wyraz pyska.

Całkowitym przeciwieństwem błękitnego lewiatana była wielka czarna bestia, której widok przeszył Malfuriona dreszczem. Miał przed sobą nieokiełznaną moc, siłę ziemi... ale i coś jeszcze. Malfurion musiał odwrócić wzrok od czarnego jak heban olbrzyma, bo za każdym razem, gdy chciał mu się przyjrzeć, ogarniał go niepokój. Nie tylko dlatego, że dwa smoki tego samego koloru ścigały druida i jego towarzysza. Nie, chodziło o coś więcej... coś budzącego przerażenie.

Ale jeśli chciał odnaleźć spokój patrząc w inną stronę, wybrał zły kierunek, bo teraz zobaczył to, co tak intrygowało olbrzymy.

To coś było tak małe, że zmieściłoby mu się w dłoni. W wielkiej czarnej łapie wydawało się drobinką.

– Widzicie? - zagrzemiał czarny olbrzym. - Wszystko gotowe. Wkrótce nadejdzie chwila, na którą czekaliśmy.

– Kiedy to będzie? - zapytała Alexstrasza. - Z każdym dniem demony czynią coraz większe spustoszenia. Gdyby nie to, że ich dowódcy skierowali większość sił przeciwko nocnym elfom, inne kierunki byłyby już stracone.

– Rozumiem twój niepokój... ale najlepiej będzie użyć Duszy Smoka, kiedy niebiosa będą jej sprzyjać. Musi tak być.

Czerwony Aspekt spojrział na złoty dysk.

– Módlmy się, aby w chwili, w której zostanie użyty, okazał się tym wszystkim, o czym mówisz, Neltharionie. Módlmy się, by okazał się wybawieniem świata.

Czarny smok kiwnął tylko łbem. Malfurion, wciąż czekając na sygnał Ysery, z rosnącą nadzieją wpatrywał się w niepozorny przedmiot. Smoki działały. Wymyśliły rozwiązanie, swego rodzaju talizman, który wyzwoli Kalimdor od Płonącego Legionu.

Ciekawość wzięła górę. Osłabił więź łączącą go z Yserą na tyle, żeby przy całym tym zamieszaniu nie zauważyła, co próbuje zrobić. Umysłem zaczął sondować lśniący dysk - tak niepozorny z wyglądu, a jednak pełen mocy tak wielkiej, że nawet smoki składały mu hołd. Zaprawdę, demony nie będą miały szans w starciu z czymś takim...

Nie był zaskoczony, że Duszę Smoka otacza ochronne zaklęcie. Gdy zbadał jego elementy, odkrył coś osobliwego. Każdy z wielkich smoków, tak jak wszystkie stworzenia, miał swoją specyficzną aurę i Malfurion wyczuwał je teraz wokół dysku. Wyczuwał aurę Ysery, którą znał najlepiej, a także aurę Alexstraszy i błękitnego smoka. Nie zabrakło też aury

czarnego lewiatana, ale ta wydawała się oplatać pozostałe, jak gdyby trzymała je na uwięzi. Druid miał wrażenie, że zakłęcie ma na celu utrzymanie ich z dala od tego, co kryło się wewnątrz dysku.

Jeszcze bardziej zaciekawiony, Malfurion wykorzystał nauki Cenariususa, aby przeniknąć przez zakłęcie. Prześliznął się przez nie z łatwością, co go zaskoczyło. Być może twórca dysku nie przypuszczał, iż ktoś taki jak on odważy się na coś podobnego. Druid zapuścił się jeszcze głębiej, docierając wreszcie do ukrytych wewnątrz mocy.

To, co odkrył, sprawiło, że zakręciło mu się w głowie. Wycofał się, oszołomiony. Nawet w obecnej postaci dygotał, nie potrafiąc uporać się z tym, co wyczuł. Spojrzał ponownie na czarnego smoka, zdumiony tym, co udało mu się osiągnąć.

Dusza Smoka... talizman, który miał ocalić Kalimdor... krył w sobie zło równie wielkie jak Płonący Legion.

TRZYNAŚCIE



Demony były skłonne zabijać wszystko i wszystkich, którzy stanęli im na drodze. To utrudniało chwytywanie jeńców w celu przesłuchania, chociaż kapitan Varo'then uznał to za konieczne. Udało mu się wreszcie przekonać Archimonda, by przysłał mu kilku więźniów, ale ci, którzy do niego dotarli, bardziej przypominali płataninę zgruchotanych członków niż żywe istoty.

Oszpecony nocny elf poświęcił ostatniemu z nich kilka minut, a potem wyświadczył mu przysługę, podrzynając gardło. Przesłuchanie zakończyło się klęską, ale on nie był temu w żaden sposób winny. Dowódcy legionu wydawali się nie dostrzegać potrzeby prowadzenia przesłuchań.

Varo'then wolałby się znaleźć na polu walki, ale nie chciał opuszczać pałacu, zwłaszcza ostatnio. Istoty, jaką stał się lord Xavius, nie widziano od wielu dni, ale w tym samym czasie kilku Szlachetnie Urodzonych przepadło jak kamień w wodę. Mannoroth nie przejął się tym zbyt, więc kapitan przypuszczał, iż ma ku temu swoje powody. Oficer nie lubił, kiedy coś przed nim ukrywano.

– Pozbądźcie się tego śmiecia - rozkazał dwóm strażnikom. Kiedy rzucili się, aby spełnić jego polecenie, kapitan Varo'then oczyścił sztylet i

schował go do pochwy. Rozejrzył się po izbie przesłuchań, obskurnym pomieszczeniu o wymiarach sześć na sześć stóp, oświetlonym tylko jedną niebieską kulą. W kątach czały się cienie. Jedyna droga, aby się stąd wydostać, prowadziła przez żelazne drzwi grube na trzy cale.

Posadzkę pokrywały plamy krwi liczące wiele wieków. Królowa nigdy nie odwiedzała najgłębszych zakamarków swojej rezydencji, a Varo'then jej do tego nie zachęcał. Czarna robota nie przystawała do jej wrażliwości.

Żołnierze wywlekli trupa na zewnątrz, zostawiając kapitana sam na sam ze swoimi myślami. Nie było żadnych wieści od Łowczego. Mannoroth nie zdradzał oznak niepokoju, ale nocny elf zastanawiał się, czy potężnemu demonowi coś się nie przytrafiło. Jeśli tak, dobrze by było, gdyby ktoś przejął zadanie wytropienia czarodziejów. Demonom się to na razie nie udało, a Varo'then chciał się zrehabilitować po tym, jak zgubił dwóch przybyszów w zaczarowanym, wrogim lesie.

Ale to oznaczało opuszczenie pałacu...

Obiema rękami poprawił miecz wiszący u boku... i nagle dobył klingi, wbijając ją w cień z lewej strony.

Ostrze minęło o cal postać spowitą dotychczas mrokiem. Ale zamiast się przerazić, obcy wyszczerzył zęby do kapitana.

– Bystre oko, bystry umysł, kapitanie Varo'thenie...

Początkowo myślał, że ma znów do czynienia z Xaviusem, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się nieznajomemu dostrzegł pewne różnice. Varo'then przebiegł w myślach twarze wszystkich Szlachetnie Urodzonych i połączył jedną z nich z koźlonogą postacią.

– Mistrzu Peroth'arnie... zastanawialiśmy się, gdzie się podziałeś.

Dawny czarodziej wysunął się z cienia, a Varo'then schował miecz.

– Uczyłem się... wszystkiego od nowa.

Z trudem skrywając obrzydzenie, kapitan przyjrzał się odmienionemu elfowi. Satyry wydawały mu się odrażające.

– Pozostali również?

– Tylko wybrani.

Wreszcie wyjaśniły się losy zaginionych Szlachetnie Urodzonych. Wciąż tu byli, przemienieni w te groteskowe monstra. Nowa postać Xaviusa była jedną z nielicznych decyzji Sargerasa, którą Varo'then poddawał w wątpliwość. Być może dawny królewski doradca był teraz potężniejszy, ale przemianie uległ także jego umysł. Było w nim coś zwierzęcego, co wykraczało poza sam wygląd, coś zwierzęcego i pokrętnego.

Ale ze spotkania z Peroth'arnem zdążył jak na razie wywnioskować, że reszta zaginionych Szlachetnie Urodzonych stała się tak samo niezrównoważona jak ich przywódca.

– Gdzie Xavius? - zapytał satyra.

– Tam, gdzie jego miejsce, drogi kapitanie - odparła rogata postać. - Dokłada wszelkich starań, by pragnienia Prześwietnego mogły się jak najszybciej urzeczywistnić.

– Nie ma go już w pałacu?

Peroth'arn zachichotał.

– Bystre oko, bystry umysł...

Kapitana Varo'thena kusilo, żeby dobyć miecza i nadzieć nań tę irytującą istotę, może nawet powiesić jej łeb nad kominkiem. Satyr wyszczerzył w odpowiedzi kły, jak gdyby chciał mu rzucić wyzwanie.

Opanowując się, oszpecony nocny elf zapytał:

– W takim razie co ty tutaj robisz? Interesują cię przesłuchania?

– Można powiedzieć, że jestem tu dla rozrywki.

– Nie mam czasu na twoje żarty i niemądre gry słowne. - Varo'then przepchnął się obok Pero'tharna, sięgając ku klamce. - Ani, jeśli już o tym mowa, żarty tego, komu służysz.

– Ty też mu kiedyś służyłeś. I znów będziesz mu służył.

– Służę wielkiemu Sargerasowi i mojej królowej, nikomu więcej! - odparł oficer. - Jeśli on sądzi...

Kapitan obejrzał się na satyra. Ale w miejscu, gdzie stał Peroth'arn, zobaczył tylko cień.

Nocny elf wypadł na zewnątrz z gniewnym pomrukiem. Musiał powiedzieć królowej o tych satyrach. Nie ufał im. I pod żadnym pozorem nie ufał już lordowi Xaviusowi.

Gdyby tylko wiedział, gdzie się podział były doradca...



Malfurion nie mógł uwierzyć w skończone zło, jakie wyczuł w głębi Duszy Smoka. Jak przedmiot mający wybawić cały świat mógł kryć w sobie taką nikczemność? Co takiego wymyślił Neltharion?

Zebrawszy się w sobie, druid zaczął ostrożnie sondować dysk. Tak niewinnie, tak niepozornie wyglądał. Ale jego wnętrze kryło straszliwą prawdę.

Był zdumiony, że Ysera tego nie czuje. Władczynie Szmaragdowego Snu z pewnością nie zlekcewałyby zagrożenia. Ale podobnie jak przed pozostałymi smokami dysk był zabezpieczony przed nią w tak subtelny sposób, że wątpił, by mogła cokolwiek zauważyć, nawet gdyby go trzymała.

Może... może gdyby udało mu się zlikwidować ochronne zaklęcie, pozostali pojęliby prawdę, zanim będzie za późno.

Pokonując obrzydzenie, zapuścił się w głąb dysku. Dzięki wyszkolonym zmysłom zlokalizował sieć zaklęcia. Druid zaczął ją powoli rozplatać...

Wstrząs o sile tysiąca piorunów przeszył jego eteryczną postać, niemalże rozdzierając ją na niematerialne strzępy. Malfurion wrzasnął bezgłośnie. Poszukał pomocy Ysery, ale ku jego przerażeniu smoczyca nie zwracała uwagi na jego męki.

Ale zauważył je ktoś inny.

Nie patrzył na cierpiącego nocnego elfa, ale jego myśli kłębiły się nad nim. Szaleństwo twórcy Duszy Smoka stało się aż nadto oczywiste.

A więc to tak!, zaryczał Neltharion, choć na śmiertelnym planie wciąż przemawiał uprzejmie do pozostałych. *Chcesz ukraść moją drogocenną Duszę Smoka!*

Potworna, niewidzialna siła ścisnęła Malfuriona ze wszystkich stron. Na początku patrzył ze zgrozą, jak jego ciało wije się w męce. Potem dotarło do niego, że obraz własnej postaci, jaki widzi, nie jest niczym więcej, jak tylko obrazem. Neltharion mógł go wyciągnąć w cienki sznurek, a i tak nie miało to wpływu na jego zdrowie. Nie, Strażnik Ziemi miał inny plan; chciał wepchnąć intruza do magicznego więzienia, skąd nie będzie mógł nikogo ostrzec, ani dotknąć ponownie dysku.

Na przerażające wspomnienie uwięzienia przez lorda Xaviusa Malfurion zdołał wyzwolić się z mocy zaklęcia, zanim zamknęło się wokół niego. Natychmiast skoncentrował myśli na Yserze, mając nadzieję, że smoczyca wyczuje grożące mu niebezpieczeństwo.

Nie! Oni nie będą się w to mieszać! Mentalna obecność Nelthariona była przytłaczająca. *Nie zaprzepąścisz wszystkiego, co osiągnąłem! Żadnemu z was się to nie uda!*

Ponieważ Ysera była wciąż nieświadoma tego, co mu grozi, druid zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała - opuścił komnatę i śmiertelny plan,

wycofując się w samotność Szmaragdowego Snu.

Natychmiast otoczył go spokój. Unosił się nad mglistą wizją gór, w których nawiązał kontakt z Tą, Która Śni. Z ulgą spróbował zebrać myśli.

Wielki mroczny cień rzucił się na niego z głośnym rykiem, chcąc połknąć go w całości.

Druid cofnął się w ostatniej chwili, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Neltharion podążył za nim do krainy snu! Smok wyglądał teraz jeszcze straszniej niż na śmiertelnym planie. Jego paszcza była zniekształconą, diaboliczną karykaturą jego dawnego pyska; ze zdeformowanych, zaostzonych rysów wyzierało zło, jakim czarny smok nasączył Duszę Smoka. Neltharion był dwa razy większy niż w rzeczywistości, a jego ostre pazury ciągnęły się milami. Same jego skrzydła rzucały cień na całe pasmo gór.

Nie wyrzekną się tego, co do mnie należy! Tylko ja zasługuję na to, aby rządzić! Nikomu o tym nie powiesz!

Neltharion zionął ogniem. Szmaragdowy Sen wypełniły zielone płomienie.

Malfurion wrzasnął, gdy ogień otoczył jego postać. To, co zrobił behemot, powinno być niemożliwe; nie dość, że wdarł się do władztwa Ysery bez jej wiedzy, to jeszcze usiłował spalić niematerialną postać druida.

Nagle przypomniało mu się coś, czego nauczył go kiedyś Cenarius. *Percepcja potrafi być zwodnicza, mój uczniu, powiedział jego shan'do. To, co wydaje ci się pewne, nie musi być prawdą. W świecie, do którego należysz teraz jako druid, to, co postrzegasz, może się urzeczywistnić, jeśli tylko w to uwierzysz.*

Nie mając pewności, czy dobrze zrozumiał, ale już prawie strawiony przez żar, Malfurion zaprzeczył zabijającym go płomieniom. Nie mogły tu istnieć. Tak jak jego ciało i wielkie cielsko Nelthariona były tym, co

uznawał za rzeczywistość, choć były nierzeczywiste. Były tylko obrazem, iluzją.

I dlatego nie mogły spopielić nawet jednego nierzeczywistego włosa na jego głowie. Ból i cierpienie ustały. Neltharion nie zniknął, ale jego pysk i sylwetka zrobiły się jeszcze bardziej zniekształcone. Przyglądał się drobnej postaci z niejaką odrazą, jak gdyby zastanawiał się, jakim cudem druid ośmielił się nie zginąć.

Nie wiedząc, jak sobie poradzi z następnym wyzwaniem rzuconym mu przez smoka, Malfurion skorzystał z ostatniej drogi ucieczki, jaka mu pozostała. Skupił się na swoim ciele, pragnąc do niego powrócić. Zielonkawe góry uciekły nagle w tył. Neltharion też zmalął w oddali. Malfurion poczuł bliskość swojego ciała...

Nie!, rozległ się znów przerażający głos Nelthariona. *Dopadnę cię!*

W chwili, w której nocny elf powracał do swojej śmiertelnej postaci, poczuł silne uderzenie. Ze stęknieniem, wciąż na wpół uśpiony, poleciał w tył, uderzając mocno głową w twardą, skalistą ziemię. Ostatnie resztki Szmaragdowego Snu rozwiały się, a wraz z nimi ucichł gniewny ryk czarnego smoka.

– Druidzie! - usłyszał czyjś głos. - Malfurionie Stormrage! Czy mnie słyszysz? Czy jesteś cały?

Spróbował się skupić na tym nowym głosie.

– Krasus?

Ale kiedy zobaczył twarz maga, szarpnął się w tył. Pole jego widzenia wypełnił potworny smoczy pysk, szczęki rozwarły się, aby go połknąć...

– Malfurionie!

Ostry ton głosu Krasusa przeciął jego strach jak nóż. Obraz widziany przez nocnego elfa rozmył się, ukazując nie smoka, ale stanowczą, bladą twarz, którą tak dobrze znał.

Na obliczu czarodzieja malował się niepokój. Pomógł Malfurionowi usiąść i podał mu bukłak z wodą. Dopiero gdy druid zaspokoił pragnienie, Krasus zapytał, co się stało.

– Czy dotarłeś do Tej, Która Jest Śnieniem?

– Tak, ale musiałem kilka razy wymienić imię Cenariususa... jak zasugerowałeś.

W kąciuku ust smoczego maga pojawił się na moment cień uśmiechu.

– Zapamiętałem coś, czym podzieliła się kiedyś ze mną Alexstrasza. Uznałem, że w przeszłości te uczucia będą jeszcze silniejsze.

– A więc miałem rację, że ona i mój *shan'do*...

– Czy jest to dla ciebie zaskoczeniem? Sfery ich wpływów nakładają się na siebie na wiele sposobów. Pokrewne dusze przyciągają się, bez względu na swoje pochodzenie.

Malfurion nie naciskał dalej.

– Zgodziła się zabrać mnie na miejsce ich spotkania.

Krasus zrobił wielkie oczy.

– Wszystkich pięciu Aspektów?

– Widziałem tylko cztery. Yserę, twoją Alexstraszę, srebrzysto-niebieskiego smoka o rozbawionej minie...

– Malygosa... jakże wielka zmiana go czeka.

– I... i... - Nagle nocny elf nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Miał je na końcu języka, ale nie był w stanie ich wypowiedzieć. Im usilniej próbował, tym infantylniej brzmiał. Z ust wydobywały mu się dźwięki pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

Kładąc mu rękę na ramieniu, Krasus pokiwał ze smutkiem głową.

– Chyba rozumiem. Nie możesz powiedzieć nic więcej. Był tam jeszcze jeden smok.

– Tak... jeszcze jeden.

Malfurion nie był w stanie dodać nic więcej, ale widział, że Krasus rzeczywiście go zrozumiał. Zszokowany młodzieniec przyglądał się swojemu towarzyszowi, pojmując, że on również nie może rozmawiać o Neltharionie. W przeszłości Krasus musiał się narazić czarnemu behemotowi.

Co oznaczało, że prawdopodobnie wie także o Duszy Smoka.

Wpatrywali się sobie w oczy, a cisza, jaka między nimi zapadła, mówiła więcej, niż mogły powiedzieć słowa. Nic dziwnego, że smoczy mag tak bardzo chciał dotrzeć do swego ludu i odkryć prawdę. Starożytni zostali zdradzeni przez jednego ze swoich, a jedyne dwie osoby, które o tym wiedziały, nie mogły o tym rozmawiać, nawet ze sobą.

– Musimy opuścić to miejsce - mruknął Krasus, pomagając mu wstać. - Sam się pewnie domyślasz, dlaczego.

Malfurion domyślał się. Neltharion nie spocznie, dopóki go nie zabije. Rzucone nań zaklęcie było ostatnią próbą powstrzymania go, zanim opuścił Szmaragdowy Sen, ale wiedział, że czarny smok nie zadowolony się tym. Był zbyt bliski celu. Krasusa ocalił fortunny zbieg okoliczności, ale Malfurion widział napad szaleńczego czarnego behemota i rozumiał, że żaden z nich nie jest bezpieczny. I choć Neltharion nie odważy się działać bezpośrednio...

– Strażnicy! - wydyszał.

– Tak. Możemy się znów na nich natknąć. Musimy odszukać hipogryfy i odlecieć.

W ten oto sposób, dzięki osobliwym właściwościom zaklęcia, porozumiewali się nie wprost. Drobnym i dość bezużytecznym darem. Mogli dawać sobie w ten sposób do zrozumienia, jaki czeka ich los.

Wciąż wyczerpany, Malfurion musiał wesprzeć się na Krasusie, żeby móc iść. Z wysiłkiem dotarli do miejsca, gdzie czekały niecierpliwie się

zwierzęta. Jeden z Hipogryf zaskrzeczał na widok pary dwunożnych istot, przez co drugi załopotał z przestracaniem skrzydłami.

– Dadzą radę zanieść nas z powrotem? - zapytał mag Malfuriona.

– Tak. Cenarius...

Ziemia zatrzęsała się gwałtownie. Nocny elf i Krasus runęli jak dłudzy. Kilka stóp dalej hipogryfy wzbiły się w powietrze, łopocząc skrzydłami.

Spod ziemi, w miejscu gdzie czekały wierzchowce, wystrzelił ślepy łeb potwornego czerwia. Szeroka szczelina na szczycie łba rozwarła się niewiarygodnie szeroko, ukazując okrągłą, najeżoną kłami paszczę. Z dzikim pomrukiem czerw połknął w całości jednego hipogryfa.

– Uciekaj! - krzyknął Krasus.

Towarzysze puścili się biegiem przez skalisty teren. Pomimo zjedzonego właśnie posiłku, robak odwrócił się w ich stronę. Znow wydał z siebie pomruk, po czym zanurkował pod ziemię.

– Rozdzielamy się, Malfurionie!

Gdy tylko rozbiegli się w przeciwne strony, ziemia eksplodowała i straszliwy stwór wynurzył się na jej powierzchnię. Kłapnął paszczą, wyraźnie sfrustrowany, że nie udało mu się nikogo złapać.

Choć czerw nie miał oczu, jakimś cudem wyczuł, w którą stronę ucieka Malfurion. Jego ogromne, segmentowane ciało zaczęło sunąć ku druidowi, otwierając i zamykając żarłoczną paszczę.

To nie mógł być przypadek. To Neltharion nasłał na nich tego ryjącego potwora. Paranoja smoka osiągnęła już taki poziom, że nic nie mogło zagrozić jego mrocznym pragnieniom.

Czerw rzucił się naprzód. Odór zgnilizny bijący mu z pyska prawie obezwładnił druida. Malfurion biegł co sił w nogach, chociaż wiedział, że biegnie zbyt wolno.

Czerw już, już miał go dosięgnąć, gdy coś przecięło mu drogę. Z dzikim wrzaskiem ocalały hipogryf rozorał mu mięsisty łeb szponami i dziobem, chcąc pomścić pozartego towarzysza.

Burcząc złowieszczo, czerw spróbował ukąsić latającego przeciwnika. Hipogryf umknął poza jego zasięg, po czym znów opadł, celując dziobem w łeb monstrum.

– *Kylis Fortua!* - zakrzyknął Krasus.

Kamienie i wielkie bryły twardej ziemi, wyrzucone na powierzchnię przez czerwia, uniosły się w powietrze i zasypały stwora gradem ciosów. Czerw zakołysał się w przód i w tył, usiłując się przed nimi uchylać. Kamienie nie wyrządziły mu większej krzywdy, ale zakłęcie Krasusa wyraźnie rozwścieczyło bestię.

Druid wziął oddech i spróbował pomóc na swój własny sposób. W górzystej okolicy rosło niewiele roślin, ale jego uwagę przykuł pobliski krzak. Przepraszając krzew, Malfurion zerwał z gałązek kilka kolców, a potem cisnął nimi w wielkiego drapieźnika.

Wiatr porwał kolce, niosąc je coraz szybciej i szybciej w stronę monstrum. Malfurion skupił myśli, dotykając nimi miejsc kontrolujących wzrost cierni.

Kolce rozrosły się w locie. Potroiły swoje rozmiary raz, a potem kolejny. Nim uderzyły w czerwia, wiele dorównywało już wielkością druidowi.

I co najważniejsze, były teraz twardsze. Każda z igieł wbiła się w czerwia z siłą stalowej lancy. W ciele potwora utkwily dziesiątki długich na jard cierni.

Tym razem Stwór zaryczał. Z ran pociekła zielona, skwiercząca ciecz, która wżerała się nawet w ziemię. Czerw zakołysał się na boki, próbując wytrząsnąć ciernie, ale żaden ani drgnął.

– Dobra robota! - zawołał Krasus, łapiąc Malfuriona za ramię i ciągnąc go za sobą. - Spróbuj wezwać drugiego hipogryfa!

Malfurion sięgnął myślą ku zwierzęciu, próbując je przywołać, ale wściekłość wzięła górę nad posłuszeństwem. Czerw pożarł jego towarzysza i hipogryf pałał żądzą zemsty.

– Nie posłucha! - wrzasnął druid. W jego głos wkradła się panika.

– Musimy biec dalej!

Wciąż usiłując strząsnąć z siebie ciernie, czerw ruszył w pościg. Nie poruszał się już tak szybko jak przedtem, ale para uciekinierów i tak musiała biec co sił w nogach.

Segmentowany olbrzym zanurkował z impetem w głąb ziemi. Grunt dookoła zawibrował tak gwałtownie, że Malfurion potknął się. Krasus utrzymał się na nogach, ale zwolnił.

– Muszę spróbować coś zrobić! - krzyknął. - Obawiałem się tego od chwili przybycia do twojej krainy, ale bez hipogryfa to nasza jedyna nadzieja!

– Co zrobić?

Krasus nie odpowiedział. Rzucił już zaklęcie. Malfurion poczuł, że wokół towarzysza gromadzą się niepokojące siły. Smoczy mag zakreślił prawym ramieniem krąg i zaczął mamrotać słowa w języku, którego nocny elf nigdy jeszcze nie słyszał. Ręka Krasusa przecięła nagle powietrze, tworząc lukę w rzeczywistości.

Nie, nie lukę, poprawił się w myślach Malfurion. Portal.

Kiedy czarodziej skończył, ziemia zadrżała. Odwracając się do druida, Krasus krzyknął:

– Przez bramę, Malfurionie! Przez...

Czerw znów wystrzelił spod ziemi. Krasus poleciał w tył. Nocny elf, który miał już posłuchać, zawrócił, żeby pomóc towarzyszowi.

– Miałeś biec dalej! - warknął Krasus.

Potworny czerw rozdziawił paszczę. Malfurion dźwignął maga i pociągnął go w stronę portalu. Czuł na plecach oddech bestii, jej trupi odór. Ucieczka wydawała się tak odległa...

Kiedy wbiegli w portal, czerw wystrzelił naprzód...

CZTERNAŚCIE



Do starcia z demonami doszło na zachód od Suramaru. Nowy atak został zatrzymany i walki utknęły w martwym punkcie. Nocne elfy nie były w stanie zepchnąć Płonącego Legionu ku Zin-Azshari, ale i nieprzyjaciel nie potrafił odzyskać straconych pozycji.

Wojownicy Płonącego Legionu walczyli niezmiernie dzielnie, ale nocne elfy miały jedną przewagę. Znały te okolice o wiele lepiej niż demony. Suramar otaczały rzeki i łagodne wzgórza. Część regionu porastały też kiedyś lasy, ale te zostały w większości spalone lub wycięte. Mimo to okolica wciąż była usiana martwymi pniami i zrujnowanymi domostwami, które służyły obrońcom nie tylko jako punkty orientacyjne, ale i osłona przed wrogiem.

Ravencrest rozesłał grupy zwiadowcze mające zbadać dokładną liczebność wroga. W jednym z takich oddziałów znaleźli się Brox, Rhonin i kilku członków kompanii Jaroda Shadowsonga, w tym sam kapitan. Ork i człowiek zgłosili się na ochotnika, wiedzieli bowiem, że znają zwyczaje Płonącego Legionu lepiej niż ktokolwiek inny. Ravencrest kazał im przysiąc, że tak jak reszta zwiadowców powrócą o wyznaczonym czasie i ani chwili później. W przeciwnym wypadku nie mógł im zapewnić

bezpieczeństwa, jeśli uzna za stosowne zaatakować jedno ze skrzydeł wrażej armii na podstawie raportów innych zwiadowców.

Zapadła noc, ale sam ten fakt nie utrudniał im wędrówki. Zwykła ciemność nie przeszkadzała żadnemu ze zwiadowców, a nawet była im na rękę. Wszystko zasnuła jednak gęsta, wilgotna mgła o zielonkawym zabarwieniu. Mgła zalegała wszędzie, gdzie pojawiały się demony, więc w każdej chwili musieli liczyć się z tym, że kilka jardów dalej czają się potworni wojownicy.

Dwunastoosobowy oddział przemierzał powoli spustoszony teren. U schnięte i poczerńnięte drzewa rzucały we mgle niesamowite cienie. Choć mrużyli oczy, nie byli w stanie przebić wzrokiem mgły.

Miało to nawet swoje dobre strony. Jechali właśnie przez jedną z podmiejskich osad. Od czasu do czasu mijali obalone pozostałości nadrzewnego domostwa. Wyrwany z korzeniami pień porąbano na kawałki. Wszyscy wiedzieli, że jego mieszkańców spotkał najprawdopodobniej taki sam los.

– Barbarzyństwo - wymamrotał Jarod.

Brox chrząknął. Nocne elfy musiały się bardzo szybko uodpornić się na rzeźnicze metody Płonącego Legionu, ale nie oswoiły się z nimi tak jak ork. Brox stykał się z brutalnością od najmłodszych lat. Najpierw końcówka wojny z Sojuszem, potem zbrojny marsz ku rezerwatowi, a w końcu walka z Płonącym Legionem i Plagą. Opłakiwał poległych, to prawda, ale niewiele rzeczy było go w stanie przyprawić o odruch wymiotny. Śmierć zawsze była śmiercią.

Jadący z prawej strony orka Rhonin zaklął pod nosem. Czarodziej zacisnął dłoń, a potem wepchnął ją do wiszącej przy pasie sakwy. Próbował przeszukać teren za pomocą magicznego kamienia, ale mgła zakłócała działanie tak subtelnej magii.

Brox miał swoje własne metody szukania wrogów. Co kilka jardów zadzierał nos i węszył. Zapachy, które najczęściej atakowały jego powonienie, były ostre i mówiły o śmierci. Do tej pory jedynymi demonami, jakie udało mu się wytropić, były ohydne trupy oblepione własną posoką.

Ciał było oczywiście o wiele więcej. W całej osadzie po ziemi wały się zmasakrowane zwłoki nocnych elfów - żołnierzy osłaniających odwrót i bezradnych cywilów, którzy uciekali zbyt wolno. Nie przepuszczono żadnej ofierze - odrąbano im ramiona, nogi, nawet głowy. Niektóre trupy wyglądały tak, jak gdyby okaleczono je po śmierci, co jeszcze wzmogło obrzydzenie i rozgoryczenie członków oddziału.

– Rozciągnijcie się, ale pozostaniecie w zasięgu wzroku - rozkazał Jarod, ściągając wodze nocnej panterze. - I panujcie nad wierzchowcami.

Ten ostatni rozkaz powtórzył już któryś raz z rzędu. Wielkie pantery były wyjątkowo podenerwowane sytuacją, jak gdyby wiedziały coś, o czym nie wiedzieli jeźdźcy. To wprowadzało wśród zwiadowców dodatkowe napięcie.

Przed nimi zamajaczył koszmarny cień... obrzeża Suramaru. Płonący Legion miał za mało czasu, żeby zburzyć całe miasto, więc część zabudowań ostała się niczym ponure przypomnienie wszystkiego, co zostało utracone... i co mogli jeszcze utracić.

– Na Księżycową Matkę... - wyszeptał jeden z żołnierzy.

Brox zerknął na Jaroda. Kapitan patrzył na swoje miasto prawie nie mrugając powiekami. W dłoniach trzymał wodze. Na szyi pulsowała mu widoczna żyła.

– Ciężko jest nie mieć domu - zauważył ork, myśląc o własnym życiu.

– Ja mam dom - warknął Jarod. - Suramar jest wciąż moim domem.

Ork nic już nie powiedział, rozumiejąc ból nocnego elfa.

Przez wyważoną bramę wjechali do miasta. Otoczyła ich grobowa cisza. W tym martwym miejscu nawet ich oddechy wydawały się za głośne.

Za murami przystanęli. Jarod popatrzył na czarodzieja, czekając na jakąś propozycję. Przed nimi droga rozwidlała się w trzech kierunkach. Ze względów bezpieczeństwa powinni się trzymać razem, ale ograniczenia czasowe uniemożliwiały im przeszukanie w ten sposób całego Suramaru.

Rhonin zmarszczył brwi, a w końcu powiedział:

– W tej mgle nikt nie powinien oddzielać się od grupy. Jest w niej jakaś magia. Trudno, najwyżej nie zdążymy przeszukać wszystkiego, kapitanie.

– Jestem skłonny się zgodzić - odparł Jarod z pewną ulgą. - Nigdy nie sądziłem, że będę tak nieufny wobec miejsca, w którym dorastałem.

– To już nie jest Suramar, kapitanie Shadovsong. Musisz o tym pamiętać. Płonący Legion plugawi wszystko, czego dotknie. Nawet jeśli w mieście nie ma demonów, może być bardzo, bardzo niebezpieczne.

Brox pokiwał głową. Aż nadto dobrze pamiętał to, co wyszło na niego z mgły, kiedy jego lud walczył z demonami. To, z czym do tej pory zmagają się nocne elfy, bladło w porównaniu z tamtą makabrą.

W mieście zachowało się dość budowli, by ruiny przypominały dawny Suramar. Co jakiś czas wyłaniał się z mgły kolejny budynek, który nie został zrównany z ziemią. Jarod kazał żołnierzom przeszukiwać je na wypadek, gdyby ktoś, kto przeżył rzeź, szukał w środku schronienia.

Jednak ani razu nie natrafili na żywą duszę.

Chociaż mieli zamiar trzymać się razem, poczynione spustoszenia zmusiły ich do rozdzielenia się. Ścieżka stała się tak kręta i zasypana gruzem, że wspólna jazda powodowała znaczne osłabienie tempa. Z ogromną niechęcią Jarod polecił trzem żołnierzom z przodu i z tyłu skręcić w boczne uliczki.

– Omińcie gruzowisko i dołączcie do nas, gdy tylko będzie to możliwe - rozkazał sześciu elfom. Gdy obie grupy rozjeżdżały się, dodał szybko: - I trzymajcie się razem!

Grupa składająca się z Jaroda i trzech żołnierzy eskortujących Rhonina i Broxa ruszyła dalej. Nocne pantery musiały wyszukiwać przejście wśród zwałów gruzu. Drogę zagrodziły im trzy wielkie nadrzewne domy, które zostały ścięte i padając, zderzyły się ze sobą. Jeden z pni opierał się o dwa pozostałe, a zrujnowany dom zawisł groźnie nad orkiem i jego towarzyszami.

Pantera Broxa stąpnęła na coś i zasyczała. Rhonin nachylił się i poinformował orka:

– Właściciel nie zdążył uciec.

Nim koty dotarły do najwyższego punktu wzniesienia, znaleźli jeszcze trzy ciała. Byli to również mieszkańcy miasta, ale ci próbowali uciekać, kiedy dopadły ich demony. Jeśli nie liczyć groteskowych ran zadanych przez morderców, zwłoki pozostały w nienaruszonym stanie. Nie padły ofiarą rozkładu ani padlinożerców.

– Musieli zginąć na samym początku - zauważył czarodziej. - Ale spodziewałbym się gorszego widoku.

– Dla mnie wyglądają wystarczająco makabrycznie - sapnął Jarod Shadowsong.

W końcu, najostrożniej jak potrafiły, pantery zaczęły schodzić ku właściwej drodze. Trzymając się mocno grzbietu kota, Brox znów pociągnął nosem.

Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że coś wywęszył, ale zapach był słaby i zastarzały. Rozejrzał się i odkrył zewłok piekielnej bestii zakłutej włócznią przez jakiegoś żołnierza. Brox chrząknął z zadowoleniem, wciąż trzymając się kurczowo pantery.

W końcu szóstka zwiadowców zjechała na równy teren. Jarod wskazał przed siebie, mówiąc:

– Niedaleko powinna być szeroka aleja. Tam z pewnością dołączą do nas pozostali, mistrzu Rhoninie.

– Cieszy mnie to.

Chwilę później zobaczyli przed sobą aleję, o której wspomniał kapitan. Na skrzyżowaniu drużyna zatrzymała się, a Jarod rozejrzał wokoło.

– Musieliśmy ich wyprzedzić - stwierdził.

Brox wyprostował się. Rhonin poruszył się niespokojnie w siodle, rozkurczając palce, co, jak wiedział ork, było wstępem do rzucenia zaklęcia.

– Aa! - Jarod wyraźnie odetchnął z ulgą. - Oto jeden oddział.

Z lewej nadjechało trzech żołnierzy. Widok towarzyszy powitali z wielką radością. Nawet koty poruszały się bardziej żwawo.

– Co znaleźliście? - zapytał Shadowsong nowoprzybyłych.

– Nic, kapitanie - odpowiedział żołnierz najstarszy szarżą. - Jeszcze więcej ruin i jeszcze więcej ciał. Tyle samo naszych, co demonów.

– Cholera...

– Czy część z tych, których znałeś, nie trafiła między maszerujących z armią uchodźców, Jarodzie? - zapytał Rhonin.

– Zbyt wielu z nich. A im więcej ich tu znajdziemy, tym mniejsza szansa, że przegapiłem kogoś w tłumie.

Brox świetnie to znał. Ilu z tych, z którymi dorastał, zginęło w tej czy innej bitwie? Nic dziwnego, że żałował kiedyś, iż nie zginął wraz z towarzyszami broni; ork przeżył już większość swoich braci. Uświadomił sobie, że pragnienie śmierci, jakie odczuwał, było po części efektem samotności.

Jarod popatrzył w przeciwną stronę.

– Druga grupa powinna się pojawić lada chwila.

Minęła jednak nie jedna chwila, a sto, a zaginionych żołnierzy jak nie było, tak nie było. Jeźdźcy stęzeli. Ich ponure nastroje udzieliły się nocnym panterom, które z każdą minutą coraz głośniejszy syczały i prychały.

W końcu Brox nie mógł już dłużej znieść tego wyczekiwania. Kapitan Shadowsong unosił właśnie rękę, żeby zaproponować poszukanie zagubionych, gdy ork minął go, jadąc w stronę miejsca, gdzie ostatni raz widzieli trójkę żołnierzy.

Skierował wierzchowca w dół drugiej ścieżki, szukając ostrożnie jakichkolwiek śladów. Rhonin i nocne elfy, których zostawił daleko w tyle, pospieszyli w ślad za nim.

Ulica była zawałona gruzem. Jedyne plamki koloru były podarte szmaty i zaschnięta krew. Ork dobył topora i ponaglił wierzchowca. Nagle uderzyło go coś dziwnego. Okręcił się w siodle, szukając bacznie potwierdzenia swoich domysłów. Ale nigdzie nie dostrzegł nawet śladu pojedynczego ciała. Ani elfów, ani demonów. Nie mógł nawet odnaleźć trupów trzech zaginionych żołnierzy i ich wierzchowców. Co się z nimi stało?, zastanawiał się Brox. Jakim cudem tej ulicy nie zasłały trupy niewinnych? Słyszając cichy zgrzyt kamieni, zielonoskóry wojownik obejrzał się gwałtownie w prawo. Z mgły wyłoniła się jakaś postać - pieszy żołnierz z mieczem w dłoni.

– Gdzie twoja pantera? - huknął ork.

Żołnierz szedł niezdarnie w jego stronę. Pancierz miał uwalany, szczękę obwisłą.

Kiedy jego twarz stała się lepiej widoczna, Brox odkrył z konsternacją, że jej część została wyrwana. Brakowało jednego oka, a poszarpana rana sięgała aż do gardła... a raczej tego, co z niego zostało.

Zbliżając się do orka, makabryczna postać uniosła miecz. Za jej plecami Brox dostrzegł nagle kolejne kształty.

Choć zielonoskóry wojownik nie był tchórzem, ściągnął wodze, zawracając wierzchowca. Okręcając się, kot trzepnął łapą nacierającego żołnierza, odpychając go jak zabawkę.

W tej samej chwili nadjechali pozostali. Jarod popatrzył za plecy orka, gdzie upadł żołnierz.

– Co mu zrobiłeś? Bestia zabiła go...

– Był już martwy! Szybko! Nadchodzą pozostali!

Nocny elf chciał się sprzeczać, ale Rhonin położył mu dłoń na piersi.

– Spójrz we mgłę, Jarodzie! Spójrz!

Jarod spojrział - i potrząsnął głową ze zgrozą. Żołnierz wstał, jego twarz i pierś wyglądały teraz jeszcze straszniej. Wciąż się chwiejąc, podniósł z ziemi miecz i ruszył w stronę zwiadowców. Za jego plecami ukazała się wyraźnie pierwsza z kolejnych postaci - nocnych elfów, ale w jeszcze bardziej makabrycznym stanie niż żołnierz. Niektórzy zostali rozpruci od stóp do głów, innym brakowało kończyn. Wszyscy mieli takie samo puste spojrzenie i poruszali się z taką samą trupią determinacją.

– Uciekać! - krzyknął kapitan. - Za bramy miasta! Za mną!

Drużyna, z Jarodem i magiem na czele, wycofała się, nim pierwsza z upiornych postaci zdążyła ich dosięgnąć. Wrócili do skrzyżowania tą samą drogą, ale tam Jarod kazał im skręcić w przeciwną stronę.

– Czemu tędy? - spytał Rhonin.

– To krótsza i łatwiejsza droga... mam nadzieję!

Ale spośród ruin zaczęły się wyłaniać następne postacie. Brox warknął, kiedy będący kiedyś starszą kobietą stwór w oblepionych zakrzepłą krwią strzępach połyskliwej srebrzysto-turkusowo-czerwonej szaty spróbował chwycić go za nogę. Odepchnął go kopniakiem i na wszelki wypadek

odrabiał mu łeb potężnym ciosem magicznego topora. Nawet wtedy elfka nie przestała chwytać na oślep wszystkiego, co znalazło się w jej zasięgu, ale ork zdążył już na szczęście odjechać.

Rhonin zatrzymał raptownie wierzchowca.

– Uwaga!

Dla jednego z jadących obok niego żołnierzy ostrzeżenie okazało się spóźnione. Masa szarpiących, czepiających się dłoni ściągnęła go z siodła. Uciął jedną mieczem, ale równie dobrze mógłby dźgać nim powietrze.

Jarod chciał przyjść towarzyszowi z pomocą, ale zanim go złapał, nieszczęśnik zniknął pod warstwą trupów. Jego wrzask urwał się jak ucięty nożem.

– Dla niego jest już za późno! - krzyknął czarodziej, choć Jarod wyraźnie chciał ratować towarzysza. - Jedźcie dalej! Chyba wiem, co trzeba zrobić!

– Nie mogę cię zostawić! - upierał się kapitan.

Brox zatrzymał się obok Rhonina.

– Ja z nim zostanę!

– Będziemy tylko kilka minut za wami, kapitanie! Reszta drogi wydaje się czysta! Powinniście wydostać się z miasta!

Nocne elfy nie chciały odjeżdżać, ale tylko niepotrzebnie nadstawiałyby karku. Z nich wszystkich Rhonin miał największe szanse przeżycia.

– Tędy! - zawołał kapitan do reszty zwiadowców.

Gdy odjechali, zabierając ze sobą luźną nocną panterę, Rhonin odwrócił się do nacierającej tłuszczy.

– Brox! Potrzebuję kilku sekund.

Ork kiwnął głową i wyjechał naprzód. Z okrzykiem wojennym na ustach rzucił się między żywe trupy, wznosząc i opuszczając topór z zabójczą precyzją. Wyciągnięte ręce, pokryte zakrzepłą krwią piersi, rozszarpane

gardła - ciął je równo, wkładając w każdy cios całą siłę, jaka mu jeszcze została.

Kiedy zaczął słabnąć, Rhonin zawołał:

– Dość! Cofnij się!

Gdy tylko usłyszał, czarodziej cisnął w zbliżającą się horde niewielką fioletką. Buteleczka przeleciała łukiem nad pierwszym rzędem, skrapiając każdego z nieumarłych. W chwili, w której ciecz dotknęła ich ciał, ghule zajęły się błękitnymi płomieniami. Wkrótce rozpętało się piekło. Trupy z tyłu weszły bezmyślnie w płomienie, które natychmiast na nie przeskoczyły. Te, które już płonęły, wpadały na pozostałe, roznosząc pożogę.

– Kiedyś użyłem tego zaklęcia przeciwko Pladze - oznajmił człowiek z ponurą satysfakcją. - Chodź! Musimy...

Jedna z płonących postaci zatoczyła się do przodu i wpadła na wierzchowca Broxa, podpalając mu futro. Ork bezskutecznie próbował zapanować nad panterą, która odwróciła się gwałtownie i pomknęła jak szalona, byle dalej od źródła bólu... porywając jeźdźca w głąb Suramaru.

Rhonin zawołał za nim, ale Brox nie był w stanie zatrzymać zwierzęcia. Oszałała z bólu pantera pędziła na oślep ulicami.

Ork usiłował zdusić płomienie, ale tylko pogorszył sytuację. Nocna pantera zwolniła nagle, a potem rzuciła się na ziemię płonącym bokiem. Brox ledwo zdążył rzucić się w bok, chroniąc nogę przed zmiżdżeniem przez ogromne cielsko zwierzęcia.

Nocna pantera zaczęła się tarzać, szorując bolącym bokiem po ziemi, a potem, niezadowolona widąc z efektów, uciekła, zanim ork zdołał ją zatrzymać. Brox okręcił się, przekonany, że straszliwa horda opadnie go ze wszystkich stron. Dysząc ciężko, opędził się toporem, aby dopiero po

chwili uświadomić sobie, że nie grozi mu żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Oczywiście stracił wierzchowca, a czarodziej został daleko w tyle.

Rozglądając się nieufnie, zaczął się wycofywać drogą, którą, jak mu się wydawało, przybiegła pantera. Ale idąc przez ruiny nie zobaczył niczego, co by za tym przemawiało. Ranny kot biegł z tak maniacką rączością, że musiał zawlec orka dalej, niż ten sobie wyobrażał.

Brox wciągnął powietrze w nozdrza, ale nie wyczuł ani zapachu człowieka, ani nocnych elfów. Co gorsza, jego niezawodne wyczucie kierunku tym razem go zawodziło. Mgła uderzała do głowy, mamiąc wszystkie zmysły.

Coraz bardziej zagubiony, Brox ruszył uliczką, która wydała mu się jakby znajoma. Z mgły wyłaniały się połamane drzewa, spalona ziemia i walące się ruiny domostw, ale nadal niczego nie rozpoznawał.

Nagle w nozdrza uderzyła go dziwna woń. Zwalisty ork zawahał się, znów węsząc. Jego ciężkie brwi zbiegły się, poźółkłe zęby zgrzytnęły.

Z nową determinacją ruszył w prawo, pociągając nosem przy każdym kroku. Nowa trasa wymagała wdrapania się po zwisających korzeniach olbrzymiego dębu na strzaskaną skorupą elfiego domu, ale nic nie mogło go powstrzymać. Wspinał się ostrożnie i jak najciszej, co wcale nie było proste, jako że w jednej ręce wciąż ścisnął topór, którego wolał nie chować.

Gdy dotarł na szczyt zgruchotanego domu, zwęszył świeży zapach. Zmarszczył nos z obrzydzeniem, ale gramolił się dalej.

Kiedy wyjrzał na drugą stronę, zobaczył demony przy pracy.

Było tam czterech piekielnych gwardzistów i jeden strażnik zagłady. Nie byli oni jednak aż tak groźni, jak dwa demony stojące z przodu. Ork zawarczał, rozpoznając straszliwe skrzydlate postacie w granatowych

pancerzach. Gestykulowały palcami o ostrych, przypominających klingi paznokciach, a ich dłonie otaczała bladozielona poświata.

Nathrezimowie, zwani też Mrocznymi Władcami.

Górowali nad pozostałymi demonami wzrostem, a ich widok budził większą grozę. Z głów wyrastały im wielkie, ciemne, poskręcane rogi. Miały martwą, szarą skórę niczym trupy, a ich łbów nie porastały żadne włosy. Z ust sterczały im ostre kły. Brox przypomniał sobie opowieści o wampirycznych właściwościach Mrocznych Władców. W rzeczy samej, Nathrezimowie byli psychicznymi wampirami, karmiącymi się słabymi umysłami i zmieniającymi swe ofiary w niewolników.

Oba demony miały grube, potężne nogi zakończone kozimi racicami. Nie dość, że podstępne i biegłe w sztuce magicznej - nawet bardziej od Eredarczyków - były też zabójczo skutecznymi wojownikami. Ale w tej sytuacji dla orka i jego towarzyszy największym zagrożeniem były ich mroczne czary.

Brox odnalazł nekromantów.

Dwaj Nathrezimowie dopuścili się niewyobrażalnej ohydy, wskrzeszając zmarłych wymordowanych przez siebie i swoich towarzyszy. Ork przypomniał sobie wszystko, co słyszał o Pladze Nieumarłych i ich nekromantycznej magii.

Brox wyobraził sobie, jak by się czuł, gdyby zakrwawione ciała jego towarzyszy powstały, aby dołączyć do szeregów wroga. To byłoby świętokradztwo, zbezczeszczenie duchów. Serce waliło mu jak młotem, czuł, jak ogarnia go niekontrolowana furia.

Nagle pomyślał o Rhoninie i nocnych elfach. Możliwe, że udało im się uciec, ale przy takiej liczbie nieumarłych kontrolowanych przez Nathrezimów mogli równie dobrze walczyć o życie... o ile nie zostali jeszcze zabici.

A jeśli nie żyli... zapewne też dołączą do reszty żywych trupów wskrzeszonych przez Mrocznych Władców.

Brox nie był się już w stanie powstrzymać. Wyskoczył ze swojej kryjówki, wznosząc okrzyk bojowy podobny do tego, jaki wydali z siebie z towarzyszami na przełęczy, i rzucił się na demony.

Krzyk poniósł się echem w ciszy. Ku ogromnej satysfakcji wojownika zaskoczone demony aż podskoczyły. Zaskoczenie osłabiło ich refleks, dokładnie tak, jak planował.

Topór stworzony przez Malfuriona i Cenariusą przeciął gładko opancerzoną pierś pierwszego piekielnego gwardzisty, rozlewając po ziemi jego plugawe wnętrzności. Kiedy pierwszy wróg osuwał się na ziemię, Brox wznosił topór, odrąbując przedramię następnemu stworowi.

Mroczni Władcy nie przerwali pracy, zostawiając zabicie jednego napastnika towarzyszom. Jednak ci nie walczyli nigdy z orkiem - jeszcze nie - i ich brak doświadczenia działał na korzyść Broxa. Weteran wpadł z impetem na następnego piekielnego gwardzistę, obalił go na ziemię i natychmiast odczołował się w bok, umykając przed strażnikiem zagłady, który próbował go stratować.

Brox wymienił ciosy ze skrzydlatym wojownikiem, okręcił się w samą porę, by sparować cios kolejnego przeciwnika. Przeciął kolejnego demona na pół, a potem trzonkiem topora zgruchotał czaszkę okaleczonego wcześniej gwardzisty.

Jeden z magów wreszcie zwrócił na niego uwagę. Nie odrywając towarzysza od plugawego zajęcia, obrócił się i wskazał orka.

Zdesperowany Brox rzucił się między drugiego nekromantę a strażnika zagłady, ale w tej samej chwili skrzydlata postać wrzasnęła i zwinęła się. Jej pierś wybrzuszyła się, jak gdyby coś próbowało się z niej wydostać - a potem eksplodowała.

Coś uderzyło orka z tyłu. Brox upadł oszołomiony. Nad nim nachylił się ostatni piekielny gwardzista, a zaraz obok potwornego wojownika wyrósł Nathrezim. Czarnoksiężnik wpatrywał się w przeciwnika z satysfakcją w demonicznym oczach.

– Będziesz nam dobrze służył... - zasyczał. - Zabijesz wielu swoich przyjaciół...

Wizja samego siebie idącego powłócząc nogami w stronę Tyrande i innych zemdliła Broxa; był gotowy na śmierć, ale to była jakaś jej straszliwa parodia.

– Nie! - Brox dźwignął się z ziemi, wiedząc doskonale, że nie uda mu się pokonać ani oręża piekielnego gwardzisty, ani plugawego zaklęcia Nathrezima.

Nagle drugi stwór zawył. Ledwie wydał z siebie zboląły skowyt, jego ciało zajęło się błękitnymi płomieniami.

Oba demony obróciły się, więc Brox skorzystał z okazji. Natychmiast rzucił się na ostatniego czarnoksiężnika, tnąc go toporem przez gardło i odrąbując mu głowę.

Czyjeś ostrze trafiło orka w pierś, zostawiając na niej krwawą szramę. Brox stęknął z bólu, ale odwrócił się w stronę przeciwnika. Odbił toporem klingę demona, roztrzaskując ją. Piekielny gwardzista próbował się wycofać, ale ork powalił go na ziemię.

Dyszząc ciężko, weteran rozejrzał się. Spomiędzy resztek powalonego drzewa wyszedł Rhonin, prowadząc swoją nocną panterę.

– Pomyślałem, że sam sobie poradzisz, jeśli odwrócę na chwilę ich uwagę. - Czarodziej przyjrzał się ciałom. - Jeśli niepotrzebnie się fatygowałem, proszę, powiedz.

Brox prychnął.

– Dobry wojownik chętnie przyjmie pomoc sojusznika, człowieku. Dziękuję ci.

– To ja powinienem dziękować tobie. To ty znalazłeś demony ożywiające trupy. Znow poczułem się jak za najazdu Plagi.

Na myśl o żywych trupach Brox rozejrzał się niespokojnie, ale niczego nie zauważył.

– Nie denerwuj się, Broksie - uspokoił go Rhonin. - Kiedy Nathrezimowie zginęli, poczułem, że ich magia przestała działać. Martwi znów spoczywają w spokoju.

– To dobrze.

– Jesteś ranny.

Ork chrząknął lekceważąco.

– Nie pierwszy raz.

Rhonin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Teraz ty pojedziesz wierzchem. Jarod i pozostali powinni być zaraz za bramą. Wątpię, by nasz dawny kapitan zajechał daleko bez nas. Stracił już Krasusa i Malfuriona. Nie chce wrócić do Ravencresta z pustymi rękami.

W innych okolicznościach Brox upierałby się, żeby iść pieszo. Okazanie komuś słabości było w oczach jego ludu powodem do wstydu. Jednak z trudem trzymał się na nogach, uznał więc, że dobry wojownik nie ryzykuje bez potrzeby życia tych, którzy przyszli mu z pomocą. Ork dosiadł nocnej pantery i pozwolił Rhoninowi prowadzić.

– Zaczyna się... - wymamrotał człowiek. - Zaczynają eksperymentować z powołaniem armii nieumarłych. Prawdopodobnie nie jest to jedyne miejsce, w którym podjęli takie próby.

Gęsta mgła nie pozwalała zwiększyć tempa. Brox, rozglądając się dookoła, zauważył ciało martwego nocnego elfa, jednego z mieszkańców,

sądząc po stroju. Fakt, że leżał nieruchomo, napełnił orka sprzecznymi uczuciami ulgi i niesmaku.

– Rozumiesz, co mam na myśli, prawda, Broksie?

Ork rozumiał. Każdy, kto przeżył ostatnią wojnę z Legionem i to, co działo się potem, by rozumiał. Każdy w ich czasach przynajmniej słyszał koszarne opowieści o opanowanych przez Plagę ziemiach i snujących się po nich hordach ghuli. Zbyt wiele osób żyjących w tamtych czasach miało krewnych, którzy powstali z martwych i usiłowali zwerbować żyjących do swoich szeregów.

Plaga opanowała świat, szerząc terror i próbując go zmienić w jedną wielką Ziemię Nieumarłych. Quel'Thalas zostało prawie w całości zajęte. Większość Lordaeronu również. Nieumarli grasowali prawie we wszystkich krainach.

Tutaj, w zamierzchłej przeszłości, Brox i Rhonin natknęli się na pierwsze oznaki kiełkowania Plagi... i obaj wiedzieli, że choć odnieśli pomniejsze zwycięstwo, nie są w stanie zrobić nic, aby zmienić ten przerażający fragment przyszłości.

PIĘTNAŚCIE



Głos wciąż tkwił w umyśle Illidana, szepcząc rzeczy, które z początku wydawały mu się niewyobrażalne. Owszem, był zazdrosny o brata, ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby go w jakikolwiek sposób skrzywdzić. To byłoby jak odcięcie sobie lewej ręki. A jednak... takie myśli przynosiły pewne pokrzepienie, kojąc ból spowodowany odrzuceniem przez Tyrande. W głębi duszy Illidana wciąż tliła się iskierka nadziei, że kapłanka spojrzy na niego łaskawszym okiem i zrozumie, jak wielką przewagę ma nad bratem.

Plugawa mgła snująca się nad ziemią od granic samego Zin-Azshari nie poprawiała mu nastroju. Podchodząc do lorda Ravencresta zauważył, że brodaty szlachcic też nie tryska entuzjazmem. Choć armia posuwała się naprzód, Krasus i Malfurion gdzieś przepadli, a Rhonin nie wrócił jeszcze z wyprawy, na którą uparł się wyruszyć. Illidan był pewny, że nocne elfy poradzą sobie bez czarodziejów, ale wolały, żeby przynajmniej człowiek wrócił. Rhonin był jedyną osobą, od której mógł się jeszcze czegoś nauczyć. Klękając na jedno kolano przed swoim panem, Illidan pochylił głowę.

– Panie.

– Wstań, czarodzieju. Wezwałem cię, abyś przygotował siebie i pozostałych do wymarszu.

– Ale mistrz Rhonin...

– Wrócił i zdał raport kilka minut temu. To, co nam opowiedział, skłania mnie do natychmiastowego wymarszu. Musimy zmiążyć demony i jak najszybciej zająć stolicę.

Illidan był zaskoczony, że nie wyczuł powrotu czarodzieja.

– Będziemy gotowi - powiedział wstając.

Miał się już odwrócić, ale Ravencrest potrząsnął głową.

– To nie jedyny powód, dla którego cię wezwałem, młodzieńcze. Chciałem ci powiedzieć, co odkrył czarodziej, i jest to informacja przeznaczona tylko dla twoich uszu.

Serce Illidana wezbrało dumą.

– Nie powiem nikomu, nawet Księżycowym Gwardzistom.

– Dopóki ci nie zezwolę, młodzieńcze. Oto co odkrył mistrz Rhonin, słuchaj uważnie... jeśli zdołasz.

Potem pan Gawroniej Twierdzy przekazał mu straszliwą opowieść o tym, co przydarzyło się oddziałowi Rhonina. Czarodziej najpierw przysłuchiwał się z niedowierzaniem, a potem ze zdumieniem. Nie zareagował jednak odrazą i przestachem jak lord Ravencrest. Zuchwałość demonów po raz pierwszy wzbudziła w nim podziw.

– Nie wiedziałem, że coś takiego jest możliwe - powiedział, kiedy szlachcic skończył. - Jakże potężną magią władają!

– Tak - odparł Ravencrest, nie zauważając chorobliwej fascynacji w głosie Illidana. - Zbyt mroczną i zabójczą. Teraz grozi nam jeszcze większe niebezpieczeństwo, niż sądziłem. Co za ohyda!

Illidan widział tę sprawę w zupełnie innym świetle. Demoniczni czarnoksiężnicy nie stawiali żadnych tam swej wyobraźni. Tworzyli wszystko, na co pozwalały im umiejętności, aby zbliżyć się do upragnionego celu. Choć sam cel nie był godny podziwu, z pewnością zasługiwały nań wysiłki warlocków.

– Dobrze by było pojmać jednego z Eredarczyków - mruknął. Czarodziej wyobraził sobie rozmowę z demonem, podczas której mógłby się dowiedzieć, czym różni się praktykowana przez nich magia od magii elfów.

– Pojmać? Nie bądź niemądry, chłopcze. Mają być z miejsca zabijani, zwłaszcza teraz! Każdy martwy warlock oznacza mniejsze prawdopodobieństwo powtórzenia się koszmaru, z jakim mieli do czynienia mistrz Rhonin i inni zwiadowcy!

Ukrywając skrzętnie wszelkie oznaki uznania dla warlocków, brat Malfuriona skinął pospiesznie głową.

– O... oczywiście, mój panie! To jeden z naszych priorytetów!

– Mam taką nadzieję. To wszystko, czarodzieju.

Illidan uklonił się i natychmiast opuścił szlachcica. Po tym, czego się właśnie dowiedział, w głowie kłębiły mu się różne myśli. Wskrzeszanie zmarłych! Do czego jeszcze byli zdolni Eredarczycy? Nawet dwaj obcy czarodzieje nigdy nie wspominali o takich możliwościach, inaczej z pewnością spróbowali użyć ofiar obu stron przeciwko Płonącemu Legionowi.

Lord Ravencrest popełniał straszliwy błąd. Czyż najlepszą metodą pokonania wroga nie jest poznanie jego mocnych stron i wykorzystanie ich przeciwko niemu? Illidan wierzył, że gdyby tylko posiadał podobne umiejętności, mógłby prawie bez niczyjej pomocy zmiażdżyć potęgę demonów.

Wtedy Tyrande z pewnością wybrałaby jego.

– Gdybym tylko mógł się od nich czegoś nauczyć... - wyszeptał.

Gdy tylko to powiedział, rozejrzał się niespokojnie dookoła, pewny, że ktoś go usłyszał. Jednak w pobliżu nie było nikogo, najbliżsi żołnierze stali wiele jardów dalej.

Znów nabierając pewności siebie, Illidan odmaszerował w stronę obozu Księżycowej Gwardii. Miał wiele spraw do przemyślenia. Bardzo wiele.



Cień zaczął się oddalać od Illidana, omijając namiot lorda Desdela Stareye. Postać, choć miała kopyta, stąpała niezwykle cicho po twardej ziemi. Strażnicy robiący obchód obozu jakimś cudem jej nie zauważyli, choć w pewnym momencie była bardzo blisko. Widzieli i słyszeli ją tylko ci, którzy tego chcieli.

Xavius uśmiechnął się obleśnie, bardzo z siebie zadowolony. Nie tylko wypełnił rozkazy swojego wspaniałego pana, ale i nadał bieg prywatnej zemście. Naznaczył brata druida, a teraz zaczął się proces deprawacji. Pytania, pragnienia, zostały zasiane w duszy Illidana Stormrage'a, a teraz on sam podsyca płomienie. To była tylko kwestia czasu.

Satyr wyśliznął się z obozu, kierując się ku miejscu, gdzie czekali nań pozostali. Nawet Archimond nie wiedział o wszystkim, co uknuł, bo były nocny elf odpowiadał teraz wyłącznie przed Sargerasem. Ani Archimond, ani Mannoroth nie mieli już nad nim władzy.

Tak, pomyślał Xavius, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, kiedy Sargeras wkroczy do tego świata, to on stanie po prawicy władcy demonów... a Archimond i Mannoroth będą musieli paść przed nim na kolana.



Krasusa obudził ból. Ból, który targał każdym włóknom jego jestestwa. Nawet oddychanie było straszliwie bolesne.

– Cicho, cicho - zaćwierkał kobiecy głos. - Nie jesteś jeszcze gotowy, żeby wstać.

Spróbował otworzyć oczy, ale to też okazało się zbyt wielkim wysiłkiem.

– K... kim jesteś?

– Śpij, śpij... - Jej głos był czystą muzyką, ale coś w nim mówiło złożonemu słabością czarodziejowi, że jest kimś więcej niż ludzką kobietą albo nocną elfką.

Krasus próbował odepchnąć od siebie tę myśl, ale siły go opuściły i osunął się z powrotem w nieświadomość. Jego drzemkę wypełniły sny o lataniu. Znow był smokiem, ale tym razem miał wspaniałe upierzenie, niczym wielki ptak. Mag nie zastanawiał się nad tym, podekscytowany, że znow unosi się w powietrzu.

Sen trwał i trwał, mamiąc go i zwodząc. Kiedy ktoś potrząsnął nim, wrywając go z ułudy, prawie przeklął natręta.

– Krasusie! To ja, Malfurion! Obudź się!

Smoczy mag niechętnie powrócił na jawę.

– Jestem... jestem z tobą, druidzie.

– Chwała niech będzie Elune! Myślałem już, że będziesz spać wiecznie.

Rozbudziwszy się, Krasus uświadomił sobie, że nocny elf wyświadczył mu prawdopodobnie ogromną przysługę.

– Wydaje mi się, że miałem spać... przynajmniej do powrotu naszej gospodyni. - Szczupły mag rozejrzał się wokół. - I niewykluczone, że wciąż

śnie.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, choć przestronne, miało tak dziwną konstrukcję, że Krasus musiał mu się dokładniej przyjrzeć. Komnatę zbudowano ze splątanej masy gałęzi, pnączy i innych materiałów zlepionych ziemią i czymś jeszcze. Sklepienie było zaokrąglone, a jedynym widocznym wejściem wydawał się być otwór w ścianie. Popatrzył w dół i zobaczył, że jego posłanie było zrobione z podobnych materiałów pokrytych miękką warstwą świeżych liści splecionych ze sobą w przemyślny sposób. Na niewielkim pieńku służącym za stół stała miska wycięta z nieprawdopodobnie wielkiej łupiny orzecha, która musiała być przeznaczona dla niego.

Smoczy mag napił się wody i kontynuował oględziny. Zmrużył oczy, odkrywając, że to, co wziął wcześniej za przepierzenie, jest w rzeczywistości korytarzem. Krzywizna ścian sprawiała, że nie sposób było go zauważyć, jeśli nie stanęło się dokładnie na wprost niego.

– Jest bardzo długi - stwierdził Malfurion. - Znalazłem jeszcze jedną, o wiele większą komnatę, a potem jeszcze dwie kolejne. Potem korytarze rozwidlały się, więc uznałem, że lepiej będzie wrócić do ciebie.

– Mądra decyzja. - Krasus zmarszczył brwi. Jego wyostrzony słuch uchwycił wreszcie dźwięk z zewnątrz, który był w stanie zidentyfikować. Ptaki. Ale nie jeden gatunek; czarodziej słyszał przynajmniej tuzin różnych treli, czasem jedynych w swoim rodzaju.

– Co jest na zewnątrz?

– Wolałbym nie mówić, mistrzu Krasusie. Sam powinieneś to zobaczyć.

Zaciekawiony, wstał i podszedł do otworu. Wołania ptaków przybrały na sile, stały się bardziej zróżnicowane. Jak gdyby na zewnątrz miały gniazda wszystkie możliwe gatunki ptaków...

Krasus zawahał się, rozejrzył jeszcze raz po pomieszczeniu. Właśnie to przypominała mu komnata... ogromne ptasie gniazdo.

Domyślając się, co zaraz ujrzy, smoczy mag wysunął głowę na zewnątrz.

Miał wrażenie, że wokół rzeczywiście gniazduje każdy możliwy gatunek ptaków. Na pewno miałyby tu dość miejsca. Wszędzie, gdzie spojrzał, rozpościerały się ogromne konary okryte gęstym listowiem. Na każdej z gałęzi uwił sobie gniazdo jakiś ptak. Rozpoznał gołębie, rudziki, kardynały, drozdy i jeszcze kilka innych gatunków. Były tu ptaki z umiarkowanych stref i inne spotykane w bardziej egzotycznym klimacie. Mieszały się ze sobą. Śpiewały razem. Były wśród nich ptaki żywiące się jagodami, ptaki łapiące ryby, a nawet drapieżniki polujące na inne ptaki, choć te ostatnie zadawały się przynoszeniem swoim młodym królików i jaszczurek.

Krasus popatrzył w górę i odkrył jeszcze więcej gniazd. Listowie tego niewiarygodnie wielkiego drzewa zamieszkiwały wszystkie ptaki świata.

Wisiała na nim również dziwna konstrukcja składająca się z setek komnat, w jednej z których stali.

„Gniazdo” oplatało gałęzie drzewa niczym niezliczone tunele wielkiej kolonii mrówek. Czarodziej szybko ocenił, że zmieściłaby się w nim cała armia nocnych elfów - razem z wierzchowcami - plus uchodźcy, a jeszcze zostałoby sporo wolnego miejsca. Choć na pierwszy rzut oka konstrukcja wydawała się nietrwała, Krasus doszedł szybko do wniosku, że jest o wiele bardziej wytrzymała, niż wygląda. „Gniazdo” kołysało się lekko na wietrze, reagując na jego podmuchy. Smoczy mag dotknął krawędzi otworu i odkrył, że ściana związana jest mocniej niż kamienie potężnej fortecy.

A potem... spojrzał wreszcie w dół.

Kiedyś Krasus nawet sobie nie wyobrażał, że smok może mieć lęk wysokości. Ale teraz zachwiał się, nie potrafiąc ogarnąć rozumem tego, co zobaczył.

– Mistrzu Krasusie! - Malfurion odciągnął go od wyjścia. - Prawie spadłeś! Przepraszam! Powinienem być cię ostrzec!

Krasus wziął głęboki oddech, dochodząc do siebie.

– Nic mi nie jest, przyjacielu. Możesz mnie puścić. Teraz już wiem, czego się spodziewać.

– Kiedy sam spojrzałem po raz pierwszy, musiałem rzucić się w tył - wyznał druid. - Bałem się, że porwie mnie wiatr.

Przygotowany na to, co zobaczy, Krasus wrócił do wylotu. Złapał się rękami ścian po obu stronach i popatrzył w dół.

Pień drzewa ginął gdzieś, hen, w dole. Na wyrastających z niego gałęziach siedziały albo gnieździły się ptaki. Krasus wytężył wzrok, ale wciąż nie był w stanie wypatrzeć podstawy drzewa. Pod sobą widział chmury, widomy znak tego, jak wysoko się znajdują.

Nocny elf stanął obok niego.

– Ty też nie jesteś w stanie zobaczyć ziemi, co?

– Nie, nie jestem.

– Nigdy nie słyszałem o drzewie tak wielkim, tak ogromnym, że z jego konarów nie widać ziemi w dole!

– Ja słyszałem - odparł Krasus, przywołując z zakamarków zmałconego umysłu dawne wspomnienia. - To... to G'hanir. Drzewo Matka. To dom wszystkich skrzydlatych istot, przylegający do śmiertelnego planu podobnie jak Szmaragdowy Sen. G'hanir to najwyższe drzewo rosnące na najwyższym szczycie. Owoce, jakie rodzi, kryją w sobie nasiona wszystkich ziemskich drzew. - Zastanowił się jeszcze chwilę. - To dom naszej gospodyni... półbogini Aviany.

– Aviany...?

– Tak. - Jego uwagę przykuła biała postać mknąca w ich kierunku. - I wydaje mi się, że właśnie ku nam zmierza.

Skrzydłata postać rosła w oczach, okazując się w końcu białym sokołem wędrownym większym niż którykolwiek z nich. Krasus popchnął druida do tyłu, aby otwór pozostał wolny.

Gigantyczny sokół wleciał do środka i zaczął się przeobrażać. Nogi mu urosły i zgrubiały. Skrzydła skurczyły się, zmieniając w szczupłe, porośnięte piórami ręce. Ciało przybrało kształty nocnej elfki albo ludzkiej kobiety, zaś ogon przeistoczył się w tren cienkiej jak babie lato białej sukni.

Towarzyszom przyglądała się wiotka, wielkooka kobieta o prawie ludzkich rysach. Nos miała ostry, ale bardzo zgrabny. Jej piękną, bladą twarz barwy kości słoniowej okalała zamiast włosów grzywa puchatych piór. Szaty niewiasty falowały przy każdym kroku, gdy szła na dwóch zgrabnych, zakończonych ostrymi szponami stopach.

– Nie śpicie - powiedziała z lekkim grymasem. - Powinniście odpoczywać, odpoczywać.

Krasus uklonił się przed nią.

– Jestem wdzięczny za twą gościnność, pani, ale czuję się już na tyle dobrze, by wyruszyć w dalszą drogę.

Przekrzywiła głowę tak, jak to robią ptaki, patrząc na maga z wyrzutem.

– Nie, nie... zbyt szybko, zbyt szybko. Proszę, usiądźcie.

Towarzysze rozejrzeli się i odkryli, że czekają na nich dwa krzesła wykonane w taki sam sposób jak gniazdo. Malfurion zaczekał na Krasusa, który w końcu kiwnął głową i usiadł.

– Jesteś Matką Lotu, Panią Ptaków, tak? - zapytał smoczy mag.

– Jestem Aviana, jeśli o to pytasz. - Przyjrzała się Krasusowi wielkimi oczami. - A ty, ty jesteś jednym z moich podopiecznych.

– Rozkosze lotu nie są mi obce, pani. Moja dusza należy do Alexstraszy...

– Aaa... - Na twarzy półbogini rozkwitł macierzyński uśmiech. - Droga, droga Alexstrasza... już dawno nie rozmawialiśmy. Musimy się znów spotkać.

– Tak. - Krasus nie próbował jej przekonywać, że nie jest to najlepszy czas na wizyty. Był pewny, że Aviana wie doskonale, co się święci i naradza się z innymi półbogami i duchami w sprawie Płonącego Legionu.

Bóstwo nieba spojrzało na nocnego elfa.

– Ty, ty zaś należysz do Cenariusza...

– Jestem Malfurion.

Aviana zacwierkała zupełnie jak ptak.

– Oczywiście, oczywiście, że tak. - Cenarius wyraża się o tobie jak najpochlebniej, młodzieńcze.

Policzki druida pociemniały.

Krasus bardzo chciał ją o coś zapytać i w końcu nie wytrzymał:

– Pani... jak się tu znaleźliśmy?

Po raz pierwszy wyglądała na zaskoczoną.

– Jak to, przecież chcieliście się tu dostać, rzecz jasna!

Ostatnią rzeczą, jaką Krasus sobie przypominał, był sunący ku nim czerw, gdy wbiegali w portal. Spojrzał na Malfuriona, jak gdyby oczekiwał wyjaśnień, ale nocny elf wyraźnie wiedział jeszcze mniej od niego.

– Twierdzisz, że sam wybrałem to miejsce?

Aviana uniosła rękę o delikatnym kościcu. Do środka wleciał wielobarwny ptak z długim ogonem i usiadł na grzbiecie jej dłoni. Półbogini zagruchała do stworzenia, które potarło łebkiem o jej głowę.

– Udaje się to tylko tym, którzy naprawdę tego pragną. Ten oto ptak znalazł was pośród gałęzi, pośród gałęzi. Dookoła wały się szczątki bardzo wielkiego i smacznego robaka. Moje dzieci będą się nimi żywić jeszcze przez długi, długi czas...

Malfurion wyglądał, jakby go zemdliło. Mag skinął głową. Kiedy stracił przytomność, portal się zawalił, przecinając ogromnego czerwia na pół.

Przemagając obrzydzenie, Krasus powiedział:

– Obawiam się, że tym jednym razem doszło do nieporozumienia. Nie chciałem się tu zjawić. Rzuciłem zaklęcie, które się wypaczyło.

Jej drobne usteczka znów ułożyły się w uśmiech.

– Więc nie chcesz znowu latać, latać? Krasus skrzywił się.

– Niczego bardziej nie pragnę.

– Więc pewnie dlatego, pewnie dlatego tu wylądowaliście.

Smoczy mag zastanowił się nad jej słowami. Nieustanna tęsknota za lataniem musiała wpłynąć na rzucone przez niego zaklęcie, a Aviana wyczuła to.

– Ale nie możesz dla mnie nic zrobić.

– To przykre, przykre. - Półbogini pozwoliła ptakowi odfrunąć. - Ale może mogę, może mogę... jeśli rzeczywiście chcesz mnie opuścić.

– Chcę.

– Doskonale, doskonale. - Aviana wyrwała z wewnętrznej strony lewego skrzydła pióro. Gdy uniosła je w górę, pokrył je srebrzysty blask. Bogini nieba podała pióro Krasusowi, który przyjął dar z szacunkiem i przyjrzał mu się. Pióro Aviany było z pewnością obdarzone mocą, ale jak miało umożliwić mu latanie?

– Połóż je sobie na piersi.

Po chwili wahania Krasus rozchylił poły szaty, ukazując nagi tors. Malfuriona sapnął. Nawet Aviana spojrzała na niego wielkimi oczami.

– A więc naprawdę należysz do moich dzieci.

Zapomniał o łusce. Czuł się z nią tak swobodnie, że całkiem wyleciała mu z pamięci. Przez chwilę zastanawiał się, czy mógłby dzięki niej przeniknąć przez barierę, ale szybko uświadomił sobie, że zanim dotrą na

miejsce, Neltharion zamknie krainę smoków przed wszystkimi z wyjątkiem jego własnych sług. Strażnik Ziemi nie chciał, by ktokolwiek zakłócił ostatni etap czarów.

– Czy łuska w niczym nie przeszkadza? - zapytał.

– Ależ nie! To nawet lepiej, nawet lepiej!

Przyłożył pióro do kawałka piersi nie pokrytego smoczą łuską i czekał.

Pierzasta lotka przylgnęła do ciała tak jak wcześniej łuska. Jedwabiste wąsy pióra rozpląszczyły się i na oczach Krasusa zaczęły rosnać, sunąc we wszystkich kierunkach.

Malfurion sprawiał wrażenie przerażonego, ale Krasus pokręcił głową. Wiedział, co zamierza Aviana, i cieszył się. Serce smoczego maga biło dwa razy szybciej niż zwykle, czuł przemożne pragnienie, by wyskoczyć z gniazda.

– Jeszcze nie, jeszcze nie - ostrzegła półbogini. - Będziesz wiedział, kiedy koniec, kiedy koniec.

W górnej części pleców, w okolicy łopatek, poczuł coś dziwnego. Jego szata przesunęła się i usłyszał trzask.

– Coś ci wyrasta na plecach! - zawołał druid.

Jeszcze zanim się rozpostarły, Krasus wiedział, czym będą - szerokimi, białymi skrzydłami, takimi samymi jak skrzydła Aviany, gdy przemieniała się w ptaka. Porastały je gęste, białe pióra. Krasus poruszył nimi instynktownie i przekonał się, że działają równie sprawnie jak jego własne.

– Są twoje na tę podróż, na tę podróż.

Smoczy mag wskazał towarzysza.

– A co z nim?

– Nie urodził się, aby latać, latać. Potrzebna nauka, nauka. Ale nie ma czasu, czasu. Musisz go zanieść, zanieść.

Krasus wątpił, by w obecnej postaci starczyło mu sił na tak długi lot i nie ukrywał tego. Ale ich gospodyni wydawała się nie przejmować jego obawami.

Tym razem Aviana wyrwała z pióra pojedynczy puszek. Uniosła go do ust i dmuchnęła w stronę Malfuriona. Druid wyglądał na zdenerwowanego, ale stał w miejscu, patrząc na sunący w jego stronę fragment pióra.

Puszek dotknął ramienia elfa i przykleił się doń. Malfurion otrząsnął się, ale zaraz poczuł, jak wzdłuż rąk, nóg i po całym jego ciele rozlewa się wielka błogość.

– Czuję się... - Podskoczył i prawie uderzył w sufit. Lądując, uśmiechał się jak dziecko.

Podobna do ptaka bogini uśmiechnęła się do nich obu, cały czas wpatrując się w Krasusa.

– Nie będzie dla ciebie obciążeniem, wcale a wcale.

– Ja... - Krasusowi odebrało mowę. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był przygnębiony niemożnością szybowania wśród chmur. Uroniwszy łzę, klęknął przed Avianą i powiedział:

– Dziękuję...

– Nie ma za co, nie ma za co. - Kazała mu powstać, a potem podprowadziła ich obu do otworu w ścianie. - Odleciecie stąd, odleciecie. Ku tamtej wysokiej gałęzi, potem w prawo, prawo. Poprzez chmury, poprzez chmury, i w dół. Potem polecicie dalej, jeszcze dalej.

– Pióro. Jak...?

Delikatnie położyła magowi palec na ustach.

– Cicho, cicho. Wszystko w swoim czasie, w swoim czasie. - Kiedy Malfurion dołączył do Krasusa, Aviana spoważniała i rzekła do druida: - Twój *shan'do* chce, żebyś wiedział, że jest przy tobie, przy tobie. Nie lekceważymy zagrożenia, zagrożenia. Nasza wola, wola, jest silna...

– Dziękuję. To daje mi nadzieję.

– Nam wszystkim - dodał Krasus. - Gdybyśmy tylko mogli coś zrobić ze smokami.

– Tak... - zgodziła się. - Nawet jeśli nie rozumiemy, co się tam dzieje, co się dzieje.

Jej dwaj goście spojrzeli po sobie.

– Mają pewien plan - powiedział Krasus - ale zagraża mu...

Nagle poczuł się tak, jak gdyby miał pełne usta bawełny. Język mu skołowaciał. Aviana czekała, ale nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Półbogini, która uznała widać, że się waha, skinęła z szacunkiem głową, a potem gestem dała mu znak, by opuścił gniazdo.

Krasus uczynił to bez wahania, prawie wyskakując w powietrze. Skrzydła zareagowały natychmiast, unosząc go w górę. Wszędzie wokół ptaki szczebiotały i śpiewały w uznaniu dla bratniej fruującej istoty.

Pełen uniesienia, na chwilę zapomniał o Malfurionie i swojej misji. Wrażenie posiadania własnych skrzydeł było tak niesamowite, że musiał wzbić się między gałęzie i zanurkować w dół, zanim wróciła mu zdolność racjonalnego myślenia.

Nieco rozgoryczony, opadł w końcu do miejsca, gdzie czekali na niego Aviana z druidem. Nocny elf miał minę pełną nabożnego podziwu, zaś półbogini uśmiechała się jak dumny rodzic. Gestem zachęciła Malfuriona do wyjścia na zewnątrz i druid, z niepokojem rzuciwszy okiem w dół, posłuchał.

Nadlatując od tyłu, Krasus złapał go pod ramiona. Miał wrażenie, że towarzysz nic nie waży.

– Wygodnie ci? - zapytał druida.

– Poczuję się lepiej, gdy dotknę stopami ziemi - mruknął Malfurion - ale jakoś wytrzymam do tego czasu, mistrzu Krasusie.

– A więc lećcie - powiedziała Aviana. - A kiedy nadejdzie kres twoich dni, młodzieńcze - dodała, zwracając się do Krasusa - twoje gniazdo będzie już na ciebie czekać, czekać.

Krasus zbladł. Rozejrzał się wokół, omiatając wzrokiem nieprzeliczoną liczbę i różnorodność ptaków; tyle gatunków żyjących obok siebie, choć było to przeciwne naturze.

A mogły tu razem żyć dlatego... że wcale nie żyły. Były duchami, sprowadzonymi tutaj przez półboginię. Gdzieś musiały się kryć większe stworzenia latające, może hipogryf, który został pożarty... i, oczywiście, te smoki, które dożyły swoich dni.

– Lećcie już, lećcie - zagruchała biała postać. - Już niedługo powrócisz, już niedługo...

Wytrącony z równowagi jak jeszcze nigdy, Krasus przełknął ślinę.

– Tak, pani... jeszcze raz dziękuję.

Uśmiechnęła się, ale wcale go to nie uspokoiło.

Uniósł się kilka jardów w górę i popatrzył w kierunku, w którym kazała mu lecieć. Złapał wygodniej podenerwowanego Malfuriona i ruszył w drogę.

Kiedy tak lecieli, nocny elf zapytał:

– Co ona miała na myśli? Co chciała powiedzieć przez to, że tu wrócisz?

– Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, Malfurionie.

– Wszyscy... - Druid zadrżał, pojmując wreszcie prawdę. - Chcesz powiedzieć, że... to wszystko...?

– Wszystko. - Krasus nie chciał powiedzieć nic więcej, ale powodowany ciekawością odważył się obejrzeć na gniazdo. Zrobił wielkie oczy, uświadamiając sobie, że wcześniej widział zaledwie jego fragment. Teraz po raz pierwszy zobaczył je w całej okazałości. Biegło we wszystkich kierunkach, a w każdym załamaniu znajdowała się spora, okrągła komnata.

Smoczy mag przyjrzał się całej konstrukcji, a potem ogromnemu drzewu, przy którym wydawała się taka niepozorna. Wysoko w górze zauważył skrzydlate istoty, których nawet on nie był w stanie rozpoznać.

I wtedy, kiedy wciąż chłonał oczami ten widok... istoty zniknęły w chmurach.

SZESNAŚCIE



Pod Suramarem armia nocnych elfów znów starła się z demonami. Płonącemu Legionowi udało się ją tam na krótko zatrzymać, ale zaraz znów cofnął się w stronę Zin-Azshari. Następnego wieczoru walka zrobiła się jeszcze bardziej zażarta, ale szala zwycięstwa nadal nie przechyliła się na żadną ze stron. Nocne elfy i demony ginęły straszną śmiercią od żelaza i sztuki magicznej. Ravenscrest, nie mogąc znieść kolejnego impasu, ponownie wezwał Rhonina i Illidana.

– Magia wydaje się mieć decydujące znaczenie! - zwrócił się do człowieka. - Czy jesteś w stanie coś zrobić?

Rhonin zastanowił się.

– Mam pewien plan, ale będę potrzebował pełnej współpracy Księżycowej Gwardii. I nie gwarantuję, że nie obróci się to przeciwko nam.

– Wątpię, by nasza sytuacja mogła być jeszcze gorsza. Illidanie?

– Z największą ochotą pomogę mistrzowi Rhoninowi, panie - powiedział bliźniak Malfuriona, kłaniając się czarodziejowi.

Rhonin zachował obojętny wyraz twarzy. Miał nadzieję, że Illidan będzie nad sobą panował i nie spróbuje wykorzystać jego planu do swoich

celów. W przeciwnym wypadku mógł wywołać chaos.

A chaos oznaczał klęskę.

– Będziemy czerpać moc ze Studni, z jej najgłębszych odmętów - poinformował Illidana, gdy szli w stronę posterunku Księżycowej Gwardii.
- Chcę zrobić coś, co czarodzieje z Dala... co planowali zrobić czarodzieje z mojej ojczyzny, ale nie zdążyli spróbować.

– Czy to będzie aż tak skomplikowane, mistrzu Rhoninie?

– Nie. Przygotowywali się przez wiele tygodni, ale ja mam tutaj - popukał się w głowę - wszystko, co udało im się osiągnąć. Zajmie nam to kilka godzin, ale powinno się powieść.

Illidan uśmiechnął się szeroko.

– Mam do ciebie pełne zaufanie, mistrzu Rhoninie!

Człowiek znów zadał sobie pytanie, czy nocny elf będzie w stanie wypełniać rozkazy, nie próbując przy tym modyfikować zaklęć podług własnego kapryśnego widzimisię. Illidan pragnął znaleźć się w centrum każdej magicznej akcji. Żył dla swojej magii i nie obchodziło go wcale to, że swoją moc zawdzięcza w dużej mierze siłom, jakimi karmiła go Księżycowa Gwardia.

Na bogów!, pomyślał nagle Rhonin. On mówi prawie jak demon...

Ale bursztynowooki nocny elf stanowił potencjalne zagrożenie pod wieloma innymi względami. Illidan, który pragnął dominować... to groziło zagładą.

Muszę go mieć pod kontrolą. Muszę zastąpić Krasusa. Mógł mieć tylko nadzieję, że jego dawnemu mentorowi udało się dotrzeć do smoków. Jeśli nie, Rhonin nie wiedział, co dalej będzie. Wcześniej nie planował użyć tak niebezpiecznego zaklęcia, ale teraz, gdy wiedział, że wynik wojny nie jest wcale przesądzony, nie miał wyboru.

Aby żołnierze nie zostali zupełnie bezbronni wobec mrocznej magii warlocków, Rhonin i Illidan wybrali tuzin najlepszych czarodziejów, a resztę zostawili na polu bitwy. Będzie potrzebował ich dopiero wtedy, gdy zaklęcie będzie gotowe. Księżycowa Gwardia miała spotęgować moc czaru i skierować go na wybrany cel.

Ale tylko pod warunkiem, że dokona tego, co zamierzył.

– Illidanie... chcę, żebyś był moim przewodnikiem - powiedział czarodziej, kiedy wszystko inne było już gotowe. - Chcę, żebyś pokierował mnie nad brzeg Studni.

– Tak, mistrzu Rhoninie! - Nocny elf, cały przejęty, stał obok niego, gdy przygotowywali się do sięgnięcia umysłami ku źródłu wszelkiej elfiej magii. Aż do tej chwili Rhonin nie czerpał mocy bezpośrednio ze Studni. W przeciwieństwie do pobratymców Illidana nie musiał tego robić, co dawało mu nad nim pewną przewagę. Illidan i kilku innych magów nauczyło się tego od człowieka, ale nie opanowali tej sztuki w równym stopniu. Teraz jednak Rhonin potrzebował zaczerpnąć jak najwięcej mocy, aby osiągnąć pożądane efekty.

W oddali rozległo się granie rogu. Lord Ravencrest szykował wszystkich na wielkie zaklęcie Rhonina... albo wielką katastrofę.

Umysły stojących obok siebie czarodziejów splotły się ze sobą. Rhonin wyczuwał dziką naturę Illidana i próbował ją okiełznać. Zapał nocnego elfa groził destabilizacją zaklęcia.

Umysł Illidana pchał czarodzieja naprzód. Sięgając ku Studni, Rhonin oglądał okiem duszy przemykający w dole krajobraz. W ciągu sekundy mignęły mu niekończące się rzędy demonów i mile spustoszonej ziemi. Na krótko pole widzenia wypełniło Zin-Azshari. Potem obraz zdominował wspaniały pałac królowej... a w końcu jego oczom ukazały się czarne wody Studni Wieczności.

Jej moc oszołomiła go. Rhoninowi, czerpiącemu z tej jej części, która przenikała cały Kalimdor, wydawało się zawsze, że ma o niej pewne pojęcie. Teraz dotarło do niego, że był w błędzie; sama Studnia była tak potężną krynicą czystej energii, że gdyby nią zawładnął, stałby się bogiem.

Bogiem...

Wszystko, o czym marzył, odkąd po raz pierwszy przywdział szaty maga, wydawało się teraz takie proste. Mógłby wznosić całe miasta, albo zrównać je z ziemią jednym mrugnięciem oka. Mógłby przywołać moc ziemi, a potem skierować ją przeciwko każdemu, kto się mu sprzeciwi. Mógłby...

Rhonin z ogromnym wysiłkiem uwolnił się od mrocznych ambicji. Nagle ogarnął go niepokój. Rozpoznał czym jest Studnia - wiedział to przez cały czas, a jednak jego umysł wzbraniał się przed kryjącą się w głębi niej nikczemnością. Była skażona tak jak demony. Może i była czystą magią, ale na swój sposób deprawowała tak samo jak Sargeras.

Ale było już za późno, żeby zrezygnować. Rhonin musiał sięgnąć w głąb Studni choć ten jeden raz, aby potem już nigdy jej nie dotykać. Nawet czerpanie z niej w taki sposób, w jaki robił to dotychczas, napawało go wstrętem, ale rezygnacja oznaczałaby wyrzeczenie się magii w ogóle... a wiedział, że jest zbyt słaby duchem, by się na to kiedykolwiek zdobyć.

Wyczuwając zniecierpliwienie i ciekawość Illidana, szybko zaczerpnął z mrocznych głębin moc, której potrzebował. Miał ochotę pozwolić, aby załapała cały jego umysł, ale z wysiłkiem zdołał się wynurzyć z przeklętych wód.

W ciągu kilku chwil umysły nocnego elfa i człowieka wróciły do ich ciał. Więż, jaką czuł ze Studnią, jeszcze nigdy nie była silniejsza. Rhonin przygotował się do rzucenia zaklęcia, wiedząc, że im szybciej to zrobi, tym szybciej pozbędzie się tego ohydneho uczucia.

Zaczyna się, powiedział do Illidana.

Natychmiast poczuł, że brat Malfuriona przygotowuje Księżycową Gwardię do działania. To, czym nakarmi ich czarodziej, oni mieli posłać ku wrogowi, zwiększając intensywność zaklęcia ponad stukrotnie.

Rhonin bez trudu skonstruował matrycę czaru, opracowanie której czarodzieje z Dalaranu przypłacili życiem. Krótco podziękował ich duszom, nie przejmując się wcale tym, że żaden z nich nie narodzi się jeszcze przez wiele wieków. Kiedy uznał, że matryca jest stabilna, wyzwolił magię.

Zaklęcie wprawiło umysły Illidana i pozostałych magów w dygot. Rhonin musiał przyznać młodzieńcowi, że uchronił bardziej doświadczonych magów przed załamaniem. Ta sama ambicja, której człowiek tak się obawiał, teraz ocaliła jego plan.

Uderzyli w linie demonów.

Fala ogłuszającego łoskotu smagnęła Płonący Legion, nawet nie muskając elfich żołnierzy. Potężne demony wrzasnęły i upuściły broń, usiłując zatkać uszy. Wibracje wypruwały z nich wnętrzności, rozrywały umysły. Fala przelewająca się nad ich siłami sprawiła, że przewracały się jak za pociągnięciem gigantycznej szczotki.

Ginęły na całym froncie. Żołnierze stali jak skamieniali, wstrząśnięci tym, czego byli świadkami.

– Teraz, Ravencrest - wyszeptał Rhonin. - Teraz.

Zagrały rogi, dając sygnał do szybkiego natarcia.

Nocne elfy wzniosły bojowy okrzyk. Przodem pomknęli jeźdźcy dosiadający nocnych panter. Pędzili przez pole bitwy, szukając wroga... ale przed nimi leżały tylko trupy. Fala dźwięku sunęła dalej, zadając szybką, gwałtowną śmierć. Żaden demon, który znalazł się na jej na drodze, nie przeżył. Setki poległy.

Rhonin poczuł nagle, że ciało odmawia mu posłuszeństwa. Zachwiaił się, mając wrażenie, że głowa eksploduje mu zaraz tak, jak demonom.

Czarodziej upadł.

– Mam cię, mistrzu Rhoninie...

Illidan, który wcale nie wyglądał na zmęczonego, ułożył go delikatnie na ziemi. Ale tylko on czuł się dobrze. Reszta Księżycowych Gwardzistów podtrzymujących zakłęcie Rhonina wyglądała równie fatalnie jak ludzki czarodziej. Większość usiadła, albo osunęła się na ziemię, nie dbając o to, że żołnierze przypuszczają właśnie atak.

– Widziałeś to? Widziałeś, czego dokonaliśmy? - zapytał żarliwie Illidan. - To dowód! Nie ma większej potęgi niż Studnia! - Zerknął na coś albo na kogoś, kogo sam Rhonin nie był w stanie dostrzec. - Studnia jest drogą, bracie! Widzisz? Nic innego nie może się z nią równać!

I dalej krzyczał w najlepsze do nieobecnego Malfuriona. Rhonin, który jeszcze nie odzyskał sił, nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Chciwość Illidana, jego zazdrość wobec druida były tak oczywiste, że prawie graniczyły z nienawiścią...

Zakłęcie Rhonina zmusiło demony do ucieczki, być może na zawsze odmieniając losy wojny... ale kiedy tak patrzył na pełną napięcia twarz Illidana i myślał o tym, że prawie dał się uwieść Studni, nasunęło mu się pytanie, czy przypadkiem nie wyzwolił na zgubę elfiej rasy czegoś o wiele straszniejszego.



Korialstrasz siedział pogrążony w zadumie, a jego cierpliwość była już bliska wyczerpania. Wszystkie smoki miały czekać na znak Aspektów. Na ów sygnał każde stado miało się wzbić w przestworza, jak gdyby posiadało

jeden umysł, jedną duszę. Plan przewidywał, że spadną razem na Płonący Legion - Dusza Smoka rozerwie szeregi demonów, a lewiatany uderzą w niedobitki.

Prosty, realny plan. Plan bez zarzutu.

Plan, któremu Korialstrasz nie ufał z powodów, których nawet on sam nie potrafił sprecyzować.

Ale czerwony samiec był wierny swojej królowej, swojej oblubienicy, więc nie protestował. Alexstrasza ufała dziełu Nelthariona. A raczej ufała samemu Strażnikowi Ziemi. Wszelkie wątpliwości, jakie miał Korialstrasz, musiały pozostać ukryte.

– Zawsze jesteś zamyślony, ukochany. Zawsze zatroskany.

Uniósł ze zdumieniem głowę, gdy gigantyczna smoczyca wkroczyła do jego komnaty.

– Alexstraszo - huknął. - Miałaś być razem z innymi Aspektami...

– Wymówiłam się na chwilę. Neltharion nie był zachwycony, ale musi nad sobą panować.

Korialstrasz pochylił głowę na znak szacunku.

– W czym mogę ci służyć, moja królowo?

W jej oczach pojawił się błysk niezdecydowania. Bardzo cichym jak na smoka głosem odpowiedziała:

– Musisz mi się sprzeciwić.

Jej oblubieniec zdumiał się.

– Moja miłości?

– Wszyscy oprócz wyznaczonych przez nas strażników mają pozostać w największym systemie jaskiń aż do chwili ataku. Chcę, żebyś zlekceważył mój wcześniejszy rozkaz i odleciał stąd.

Był w szoku. A więc pozostałe Aspekty miały nie wiedzieć o jego odlocie.

– Dokąd mam polecieć?

– Nie wiem dokładnie, ale wierzę, że kiedy znajdziesz się za barierą, będziesz w stanie to wyczuć. Chcę, abyś odszukał Krasusa.

Krasus. Korialstrasz wiele rozmyślał o tajemniczym magu. Przypuszczał, że Krasus byłby w stanie wyjaśnić wiele zagadek, które nie dawały smokowi spokoju.

– Powinien być wciąż wśród nocnych elfów...

– Nie... był niedawno w pobliżu. Ysera powiedziała mi, że nocny elf imieniem Malfurion próbował skontaktować się ze mną za jej pośrednictwem. Była jednak nieufna i kazała mu poczekać na odpowiedni moment.

– I...?

– Kiedy próbowała go ponownie odszukać, znikł. Opowiedziała mi o tym wszystkim, kiedy Neltharion z Malygosem dyskutowali o magii Duszy.

– Ale co Krasus tu robił? - Niepokój czerwonego samca wzmógł się. Dla kogoś, kto nie potrafił przelecieć kilku mil w ciągu paru minut, podróż z ziem nocnych elfów była nie lada wyprawą.

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

– Zrobię wszystko, żeby go odnaleźć, ale to może się okazać trudniejsze niż myślisz.

Królowa prychnęła. Zamknęła oczy, zastanawiając się przez chwilę, a potem kiwnęła łbem:

– Tak, ty też musisz wiedzieć.

– Wiedzieć o czym?

– Ukochany, czułeś więź łączącą cię z Krasusem. Mógłbyś go prawie nazwać bratem z tego samego lęgu, prawda?

Nigdy nie myślał o tym w ten sposób, ale teraz, kiedy Alexstrasza to powiedziała, Korialstrasz uświadomił sobie, że Krasus rzeczywiście

zajmował tak ważne miejsce w jego sercu. Nie miało to nic wspólnego z łuskami, którymi wymienili się, aby przewyciężyć swoją słabość; coś w tej tajemniczej postaci kazało mu ufać jej tak samo jak swojej wspaniałej oblubienicy.

A czasem nawet bardziej.

Alexstrasza odczytała to z wyrazu jego pyska.

– Musisz o czymś wiedzieć, ukochany. Krasus jest ci taki bliski dlatego, że on i ty jesteście jednym i tym samym.

Czerwony samiec zamrugał. Musiał się przesłyszeć. Alexstrasza z pewnością miała na myśli coś innego.

Ale ona potrząsnęła potężnym łbem, mówiąc:

– Krasus jest tobą, Korialstraszu. Jest znacznie starszym, znacznie bardziej uczonym, znacznie mądrzejszym tobą. Jest tobą za niezliczone stulecia.

– To niemożliwe... - Coś mu nagle przyszło do głowy. - Czy to jakaś sztuczka Nozdormu? Jego nieobecność jest bardzo podejrzana...

– Nozdormu odegrał w tym wszystkim pewną rolę, owszem, ale nie potrafię ci powiedzieć jaką. Przyjmij po prostu do wiadomości, że Krasus tu jest, bo musi tu być.

– A więc wynik wojny jest przesądzony. Dusza Smoka pozwoli nam zatriumfować nad Demonami. Moje obawy były bezpodstawne.

– Twoje obawy nie są bezpodstawne. Nie wiemy, jak się zakończy wojna. Krasus obawia się, że Nozdormu przysłał go tutaj, ponieważ bieg wydarzeń uległ zmianie. Był taki moment, gdy brałam pod uwagę wyeliminowanie jego i jego towarzysza, aby uniknąć podobnych zakłóceń, ale wkrótce stało się jasne, że sprawy i tak wymknęły się spod kontroli.

Korialstrasza wpatrywał się w nią wielkimi, zdumionymi ślepiami.

– Zabiłabyś... mnie?

– Na jego prośbę, ukochany.

Przemyślał to i zgodził się z jej rozumowaniem.

– Wybacz mi. Tak, moja królowo, polecę go odszukać.

– Dziękuję ci. Podczas podróży do naszego czasu wiele jego wspomnień zatarło się, być może dlatego, że już kiedyś żył w tym czasie. Mimo to jego umysł pozostał niezmacony i jeśli chciał ze mną o czymś pilnie porozmawiać, powinien go odnaleźć.

– Wyruszę natychmiast.

Alexstrasza pochyliła głowę z wdzięcznością.

– Muszę udawać, że podjąłeś tę decyzję samowolnie.

– Oczywiście, nie zawiodę cię, moja królowo.

Obdarzyła go spojrzeniem pełnym miłości, a potem opuściła pieczarę. Samiec zaczekał, aż znajdzie się wystarczająco daleko, po czym sam wyleciał na zewnątrz.

Ku jego uldze opuszczenie góry okazało się całkiem proste, jako że większość smoków czekała wewnątrz na rozkaz do odlotu. Nieliczne wyjątki, takie jak on czy Tyran, oblubieńcy zajmujący wysoką pozycję w hierarchii stada, mieli przebywać w pobliżu Alexstraszy na wypadek gdyby ich potrzebowała.

Prześliznięcie się między strażnikami na zewnątrz było nieco bardziej kłopotliwe. Z pierwszym - smokiem z własnego stada - poradził sobie dzięki znajomości jego charakteru. Horakastrasz był młodym samcem o sokolim wzroku, ale łatwo się rozpraszał. Kiedy Korialstrasz zbliżył się do niego, znudzony strażnik był zajęty wybijaniem w powietrze sporych głazów i obserwowaniem, jak spadają na ziemię. Kiedy wybił kolejny, Korialstrasz przeleciał nad nim, szybując na tyle wysoko, by tamten nie wyczuł zmiany w prądach powietrznych.

W ten czy inny sposób udało mu się wyminąć pozostałych. Lecąc w kierunku bariery, przygotował się na kontakt z nią. Uderzył w niewidzialną ścianę z całym impetem, mając przy tym wrażenie, że przeciska się przez melasę. Bijąc skrzydłami najmocniej jak potrafił, wystrzelił z drugiej strony i przeleciał kilka mil, zanim odzyskał w pełni równowagę.

Usadowiwszy się na szczycie przysadzistej góry, wyobraził sobie Krasusa, dotykając jednym ze szponów łuski, którą dostał od swojego starszego wcielenia. Tyle rzeczy nabrało teraz sensu; a zachodził w głowę, dlaczego ta wymiana tak dobrze im zrobiła. Dzięki niej dwie połówki tej samej osoby stały się pełniejsze. Korialstrasz wciąż odczuwał pewien ból i znużenie, ale nie tak wielkie jak przedtem.

Skoncentrował się wyłącznie na znalezieniu Krasusa, starając się wykorzystać więź, jaka mogła łączyć tylko dwie części tej samej osoby. Smok wątpił, by jego druga połówka była gdzieś w pobliżu, bo gdyby nią był - a był - szukałby jakiejś innej drogi na drugą stronę bariery. Nie szukałby kryjówki. Stąd wywnioskował, że okoliczności zmusiły Krasusa do ucieczki.

Starając się nie myśleć o tym, co mogło skłonić jego starszą połowę do opuszczenia sąsiedztwa bariery, rozpoczął poszukiwania. Tylko smocza wola mogła objąć tak wielki obszar. Jego umysł sięgnął ku niezliczonym krainom, szukając tego, który był nim.

Ale szybko stracił cierpliwość, nigdzie siebie nie znajdując. To powinno być stosunkowo proste. Czyżby Krasusa spotkało jakieś nieszczęście? Na samą myśl ciarki przeszły mu po grzbiecie. Żadna istota nie chciała poznać ostatecznego losu, jaki ją czekał.

Nagle, jak gdyby odrodziła się znienacka, smok wyczuł znajomą obecność. Nie był w stanie ustalić, gdzie dokładnie, ale wiedział, w którym mniej więcej kierunku powinien lecieć.

Korialstrasz natychmiast wzbił się w powietrze, bijąc skrzydłami najmocniej jak potrafił. Im szybciej dotrze do swojej drugiej połówki, tym szybciej poczuje się bezpieczny.

Był całkowicie skupiony na Krasusie. Otoczenie rozmazało mu się w oczach. Z każdym machnięciem skrzydeł pokonywał kolejne mile, ale wciąż miał wrażenie, że leci za wolno. Zorientował się, że został zaatakowany, dopiero gdy czyjeś szpony wbiły mu się w grzbiet. Rycząc ze strachu, przekręcił się w powietrzu na plecy, czym zaskoczył przeciwnika. W polu jego widzenia znalazł się monstrualny pysk czarnego smoka.

– Przestań! - krzyknął czerwony. - Na chwałę Aspektów, żądam...

W odpowiedzi drugi smok rozwarł pysk.

Korialstrasz przestał bić skrzydłami i natychmiast spadł w dół jak kamień. Tylko to ocaliło go przed straszliwym strumieniem gorącej lawy. Palący żar omiótł mu łeb, wyciskając łzy ze ślepi.

Miejsca, gdzie szpony napastnika rozorały łuski, zapłonęły bólem. Choć Korialstrasz był nieco większy od czarnego smoka, trapiąca go słabość wyrównywała szanse.

– Zostaw mnie! - powiedział, znów próbując odwołać się do rozsądku przeciwnika. - Nie musimy ze sobą walczyć!

– Nie pozwolę ci się wtrącić! - odparł czarny. Z jego wytrzeszczonych ślepi wyzierało szaleństwo.

Oblubieniec Alexstraszy nie miał pojęcia, co jego przeciwnik miał na myśli, ale utwierdziło go to w przekonaniu, że coś złego przytrafiło się Krasusowi.

Hebanowo-czarny behemot runął na Korialstrasza, zmuszając go, by jeszcze bardziej obniżył lot. Korialstrasz pozwolił na to, zamierzając wyśliznąć mu się w ostatniej chwili.

Ale kiedy zbliżali się do górskiej grani, odkrył, że został przechytrzony.

Jego przeciwnik poluźnił niespodziewanie chwyt. W tej samej chwili z pobliskiego szczytu wyskoczył drugi czarny smok. Zderzył się z czerwonym i obaj zaczęli koziółkować w dół. Ziemia zbliżała się ku nim coraz szybciej.

– Zabijesz nas obu! - krzyknął Korialstrasz.

– Dla chwały mojego pana!

Pęd powietrza ściągnął w tył skrzydła czarnego samca. Dopiero wtedy oblubieniec Alexstraszy dostrzegł, że jedno z nich jest złamane i podarte. Ten smok nie był już w stanie normalnie latać; zamierzał złożyć swoje życie w ofierze, aby uśmiercić wroga.

Ale Korialstrasz nie miał zamiaru ginąć w taki sposób. Machając silnie błoniastymi skrzydłami, do czego ten drugi nie był zdolny, pokierował upadkiem. Nagle zamiast na górze, złowrogi czarny smok znalazł się pod spodem.

Ranny olbrzym zaryczał, próbując ich obrócić. Krzyk z góry ostrzegł Korialstrasza, że drugi przeciwnik zobaczył, co się dzieje.

Przyciągając wszystkie cztery łapy do tułowia, ale nie rozluźniając chwytu, czerwony smok policzył, ile sekund mu jeszcze zostało. Przyjrzał się surowemu terenowi, skupiając się zwłaszcza na niskich, stromych wzgórzach pośród gór.

Kiedy znaleźli się nad nimi, Korialstrasz wyprostował łapy i pchnął przeciwnika w dół, samemu bijąc potężnie skrzydłami, aby unieść w powietrze swoje znacznie cięższe ciało.

Z bolesnym skowytym, który rozniósł się echem po okolicy, ranny czarny samiec zderzył się z ziemią, gruchocząc sobie kości. Przez chwilę dygotał jak liść na wietrze. Wokół jego ciała pojawiła się kałuża krwi.

Z pyska powalonego lewiatana wydobyło się ostatnie westchnienie... potem głowa opadła mu na bok, a z pyska wysunął się jęzor.

Następny atak prawie dosięgnął Korialstrasza, który robił wszystko, żeby nie podzielić losu martwego smoka. Szpony przeciwnika ponownie rozorały mu grzbiet, wyrywając z piersi krzyk. Korialstrasz zaczynał odczuwać skutki starcia. Oddychał z trudem i musiał wkładać coraz więcej wysiłku w utrzymanie się w powietrzu. Ani on, ani Alexstrasza nie spodziewali się zdrady ze strony stada Nelthariona.

– Musisz umrzeć! - zaryczał dziko czarny smok.

Czerwony samiec po raz kolejny umknął przed śmiercionośnymi szponami, ale wróg nie dawał za wygraną. Wrogi behemot, nie dość że szybki, był owładnięty obsesyjnym pragnieniem zadowolenia Strażnika Ziemi. Tak jak zabity smok wydawał się gotowy poświęcić siebie, jeśli miało to dopomóc sprawie.

Ale jakiej sprawie? Czemu tak rozwścieczył je fakt, że jeden smok opuścił pozostałe? Dlaczego Nelthariona przerażało to do tego stopnia, że rozkazał tym bestiom zginąć dla niego?

Bez względu na powody, Korialstrasz nie mógł dłużej o tym myśleć. Słup płynnego ognia uderzył go prosto w pierś. Zawirował jak szalony, nie mogąc się skoncentrować. W pierś wbiły mu się szpony. Smrodliwy oddech czarnego smoka przyprawił go o mdłości.

– Mam cię! - zaryczał szalony stwór. Czarny olbrzym wziął głęboki wdech, chcąc porazić przeciwnika z bliska.

Zdesperowany Korialstrasz wyrzucił głowę naprzód. Jego wielkie szczęki zacisnęły się na szyi czarnego tak mocno, że odcięły przepływ powietrza.

Drugi smok zadygotał gwałtownie, gdy siły, które zamierzał uwolnić, szukały bezskutecznie ujścia. Drapał rozpaczliwie pazurami, zostawiając szramy na pysku i ciele przeciwnika.

Czarny smok dosłownie wybuchnął.

Puszczając jego szyję, Korialstrasz zaryczał z bólu, oblany płonąca posoka z rozpękniętego cielska. Tego już było za wiele. Opadłszy z sił, on i jego martwy przeciwnik runęli w dół. Tracąc przytomność, zadał sobie jeszcze pytanie, jaki wpływ będzie miała jego śmierć na jego starszą połówkę.

SIEDEMNAŚCIE



Archimond patrzył, jak jego legiony cofają się przed zaklęciem i atakującymi nocnymi elfami. Na jego oczach na polu bitwy zaroilo się od ciemnozielonych pancerzy wroga. Dowódca demonów czuł ich triumf, słyszał okrzyki nieuchronnego zwycięstwa. Jak łatwo oszukać te istoty, pomyślał. Myślą, że teraz uda im się wygrać. Olbrzymi demon odwrócił się i wolnym, pewnym krokiem ruszył za swoimi uciekającymi sługami.



– Uuugh!

Malfurion aż się wzdrygnął. Chwilę później poczuł, że wysuwa się z objęć maga. Jedno spojrzenie w dół wystarczyło mu, by stwierdzić, że są jeszcze za wysoko, aby mógł opaść bezpiecznie, nawet za pomocą magicznego pióra.

Wczepiając się mocno w ramiona Krasusa, krzyknął:

– Co się dzieje?

– Mam... mam wrażenie, że wyrwano mi serce z piersi! Muszę wylądować... natychmiast!

Nocny elf omiótł wzrokiem teren w dole. Mieli pod sobą lasy i trawiaste równiny, na szczęście głównie te ostatnie. Wypatrzył miejsce, które wydawało się bardziej miękkie od innych i wskazał je.

– Dasz radę tam dolecieć?

– Spró...buję.

Ale Krasus leciał chaotycznie i miejsce wypatrzone przez Malfuriona zaczęło odsuwać się w prawo. Sunęli ku zagajnikowi, który mógł wprawdzie zahamować upadek, ale groziło to skręceniem karku.

Krasus stęknął ciężko, unosząc ich trochę wyżej. Minęli drzewa i znów znaleźli się nad otwartą równiną. Zaczęli opadać, z początku wolno, potem znacznie za szybko jak na gust druida.

– Chyba... chyba musisz się ratować, Mal...

Mag wypuścił elfa.

Minęło kilka cennych sekund, nim Malfurion wpadł na to, co może zrobić. Sięgnął myślą ku trawom w dole...

Część traw urosła nagle i zgęstniała. Źdźbła zbiły się ze sobą, tworząc coś w rodzaju materaca, który ugiął się lekko kiedy nocny elf na nim wylądował. Każda kość w ciele Malfuriona zatrzeszczała, ale wyszedł z upadku bez szwanku. Dotknął ramienia i odkrył, że podarek od Aviany zniknął. Mimo to pogratulował sobie szybkiego refleksu, który ocalił go przed katastrofą. Kilka jardów dalej zobaczył Krasusa łopocząc skrzydłami jak jastrząb śmiertelnie ugodzony strzałą. Zanim zdążył przyjść mu z pomocą, smoczy mag runął w wysoką trawę.

W momencie zderzenia jego skrzydła rozsypały się jak proch na wietrze. Bezwładna postać poleciała do przodu, znikając druidowi z oczu.

– Mistrzu Krasusie! Krasusie! - Nocny elf poderwał się z ziemi i zaczął brnąć przez pole w stronę miejsca, gdzie ostatni raz widział towarzysza.

Ale nie było go tam. Malfurion rozejrzał się, przekonany, że znalazł właściwy punkt. Z pobliskich zarośli dobiegł go jęk. Rozgarniając trawę na boki, Malfurion rozejrzał się za jego źródłem. Chwilę później jego przerażonym oczom ukazała się nieruchoma postać Krasusa. Ukląkł przy magu, szukając ostrożnie oznak wewnętrznych obrażeń. Kiedy niczego nie znalazł, powoli obrócił go na wznak. Z ciała towarzysza coś się wysunęło. Pióro Krasusa. Było uschnięte, zbrązowiałe. Druid dotknął go jednym palcem i westchnął, gdy pióro rozsypało się, znikając w błocie i trawie.

Krasus wydał z siebie kolejny jęk. Malfurion ułożył go idealnie równo i sprawdził, czy nie ma połamanych kości. Ale pomimo pozornie o wiele twardszego lądowania Krasus wydawał się cały. Za jego stan opowiadała najwyraźniej przypadłość, która dopadła go podczas lotu.

Błada postać zamrugała powiekami i otworzyła oczy.

– Jestem... jestem znużony... budzeniem się w takim stanie...
– Ostrożnie, Krasusie. Nie powinieneś się jeszcze ruszać.
– Wkrótce w ogóle nie będę się ruszał... Malfurionie, ja... chyba umieram.

– Co masz na myśli? Jak to? Co ci się stało?
– Nie mnie... komuś innemu. Jestem związany z Korialstraszem... a on ze mną. Myślę, myślę, że został zaatakowany. Jest już... prawie martwy i... jeśli skona, nie ma dla mnie nadziei.

Malfurion omiótł wzrokiem postać Krasusa, zastanawiając się, jak mógłby pomóc.

– Nie ma już nadziei?
– Może gdybyś mógł go uleczyć... ale on jest daleko stąd i... jest smokiem... to byłoby trudne. Ja...

Umilkł. Malfurion myślał, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wszystko to, czego nauczył go Cenarius, mogło być przydatne, ale nie w sytuacji, gdy od ofiary dzieliło go wiele mil.

Jego wzrok natrafił na łuskę, na wpół odsłoniętą przez zmiętą szatę czarodzieja.

– Krasusie. Ta łuska...

– Myślałem, że nas uratuje. Częstka jego... za częstkę mnie. Działo... przez pewien czas.

– To jego łuska - powiedział sam do siebie Malfurion. - Jego łuska.

To był zuchwały, praktycznie niewykonalny plan - ale jedyny, jaki miał. Przesunął palcem po łusce, zachwycając się jej fakturą i czując drżącą w niej moc. Jego plan opierał się na różnych aspektach nauk Cenarius, których półbóg nigdy ze sobą nie łączył. Jednak... pewne podstawowe prawa z pewnością obowiązywały...

– Chyba mam pomysł, Krasusie.

Ale mag nie odpowiedział, oczy miał znów zamknięte. W pierwszej chwili nocny elf przestraszył się, że wyzionął ducha. Dopiero gdy się nachylił i wsłuchał w jego cichy, ale wciąż równomierny oddech, uspokoił się nieco. Nie mógł się dłużej wahać. Krasusowi zostało zaledwie kilka minut życia. Położył obie dłonie na łusce i otworzył umysł na otaczającą go przyrodę. Trawa знаła go już i odpowiedziała na jego wołanie. Wiatr zmierzwił mu włosy, a ziemia zaczęła się budzić, zaciekawiona jego prośbą.

Ale zanim mógł je o cokolwiek prosić, musiał sprawdzić, czy rzeczywiście jest w stanie nawiązać kontakt ze smokiem Korialstraszem. Z zamkniętymi oczami wniknął w łuskę, szukając więzów łączących ją z jej pierwotnym właścicielem.

Więź między Krasusem a Korialstraszem była tak silna, że początkowo prawie pomylił jednego z drugim. Uświadamiając sobie własną pomyłkę,

Malfurion skierował myśli ku czerwonemu smokowi. Miał nadzieję, że między łuską a Korialstraszem istnieje wciąż choćby nawet wątle połączenie.

Ku jego zaskoczeniu ta część okazała się dość prosta. Zmysły natychmiast przerzuciły go w sam środek surowej, górskiej krainy. Zarówno krajobraz, jak i podróż przypomniały mu próbę dotarcia do ukrytej za barierą smoczycy, tyle że tym razem nie musiał podróżować aż tak daleko, ani, na całe szczęście, korzystać ze Szmaragdowego Snu.

Nagle Malfuriona ogarnęło obezwładniające poczucie straty. Prawie stracił przytomność. Przestraszony, że przypadkiem weźmie udział w śmierci Krasusa i Korialstrasza, spiął się w sobie. Jego zmysły ustabilizowały się i odkrył, że czuje teraz emocje konającego smoka.

Doszło do walki, straszliwej walki. Malfurion pomyślał w pierwszej chwili, że to Płonący Legion zaatakował czerwonego smoka, ale z jego chaotycznych myśli wyczytał, że wrogiem były inne smoki - czarne.

Przypominając sobie ponurą parę, która ścigała Krasusa i jego, Malfurion domyślił się, o które bestie chodzi. A kiedy wywnioskował, że już nie żyją, fakt, iż Korialstrasz wciąż żył, napełnił go jeszcze większym zdumieniem. Ten smok był naprawdę potężną, wspaniałą istotą...

Nie! Myślał o Korialstraszu, jak gdyby był już martwy. Takie myślenie skazywało nie tylko jego, ale i Krasusa. Malfurion musiał przerwać te rozważania, jeśli chciał ich ocalić.

Jedną z pierwszych prawdziwych lekcji, jakich udzielił mu Cenarius, było uzdrawianie leśnych stworzeń.

W przeszłości Malfurion ocalił życie wielu lisom, królikom, ptakom i innym zwierzętom. Teraz mógł wykorzystać te same umiejętności, potęgując jedynie efekt.

A przynajmniej miał taką nadzieję.

Malfurion wezwał otaczającą go przyrodę. Potrzebował jej poświęcenia - tylko życie mogło dawać życie. Ziemia i rośliny miały zdolność regeneracji, której nie posiadało żadne zwierzę. Mimo to nocny elf prosił o bardzo wiele, gdyż tym razem chciał ocalić smoka. Jeśli jego prośba zostanie odrzucona, nie będzie mógł mieć do nikogo pretensji.

Starając się przekazać przyrodzie, jak ważne jest ocalenia Korialstrasza - a wraz z nim Krasusa - Malfurion sięgnął ku trawie, drzewom, wszystkiemu, co mogło go wspomóc. Czuł, jak siły życiowe uchodzą ze smoka. Miał bardzo mało czasu.

Wtedy, ku swojej uldze poczuł, że ziemia składa z siebie ofiarę. Poczuł, jak napęnia go siła życiowa, a doznanie to było tak upajające, że prawie zapomniał, po co o nią prosił. Przywołując się do porządku, dotknął łuski koniuszkiem palca i przekazał energię dalej.

Krasus zadygotał, a potem znieruchomiał. Poprzez niego Malfurion czuł, jak siła życiowa wlewa się w ciało smoka. Serce waliło mu jak młotem, po twarzy ściekał pot, gdy mozolił się nad podtrzymaniem kontaktu.

Tyle energii przepłynęło przez niego, a jednak nie wyczuł żadnej zmiany w stanie Korialstrasza. Smok wciąż tkwił na krawędzi śmierci. Druid zacisnął zęby i czerpał dalej, przesyłając smokowi siły witalne najszybciej jak potrafił.

W końcu zauważył niewielką zmianę. Dusza Korialstrasza wyrwała się z otchłani. Cienka nitka łącząca ją z życiem wzmocniła się.

– Proszę... - wydyszał umęczony nocny elf. - Więcej...

I otrzymał więcej. Otaczająca go przyroda spełniła jego prośbę, rozumiejąc, że stawka jest o wiele większa niż los tych dwóch umierających istot.

Powoli, bardzo powoli, szala przechyliła się na stronę życia. Korialstrasz wzmocnił się. Druid poczuł, że lewiatan odzyskuje przytomność i nie może

się nadziwić temu cudowi.

Krasus znów zadygotał. Jęknął. Otworzył powoli oczy.

W tym momencie Malfurion zyskał wreszcie pewność, że zrobił już wystarczająco dużo. Odrywając koniuszki palców od łuski, odchylił się do tyłu i odetchnął głęboko. Dopiero wtedy zauważył, że w promieniu wielu jardów wokół niego trawa jest czarna. Wyssał z niej całe życie. Rozejrzawszy się dookoła, odkrył, że jak okiem sięgnąć, równina wokół niego wyschła i poczerniała. W oddali widział dwa bezlistne drzewa.

Druid zadrżał, przerażony tym, co zrobił, ale zaraz poczuł życie budzące się pod ziemią. Korzenie traw wciąż żyły i dzięki pomocy ziemi wkrótce miały odrosnąć nowe, silne źdźbła. Drzewa też ocalały i były gotowe wypuścić nowe, zdrowe liście. Nocny elf odetchnął z ulgą. Przez kilka rozpaczliwych sekund myślał o sobie równie źle jak o demonach.

– Co... co ty zrobiłeś? - zdołał wykrztusić Krasus.

– Musiałem cię uratować. Zrobiłem jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Mag pokręcił głową, podnosząc się do pozycji siedzącej.

– Nie to miałem na myśli. Malfurionie... czy masz jakiegokolwiek pojęcie, czego udało ci się dokonać? Czy zdajesz sobie sprawę, do czego się posunąłeś?

– To było konieczne - wyjaśnił Malfurion. - Żałuję, że musiałem prosić tę krainę o tak wiele, ale jej ofiara była dobrowolna.

Krasus dopiero teraz zauważył poczerniałą trawę. Mrużąc oczy, przyjrzał się świadectwu niezwykłego wyczynu nocnego elfa.

– Podparłem się naukami mojego *shan'do*. Zmodyfikowałem je tylko na potrzeby sytuacji.

– I osiągnąłeś efekt, który powinien wykraczać poza twoje możliwości, możliwości niemal każdego czarodzieja. - Smoczy mag podniósł się z

pewnym trudem. Zmarszczył brwi, widząc prawdziwy rozmiar zniszczeń. - Niesamowite.

Wciąż nie rozumiejąc, co tak wzburzyło Krasusa, Malfurion zapytał:

– Wyczuwasz obecność Korialstrasza? Czy dobrze się czuje?

Krasus skupił się.

– Połączenie między nami słabnie, wracając do stanu sprzed zaklęcia, ale wciąż go czuję. Jest... zdrowy... ale wciąż dezorientowany. Pamięta bitwę, pamięta, że miał mnie odszukać, ale w jego pamięci powstały luki. - Krasus zachichotał, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. - Teraz jesteśmy do siebie bardziej podobni niż kiedykolwiek. Los drwi sobie ze mnie.

– Zaczekamy na niego?

– Tak, ale nie z powodu, dla którego wysłano go, by mnie odszukał. Znam go jak siebie samego i przypuszczam, że miał mnie zabrać z powrotem do Alexstraszy, ale nie ma już na to czasu. Coś mi mówi, że powinniśmy natychmiast wracać. Możesz to nazwać przecuciem, a może zbyt dużym doświadczeniem. Nieważne, kiedy Korialstrasz do nas dotrze, musimy wrócić.

Malfurion natychmiast pomyślał o Tyrande... a potem, ponieważ, o własnym bracie.

– Ile czasu mu to zajmie?

– Jest smokiem... i to w dodatku bardzo zdrowym smokiem - rzekł Krasus z krótkim, ale zadowolonym uśmiechem. - Nie tak wiele, na ile go znam...



Tyrande stała się kimś niezwykłym pośród Sióstr Elune. Tylko ona jedna miała dwa cienie. W dodatku jeden z nich miał imię.

Nazywał się Shandris Feathermoon.

Gdziekolwiek poszła, sierota chodziła za nią krok w krok. Shandris obserwowała wszystko, co robiła jej wybawicielka, wielkimi oczami osoby, która rozpaczliwie pragnie się uczyć. Kiedy Tyrande modliła się nad rannym nocnym elfem, dziewczyna powtarzała słowa kapłanki, próbując jednocześnie naśladować jej gesty.

Tyrande miała co do niej mieszane uczucia. Dziewczynka nie miała dokąd pójść. To prawda, nie była jedyną osobą w trudnym położeniu, ale było w niej coś takiego, co nie pozwalało jej oddalić. Oddanie, z jakim obserwowała pracę kapłanki, predestynowało ją do roli nowicjuszki, a świątynia zawsze witała z otwartymi ramionami nowe siostry. Jak by to wyglądało, gdyby odesłała ją z powrotem pomiędzy uchodźców i zapomniała o niej? Kapłanka musiała zatrzymać ją przy sobie; inaczej nie mogłaby na siebie spojrzeć.

Niestety niedoświadczonej dziewczynie, która nigdy nie miała broni w rękę, groziło wiele niebezpieczeństw. Siostry Elune przez cały czas brały udział w walkach, zmieniając się rotacyjnie podług rozkazu wysokiej kapłanki. Tyrande nie chciała, żeby Shandris błąkała się w pobliżu demonów, które bez najmniejszych skrupułów zarębałyby niewinną istotę. Shandris zdążyła ją już raz śmiertelnie przerazić, zakradając się na tyły oddziału, który wyjechał ostrzec Malfuriona i Krasusa. Kapłanka odkryła to dopiero po fakcie - młodej elfce wyrwała się uwaga, która paść mogła wyłącznie z ust osoby, która była świadkiem tamtych wydarzeń.

– Dość tego! - rozkazała Tyrande. - Proszę, zostawaj na tyłach, kiedy jedziemy na front! Nie mogę walczyć i jednocześnie martwić się o ciebie!

Shandris, z przybitą miną, kiwnęła głową, ale Tyrande obawiała się, że nie jest to jeszcze koniec tej dyskusji. Mogła się tylko modlić do Elune, by dziewczyna poszła po rozum do głowy.

Kiedy tak rozmyślała nad swoim położeniem, zauważyła, że zbliża się do niej siostra dowodząca sąsiednim oddziałem. Na twarzy starszej wiekiem i rangą kapłanki gościł wyraz głębokiej zadumy.

– Witaj, siostrze Marindo! Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Witaj, siostrze Tyrande - odparła ponuro Marinda. - Przychodzę od wysokiej kapłanki.

– O? Ma dla nas jakieś wieści?

– Ona... ona nie żyje, siostrze.

Tyrande poczuła, jak cały jej świat chwieje się w posadach. Czcigodna matka przełożona... martwa? Obserwowała tę kobietę i słuchała jej przez całą swoją młodość. To z jej powodu przywdziała szaty nowicjuszek.

– J...jak?

Po policzkach Marindy pociekły łzy.

– Trzymano to w tajemnicy przed nami. Wiedziały tylko jej adiutantki. Podczas natarcia demon wbił jej włócznię w brzuch. Rana nie była śmiertelna, przeżyłaby dzięki swojej sztuce uzdrawiania, ale wcześniej dopadła ją piekielna bestia. Była już prawie martwa, kiedy pozostałe siostry dobiły monstrum. Zaniosły ją do namiotu, gdzie spoczywała... aż do śmierci, godzinę temu.

– To straszne! - Tyrande padła na kolana i zaczęła się modlić do Księżycowej Matki. Marinda dołączyła do niej, a zaraz po niej, bez żadnej zachęty - Shandris.

Kiedy dwie kapłanki skończyły się żegnać ze swoją przełożoną, Marinda wstała.

– To nie wszystko, siostrze.

– Nie wszystko? A co jeszcze?

– Przed śmiercią wyznaczyła swoją następczynię.

Tyrande kiwnęła głową. Można się było tego spodziewać. Nowa wysoka kapłanka rozesłała niezwłocznie posłańców takich jak Marinda, aby rozgłosili wieść o jej awansie.

– Kto to jest? - Było kilka kandydatek zasługujących na to miano.

– Wymieniła ciebie, Tyrande.

Tyrande nie wierzyła własnym uszom.

– Mnie... na Księżycową Matkę! Kpisz sobie ze mnie!

Shandris zapiszczała i klasnęła w dłonie. Tyrande obróciła się i spiorunowała ją wzrokiem. Sierota ucichła, ale jej oczy lśniły dumą.

Marinda wcale nie wyglądała, jakby kpiła, i to zaniepokoiło Tyrande. Jakże to, ona, która ledwo co została kapłanką, miała kierować całym zakonem - i to jeszcze podczas wojny?

– Wybacz mi, siostrze Marindo, ale ona... musiała być w wielkim pomieszeniu z powodu obrażeń! Jakim cudem wybrała mnie?

– Jej umysł pozostał jasny, siostrze. Powinnaś wiedzieć, że wspominała o tobie już wcześniej. Starsze siostry zrozumiały od razu jej wybór... żadna nie próbowała podważać jej decyzji.

– To... to niemożliwe! Jak ja miałabym poprowadzić zakon? Jak, przy tak niewielkim doświadczeniu, miałabym przywdziać opończę? Jest tyle innych, które lepiej znają się na sprawach świątyni!

– Ale żadna z nich nie jest zestrojona z Elune tak jak ty. Wszystkie to widzimy i czujemy. Już teraz wśród żołnierzy i uchodźców krążą opowieści o tobie. Cuda. Opowieści o ludziach, których uzdrowiłaś, choć nikt inny nie potrafił...

Tyrande nie słyszała o tym.

– Co masz na myśli?

Siostra Marinda wyjaśniła. Kapłanki przez część czasu przysługującego im na odpoczynek bynajmniej nie odpoczywały. Żadna nie czułaby się w

porządku, gdyby nie pomogła potrzebującym. Ale sama chęć pomocy nie wystarczała. Owszem, udawało im się uleczyć wielu rannych, ale o wiele częściej ich umiejętności okazywały się niewystarczające.

Za to droga Tyrande przypominała nieprzerwane pasmo sukcesów. Wszyscy, którymi się zajęła, wracali do zdrowia. I nawet sobie tego nie uświadamiając, pomogła kilku osobom, których nie zdołały uzdrowić inne siostry. Po czym jak gdyby nigdy nic zajęła się następnymi ofiarami.

– Nie wiem, jak się w ogóle trzymasz na nogach, nie mówiąc już o walce, siostrze Tyrande.

Młodej kapłance nie przyszło nawet do głowy, że to, co robi, wykracza poza zakres jej obowiązków. Modliła się do Elune i Elune odpowiadała. Czowała wdzięczność wobec bogini, a potem ruszała dalej, aby uzdrowić kolejną osobę.

– Ja... to nie może być prawda.

– Jest. Musisz się z tym pogodzić. - Marinda wzięła głęboki oddech. - Wiesz, że w normalnych okolicznościach przewidziana byłaby uroczystość, długa ceremonia, na którą zaprosiłybyśmy jak najwięcej wiernych.

– Tak... - odpowiedziała z roztargnieniem zamyślona Tyrande.

– Oczywiście dołożymy wszelkich starań, aby przygotować skromną uroczystość. Za twoim pozwoleniem ściągnę pozostałe siostry z pola bitwy i każę im...

– Co takiego? - Jak by tego im było mało, teraz planowały jeszcze coś takiego... i to wszystko z jej powodu? Zbierając się na odwagę, Tyrande oświadczyła: - Nie! Nie pozwolę na to!

– Siostrze...

Wykorzystując swoją nowo zdobytą, nawet jeśli niechcianą pozycję, rzuciła Marindzie spojrzenie nie znoszące sprzeciwu i dodała:

– Wygląda na to, że w sprawie sukcesji nie mam nic do powiedzenia, ale nie wyrażę zgody, jeśli oznaczałoby to ceremonię, która odciągnie nasze myśli od zagrożenia! Zostanę wysoką kapłanką - przynajmniej do końca wojny - ale zachowam moją szatę kapłańską...

– Ale szaty ceremonialne...

– Zachowam mój obecny strój i nie będzie żadnej ceremonii! Nie możemy podjąć takiego ryzyka. Nasz lud musi widzieć, że nadal leczymy i walczymy w imieniu Księżycowej Matki. Czy to rozumiałe?

– Ja... - Marinda padła na kolana, pochylając głowę. - Jestem posłuszna, pani.

– Wstań! To też mi się nie podoba! Jesteśmy wszystkie siostrami, równymi sercem! Wszystkie składamy pokłon Elune! Nie chcę, żeby ktokolwiek kłaniał się mnie!

– Jak sobie życzysz. - Ale starsza siostra nie wstała, jak gdyby na coś czekała. Tyrande dopiero po chwili zrozumiała, o co jej chodzi.

Starając się zapanować nad drżeniem dłoni, wyciągnęła rękę i dotknęła czubka głowy Marindy.

– W imieniu Księżycowej Matki, Wielkiej Elune, która czuwa nad wszystkimi, błogosławię cię.

Usłyszała, jak starsza kapłanka wzdycha z ulgą. Marinda wstała z wyrazem twarzy, jaki kapłanki - nie wyłączając Tyrande - przybierały w obecności ich czcigodnej mistrzyni.

– Przekażę twoją wolę pozostałym, jeśli pozwolisz?

– Tak... dziękuję ci.

Kiedy Marinda odeszła, pod Tyrande ugięły się nogi. To nie mogła być prawda! To był jakiś koszmar, wcale nie mniej straszny niż konieczność stawienia czoła Płonącemu Legionowi. Ona głową zakonu! Kalimdorowi naprawdę groziła zagłada.

– Cudownie! - zawołała Shandris, znów klaszcząc w dłonie. Podbiegła do Tyrande, bliska uściskania jej, ale opanowała się, przybierając bardzo poważną minę. Tak jak wcześniej Marinda, sierota klękała przed nową wysoką kapłanką, czekając na błogosławieństwo.

Pokonana, Tyrande obdarzyła nim sierotę. Na twarzy Shandris pojawił się nabożny podziw.

– Będę ci służyć do końca mojego życia, pani!

– Nie nazywaj mnie tak. Jestem wciąż Tyrande.

– Tak, pani.

Wzdychając z rezygnacją, nowa przełożona zakonu zastanowiła się, co ma teraz robić. Z pewnością istniała nieskończona liczba rytuałów, które wysoka kapłanka musiała odprawiać. Tyrande pamiętała różne modlitwy prowadzone przez poprzedniczkę. Poza tym każdego wieczoru do świątyni schodzili się wierni czekający na błogosławieństwo wschodzącego księżyca i dobrej woli bogów. Oprócz tego arystokraci domagali się obecności wysokiej kapłanki na różnego rodzaju rocznicach i innych uroczystościach...

Spoglądała ponuro w przyszłość, czując się jak schwytna w pułapkę, nie zaszczycona. Z zadumy wyrwał ją jęk, który dobiegł gdzieś pomiędzy uchodźców. Tyrande rozpoznała ten dźwięk, słyszała go już tyle razy. Ktoś straszliwie cierpiał. Ceremonia mogła zaczekać. Rytuały mogły zaczekać. Tyrande wstąpiła do zakonu przede wszystkim po to, by nieść pomoc innym. Idąc za źródłem dźwięku, nowa wysoka kapłanka wróciła do swoich obowiązków.

OSIEMNAŚCIE



Królowa postanowiła udać się na przejażdżkę, a kiedy Azshara wbiła sobie coś do głowy, wszystkie demony świata nie były w stanie jej od tego odwieść... co oznaczało, że kapitan Varo'then nie ma żadnych szans.

Opuszczała pałac po raz pierwszy od dłuższego czasu. W otoczeniu dam dworu, eskortowana przez swoich osobistych gwardzistów i dodatkowy oddział doborowych żołnierzy kapitana, Azshara wyjechała za bramy pałacu. Znalazła się w Zin-Azshari.

A raczej w jego ruinach.

Po raz pierwszy od ataku na miasto władczyni nocnych elfów miała okazję przyrzeć mu się z bliska. Patrzyła spod ciężkich powiek na zrujnowane domostwa, zawałone gruzem ulice i walające się tu i ówdzie trupy, wciąż nietknięte przez padlinożerców. Azshara zacisnęła usteczka, pociągając od czasu do czasu nosem, jak gdyby nie podobał jej się panujący tu zapach.

Varo'then rozglądał się z niechęcią. Nie chciał, by cokolwiek przeszkadzało jego królowej. Gdyby mógł walczyć ze zniszczeniami tak jak z wrogiem, natychmiast rzuciłby się na nie z mieczem.

Zza strzaskanej wieży wyszła piekielna bestia, żując coś głośno. Kiedy kolumna elfów minęła ją, umknęła z powrotem do swojej kryjówki.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu - Azshara nie odezwała się ani razu, więc i nikt inny się nie odważył. Choć nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo, piekielni gwardziści trzymali się blisko niej; demony były jej tak samo oddane jak każdy z elfich żołnierzy. Gdyby rozkazała im zaatakować własnych pobratymców, zapewne zrobiłyby to bez chwili wahania. Oczywiście Azshara nigdy nie wydałaby takiego rozkazu. Istniała tylko jedna osoba oprócz niej samej, której nie chciała rozdrażnić, a był nią władca Płonącego Legionu, Sargeras.

– Czy ono nastąpi niedługo, jak myślisz, kapitanie? - zapytała.

Oficer nie rozumiał, o co pyta.

– Światło Świąteł?

– Nadejście, kapitanie. Jego nadejście.

Varo'then kiwnął natychmiast głową.

– O tak, moja królowo, bardzo niedługo! Mannoroth twierdzi, że z każdą nocą portal jest mocniejszy.

– Musi być naprawdę bogiem bogów, skoro potrzebuje aż tak potężnego portalu, aby się tu dostać.

– Rzekłś, królowo.

– Musi być... wspaniały - powiedziała Azshara z podziwem, jaki miała zwykle zarezerwowany tylko dla siebie.

Oszpecony nocny elf znów kiwnął głową, usiłując ukryć zawiść. Nikt nie mógł rywalizować z bogiem.

Nad miastem wciąż wisiała ta sama zielona mgła, która spowijała większość Kalimdoru. Zdaniem Azshary przydawała stolicy tajemniczości, ukrywając jednocześnie wiele rzeczy obrażających jej wrażliwość. Kiedy

świat zostanie odbudowany, poprosi Sargerasa, aby usunął mgłę; do tego czasu nie miała nic przeciwko niej.

Kiedy dotarli do miejsca, które było kiedyś otwartym placem, Azshara rozejrzała się dookoła. Ściągnęła wodze nocnej pantery, po czym pogładziła zwierzę po łbie, aby je uspokoić. Tak jak na wszystkim w pałacu, Sargeras odcisnął swoje piętno nawet na zwierzętach. Wielkie koty miały szkarłatne, dzikie oczy. Zaatakowałyby i rozszarpały na krwawe strzępy każdą nocną panterę nie pochodzącą z królewskiej stajni.

– Kapitan i ja oddalimy się na kilka minut.

Ani elfki, ani demony nie wyglądały na zachwycone... oprócz Varo'thena, rzecz jasna. Spojrzał na swoich ludzi i warknął:

– Rozkaz królowej!

Nie mogąc tego zakwestionować, reszta orszaku stanęła w miejscu, a królowa z kapitanem oddalili się niespiesznie.

Azshara odezwała się dopiero, gdy znaleźli się daleko poza zasięgiem słuchu pozostałych. Uśmiechając się do Varo'thena, zapytała:

– Czy wszystko przebiega zgodnie z planem?

– Wszystko?

Królowa popatrzyła na horyzont.

– Oczyszczanie mojego królestwa. Myślałem, że zdążycie się z tym uporać.

– Archimond dopilnuje wszystkiego, moja królowo.

– Ale ja chciałabym, żeby stało się to przed przybyciem Sargerasa! Czy nie byłby to wspaniały dar... dla mojego narzeczonego?

Varo'then z trudem zachował panowanie nad sobą. Przełykając zazdrość, zdołał wykrztusić:

– Wspaniały dar, tak. Na pewno zdążymy.

– Więc co nas powstrzymuje?

– Wiele spraw. Logistyka, przypadek...

Nachyliła się w stronę weterana, prezentując mu oszałamiający widok swoich wdzięków.

– Mój drogi, drogi Varo'thenie! Czy ja, pod jakimkolwiek względem, przypominam ci krzepkiego, muskularnego wojaka takiego jak ty?

Policzki elfa pociemniały.

– Nie! Nie, Wizjo Doskonałości!

– Więc proszę... Nie używaj takich wojskowych terminów. Wolałabym, żebyś po prostu mi pokazał. - Azshara uniosła dłoń. Na dłoni leżała maleńka kryształowa kula wielkości ziarnka groszku, która na oczach Varo'thena urosła do rozmiarów dużego owocu. Choć zamglona, świeciła słabym blaskiem przypominającym światło księżyca w pełni.

– Uczynisz mi tę przyjemność, drogi kapitanie?

Biorąc glob do ręki, żołnierz skoncentrował się. Choć nie mógł się równać ze Szlachetnie Urodzonymi magami, posiadał pewne umiejętności magiczne. Kula natychmiast zareagowała, przekształcając jego myśli w obrazy.

– Pytasz, co nas powstrzymuje, królowo? Oto niektóre z powodów.

Z zakamarków pamięci wydobył najpierw obraz rudowłosej istoty, jakiej Azshara jeszcze nigdy nie widziała. Przyjrzała się jej uważnie błyszczącymi oczami.

– Przystojny... na swój cudzoziemski sposób. Zdecydowanie mężczyzna.

– Czarodziej. Potężny. - Twarz nieznanego stopiła się jak wosk, zmieniając kształt i barwę. Jej miejsce zajęło oblicze wiekowego mędrca.

– Litości! To ma być jakiś trup?

– Nie. Pomimo koloru skóry, a raczej jego braku, ta istota żyje. Kiedy natknęliśmy się na niego za pierwszym razem, nie stanowił większego

zagrożenia, ale podejrzewam, że coś mu wtedy dolegało... a od tego czasu moi szpiedzy donieśli mi, że widziano go w towarzystwie smoka...

Te słowa zrobiły wrażenie na królowej.

– Smoka?

– Owszem, smoka. Razem sprawiali ogromne kłopoty wojownikom Archimonda. Obaj zniknęli, choć podejrzewam, że przybysz powróci.

– Może nie wygląda wcale tak upiornie - uznała Azshara, przyglądając się bladej postaci tak podobnej do nocnego elfa. - I tylko przez nich dwóch mój świat nie może stać się doskonały?

Kapitan Varo'then skrzywił się.

– Oczywiście jest też kilku naszych, pani. Niewydarzonych albo pomyłonych. Doniesiono mi o dwóch, którzy mogą zainteresować Waszą Wspaniałość. Wybacz mi, jeśli obrazy będą niewyraźne, ale zostały mi przekazane przez inne umysły.

Azshara popatrzyła na nowe postacie. Jedna miała włosy związane z tyłu i była ubrana na czarno, druga nosiła włosy rozpuszczone i szarobury strój. Obie twarze były do siebie tak podobne, że w pierwszej chwili uznała, iż to jedna i ta sama osoba.

– Bracia, królowo - wyjaśnił. - Bliźniacy.

– Bliźniacy... wybornie. - Przesunęła palcami po zmieniających się obrazach. - Ale tacy młodzi... na pewno nie są dowódcami.

– Wygląda na to, że władają potężną magią, ale ani oni, ani dwaj pozostali nie stoją na czele ruchu oporu. Ta rola przypadła oczywiście czcigodnemu lordowi Kur'talosowi.

– Drogi Kur'talos... zawsze uważałam go za jednego z moich najwierniejszych sług i oto jak mi odpłaca.

Kapitan Varo'then oddał kulę królowej. Marszcząc brwi, rzekł:

– Gawronia Twierdza zawsze spoglądała na pałac z zazdrością, o Światło Świateł.

Nadąsała się na chwilę.

– Zdecydowałam, że lord Ravenscrest mnie zagniewał, Varo'thenie - oświadczyła w końcu. - Czy możesz temu zaradzić?

Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Cena będzie wysoka... ale da się to zrobić, jeśli takie jest twoje życzenie.

– Najszczęśliwsze, kochany kapitanie.

Azshara musnęła leciutko jego policzek, a potem gwałtownie zawróciła wierzchowca i skierowała się w stronę czekających gwardzistów. Jej długa, na wpół przezroczysta szata załopotała na wietrze.

Biorąc się w garść, oficer zaczął się zastanawiać nad życzeniem swojej pani. Kur'talos Ravenscrest zagniewał królową i nie było większej zbrodni w Kalimdorze.

– Wszystkiego dopilnuję, moja królowo - wymruczał. - Wszystkiego.



Zostawili Suramar daleko w tyle i spychali demony w stronę Zin-Azshari. Wszystko zaczęło się od zaklęcia Rhonina, ale teraz Księżycowa Gwardia Illidana wzięła na siebie główny ciężar walk, przełamując opór demonów wszędzie tam, gdzie próbowały go stawić.

Rhonin też nie spoczął na laurach. Choć pozwolił sobie na chwilę odpoczynku, teraz starał się wykorzystać sytuację, siejąc spustoszenie wśród Płonącego Legionu. Wyobrażał sobie, że jeśli zawiedzie, każdy demon, którego nie zabije, może skrzywdzić jego rodzinę. Nie dbał już o to, jaki wpływ na wynik wojny będzie miała jego obecność w tej epoce; jeśli

Płonący Legion zostanie całkowicie unicestwiony tutaj, ani on, ani Plaga Nieumarłych nie zeszpecą świata przyszłości.

Broxa już dawno opuściły wszelkie wątpliwości. Był orczym wojownikiem, a orczy wojownik walczy. Martwienie się o konsekwencje zostawiał innym. Wiedział jedno - on i jego topór łaknęli krwi demonów.

Klin armii nocnych elfów wbijał się coraz głębiej w środek morza demonów. Na skrzydłach Księżycowa Gwardia rąbała i siekła wroga. Eredarczycy i Mroczni Władcy ponawiali od czasu do czasu ataki, ale siły Illidana radziły sobie z nimi bez trudu.

– Spychamy ich na wzgórza Urae! - zawołał Jarod do Rhonina. - Za nimi leży już tylko Zin-Azshari!

– Dobrze się stało, że tak ich osłabiliśmy! - odparł z powagą czarodziej.
- Gdyby mieli kogoś w odwodzie, albo byli lepiej zorganizowani, umęczilibyśmy się wśród tych wzgórz! Mieliby lepszą pozycję!

– Kiedy znajdziemy się po drugiej stronie, wzgórza dadzą nam przewagę!

– W takim razie im szybciej tam dotrzemy, tym lepiej...

Demony wycofywały się chaotycznie między wzgórza. Rhonin nie widział nigdzie Archimonda. Gdyby demon wciąż dowodził armią, Płonący Legion stawiałby bardziej zacięty opór. Chyba że...

Czy to możliwe? zapytał sam siebie, przerażony.

– Jarod! Brox! Muszę znaleźć Ravencresta!

– Idź! - warknął ork. Jego topór przeciął pancerz piekielnego gwardzisty, wbijając się w ciało demona.

Czuł się winny, że zostawia towarzyszy w takiej chwili, ale wiedział, że musi znaleźć dowódcę, i to szybko. Do głowy przyszła mu straszna myśl, ale tylko szlachcic mógł potwierdzić lub rozwiać jego obawy.

Zlokalizowanie lorda Ravencresta nie było wcale proste. Przepychając się między atakującymi żołnierzami na grzbiecie nocnej pantery, lustrował teren z prawa i z lewa, ale bez skutku. Poszukiwany mógł przebywać w tysiącu miejsc, być może nawet pod samym nosem Rhonina.

Z rosnącym niepokojem wypatrywał wreszcie kogoś, kto mógł znać miejsce pobytu Ravencresta. Pancernik lorda Desdela Stareye'a wydawał się nieskazitelnie czysty, a jego kot był wciąż starannie uczesany. Rhonin był ciekaw, czy szlachcic zbliżył się choć do linii frontu, nie mówiąc już o braniu udziału w walce. Mimo to Stareye był zaufanym sługą lorda Ravencresta, a w tej chwili tylko to miało znaczenie.

– Panie! Panie! - zawołał rudowłosy czarodziej.

Nocny elf popatrzył na niego z niechęcią. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej szczyptę tabaki i wciągnął ją w nozdrza. Jego miecz tkwił w pochwie.

– To bardzo niestosowny moment, czarodzieju! - zganiał go. - Czego chcesz?

– Lord Ravencrest! Gdzie on jest? Muszę z nim porozmawiać! - Kur'talos jest teraz bardzo zajęty. Czy nie powinienes być na froncie i rzucać zaklęć?

Rhonin w swoich czasach często spotykał ten typ. Przywódcy tacy jak Desdel byli nie tylko nieskuteczni, ale wręcz niebezpieczni, gdy obejmowali dowodzenie. Urodzeni do zbytków, nie wiedzieli, czym naprawdę jest wojna i traktowali ją jak grę.

– To bardzo ważne, panie...

– A o co chodzi?

Czarodziej nie miał na to czasu, ale uznał, że niczego nie osiągnie, jeśli nie przekona Stareye'a, że sytuacja jest poważna.

– Muszę wiedzieć, czy Ravencrest miał ostatnio wieści od zwiadowców! Chcę wiedzieć, czy ktokolwiek ma pojęcie, co jest za tymi wzgórzami!

Nocny elf prychnął.

– Za kilka krótkich godzin sam się o tym przekonasz.

Rhonin żałował, że nie utworzył czegoś w rodzaju mentalnego połączenia z dowódcą, ale Ravencrest nie życzył sobie tego rodzaju komunikacji. Uważał, że czarodzieje, choć potężni, są bardziej podatni na czytanie w myślach. Nie chciał, by w ten sposób zostały odkryte jego własne plany.

Rhonina bawiło to przypuszczenie, ale już dawno przestał nalegać na ustanowienie takiego połączenia. Teraz ta kapitulacja powróciła jak wyrzut sumienia.

– Lordzie Stareye... gdzie on jest?

Wyniosły szlachcic zamyślił się na chwilę. W końcu odrzekł:

– Dobrze, pojedź za mną, czarodzieju. Zaprowadzę cię do miejsca, gdzie widziałem go po raz ostatni.

Odetchnąwszy z ulgą, Rhonin ruszył za Stareye'em. Ale ku jego zaskoczeniu nocny elf zaczął się oddalać od pola bitwy. Rhonin był bliski zaprotestowania, ale zaraz zorientował się, że w ten sposób szybciej przemieszczą się z jednego skrzydła armii na drugie. Tutaj nie musieli się przedzierać między żołnierzami.

Ale cenny czas wciąż uciekał. Nadal jechali w stronę miejsca, gdzie Stareye widział po raz ostatni Ravencresta, a tymczasem nocne elfy parły naprzód, w stronę wzgórz, spychając demony w coraz węższy przesmyk.

Może Stareye miał rację, pomyślał ponuro czarodziej. Zanim znajdziemy Ravencresta, elfy zdążą przekroczyć wzgórze i będą już w drodze do Zin-Azshari...

– Tam! - krzyknął w końcu jego towarzysz. - Widzisz jego proporzec?

Rhonin nie widział.

– Gdzie?

– Tam, głupcze! Jest... - Stareye potrząsnął głową. - Teraz zniknął mi z oczu! Dalej! Zaprowadzę cię do niego!

Ale jeśli Stareye liczył na to, że pozbędzie się szybko czarodzieja, to grubo się mylił. Rhonin wyteżał wzrok, przeciskając się przez gęstą ciżbę w ślad za nocnym elfem, ale ani razu nie mignął mu porządek lorda Ravencresta. Armia przesuwała się bardzo szybko, więc brodaty dowódca musiał nieustannie zmieniać pozycję, co znacznie utrudniało Rhoninowi zadanie.

– A niech to! - zaklął nocny elf, ścierając rozbryzg błota z nieskazitelnie czystego pancerza. - Był tam! Widziałem go!

Jechali w poprzek nacierających szeregów, jednak nigdzie nie dostrzegli śladu Ravencresta. Rhonin zerknął na wzgórze. Z tak bliska przypominały ostre kły. Rozróżniał sylwetki uciekających demonów, cofających się teraz znacznie wolniej, bo pod górę. W niektórych miejscach Płonący Legion wręcz się zatrzymał.

Naprawdę?

Stareye uniósł osłoniętą rękawiczką dłoń, żeby wskazać coś przed sobą, ale w tej samej chwili czarodziejowi wpadł do oka jakiś paproszek. Rhonin odwrócił głowę, mrugając, aby się go pozbyć.

Jego zdumionym oczom ukazał się porządek Gawroniej Twierdzy.

– Jest tam! - wrzasnął.

– Nie, myślę... - Stareye urwał, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. - Tak, oczywiście! Tam!

Nie czekając na szlachcica, Rhonin ruszył ku pozycji lorda Ravencresta. Jazda pod prąd okazała się najtrudniejszą częścią wyprawy, ale nie miał zamiaru dawać za wygraną. Wciąż mieli szansę. Musiał tylko dotrzeć do...

Za jego plecami wybuchła wielka wrzawa. Zagrały rogi. Bito w bębny. Z twarzy wokół czarodzieja biło przerażenie.

– Co się stało? - krzyknął do jakiegoś żołnierza. Kiedy ten nie odpowiedział, obejrzał się.

– Nie... - wyszeptał ze zgrozą.

Wzgórza zaroily się od demonów biegnących w stronę nocnych elfów. Samo to nie przeraziłoby Rhonina aż tak, ale zza wzgórz wylewała się prawdziwa powódź płomiennych, monstrualnych postaci. Jak gdyby tego było mało, z mglistego nieba posypały się na obrońców wielkie głązy. Nie były to kamienie, rzecz jasna, ale kolejny śmiercionośny atak infernali.

Sam portal nie był w stanie wypluć z siebie tylu demonów. Patrząc, jak armia potwornych wojowników rośnie z każdą sekundą, zrozumiał, dlaczego dowódca demonów pozwolił im na odwrót. Musiał ściągać wojowników z innych części Kalimdoru, słusznie uznając nocne elfy za główną przeszkodę na drodze do triumfu.

A teraz przeciwnicy Archimonda znaleźli się dokładnie tam, gdzie chciał.



Głosy w umyśle Nelthariona szeptały natrętnie. Czarny smok wsłuchiwał się w nie w nabożnym skupieniu, choć wszystkie powtarzały to samo:

Już czas...

Już czas...

Już czas...

Ścisnął Duszę Smoka w przedniej łapie i uniósł wysoko. Omiatając wzrokiem pozostałe Aspekty, zagrzmiął:

– Już czas.

Pochyliwszy z szacunkiem łby, jeden za drugim opuściły pieczarę. Dopiero, gdy został sam - nie licząc głosów, rzecz jasna - dodał:

– Mój czas...



Zaczęły wychodzić kilka minut później z każdej szczeliny, z każdego wylotu jaskini. Niektóre wypęzły spod ziemi, inne zeskakiwały z niebosiężnych szczytów. Ze wszystkich kryjówek i zakamarków wynurzały się na powierzchnię ziemi smoki.

Nadszedł czas działania.

Jeszcze nigdy w historii świata tyle smoków nie zebrało się w jednym miejscu. Teraz, kiedy wzbiły się w powietrze, ich własna wspaniałość odebrała dech większości z nich. Czerwone leciały obok brązowych, a te obok zielonych. Błękitne i czarne poszybowały wspólnie w górę, pięć wielkich stad stanowiących teraz jedno.

Były wśród nich smoki, których rozpostarte skrzydła wydawały się przesłaniać niebo, i takie, które w porównaniu z nimi przypominały komary. Stare i młode, wszystkie brały udział w locie. Tak zarządziły Aspekty.

Pierwsze smoki, które wzbiły się w niebo, nie skierowały się jednak od razu ku królestwu nocnych elfów. Kołowały wysoko nad górami, szybując w ciepłych prądach powietrznych i czekając na resztę braci. Na niebie zaroilo się od wielkich gadów lawirujących między sobą, aby uniknąć zderzenia.

Z gór wciąż wylatywały kolejne behemoty. Każdy, kto by je zobaczył, uznałby, że nadszedł koniec świata... i może właśnie tak było. Smoki wyczuwały nikczemność demonów i zdawały sobie sprawę, że nikt nie

może pozostać bezczynny w obliczu takiego zagrożenia. Co chwila któryś porykiwał donośnie, czując jak krew krąży mu szybciej w żyłach na myśl o nadchodzącej bitwie.

Potem ukazały się Aspekty. Czerwona Alexstrasza, Matka Życia. Błękitny Malygos, Tkacz Zaklęć. Zielona Ysera, Ta, Która Jest Śnieniem. Pod nieobecność Nozdormu, Wiecznego, jego miejsce zajęła najstarsza z jego oblubienic.

Dopiero gdy zebrali się już wszyscy, ukazał się im czarny Neltharion, Strażnik Ziemi.

Maleńki dysk lśnił jasno, oślepiając smoki mimo swego niepozornego wyglądu. Neltharion wzbił się z rykiem w niebo, a jego krzyk jeszcze długo odbijał się echem wśród górskich szczytów.

Reszta smoków poszybowała w ślad za odlatującym Neltharionem. Zbliżała się chwila prawdy. Złożyły ofiarę z siebie, aby stworzyć najpotężniejszy oręż przeciwko najpotężniejszemu nieprzyjacielowi, a gdyby to nie wystarczyło, miały szpony, kły i inne sposoby walki z demonami.

A gdyby to zawiodło... nie zostawało im już nic.



Tyrande usłyszała krzyki i granie rogów. Od razu zrozumiała, co to oznacza. Szala zwycięstwa znów przychyliła się na drugą stronę. Demony przypuszczały kontratak, i to ostry.

Przepraszając zdawkowo nieszczęśnika, którego właśnie próbowała uleczyć, nowa mistrzyni zakonu wskoczyła na grzbiet nocnej pantery. Shandris, która już na nim siedziała, odsunęła się, robiąc jej miejsce, i obie pogalopowały odszukać resztę sióstr.

Większość już na nią czekała. Były wśród nich nie tylko kapłanki należące do jej oddziału, ale i wiele wyższych rangą sióstr. Wszystkie uklęknęły albo ukłoniły się przed nią.

– Błagam! Przestańcie! - poprosiła Tyrande, wyraźnie zakłopotana. - Nie ma takiej potrzeby!

– Czekamy na twoje rozkazy - powiedziała z szacunkiem Marinda.

Tyrande obawiała się tej chwili. Czym innym było organizowanie pomocy dla uchodźców i rannych żołnierzy, a czym innym rzucenie całego zakonu w samo serce bitwy.

– Musimy... - Urwała, pomodliła się w duchu do Księżycowej Matki, prosząc ją o wsparcie, po czym podjęła: - Musimy się podzielić i wesprzeć najsłabsze punkty na linii frontu... ale nie wszystkie z nas! Chcę... chcę, żeby trzecia część sióstr została na tyłach armii i w miarę możliwości dalej zajmowała się rannymi.

Niektóre siostry sprawiały wrażenie wzburzonych. Chciały walczyć ramię w ramię z obrońcami i Tyrande rozumiała to, ale zdawała też sobie sprawę, że nie powinny zapominać o innych sztukach nauczanych w świątyni tylko z powodu rozpaczliwej sytuacji na polu bitwy.

– Potrzebujemy uzdrowicielek wśród żołnierzy. Każdy żołnierz, który będzie w stanie wrócić do walki, służy naszej sprawie. Weźcie pod uwagę także to: Siostry Elune nie mogą przestać istnieć. Jeśli wszystkie staniemy do walki i być może zginiemy, kto będzie szerzył jej słowo i miłość wśród naszego ludu? - Tyrande starała się nie myśleć o tym, że jeśli demony zwyciężą, może nie być już ludu, który mogłyby nauczać o Elune.

– Słuchamy i jesteśmy posłuszne - powiedziała jedna ze starszych kapłanek. Reszta pokiwała głowami.

– Marindo, siostry uzdrowicielki będą podlegać tobie.

– Tak, mistrzyni.

Tyrande zastanowiła się.

– I gdybym zginęła, chcę, abyś zajęła moje miejsce.

Elfka wyglądała na przerażoną.

– Tyrande...

– Sukcesja musi zostać zachowana. Ja to rozumiem. Mam nadzieję, że ty też.

– Ja... - Marinda zmarszczyła brwi. - Tak, rozumiem. - Omiotła spojrzeniem pozostałe siostry. Tak jak wcześniej Tyrande, zastanawiała się już, która powinna ją zastąpić, gdyby poległa.

Nowa wysoka kapłanka odetchnęła. Być może jej decyzje były pochopte, ale nie mogła się tym teraz zamartwiać. Były potrzebne. Elune ich potrzebowała.

– To wszystko, co mam wam do powiedzenia... Niech pogodny blask Księżycowej Matki oświecła wasze ścieżki.

Wypowiedziawszy słowa starożytnego pożegnania, Tyrande odprowadziła wzrokiem odchodzące kapłanki. Te, które miały jej towarzyszyć, zaczęły dosiadać panter.

Jedna z nich popatrzyła na Tyrande.

– Mistrzynie... a co z nią?

– Z nią? - Tyrande zamruwała. Przyzwyczajona do tego, że Shandris wszędzie jej towarzyszy, zupełnie zapomniała, że teraz pod żadnym pozorem nie może jej ze sobą zabrać.

Domyślając się, co się teraz stanie, Shandris objęła ją jeszcze mocniej.

– Jadę z tobą!

– To niemożliwe!

– Umiem strzelać z łuku! Tata mnie nauczył! Umiem strzelać nie gorzej niż one!

Choć nikomu nie było do śmiechu, jej upór wywołał uśmiech kilku sióstr.

– Aż tak dobrze? - zadrwiła łagodnie jedna z nich.

Tyrande wzięła Shandris za rękę.

– Nie. Ty zostaniesz tutaj.

– Ale...

– Zsiadaj, Shandris.

Zalewając się łzami, sierota zeszła na ziemię. Wpatrywała się w wysoką kapłankę wielkimi, srebrzystymi oczyma, wywołując w niej poczucie winy.

– Wkrótce wrócę, Shandris.

– T-tak... mistrzyni.

– Jedziemy - poleciła Tyrande pozostałym. Skoro Elune rzuciła ją na głęboką wodę, musi to zaakceptować i zrobić wszystko, co w jej mocy, aby sprostać postawionemu przed nią wyzwaniu. To oznaczało utrzymanie przy życiu tylu sióstr, ile tylko Księżycowa Matka pozwoli.

Nawet jeśli w tym celu musiała poświęcić siebie.



Shandris patrzyła, jak znikają. Twarz sieroty była mokra od łez, dłonie zacisnęły się w pięści. Serce waliło jej w rytmie bębnow bojowych i okrzyków konających.

Kiedy nie mogła już tego dłużej znieść, puściła się biegiem za kapłanką.

DZIEWIĘTNAŚCIE



Choć Krasus twierdził, że Korialstrasz pojawi się niebawem, nalegał, by od razu ruszyli w drogę. Nie, nie po to, żeby skrócić czas podróży. Bynajmniej. Dystans, jaki byli w stanie przejść, nawet stary, schorowany smok pokonałby w kilka minut. Uzdrawionemu cudownym zaklęciem Malfuriona Korialstraszowi mogło to zająć co najwyżej jedną.

Nie. Szli, ponieważ smoczy mag musiał jakoś zapanować nad swoją niecierpliwością. Bardzo chciał zrobić coś, co przyspieszyłoby ich podróż, ale nie śmiał otworzyć następnego portalu, nie po ostatniej katastrofie. Zostawało im tylko czekanie na jego młodszą połówkę, ale choć wiedział, że wkrótce dosiędą chyżego smoka, miał wrażenie, że nie zostało im już wiele czasu. Zbliżał się punkt zwrotny, a jemu kończyły się pomysły.

Jeśli Korialstrasz zdoła zanieść ich szybko na pole bitwy, może uda się uratować sytuację. Jeśli nie...

– Mistrzu Krasusie! Chyba widzę coś za nami!

Modląc się, by nie był to kolejny wysłannik Nelthariona, obejrzał się za siebie. Ku nim leciał zdecydowanie pojedynczy wielki kształt. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że ich dostrzegł.

Krasus poczuł w głowie lekkie mrowienie. Uśmiechnął się.

– To Korialstrasz...

– Chwała bogom!

Czerwony lewiatan bił mocno skrzydłami, wydawało się, że z każdym uderzeniem pokonuje kolejną milę. Rósł gwałtownie i wkrótce zobaczyli wyraz jego pyska. Krasus miał wrażenie, że maluje się na nim ogromna ulga.

– Tutaj jesteście! - zagrział behemot, lądując w niewielkiej odległości za nimi. - Każda sekunda lotu wydawał mi się godziną, chociaż leciałem najszybciej jak potrafiłem.

– Dobrze znów cię widzieć - odparł mag.

Korialstrasz opuścił łeb i przyjrzał się z zaciekawieniem Krasusowi, jak gdyby się nad czymś zastanawiał.

– Czy to prawda?

Sposób, w jaki zadał to pytanie, sprawił, że Krasus się wzdrygnął. Korialstrasz wiedział dokładnie, kim i czym jest czarodziej.

– Tak - odpowiedział swojej drugiej połówce. - To prawda.

– A co do ciebie - rzekł smok, zwracając się do Malfuriona. - Na zawsze pozostanę twym dłużnikiem, nocny elfie.

– Nie ma takiej potrzeby.

Behemot prychnął.

– To ty tak twierdzisz, bo nie ty umierałeś.

Krasus zmrużył oczy.

– Zostałeś zaatakowany, prawda?

– Tak, przez dwa smoki ze stada Strażnika Ziemi! Były kompletnie szalone! Zabiłem jednego z nich, ale drugi mnie dopadł. Ale on też jest już martwy.

– Właśnie tego się obawiałem. - Mag nie mógł powiedzieć nic więcej, bo przeszkadzało mu w tym zaklęcie. Rozdrażniony, skierował rozmowę na temat, na który mógł rozmawiać. - Musimy wrócić do Rhonina i pozostałych. Jesteś gotowy nas tam zabrać?

– Wdrapcie mi się na grzbiet i ruszamy.

Obaj towarzysze posłuchali. Kiedy już usadowili mu się na barkach, Korialstrasz rozpostarł skrzydła, a potem łagodnie wzbił się w powietrze. Okrążył dwukrotnie pole, zanim skierował się w stronę bitwy.

Lecąc, Krasus cały czas oglądał się za siebie. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce nadciągnie reszta smoków, ale jak do tej pory niczego nie zauważył. Wciąż miał nadzieję, że uda mu się zapobiec zdradzie Nelthariona, zanim do niej dojdzie. Gdyby zło, jakie stworzył Strażnik Ziemi, dało się powstrzymać, albo, jeszcze lepiej, powierzyć komuś niewinnemu, demony można by pokonać, a jego własną rasę ocalić przed upadkiem i prawie całkowitym wyginięciem.

– Chyba się zbliżamy - zawołał Malfurion. - Robi się coraz bardziej mgliście.

Rzeczywiście, wkrótce otoczyła ich plugawa mgła, która pojawiała się wszędzie w ślad za demonami. Korialstrasz próbował obniżyć lot, ale żeby nie lecieć na oślep, prawie szorował piersią po ziemi. Kiedy nie był już w stanie tego dłużej znieść, zawołał:

– Muszę wzbić się wyżej! Może tam będzie jaśniej!

Zaczęli się wznosić. Krasus zmrużył oczy, ale widział tylko na długość nosa swojej młodszej połówki, a i on ginął czasem w mgle. Wiedział, że przy tak słabej widoczności Korialstrasz musi się zdać na węch i inne zmysły.

– Musi się gdzieś kończyć! - warknął czerwony smok. - Dolecę tam, choćbym miał...

Na torze ich lotu pojawiła się nagle skrzydlata istota. Strażnik zagłady schował się z powrotem we mgle w tej samej chwili, w której spostrzegł smoka.

Korialstrasz natychmiast rzucił się za nim w pościg. Krasus i Malfurion przywarli do grzbietu smoka.

– Zostaw go! - krzyknął mag. - Musimy się dostać na pole bitwy!

Dziki pęd powietrza porwał i uniósł jego słowa. Krasus zaczął okładać smoka po karku, ale ten miał za grube łuski, żeby cokolwiek poczuć.

– Może jakiś czar? - krzyknął Malfurion. - Coś, co zwróci jego uwagę!

Krasus miał na to ochotę, ale obawiał się konsekwencji.

– Jeśli go przestraszymy, może się szarpnąć i nas zrzucić! W tak gęstej mgle prędzej uderzymy o ziemię w dole, niż nas złapie!

Nie będąc w stanie powstrzymać Korialstrasza, mogli tylko przylgnąć do jego karku i mieć nadzieję, że albo szybko pochwyci demona, albo zrezygnuje z pogoni. Krasus pamiętał jednak, jak uparty bywał w młodości, i domyślał się, że Korialstrasz tak szybko nie zawróci. Jego własny upór działał teraz przeciwko nim.

Demon znów się pokazał. Przerażający, rogaty wojownik leciał ile sił w płomiennych skrzydłach. Musiał zdawać sobie sprawę, że nie ma szans w starciu z takim olbrzymem.

Mag zmarszczył brwi. Strażnicy zagłady nie byli głupi i widzieli we mgle o wiele lepiej niż ich wrogowie. Demon powinien był już dawno zgubić Korialstrasza, który miał kłopoty z wypatrzaniem go. Gdyby nie to, że demon leciał prawie w linii prostej...

Krasus nagle wszystko zrozumiał.

– Malfurionie! Przygotuj się! Zaraz zostaniemy zaatakowani!

Druid rozejrzał się, szukając we mgle wroga.

Sekundę później on i Krasus zobaczyli ich całą chmarę.

Skrzydłaci wojownicy zaatakowali trójkę towarzyszy ze wszystkich stron. Przynajmniej sześciu natarło na Korialstrasza z dołu, mierząc w pierś i brzuch smoka. Inni spadli z góry, usiłując zabić, albo zrzucić ze smoczego grzbietu dwóch jeźdźców. Jeszcze kilku fruwało przed i za lewiatanem.

Korialstrasz zaryczał, zionąc płynnym ogniem w tych przed sobą. Większość demonów rozproszyła się, ale jeden został doszczętnie spopielony.

Czerwony smok machnął potężnym ogonem jak maczugą, taranując trzech strażników zagłady. Pozostali przypadli do niego, tnąc i siekąc straszliwymi ostrzami - udało im się nawet drasnąć smocze łuski.

Siedzący na grzbiecie Korialstrasza Krasus i Malfurion nie mieli chwili spokoju. Smoczy mag zdążył rzucić szybki czar, który utworzył nad nimi żarząca się pomarańczową kopułę, ale demony atakowały ją niez mordowanie, osłabiając jej działanie.

Nocny elf sięgnął do sakiewki przy boku. Wyjął z niej jakieś paproszki i cisnął nimi w najbliższe demony. W chwili, w której dotknęły ofiar, rozrosły się w ogromne wąsy: pnącza. Malfurion wymamrotał coś pod nosem i pnącza zaczęły oplatać swoje ofiary.

Demony próbowały zedrzeć je z siebie i pociąć mieczami, ale rośliny rozrastały się zbyt szybko.

Kilka wąsów owinęło się i zacisnęło wokół szyi jednego z potworów. Rozległ się trzask, rogaty wojownik obwisł... i runął w dół, znikając z oczu.

Pnącza unieruchamiały kończyny i, co najważniejsze, skrzydła. Wrzeszcząc, dwa kolejne demony spadły w dół jak kamienie.

Krasus krzyknął, gdy jeden ze strażników zagłady, któremu udało się dostać pod kopułę, ciął go w ramię. Miotając wzrokiem błyskawice, mag wyładował całą swoją frustrację w pojedynczym słowie mocy. Demon

zawył. Jego ciało stopiło się jak wosk, ściekło po płomiennym pancerzu. To, co było kośćmi, z grzechotem poleciało na ziemię.

Ze względu najeźdźców Korialstrasz nie miał takiej swobody ruchów jak bez obciążenia, ale robił świetny użytek z innych umiejętności. Kiedy jeden z demonów podleciał za blisko, smok jednym kłapnięciem szczęk zmiażdżył napastnika, po czym wypluł jego szczątki.

Potrząsając łbem, mruknął:

– Ohydny smak! Ohydny!

Krasus wciąż się rozglądał. Płonący Legion nigdy nie przypuszczał pojedynczego ataku. Zawsze czekał z następnym na odpowiednią chwilę.

Zauważył czterech strażników zagłady lecących obok siebie. Po chwili uświadomił sobie, że trzymają coś, co na pierwszy rzut oka przypominało długi, gruby sznur. Jednak kiedy się zbliżyli, dostrzegł, że nie jest to sznur, ale coś w rodzaju elastycznej, metalowej liny.

Rzucił okiem w przeciwną stronę. Nadlatywały z niej cztery kolejne niosące podobny kabel. Obie grupy wydawały się zmierzać w stronę skrzydeł Korialstrasza.

– Malfurionie! Patrz!

Malfurion popatrzył i na jego twarzy pojawiła się konsternacja.

– Co oni zamierzają z tym zrobić?

– Chyba związać mu skrzydła! Korialstrasz jest zbyt zaferowany! Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby ich powstrzymać!

Jeszcze zanim skończył mówić, zauważył kolejne dwie grupy uzbrojone w podobny sposób. Demony chciały mieć pewność, że ich plan wypali.

Kiedy te niosące liny podleciały bliżej, pozostali strażnicy zagłady zaatakowali z jeszcze większą zaciekłością. Krasus i nocny elf próbowali się skupić na właściwym zagrożeniu, ale demony nie pozwalały im na to.

Potężny podmuch wiatru porozrzucał na wszystkie strony sporą część piekielnych wojowników. Malfurion wypuścił powietrze z płuc, zmęczony rzuceniem zaklęcia. Udało mu się jednak zyskać na czasie.

Wykorzystując jedno z najpotężniejszych zaklęć druida - to, którym Malfurion uśmiercił Hakkara - Krasus wbił wzrok w pierwszą grupę. Demony umieściły już niemożliwie długą linę nad lewym skrzydłem rozkojarzonego Korialstrasza. Gdyby udało im się zacisnąć pętlę, smok musiałby się utrzymać w powietrzu machając wyłącznie prawym, co było niewykonalne.

Błyskawica trafiła tylko jednego demona, ale poprzez linę przeskoczyła na pozostałych. Potworni napastnicy dygotali i wrzeszczeli, dopóki piorun nie wyładował całej swojej energii. Potem cztery demony wypuściły kabel z bezwładnych rąk i runęły w dół, znikając we mgle.

Chociaż Krasus powstrzymał jedną grupę, zostało ich jeszcze co najmniej pięć. Pozostali skrzydlaci wojownicy zbliżali się, krzyżując plany trójce towarzyszy.

– Muszę was prosić o ogromną przysługę! - ryknął czerwony smok. - Wczepcie się we mnie, jak gdyby zależało od tego wasze życie, bo tak właśnie będzie!

Dwie mniejsze postacie natychmiast posłuchały. Krasus krzyknął:

– Zaklinuj stopy pod łuskami, Malfurionie! Szybko!

Gdy tylko to zrobili, Korialstrasza przewrócił się na grzbiet.

Ten manewr całkowicie zaskoczył demony. Wielkie błoniaste skrzydła Korialstrasza trafiały strażnika za strażnikiem. Dwie grupy niosące stalowe liny poszły w rozsypkę, a niesione przez nie kable spadły w dół, znikając we mgle.

Obracając się wokół własnej osi, czerwony smok oddał trzy krótkie, acz spektakularne salwy płomieni. Dwie pierwsze całkowicie zmasakrowały

dwóch strażników zagłady. Ostatnia była niecelna, ale rozproszyła kilku następnych przeciwników.

– Uwaga! - krzyknął Malfurion.

Wielki pocisk wyrzucił smoka prosto w pierś. Krasus stracił oparcie dla nóg i nagle zawisł na samych rękach. Druid nie mógł mu w żaden sposób pomóc, bo sam ledwo się trzymał.

Płomienna postać odbiła się od swej ofiary. Infernal spadł we mgłę, nie przejmując się odległością dzielącą go od ziemi. Wiedział, że wyjdzie bez szwanku nawet z upadku z tej wysokości.

Pozostałe demony uznały to za doskonałą okazję do ataku. Krasus kopniakiem odbił ostrze jednego z nich, podciągając się z powrotem na grzbiet smoka. Malfurion rzucał w legionistów nasionami z sakwy, ale ci, nauczeni doświadczeniem, skutecznie się przed nimi uchylali. Tylko jeden strażnik zagłady padł ofiarą pnączy, ale było ich już tylu, że nawet nie odczuli straty.

Kiedy Krasus usiadł z powrotem, jedna z grup zaczęła zaciskać długą linę wokół prawego skrzydła Korialstrasza. Smoczy mag wycelował w nich rozcapierzone palce i wypowiedział słowo mocy.

Paznokcie czarodzieja oderwały się z trzaskiem od palców i poleciały ku demonom. W locie urosły do ponad stopy. Wszystkie cztery demony znieruchomiały jeden po drugim, przeszyte na wylot ostrymi pociskami. Patrząc na spadające demony, Krasus potarł palce, na których zaczynały już odrastać nowe paznokcie.

– Korialstraszu! - krzyknął Krasus. - Musimy ich zgubić! Nie możemy tu zostać i walczyć w ten sposób!

Tym razem jego młodsza połówka usłyszała go i choć wyraźnie nie miała ochoty przerywać walki, usłuchała.

– To może być trudniejsze, niż myślisz!

Krasus doskonale zdawał sobie sprawę, jakie to będzie trudne. Ze wszystkich stron otaczali ich strażnicy zagłady, a smok, z uwagi na pasażerów, musiał zachować ostrożność. Właśnie na to liczył teraz Płonący Legion.

Ale musieli uciec. Już i tak zbyt długo zwlekali.

Lewiatan spalił oddechem nieostrożnego przeciwnika.

– Mam pomysł! Już raz się sprawdził. Trzymajcie się mocno!

Krasus i nocny elf, odkąd prawie zsunęli się grzbietu smoka, ani na chwilę nie rozluźnili uchwytu. Mimo to obaj chwycili smocze łuski najmocniej jak potrafili.

Korialstrasz przestał machać skrzydłami.

Smok runął w dół jak kamień, zostawiając zdumione demony wysoko w górze. Zanim rzuciły się w pogoń, Korialstrasz był już dawno poza ich zasięgiem.

Malfurion krzyknął. Krasus zgrzytnął zębami, przypominając sobie poniewczasie, że w młodości była to jego ulubiona strategia. Większość przeciwników, nawet jego pobratymców, spodziewała się, że smok pozostanie w powietrzu. Krasus przypomniał sobie niejasno podobny manewr Korialstrasza podczas walki z dwoma czarnymi lewiatanami.

Wciąż spadali. Smok używał skrzydeł tylko po to, żeby nie zacząć koziółkować. Utrzymanie się na jego grzbiecie wydawało się niemożliwe, a jednak jakimś cudem udawało im się nie spaść.

Krasusowi przyszło nagle do głowy, że przy tak gęstej mgłę jego młodsza połowa może nie zobaczyć ziemi wystarczająco wcześnie, ale potem wydarzyło się coś dziwnego - mgła po prostu znikła. Zupełnie jak gdyby jakaś ogromna istota wycięła w niej klin. W powietrzu wciąż czuć było wilgoć, ale widoczność była tak dobra, że Krasus dostrzegł wzgórze w oddali.

– Ha! - zaryczał z triumfem Korialstrasz. Machnął skrzydłami, podrzucając lekko towarzyszy. Smok złapał wiatr i prawie idealnie gładko przeszedł do lotu. Po legionistach nie zostało nawet śladu.

Korialstrasz nie czekał, aż ich dogonią. Mknął ku celowi podróży z szybkością, jakiej nie był w stanie osiągnąć żaden demon.

– Obym już nigdy nie musiał tego przeżyć! - wysapał zza pleców Krasusa Malfurion. - Nocne elfy z pewnością nie zostały stworzone do latania!

– Po takiej podróży wcale ci się nie dziwię... - Krasus przyjrzał się nagle drodze przed sobą. - Znowu mam deja vu. Bardzo niemiłe uczucie.

– Co takiego? Co się znowu stało? Kolejne demony?

– To by było zbyt proste, druidzie. Sytuacja wydaje się o wiele bardziej skomplikowana.

– Co masz na myśli?

– Spójrz na tę smugę jasności w czymś, co od przybycia Legionu było nieprzeniknioną zasłoną zła.

– Może mój lud zwycięża, a to jest pierwsza tego oznaka.

Krasus chciałby podzielać optymizm Malfuriona. Uniósł głowę i wciągnął powietrze w nozdrza, tak jak to często robił Brox. To, co wyczuł, sprawiło, że zakreśliło mu się w głowie. Jego obawy potwierdziły się.

– Korialstrasz! Powąchaj powietrze! Powiedz mi, co wyczuwasz!

Smok natychmiast posłuchał. Na jego pysku, na tyle, na ile Krasus był go w stanie zobaczyć, odmalowało się zdumienie.

– Wyczuwam... wyczuwam smoka...

– Tylko jednego?

– Nie... jest ich tyle, że zapachy nakładają się na siebie..

– Co to znaczy? - zapytał Malfurion.

Smoczy mag syknął.

– To znaczy, że demony, z którymi walczyliśmy, zaszkodziły nam bardziej, niż sądziłem!

– Ale... przecież wyszliśmy ze starcia prawie bez szwanku...

Krasus wolałby odnieść kilka nowych ran, byle tylko uniknąć tego, co się stało. Te kilka minut, które zajęło im uwolnienie się z pułapki, trwało zbyt długo. Pozostali byli już za daleko przed nimi.

Miał młodemu druidowi tyle do powiedzenia, ale zaklęcie mu na to nie pozwalało. Mógł powiedzieć tylko jedną rzecz, ale to wystarczyło.

– Inne smoki wyprzedziły nas, druidzie... a on bez wątpienia leci na ich czele.

Malfurion pojawił w lot, o co mu chodzi. Smoki kierowały się w stronę bitwy, pewne, że dzierżą moc wystarczającą do pokonania Płonącego Legionu.

Nie mogły wiedzieć, że Neltharion, który prowadził je do walki, ma zamiar je zdradzić...



Wiele mil dalej, zbliżając się szybko do celu, smoki szykowały się do walki. Neltharion prowadził je nisko nad ziemią, rozpraszając mgłę mocą Duszy Smoka. Już samo to zrobiło wrażenie na Alexstraszy i reszcie Aspektów. Nikt nie wątpił już w niezwykle właściwości dzieła Nelthariona.

Głowę lecącego ku nieuchronnemu zwycięstwu Strażnika Ziemi wypełniały szepty. *Już niedaleko, już niedaleko*, mówiły głosy. *Wkrótce, wkrótce!*, obiecywały.

Wkrótce wszyscy pokłonią się przed jego chwałą, a świat zostanie naprawiony.

– Czego od nas oczekujesz? - zawołała do niego Alexstrasza.

Chciałbym, żebyś obnażyła przede mną gardło... pomyślał Strażnik Ziemi, ale na głos odpowiedział:

– Opisałem już szyk! Chcę, żeby wszyscy ustawili się na niebie tak, jak prosiłem! Dusza Smoka zatroszczy się o resztę!

– Tak po prostu?

Chcę ci ułatwić ukorzenie się przede mną...

– Tak po prostu.

Nie zadawała więcej pytań, za co Neltharion był jej wdzięczny. W głowie miał gonitwę myśli, a jej paplanina sprawiła, że prawie się zdradził.

Dusza Smoka - jego Dusza Smoka - rozpraszała mgłę przed lecącym stadem. Patrząc przed siebie, Neltharion dostrzegł na ziemi jakiś ruch przypominający bieganinę tysiąca mrówek.

Dotarli na miejsce bitwy. Z trudem panował nad złośliwą satysfakcją.

Cierpliwości... mamrotały głosy. Cierpliwości...

Tak, czarny smok mógł się zdobyć na jeszcze odrobinę cierpliwości. Mógł okazać wspaniałomyślność. Nagroda była tak wspaniała, że kilka minut nie miało znaczenia.

Jeszcze tylko kilka minut.



Brox zobaczył je pierwszy. Ocierając pot z czoła po zabiciu piekielnej bestii, przypadkiem rzucił okiem na niebo i zauważył pierwsze lewiatany nadlatujące nad pole bitwy. Przez chwilę gapił się na nie, co prawie przypłacił utratą głowy, zaatakowany przez piekielnego gwardzistę. Wymienił z demonem kilka ciosów, porąbał go na trzy kawałki, a potem cofnął się i rozejrzał. Niestety, w pobliżu nie było następnych.

Ork prychnął. Rhonin mógł jeszcze nie wiedzieć o smokach, ale wkrótce wszyscy odkryją ich obecność.

Brox uznał, że bitwa zaczyna się robić o wiele bardziej interesująca.



Rhoninowi nie udało się dotrzeć do lorda Ravencresta. Szlachcic stał w zasięgu jego wzroku, ale nagła zmiana sytuacji na polu bitwy zmusiła maga do skupienia uwagi na załamującej się linii frontu. Kilka szybkich zaklęć pomogło ją ustabilizować, ale sam nie był w stanie zapobiec przerwaniu szyku. Niestety, w wielu miejscach brakowało Księżycowych Gwardzistów, a w innych Illidan całkowicie ich zmonopolizował, wykorzystując do rzucania swoich potężnych zaklęć.

Brat Malfuriona robił się coraz bardziej zuchwały i lekkomyślny, a okoliczności wcale go nie usprawiedliwiały. Rzucał zaklęciami na prawo i lewo, jak gdyby to było kamiki, nie zważając zupełnie na to, że padają niebezpiecznie blisko jego własnych ludzi.

Front załamywał się w kolejnym miejscu. Trzy infernale popychane przez strażników zagłady zderzyły się z żołnierzami, rozrzucając ich na wszystkie strony. Piekielni gwardziści włączyli się przez wyrwę w szyku, rąbiąc i siekąc wszystko, co wykazywało oznaki życia.

Rudowłosa czarodziej wykonał magiczny gest, ale kiedy miał już dokończyć zaklęcie, miejsce, w które chciał je rzucić, zatrzęsło się. Infernale zostały rozniesione na strzępy, a potworni wojownicy za ich plecami padli martwi. Wybuch poszarpał im pancerze i obrał z mięsa do kości.

Gdyby skończyło się na tym, Rhonin szalałby z radości. Jednak wśród martwych demonów znalazło się wielu nocnych elfów, których spotkał

równie straszliwy los. Ci, którzy przeżyli, błagali o pomoc. Wszystko tonęło we krwi.

Rhonin zaklął, ale nie dlatego, że zawinił. Nie zdążył dokończyć zaklęcia. Jego wściekłe spojrzenie padło na Illidana. Czarodziej wreszcie to zrobił. Zabił własnych pobratymców, a najgorsze było to, że albo tego nie zauważył, albo wcale go to nie obchodziło. Zapominając o Płonącym Legionie, Rhonin zaczął się przepychać w stronę Illidana. Trzeba go było przywołać do porządku; to się nie mogło powtórzyć. Winowajca obrócił się w jego stronę. Na widok maga Illidan uśmiechnął się triumfalnie, co w żaden sposób nie uśmierzyło wściekłości czarodzieja. Ale zaraz potem młodzieniec popatrzył w górę i zrobił wielkie oczy. Wskazując coś, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Rhonin nie miał ochoty się rozpraszać, ale mimo to spojrział w górę. On też wytrzeszczył oczy... a z ust wyrwało mu się przekleństwo. Na przejaśniającym się nagle niebie pojawiły się smoki. Setki smoków.

– Nie... - mruknął Rhonin na widok szybujących w przestworzach sylwetek. Na ich czele wyróżniał się jeden kształt, czarny smok tak wielki, że nie sposób go było pomylić z żadnym innym. A to z kolei oznaczało, że może to być tylko jedno wydarzenie w historii... najgorsze z możliwych z punktu widzenia obrońców. - Nie... tylko nie teraz... nie teraz...

DWADZIEŚCIA



Niewiele rzeczy było w stanie przerazić Archimonda. Każdą sytuację analizował swoim chłodnym, racjonalnym umysłem - nocne elfy, magię, nawet smoki.

Ale teraz został wytrącony z równowagi. Nie spodziewał się, że smoki przybędą w takiej liczbie. Wszystko, czego się o nich dowiedział, świadczyło o tym, że nie mieszają się w sprawy tego świata, i to do tego stopnia, że nie zauważyły nawet, iż zbliża się ich własny koniec. Oczywiście można się było spodziewać, że kilku renegatów będzie działać na własną rękę. Archimond przewidział to i rozmieścił we mgle nieprzeliczonych strażników zagłady, którzy mieli stanąć do walki z gadami.

Ale nie dość, że bestie wyprowadziły ich w pole... to jeszcze przybyły wszystkie. Dowódca szybko wziął się w garść. Sargeraz nie dopuszczał możliwości porażki. Archimond sięgnął myślą ku umysłom wszystkich Eredarczyków i Mrocznych Władców, rozkazując im skierować całą magię przeciwko nadlatującym behemotom.

Pewny, że magiczna moc Płonącego Legionu poradzi sobie z intruzami, Archimond skupił się z powrotem na bitwie. Nathrezimowie i warlockowie wyeliminują smoki. Te były przecież stworzeniami z tego świata, a ich moc podlegała jego prawom. Legion był czymś znacznie, znacznie większym.



Siostry Tyrande zostały zepchnięte do podnóża wzgórz porośniętych z rzadka pokrzywionymi, martwymi dębami. Niespodziewane wyrojenie się demonów oszołomiło wszystkie nocne elfy i choć siostry próbowały skupić obrońców wokół siebie, nawet im trudno było zachować nadzieję po tak druzgocącym ciosie.

Nowa wysoka kapłanka walczyła teraz z poziomu ziemi. Jej nocna pantera oddała życie, nadziewając się na ostrze przeznaczone dla swej pani. Tyrande zabiła demony, które uśmierciły zwierzę, a teraz podbiegła pomóc siostrze ranionej poważnie podczas tego samego starcia. Kapłanka zawlokła zakrwawioną postać pod drzewa. Miała nadzieję, że tam napastnicy jej nie wypatrzą.

Z tej wysokości sytuacja wyglądała jeszcze dramatyczniej. Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała morze płomiennych postaci napierających na jej lud. Nocne elfy padały pokotem, zarzynane bez żadnej litości.

– Elune, Księżycowa Matko - wymamrotała nagle. - Czy jest coś, co mogłabyś jeszcze uczynić dla swoich dzieci? Świat skończy się tu i teraz, jeśli się temu nie przeciwstawimy!

Ale wydawało się, że bogini zrobiła już wszystko, co w jej mocy, bowiem nocne elfy wciąż umierały. Tyrande pochyliła się, aby pomóc rannej siostrze, zastanawiając się jednocześnie, czy ma to w ogóle jakiś sens.

Nagle kapłanka odniosła niepokojące wrażenie, że ktoś się jej przygląda. Przerwała uzdrawianie i obejrzała się przez ramię, pewna, że za jej plecami przemknął jakiś cień. Ale kiedy wyteżyła wzrok, nadal widziała tylko drzewa.

Miała już wrócić do pracy, ale jej uwagę przykuło coś innego. Tyrande spojrzała w niebo i na jej przygnębionej twarzy znów zagościła nadzieja. W powietrzu roило się od smoków, smoków ze wszystkich stad.

– Chwała niech będzie Elune! - zawołała.

Z nową determinacją skupiła się na leczeniu rannej siostry. Księżycowa Matka znów odpowiedziała na jej modlitwy. Wysłała siłę, z jaką nie mógł się mierzyć nawet Płonący Legion.

Teraz z pewnością nie było się już czego bać.



Smoki rozproszyły się po niebie zgodnie z życzeniem Nelthariona, mieszając się ze sobą tak, aby talenty i cechy poszczególnych stad równomiernie się rozkładały. Obok Strażnika Ziemi zawisli w powietrzu Alexstrasza, Ysera, Malygos i brązowa samica. Gdyby Neltharion spojrzeł na czerwoną smoczycę, zauważyłby, że rozgląda się na wszystkie strony, jak gdyby kogoś szukała. W swym szaleństwie czarny samiec nawet nie zauważył nieobecności jej najmłodszego oblubieńca.

Daleko w dole maleńkie figurki zaczęły zauważać przytłaczającą obecność smoków. Gadzi pyk Nelthariona rozciągnął się w szerokim uśmiechu. Widownia była gotowa.

– Teraz! - zagrzmiął. - Niech nasi wrogowie ujrzą Duszę Smoka!

Maleńki dysk rozjarzył się tak jasnym blaskiem, że wszystkie behemoty prócz Strażnika Ziemi musiały odwrócić wzrok. Neltharion był tak

urzeczony, że nie dbał o to, iż pali mu ślepia.

Dusza Smoka uderzyła.

Atak nadszedł w postaci rozbłysku najczystszej złotej światła, czystszej niż słońce i gwiazdy, czystszej niż księżyc. Snop blasku smagnął hordę demonów, a w miejscach, które dotknął, Płonący Legion po prostu wyparował.

Demony wyły. Demony wrzeszczały. Uciekały przed zabójczym blaskiem, jak jeszcze nigdy nie pierzchały przed żadnym wrogiem, nawet nocnymi elfami. Ich gatunek nie wiedział, co to strach, ale czuły go właśnie teraz.

Obrońcy patrzyli na to z trwożnym podziwem, a zapadła wśród nich taka cisza, że można ich było pomylić z kamiennymi posągami. Nawet najbardziej wyniośli szlachcice gapili się z rozdziawionymi ustami na tę demonstrację mocy, która czyniła ich władzę nad Studnią godną politowania. Wśród nocnych elfów tylko Rhonin potrząsał głową, powtarzając:

– Nie... nie... nie...

Trochę dalej Illidan przyglądał się tej totalnej zagładzie z zazdrością, uświadomiwszy sobie, że wszystko, czego się nauczył, było niczym w porównaniu z mocą oręża, jaki dzierżyły smoki.

Po drugiej stronie pola bitwy Archimond patrzył posepnie, jak jego potworna siła łamie się niczym słomka przed tą niewysłowioną potęgą. Już teraz wyczuwał niezadowolenie Sargerasa i wiedział, że to na nim, nie Mannorothu czy Szlachetnie Urodzonych, skupi się gniew pana.

Płonący Legion próbował stawić opór, lecz bezskutecznie. Eredarczycy i Nathrezimowie skupili swoją czarną magię na dysku i jego twórcy, rzucając zaklęcia, które powinny były stopić Duszę Smoka i zedrzeć z Nelthariona

skórę, mięso i kości. Zaatakowali wszystkie smoki, chcąc zakończyć szybko tę próbę zmiżdżenia Płonącego Legionu.

– Już czas! - zaryczał Strażnik Ziemi, z trudem panując nad ogarniającym go szaleństwem. - Ułóżcie matrycę!

Pozostałe lewiatany połączyły umysły i moc. Związane już wcześniej z dyskiem złożoną przez siebie ofiarą, bez trudu karmiły Duszę Smoka własną siłą. Z szyderczym okrzykiem Neltharion skierował moc dysku przeciwko atakującym czarnoksiężnikom.

Dziesiątki Eredarczyków wrzasnęły krótko, acz wymownie, i rozsypały się w pył. Porażeni blaskiem Mroczni Władcy, którzy unosili się dotychczas w powietrzu, runęli w dół, zmieniając się w szkielety. Warlockowie ginęli na różne straszliwe sposoby za sprawą własnych zaklęć, które dysk skierował przeciwko nim.

W końcu nawet najokrutniejsi z nich rzucili się w popłochu do ucieczki. Z taką mocą nie mogli się mierzyć. Nawet strach przed Sargerasem nie był w stanie ich powstrzymać.

A kiedy piekielni gwardziści, strażnicy zagłady i inni legionieści ujrzeli, że ich bracia uginają się przed potęgą smoków, stopniały w nich resztki odwagi. Archimond został dowódcą, który nie ma kim dowodzić. Demony nie przejęły się jego groźbami nawet wtedy, gdy uśmiercił kilka dla przykładu, aby udowodnić, że nie rzuca słów na wiatr.

Lord Ravencrest wzniósł okrzyk bojowy i wskazał wycofującą się horde.

– Teraz! Za Kalimdor i Azshare!

Żołnierze podchwycili jego wezwanie. Armia ruszyła naprzód. W końcu mieli szansę wygrać tę wojnę.

Tylko Rhonin się wahał. Tylko on znał prawdę. Ale jak mógł zaprzeczyć temu wszystkiemu, co widzieli inni? Dzieło smoków spełniło zadanie, dla którego zostało ponoć stworzone. Rozejrzał się rozpaczliwie, szukając

jedynej osoby, która zdawała sobie sprawę z zagrożenia, która mogła mu powiedzieć, co robić.

Ale Krasusa nadal nie było.



Neltharion zaryczał triumfalnie, patrząc na pierzchające w popłochu demony. Udowodnił wszystkim potęgę Duszy Smoka, a tym samym własną wyższość.

Wówczas jedna z tych, którzy mieli go zdradzić, ośmieliła się zakłócić chwilę jego chwały.

– Neltharionie! - zawołała Alexstrasza z napięciem w głosie. - Demony uciekają! Dusza wywiązała się wspaniale ze swojego zadania! Czas zerwać matrycę i zaatakować je ze wszystkich stron...

– Nie! - Spojrzał na nią wściekle, nie potrafiąc i nie chcąc ukrywać dłużej trawiącego go szaleństwa. - Nie! Od tej pory ja decyduję, co będziemy robić, nie ty, Alexstraszo!

Pozostałe Aspekty popatrzyły na Strażnika Ziemi, jak gdyby widziały go po raz pierwszy. Zwłaszcza Malygos wyglądał na zmartwionego, gdy próbował przekonać czarnego lewiatana:

– Przyjacielu Neltharionie! Nie chciała okazać ci braku szacunku! Ale teraz lepiej będzie...

– Milcz!

Dysk się rozjarzył.

Zebrane smoki zastygły jak na komendę, skrzydła znieruchomiały im w połowie uderzenia. Nie spadły jednak w dół, bowiem potworna moc Duszy Smoka utrzymywała je w powietrzu. Tylko ich oczy zdradzały, że zachowały świadomość; ze wszystkich, prócz ślepi smoków czarnych,

wyzierała zgroza wywołana odkryciem, że najpotężniejszy z nich obrócił się przeciwko nim.

– Żadne z was mnie nie zdradzi! Zrobię to, do czego mam prawo! Zaraz spełni się moje przeznaczenie! Ta kraina, wszystkie krainy, pokłonią się przed moją potęgą! Uczynię świat takim, jakim powinien być!

Jego straszliwy wzrok padł na pole bitwy, ale nie na Płonący Legion. Czarny behemot wyciągnął złoty dysk i syknął w stronę nacierających nocnych elfów:

– Niechaj wszyscy wiedzą, że żyją tylko z mojej łaski!

I moc Duszy Smoka uderzyła w obrońców.

Nocne elfy, zaskoczone w chwili, która powinna być momentem ich triumfu, miały jeszcze mniejsze szanse przeciwstawienia się mocy dysku, choć właściwie i tak nie były w stanie nic zrobić. Oślepiające światło padło na pierwsze szeregi... które znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jeźdźcy dosiadający nocnych panter zginęli w pół skoku razem z wierzchowcami. W mgnieniu oka poległy dziesiątki piechurów.

Wielki kontratak poszedł w rozsypkę. Przerażone nocne elfy uciekały teraz w przeciwnym kierunku niż cofający się nieprzyjaciel, zostawiając za sobą szeroki pas spalonej ziemi, po której walały się krwawe ochłapy.

Wszędzie zapanował chaos. Ani nocne elfy, ani demony nie wiedziały, czego się spodziewać. Wszystkie oczy zwróciły się ku przerażającemu czarnemu smokowi dzierżącemu narzędzie zagłady.

Głos Strażnika Ziemi zagłuszył wszystkie inne dźwięki, gdy odezwał się do drobnych postaci w dole:

– Poznajcie mnie, szkodniki! Poznajcie mnie i módlcie się! Jam jest Neltharion! Wasz bóg!

Głosy w jego głowie osiągnęły crescendo, nakłaniając go do dalszych zniszczeń. Ale tym razem Neltharion nie posłuchał. Teraz chciał

delektować się swoim triumfem, zmusić te nędzne istoty w dole, aby ukorzyły się przed jego wspaniałą osobą i uznały jego najwyższą władzę. Mógł je przecież w każdej chwili unicestwić.

Co miał zamiar zrobić, gdy tylko go znużą.

– Wszyscy mają paść przede mną na kolana! Już! Wielu posłuchało, inni stali nieruchomo, zdezorientowani i niepewni.

Dusza Smoka przełamała ich niechęć - jej śmiercionośny blask spłynął najpierw na demony, a potem nocne elfy. Lekcja nie poszła w las - reszta błyskawicznie padła przed nim na kolana.

– Przyglądałem się - warknął szalony lewiatan. - Przyglądałem się, jak niszczyacie mój świat, wy żałosne insekty! Musi być jakiś porządek! Mój świat znów będzie doskonały! Ci, którzy nie zasługują na to, by mi służyć, zostaną zgładzeni!

Neltharion okręcił się, słysząc za plecami cichy syk. Choć nie była w stanie się ruszać, Alexstrasza zdołała dać wyraz swojej wściekłości i pogardzie.

– A wy... - powiedział czarny samiec, zapominając na chwilę o istotach w dole. - Wy, wszyscy moi zdradzieccy „przyjaciele”, będziecie żyć tylko dlatego, że na to pozwalam! Za swoje knowania, swoje spiski, nie zasługujecie na nic więcej!

Alexstrasza usiłowała coś powiedzieć i Neltharion wspaniałomyślnie zezwolił jej na to.

– Co ty narobiłeś, Neltharionie? Jakiego zła się dopuściłeś? Nazywasz nas zdrajcami, ale ja widzę tylko jedną osobę zasługującą na to miano!

– Pozwoliłem ci mówić, droga Alexstrasza, ale powinnaś błagać o litość za swoje zbrodnie! Śmiesz *mnie* potępiać?

Smoczyca prychnęła.

– Wśród nas nie ma nikogo, kto popełniłby straszliwsze zbrodnie od twoich! - Alexstrasza zawahała się, jej głos nagle zmiękł. - Neltharionie... to nie jesteś ty! Zawsze chciałeś, żeby na świecie zapanował pokój, harmonia...

– I nadal tego pragnę! Kiedy wszyscy będą mnie słuchać, nie będzie już chaosu ani wojny!

– Ani śmierci? Ilu musi zginąć, aby zapanował twój „pokój”, stary przyjacielu?

– Ja... - Głosy zrobiły się bardziej natarczywe, domagając się, żeby ją uciszył. Czarny smok potrząsnął głową, próbując myśleć trzeźwo. - Alexstraszo... ja...

– Walcz z tym szaleństwem, które cię opętało, Neltharionie! Jesteś silny! Przypomnij sobie, kim kiedyś byłeś... i zniszcz te ohydę, zanim będzie za późno dla nas wszystkich!

To był błąd. Czerwone spojrzenie Strażnika Ziemi znów stwardniało, samiec ścisnął dysk obronnym gestem.

– Nie! Pograżasz się coraz bardziej! Chcesz sobie przywłaszczyć to, co należy do mnie, co sam stworzyłem! Wiedziałem! Wiedziałem, że nie wolno mi ufać żadnemu z was!

– Neltharionie...

– Zamilcz!

Szczęki Alexstraszy znieruchomiły. Wyraźnie próbowała coś powiedzieć, ale moc Duszy Smoka była zbyt wielka.

Zapominając o niej, czarny olbrzym spojrział znów na sparaliżowany strachem motłoch w dole.

– Podjąłem decyzję! - oznajmił. - Uznałem, że to miejsce będzie lepsze bez waszej plugawej obecności!

Wyciągnął łapę z Duszą Smoka.

Dysk rozjarzył się...

I nagle zderzył się z nim szkarłatny pocisk.



Gdy przybyli na miejsce, ich oczom ukazała się przerażająca scena - straszliwa masakra w dole, a w górze smoki uwięzione w pułapce zastawionej przez jednego ze swoich.

Krasus zaklął.

– Już za późno! Neltharion zdradził!

Gdy tylko to powiedział, zrozumiał, że zaklęcie rzucone nań przez Strażnika Ziemi przestało działać. I nie było w tym nic dziwnego - skoro sam Neltharion ujawnił swoją zdradę, działanie zaklęcia nie miało już sensu.

– To potworne! - zaryczał Korialstrasz. - Uwięził Alexstraszę! Jak on śmiał? Zabiję go za to...

– Musisz się uspokoić! - przerwał mu Krasus. - Teraz, gdy Neltharion wyzwolił moc Duszy Demona, jest zbyt potężny!

– Duszę Demona? Tak, to lepsza nazwa niż ta, której sam używał. Dzieło godne zaiste demonów, pasujące bardziej do obmierzłych wojowników Płonącego Legionu!

Krasus nie miał zamiaru zdradzać nazwy, pod jaką dysk występował w przyszłości, ale było już za późno. Może właśnie w ten sposób nazwa uległa zmianie? Mag nie wiedział już, co jest częścią historii, a co uległo zmianie pod wpływem jego ingerencji. Zresztą teraz nie miało to już chyba znaczenia. Ważne było tylko to, że nad Kalimdorem zawisła groźba, w porównaniu z którą nawet demony wydawały się nieszkodliwe.

– Co możemy zrobić? - zapytał Malfurion.

– Dusza Smo... Demona nie jest niezniszczalna! Kluczem jest Neltharion! On jest jej stwórcą i słabością!

– Masz zamiar ją zniszczyć? Moglibyśmy jej użyć, aby ocalić mój lud!

Krasus sposepniał.

– Druidzie, każde inne wyjście będzie lepsze od zawładnięcia tą ohydą! To narzędzie deprawacji! Nawet stąd z pewnością to wyczuwasz!

Nocny elf kiwnął głową. Najwyraźniej wszyscy oprócz Nelthariona wyczuwali zło kryjące się w dysku.

Korialstrasz potrząsnął łbem.

– Nie mogę już tego znieść!

Bez żadnego ostrzeżenia czerwony smok opadł ku górzystemu terenowi na tyłach obrońców, gdzie byli ukryci przed wzrokiem czarnego szaleńca. Zrobił to tak szybko, że żaden z jeźdźców nie zdążył zaprotestować.

Dopiero kiedy Korialstrasz wylądował i obaj pasażerowie zeskoczyli na ziemię, Krasus miał szansę coś powiedzieć:

– Co zamierzasz?

– Nikt nie zna mnie lepiej od ciebie. Wiesz, co zamierzam.

Krasus wiedział. Przypominał sobie mgliście tamtą decyzję. Ale to, co się kiedyś wydarzyło, nie było już wcale pewne. Korialstrasz już raz prawie zginął, drugie takie starcie mogło okazać się zabójcze.

Ale nawet mając tego świadomość, nie mógł odwodzić go od tej decyzji. Krasus też odczuwał miłość, jaką Korialstrasz żywił do swojej królowej i oblubienicy.

– W takim razie uderzaj nisko i od tyłu - poradziła smokowi jego starsza połowa. - I postaraj się wyrwać mu dysk.

Behemot kiwnął głową z uznaniem.

– Wezmę sobie twoją mądrość do serca.

To powiedziawszy, Korialstrasz znów wzbił się w powietrze, bijąc gwałtownie skrzydłami, aby nabrać prędkości przed atakiem. Dwaj towarzysze odprowadzali go wzrokiem, dopóki nie zniknął.

W chwili, w której Krasus zdał sobie sprawę, że kości zostały rzucone, odwrócił się i powiedział:

– W drogę, Malfurionie! Musimy jak najszybciej dotrzeć do twoich pobratymców.

Zapominając zupełnie o poczuciu własnej godności, Krasus puścił się pędem. Godność była dobra dla tych, którzy mieli czas i cierpliwość, luksusy, na jakie on i jego towarzysz nie mogli sobie teraz pozwolić. Teraz liczyło się tylko, by dołączyć do Rhonina i pozostałych.

Oczywiście nadal pozostawało pytanie... co właściwie mogli zrobić?

Biegli przed siebie nie zatrzymując się nawet na chwilę, ale mag miał wrażenie, że nocne elfy są ciągle tak samo daleko.

– Biegniemy za wolno! - warknął Krasus. - Zanim tam dotrzemy, będzie już za późno!

– Mógłbym spróbować wezwać jakieś zwierzę! Może Cenarius przyśle nam znów hipogryfy!

– Wątpię, by szczęście dopisało nam tak jak poprzednim razem! Może... może jeśli uda mi się skontaktować z Rhoninem...

Zatrzymał się. Wziął głęboki oddech i sięgnął myślą ku swemu dawnemu wychowankowi. Lecz choć wyczuwał obecność człowieka, zamęt na polu bitwy uniemożliwił nawiązanie kontaktu. Krasus wątpił, by Rhonin w ogóle zauważył jego dotyk.

– Nie udało mi się - powiedział w końcu. - Chyba musimy biec dalej.

– Pozwól mi spróbować. W tej chwili chyba już nic nie jest nam w stanie zaszkodzić.

Krasus przyjrzał się druidowi.

– Z kim chcesz się porozumieć?

– Z moim bratem, rzecz jasna.

Chudy czarodziej przemyślał to, po czym rzekł:

– A mogę zaproponować kogoś innego? Może Tyrande?

– Tyrande? - Policzki Malfuriona pociemniały.

Starając się nie zawstydząć elfa jeszcze bardziej, Krasus dodał:

– Kiedy szukaliśmy cię w pałacu, to dzięki niej udało nam się nawiązać szybki kontakt. Myślę, że dzięki mojej pomocy znów może ci się to udać. Poza tym jej łatwiej będzie załatwić nam transport.

Malfurion kiwnął głowę, przyznając rację smoczemu magowi.

– Doskonale.

Usiedli na ziemi twarzą do siebie. Wpatrując się sobie w oczy, skupili się.

– Tyrande... - wyszeptał Malfurion.

Krasus poczuł, jak sięga ku elfce. Umysły druida i kapłanki zetknęły się niemal natychmiast, potwierdzając jego podejrzenia. Może sami nie zdawali sobie jeszcze z tego sprawy, ale wyczuł głębokie uczucie, jakie ich łączyło, gdy Malfurion zawołał znów: *Tyrande...*

Malfurion? W jej głosie słychać było zaskoczenie i ulgę zarazem. *Gdzie...*

Słuchaj uważnie! Nie mam czasu na wyjaśnienia, odparł, podkreślając potrzebę pośpiechu. Ja i Krasus potrzebujemy wierzchowców! Czy jedna z twoich sióstr mogłaby podjechać na wzgórze na południu? Wyobraził sobie jak najdokładniej ich położenie i poczuł, że odebrała przesłanie.

Przyjadę sama!, odpowiedziała kapłanka.

Krasus wtrącił się, zanim Malfurion zdążył zaprotestować.

Dzięki połączeniu trafi prosto na nas. Ktoś inny mógłby się tu błąkać, a i tak by nas nie znalazł.

Smoczy mag wyczuł zgodę elfki i kapitulację Malfuriona.

Muszę najpierw znaleźć wierzchowce, ale wnet przyjadę! To powiedziawszy, Tyrande przerwała połączenie. Była wciąż związana z Malfurionem, ale tak, by móc działać, nie będąc rozpraszaną przez jego myśli.

– Chwała niech będzie Aspektom! - zawołał Krasus, zrywając połączenie. Pomagając Malfurionowi wstać, oświadczył: - Teraz mamy szansę.

– Ale jak dużą? Najpierw demony, a teraz to! Kalimdor jest skazany na zagładę!

– Może tak, a może nie. Robimy, co w naszej mocy. - Mag podniósł nagle głowę, patrząc w stronę, gdzie odleciał Korialstrasz. Wzgórza zasłaniały im zbliżającą się walkę. - Tak jak pozostali - dodał ponuro. - Tak jak pozostali...

DWADZIEŚCIA JEDEN



Korialstrasz zderzył się z Neltharionem z całym impetem, mierząc w miejsca najściślej chronione przez łuski. Jednocześnie zionął ogniem w stronę oczu szalonego Aspektu. Udało mu się zaskoczyć Strażnika Ziemi, ale smok nie wypuścił dysku, ścisnął go tak mocno, jak gdyby zależało od tego jego życie. Nawet koziółkując w powietrzu, zachował dość przytomności umysłu, by zapobiec utracie swojego najcenniejszego dzieła.

Korialstrasz syknął z zawodem. Sam nie miał szans w starciu z o wiele większym przeciwnikiem. Co gorsza, odczuwał przyciąganie dysku, który Krasus trafnie nazwał Duszą Demona; wiedział, że Strażnik Ziemi będzie mógł zrobić z niego niewolnika tak jak z pozostałych.

Ale oblubieniec Alexstraszy nie chciał się wycofać. Podjął decyzję i miał zamiar walczyć aż do śmierci, choćby tylko po to, by ocalić swoją partnerkę.

Zanim Neltharion doszedł do siebie, Korialstrasz ponowił atak, tym razem uderzając go łbem w tors. Aspekt sapnął, tracąc oddech. Otworzył łapę i tym razem dysk wysliznął się z niej.

– Neeee! - zagrział Neltharion. W szaleńczym przypiływie siły odepchnął Korialstrasza, i zanurkował za dyskiem. Przyciskając skrzydła do tułowia, spadał tak szybko, że udało mu się złapać Duszę Demona, zanim znalazła się poza jego zasięgiem.

Podrywając się w górę, czarny behemot ryknął wściekle na mniejszego samca.

– Jak... śmiesz?

Koziołkujący Korialstrasz spróbował odzyskać równowagę, ale poruszał się zbyt wolno. Z przerażeniem zobaczył, że Neltharion wyciąga ku niemu dysk.

– Zegniesz przede mną kark!

Świetlny rozbłysk oszołomił Korialstrasza. Jeszcze nigdy nie doznał tak dojmującego bólu. Miał wrażenie, że topią się jego łuski i palą kości. Z pyska wyrwał mu się bolesny ryk.

Ale wciąż leciał naprzód. Walcząc z bólem, mknął w stronę Nelthariona. Strażnik Ziemi zaryczał z frustracją. W swym szaleństwie próbował zabić przeciwnika, zamiast go zniewolić, i teraz obróciło się to przeciwko niemu.

Zderzyli się. Z tak bliska Dusza okazała się mniej użyteczna, niż chciałby Neltharion. Oba smoki zwarły się, szarpiąc się wzajemnie kłami i pazurami.

Neltharion kłapnął szczekami, próbując rozszarpać mu gardło. Czerwony smok wciągnął powietrze i zionął żarem prosto w pysk Strażnika Ziemi. Tym razem atak okazał się bardziej skuteczny. Czarny smok poleciał w tył z dymiącym łbem.

Ale zwycięstwo Korialstrasza okazało się krótkotrwałe. Łopocząc skrzydłami tuż poza jego zasięgiem, Neltharion przycisnął Duszę Demona do falującej piersi i wyszczerzył kły w szalonym uśmiechu.

– Przestałeś być zabawny, młody Korialstraszu! Jesteś dla mnie komarem, owadem, którego trzeba zgnieść! Niewolnictwo byłoby dla ciebie zbyt wielką łaską...

Gdy to powiedział, dysk rozjarzył się jasnym blaskiem. Jego złota aura otoczyła Nelthariona. Śmiech czarnego smoka stał się jeszcze bardziej szalony. Oczy mu płonęły, a on sam wydawał się rosnąć.

– Owad! - powtórzył prawie wesoło. - Wy wszyscy jesteście tylko insektami.

Czarny smok trzął się teraz, jak gdyby miał zaraz wybuchnąć. Wyciągnął łapę i wskazał odległą ziemię.

Ziemia ugięła się. Demony i nocne elfy, odrzucone w przeciwne strony przez wybuchy wulkanów, znalazły się jeszcze dalej od siebie. Magma i płomienie wystrzeliły ku niebu, spadając na tych nieszczęśników, którzy nie zdążyli uciec. Moc ziemi, którą Neltharion obiecał roztropnie władać, teraz służyła mu do siania zniszczenia. Na oczach Korialstrasza Strażnik Ziemi wypaczył swoją rolę, przedzierzgając się z Aspektu świata w jego antytezę.

Dopuszczając się tych zbrodniczych aktów, Neltharion zmieniał się coraz bardziej. Na jego piersi pojawiło się rozdarcie, które rozerwało łuski, jak gdyby były z papieru. Ale z rany, zamiast krwi, bluznął czysty ogień. Obok niej pojawiło się kolejne rozdarcie, a potem jeszcze jedno.

Jak gdyby dotknięte zarazą, całe cielsko Nelthariona pokryło się straszliwymi szramami. Łuski na jego grzbiecie podarły się w strzępy. Sam ten widok sprawiał Korialstraszowi ból, ale wielki czarny samiec wydawał się nie zwracać na to uwagi. Ba, wydawał się znajdować przyjemność w tym, co się z nim działo. Oczy płonęły mu mocą odbitą od dysku i wciąż nie przestawał się śmiać, siejąc zagładę.

Korialstraszu wziął się w garść i raz jeszcze spróbował powstrzymać plugawego lewiatana. Pomknął ku niemu, gotując się na śmierć i

przepraszając w duchu Krasusa, który będzie musiał zginąć w tym samym momencie.

Choć pochłonięty morderczym szalem, Neltharion zauważył powrót przeciwnika. Z szyderczym grymasem na gadzim pysku skierował Duszę Demona w stronę Korialstrasza.

Moc talizmanu uderzyła w czerwonego samca, cisnęła nim w stronę ziemi. Smok próbował zahamować upadek, ale moc dysku okazała się nieubłagana.

Korialstrasz wyrznął o ziemię z ogłuszającym łoskotem. Ale nawet wtedy Neltharion nie dał za wygraną; miał zamiar wgnieść nieposłusznego olbrzyma w grunt.

Nagle otoczyło go trzaskające pole błękitnej energii, wrywając mu z pyska syk i zmuszając do przyciśnięcia Duszy z powrotem do piersi. Czarny behemot zaryczał gniewnie, szukając źródła swej niewoli.

Łzawiącymi oczyma Korialstrasz zobaczył falę ruchu przesuwającą się w stronę Nelthariona.

Pozostałe smoki były wolne. Między walką z oblubieńcem Alexstraszy, a atakiem na nocne elfy i demony, Neltharion nie był wystarczająco skupiony na zaklęciu wiążącym resztę jego niewolników. Teraz ten błąd mógł ocalić Kalimdor.

Jedna grupa szybko oderwała się od reszty. Stado błękitnych furii krążyło wściekle wokół pojmanego Aspektu, a przewodził im ten, który aż do chwili zdrady był najgorętszym orędownikiem zamysłów Strażnika Ziemi.

– Neltharionie! - zaryczał Malygos. - Przyjacielu Neltharionie! Spójrz, czym się stałeś! Rzecz, którą stworzyłeś, zniszczy cię! Oddaj mi ją, abym mógł położyć kres tej deprawacji!

– Nie! - odkrzyknął Neltharion. - Chcesz ją dla siebie! Wszyscy chcecie ją dostać! Wiecie, jaką potęgą może was obdarzyć! Może uczynić bogiem!

– Neltharionie...

Ale Malygos nie zdołał powiedzieć nic więcej, gdyż czarny lewiatan zasyczał, a jego ciało stało się jeszcze bardziej płomienne. Złota aura otaczająca jego i dysk rozlała się szerzej, pożerając klatkę zarzuconą nań przez błękitnego smoka.

– Nie zostawiasz nam wyboru, stary przyjacielu! - syknął Malygos, nurkując ku Aspektowi. Otaczające ich błękitne behemoty przyjęły pozycje do ataku. Ze wszystkich smoków to właśnie błękitne najlepiej rozumiały zawłość magii. Neltharion zostanie wreszcie pokonany, pomyślał Korialstrasz.

Błękitne smoki kłębiły się wokół wroga niczym stado wilków osaczających ofiarę, Malygosa zaś otoczyła ciemnokobaltowa poświata.

– Ta ohyda nigdy nie powinna była ujrzeć światła dziennego - oznajmił Tkacz Zakłęcz. - A ponieważ posłużyłeś się mną przy jej stworzeniu, będzie sprawiedliwie, stary druhu, jeśli to ja ją wymażę!

W stronę dysku wystrzelił łuk czystej bieli. Gdy się zbliżył, okazało się, że Malygos użył słowa „wymażę” w jego dosłownym znaczeniu. Wszystko, czego dotknęła biel, zamieniało się w pustkę. Nie mgłę. Nie niebo. Tylko w czystą białą pustkę. Wpływ, jaki miała na niebo, okazał się, oczywiście, chwilowy, ale los, jaki czekał złowrogi dysk, był trwały.

A raczej... powinien taki być. Ani obserwujący całe zajście Korialstrasz, ani żaden z pozostałych smoków nie miał się przekonać, czy zakłęcie Malygosa zniszczyłoby Duszę Demona. Zanim czar dotknął dysku, Neltharion splunął. Jego plwocina przekształciła się w czarną, płonącą sferę, która trafiła w łuk na sekundę przed tym, jak ten uderzył w dysk. Zderzyły się w oślepiającym snopie iskier... i zniknęły.

Malygos wrzasnął dziko, dając swojemu stadu sygnał do ataku.

Ale Neltharion był szybszy. Jeszcze zanim biały łuk znikł, wyciągnął przed siebie Duszę Demona. Zamiast złotym blaskiem, jaki spustoszył ziemię w dole, dysk buchnął we wszystkie strony szarym światłem.

Malygos wyczarował tarczę z magicznego dymu, ale równie dobrze mógłby to być zwykły dym. Szare światło padło na niego, odrzucając go daleko w tył. Przeleciał nad wzgórzami i znikł za horyzontem, przez całą drogę rycząc z bólu.

Los, jaki spotkał jego oblubienice i pobratymców, był o wiele straszniejszy.

Wszystkie smoki skurczyły się i pomarszczyły. Powietrze zeszło z nich jak z ciekących bukłaków. Ich przeraźliwe wrzaski raniły uszy. Choć próbowały, żadnemu nie udało się umknąć przed szarą poświatą.

Inne smoki chciały im przyjść na ratunek, ale było już za późno. Skurczywszy się do wyschniętych powłok, pozbawione przez Duszę Demona magii i siły życiowej, konające błękitne smoki rozsypały się wreszcie w proch, który rozproszył się na wietrze.

– Nie... - wyszeptał Korialstrasz, usiłując się podźwignąć. Zakręciło mu się w głowie i znów runął na ziemię, miażdżąc do reszty to, co zostało ze zbocza wzgórza, na którym wylądował. - Nie...

– Głupcy! - zagrzmiał Strażnik Ziemi, ani trochę nie żałując tego, co przed chwilą zrobił. - Ostrzegałem was tyle razy! Jestem najwspanialszy! Wszystko, co istnieje, należy do mnie. Wszystko, co żyje, żyje, ponieważ ja na to pozwalam!

Rzucając reszcie smoków zdawkowe spojrzenie, płomienny behemot posłał ku nim huragan, który porozrzucał je jak liście na wietrze. Nawet Alexstrasza i Ysera nie mogły mu się oprzeć, miotane przez wicher tak jak cała reszta. Koziółkując bezradnie, poleciały razem z innymi smokami hen,

aż za horyzont. Ani jeden spośród setek smoków nie umknął przed zaklęciem Nelthariona.

Potworny smok o rozdętym monstrualnie cielsku i torsie pokrytym płonącymi szramami zwrócił się znów do nocnych elfów i ich wrogów:

– I wy! Jeszcze się nie nauczyliście! Ale się nauczycie! Nauczycie się!

Znów wybuchnął śmiechem, dotykając wolną przednią łapą jednej ze szram. Chyba po raz pierwszy zauważył makabryczne zmiany, jakie w nim zaszły, bo na jego pysku odmalowała się trwoga.

– Zobaczymy, kto jest godzien żyć w moim świecie! - krzyknął do widzów w dole. - Zostawiam wam waszą śmieszoną wojnę... możecie walczyć, aby się przekonać, kto przeżyje i będzie mógł mnie czcić!

Wybuchając po raz ostatni szalonym śmiechem, czarny behemot zawrócił i odleciał.

Korialstrasz podziękował bogom, że Neltharion nie dokonał w swym szaleństwie dzieła zniszczenia, wiedział jednak, że nie mają wiele czasu. Strażnik Ziemi, choć upajał się mocą dysku, pojął wreszcie, że musi coś zrobić z siłami rozrywającymi jego ciało. Osłabiony czerwony smok nie miał wątpliwości, że Neltharion znajdzie wkrótce rozwiązanie... a potem bez wątpienia powróci, aby objąć w posiadanie „swoją” świat.

Znów spróbował się podnieść, ale ciało po raz kolejny odmówiło mu posłuszeństwa. Spojrzał z nadzieją na pochmurne niebo, ale po jego braciach, jego ukochanej Alexstraszy, nie został nawet ślad. Zdjął go strach, strach, że spotkał ich taki sam los jak stado Malygosa. Wyobraził sobie swoją królową, bezwładną, rozciągniętą bez życia na szczycie jakiejś góry, i z oka pociekła mu skwiercząca łza. Ale choć bardzo się starał, nawet takie obrazy nie pomogły mu dźwignąć się z ziemi.

Odpocząć... muszę odpocząć... Potem znajdę Krasusa... on będzie wiedział, co robić...

Czerwony olbrzym opuścił łeb. Potrzebował tylko kilku minut. Potem znów wzbije się w powietrze.

Ale w tej samej chwili nowy, przenikliwy dźwięk zaatakował jego wrażliwe uszy. Korialstrasz rozpoznał go natychmiast.

Odgłosy walki.

Demony znów zaatakowały.



Koszmar. Krasus znalazł się w samym środku straszliwego koszmaru. On i Malfurion dotarli już do miejsca, skąd nie widzieli wprawdzie bitwy, ale mogli obserwować to, co się działo na niebie.

W taki oto sposób Krasus został świadkiem śmierci swoich krewniaków z ręki jednej oszalałej istoty.

Widział, jak jego młodsza połowa mężnie - nawet jeśli głupio - próbuje zaatakować Aspekt. Walka zakończyła się zgodnie z przewidywaniami maga, choć nie pozostały mu prawie żadne wspomnienia z tego czasu. Kiedy Korialstrasz runął w dół, przeszył go zimny dreszcz, lecz choć odczuwał jego ból, czuł też, że czerwony smok żyje... co było w tej chwili małym zwycięstwem.

Ale o wiele gorszy, gorszy nawet niż świadomość, że tylu nocnych elfów zginęło z ręki Nelthariona, był los, jaki spotkał inne smoki. Wiedział, że Malygos, którego stado zostało prawie całkowicie wybite, też zacznie popadać w szaleństwo. Zniknie wesoły olbrzym, a jego miejsce zajmie ponura, lubiąca samotność bestia.

Atak, który posłał całą resztę smoków za horyzont, wstrząsnął nim do głębi. Powtarzał sobie, że Alexstraszy nic nie będzie, że większość smoków

przeżyje poryw huraganu, który cisnął nimi w drugi kraniec świata. Tak podpowiadała mu znajomość historii... ale serce mówiło co innego.

Wyprzedził Malfuriona, rozpaczliwie próbując zmienić postać. Był starszy, mądrzejszy i bardziej biegły w sztuce magicznej niż jego młodsza połówka. Jego atak na Nelthariona miał większe szanse powodzenia. Usiłował się przeobrazić, stać się tym, czym powinien być...

Ale udało mu się tylko potknąć, a potem przewrócić. Padł twarzą na ziemię i leżał tak przez chwilę, przytłoczony swoimi niepowodzeniami.

– Mistrzu Krasusie! - Malfurion pomógł mu się podnieść.

Zawstydzony mag ukrył emocje pod maską obojętności.

– Nic mi nie jest, druidzie.

Młody elf skinął głową.

– Chyba rozumiem, przez co przechodzisz.

Krasus chciał już odwarknąć, że druid nic nie rozumie, ale zaraz dotarło do niego, jak obcesowa i głupia byłaby podobna uwaga. Oczywiście, że Malfurion rozumiał; w tej właśnie chwili ginął jego lud, ci wszyscy, których kochał.

Jego towarzysz uniósł raptownie głowę.

– Chwała niech będzie Cenariusowi! Mamy szczęście!

Szczęście? Krasus pobiegł za jego spojrzeniem i ku swej radości ujrzał Tyrande jadącą ku nim w towarzystwie dwóch sióstr. Kapłanka prowadziła luzem parę wierzchowców, najwyraźniej przeznaczonych dla dwójki magów.

Elfka zatrzymała się, zeskoczyła z grzbietu nocnej pantery i nie wstydząc się ani trochę, przytuliła Malfuriona. Dwie siostry uprzejmie wbiły wzrok w ziemię. Krasus zauważył, że odnoszą się do Tyrande z wielkim szacunkiem, choć były od niej starsze.

– Dzięki niech będą Księżycowej Matce - zawołała. - Po tym wszystkim, co się stało, i pojawieniu się Korialstrasza, bałam się, że...

– Ja też się bałam - odparł druid.

Krasus poczuł w sercu ukłucie, które nie miało nic wspólnego ze stanem ani jego, ani Korialstrasza. W miejscu dwójki nocnych elfów wyobraził sobie siebie i swoją wybrankę.

Wiedział jednak, że nigdy do tego nie dojdzie, jeśli nie uda im się powstrzymać Płonącego Legionu i Nelthariona.

– Musimy ruszać - oznajmił. - Musimy powstrzymać demony, jeśli chcemy choćby marzyć o powstrzymaniu Strażnika Ziemi.

Malfurion i Tyrande rozdzielili się z pewną niechęcią. Wszyscy dosiedli panter i zawrócili w stronę pola bitwy.

Krzyki i wrzaski usłyszeli na długo przed tym, nim zobaczyli walczących. Pole bitwy przesunęło się znacznie, co zaskoczyło nawet Tyrande i siostry, które dopiero co je opuściły.

– Nie powinni być tak blisko! - zawołała jedna z kapłanek. - Front całkiem się załamał!

Druga kiwnęła głową i zwróciła się do Tyrande:

– Mistrzynie, musimy znaleźć inną drogę! Ta jest opanowana!

Krasus i Malfurion odnotowali tytuł, jakiego użyła, ale żaden nie wiedział, co to oznacza. Sytuacja zrobiła się jeszcze bardziej tajemnicza, gdy Tyrande zareagowała na jej sugestię jak ktoś, kto dowodzi:

– Prowadź wedle swojego uznania.

Ruszyli dalej, szukając innej drogi. Przed nimi wiała się wśród skał ścieżka, biegnąca niebezpiecznie blisko walczących. Mimo to wybrali właśnie ją, w przeciwnym wypadku musieliby okrążyć całą armię Ravencresta, co zajęłoby kilka dodatkowych godzin.

Podczas jazdy Krasus przyglądał się bitwie. Demony wciąż walczyły tak zażarcie, jak gdyby zamierzały podbić świat dla swego pana, choć groziła im przecież zagłada z rąk Nelthariona albo nocnych elfów. Archimond musiał zakładać, że jakimś cudem odniosą szybkie zwycięstwo, a potem staną do walki z czarnym smokiem. Jak dowódca demonów zamierzał to osiągnąć, Krasus nie miał pojęcia, ale wcale by się nie zdziwił, gdyby mu się to udało.

– Tędy! - zawołała kapłanka jadąca na czele. Sprowadziła swojego wierzchowca ścieżką w dół i znikła na chwilę za wzgórzem, które omijali.

Pozostali poszli w jej ślady, świadomi, że liczy się każda sekunda. Ale kiedy wyłaniali się zza wzgórza, Malfurion krzyknął:

– Uwaga!

Nagle znaleźli się między walczącymi. Zrozpaczeni żołnierze cofali się przed szczyjącymi kły demonami, które wdzierały się w ich słabnące szeregi. Jeźdźcy prawie zderzyli się z elfami. Jak gdyby tego było mało, płynna linia frontu sprawiła, że znaleźli się twarzą w twarz z wrogiem.

Siostra z przodu próbowała odbić płonąca klingę demona, ale poruszała się zbyt wolno. Potworny miecz opadł, przecinając jej ramię i kark. Kapłanka runęła na ziemię jak kłoda. Jej pantera natychmiast rzuciła się na mordercę, ale nie mogła już nic zrobić dla swej pani.

– Mistrzynie! - zawołała druga z towarzyszących Tyrande sióstr. - Cofnij się! - Kapłanka wymieniła ciosy z piekielnym gwardzistą, próbując odepchnąć go od Tyrande.

Ale towarzyszka dziecięcych zabaw Malfuriona nie obawiała się walki. Z dzikością, która upodobniła ją w oczach Krasusa do smoka, ruszyła na pomoc towarzysze i wraziła klingą w lukę w pancerzu demona. Piekielny gwardzista zgiął się w pół i linia obrońców znów się wyrównała.

– Musimy dotrzeć do Rhonina i lorda Ravencresta - ponaglał ich Krasus.

Ale morze ciał spychało ich nieubłaganie w tył. Krasus rzucił zaklęcie, za sprawą którego oręż poległych demonów pomknął ku pierwszemu szeregowi potwornych wojowników. Wielu z nich zginęło, osaczonych przez nocne elfy i magiczne ostrza.

Ten wysiłek wyczerpał smoczego maga bardziej, niż się spodziewał. Miała też na niego wpływ słabość Korialstrasza. Jego młodsza połówka nadwerężyła siły w starciu z Neltharionem, a więź z Krasusem sprawiła, że nadwątlila również siły maga.

Malfurion okazał się bardziej skuteczny. Wzbił burzę piaskową, oślepiając wyłącznie demony, które młóciły na oślep powietrze w nadziei, że kogoś trafią. Żołnierze szybko dali sobie z nimi radę.

Krasus, skupiony na nacierających demonach, nie zwracał uwagi na niebo. Dzięki Neltharionowi nie widział powodu, by się nim przejmować.

Ale kiedy usłyszał wrzaski i zobaczył rosnące cienie, podniósł głowę - w samą porę, by przekląć swoje niedopatrzenie.

Między walczących spadły dwa infernale... i wszystko ogarnął chaos.

Rozpędzone demony wyrznęły z impetem w ziemię, powodując katastrofalne zniszczenia. Pod wpływem straszliwego wstrząsu żołnierze polecili na wszystkie strony. Inni wrzeszczeli, przygnieceni wielkimi głazami i grudami ziemi; wyrwanymi przez demony podczas lądowania.

Jeden z takich pocisków trafił panterę Tyrande. Zwierzę padło, zrzucając kapłankę w sam środek bitewnej zawieruchy. Druga siostra wyciągnęła do niej rękę, ale płomienne ostrze przeszło jej serce. Malfurion też próbował złapać elfkę, ale przeszkodził mu w tym jeden z infernali, który wybiegł z wydrążonej przez siebie jamy i wpadł prosto w nocną panterę elfa.

Druid nie mógł liczyć na pomoc Krasusa. Na wpół przytomny smoczy mag zawisł w siodle, uderzony w bok głowy czymś, co musiało być sporym

kamieniem. Jego wierzchowiec, wystraszony wstrząsami, uciekł, unosząc obezwładnioną postać.

Druid zeskoczył na ziemię. Infernal minął go biegiem, nie interesując się pojedynczą ofiarą.

Przepychając się przez tłum zniechęconych żołnierzy, dostrzegł wreszcie Tyrande. Z dłonią przyciśniętą do głowy, na wpół klęczała w środku całego tego zamętu. Hełm, mocno wgnieciony z jednej strony, leżał u jej stóp. Druid dziwił się, że w ogóle jeszcze żyje.

– Tyrande! - zawołał, wyciągając do niej rękę. Zanim ją złapała, przez chwilę patrzyła się na nią pustym wzrokiem. Malfurionowi udało się wyprowadzić ją spomiędzy walczących.

Podtrzymując dziewczynę, rozejrzał się za jakąś tymczasową kryjówką. Zależało mu tylko na tym, żeby ukryć ją w bezpiecznym miejscu. Czuł się winny, że poprosił ją o przybycie, choć podczas bitwy nigdzie nie mogła być całkowicie bezpieczna.

Zdołał zawlec osłabioną elfkę w górę stoku. Nawet tu nie było zbyt bezpiecznie, bo walczący byli już u podnóża wzniesienia. Ale w tej chwili nie miał innego wyboru.

Na zboczu wzgórza wciąż rosło kilka zielonych roślinek. Druid dotknął jedną z nich i poprosił ją o wilgoć. Podniósł zielone listki do ust Tyrande, aby drogocenne krople ściekły jej do ust.

Jęknęła. Usadził ją wygodnie, aby jej głowa spoczywała w zgięciu jego łokcia.

– Ostrożnie, Tyrande. Ostrożnie.

– M...Malfurionie... pozostali...

– Nic im nie jest - skłamał. - Poczekaj chwilę, aż rozjaśni ci się w głowie. Uderzyłaś się w nią, spadając.

– Hel'jara! Ona... przeszył ją na wylot!

Malfurion zaklął pod nosem; skoro pamiętała śmierć jednej z sióstr, zaraz przypomni sobie znacznie więcej.

– Spróbuj się rozluźnić.

Ale prosząc ją o to, sam stężał. Był pewny, że ktoś ich obserwuje.

Spojrzał przez ramię i wydało mu się, że złowił okiem jakiś cień. Jedna dłoń natychmiast zacisnęła mu się w pięść. Czyżby jeden z nieprzyjaciół zaszedł ich od tyłu?

– Tyrande - wyszeptał. - Idę porozmawiać z Krasusem. Jest niedaleko. Ty jeszcze odpocznij.

Spojrzała na niego tak, jak gdyby usłyszała fałszywą nutę w jego głosie, ale nie była pewna, w którym miejscu. Mając nadzieję, że nie dojdzie do siebie zbyt szybko i nie przypomni sobie, że zostali rozdzieleni, Malfurion ułożył ją delikatnie na ziemi, a potem wymknął się cichutko.

Kierując się ostrożnie w stronę miejsca, gdzie wydawało mu się, że widział cień, skupił myśli na zaklęciach, w których mógł wykorzystać elementy otoczenia. Jeśli zechce zabić piekielnego gwardzistę albo innego demona, ziemia wokół na pewno chętnie przyjdzie mu z pomocą.

Ktoś albo coś tu było. W jednym miejscu zobaczył lekkie wgłębienie, ale było mniejsze niż odcisk stopy demona. Odcisk wskazywał na bardzo niską osobę, albo jakieś zwierzę, choć nie wiedział jakie. Poza tym istota nie była sama.

Minął jakieś drzewo i zatrzymał się. Przed sobą usłyszał drapanie o skałę. Malfurion rzucił się naprzód, gotowy do ataku.

Ale kiedy minął następne drzewo, zobaczył nie demona, a nocną elfkę. Zniknęła mu z oczu, ginąc wśród drzew, zbyt daleko, by mógł za nią pogonić, a nie chciał zostawiać Tyrande samej na tak długo. Dziewczynka nie miała na sobie pancerza ani szat kapłanki, lecz odzienie, jakie widział

na wielu uchodźcach. W jednej ręce trzymała długi drewniany przedmiot, ale zniknęła mu z oczu zbyt szybko, by odgadł, do czego służy.

Nie był zdziwiony widokiem uciekinierki błakającej się w tej okolicy. Zwykli ludzie rozpierzchli się w popłochu. Armia obrońców wycofywała się i tym razem wszystko wskazywało na to, że nic już nie uratuje nocnych elfów.

Malfurion odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę miejsca, gdzie zostawił Tyrande. Teraz liczyła się dla niego tylko ona. Nie mógł zrobić nic dla młodej dziewczyny, która oddaliła się od reszty uchodźców.

Druid schodził stromizną między drzewami, szukając wzrokiem Tyrande. Zmarnował już cenny czas, goniąc za dziewczyną; musieli się stąd szybko oddalić, zanim walczący przesuną się w górę stoku, otaczając Tyrande.

Kiedy mijał ostatnie drzewa, westchnął z ulgą. Odgłosy walki nadal dochodziły z pewnej odległości. Tyrande była bezpieczna...

Stanął jak wryty, widząc przed sobą leżącą na brzuchu przyjaciółkę... nad którą pochylała się złowieszcza postać.

Stwór nie powinien był go usłyszeć, ale i tak odwrócił się w jego stronę. Orząc kopytami ziemię, podobna do kozy postać odwróciła się przodem do druida. Górna połowa ciała stworza przypominała tors elfa, ale z głowy wyrastały mu rogi. Przybysz łypnął na niego złymi ślepiami, kurcząc niecierpliwie szponiaste palce.

Ale najstraszniejsza, nawet bardziej niż sama jego obecność w pobliżu Tyrande, była twarz demona. Malfurion znał tę twarz. Nie mówił o tym nikomu, ale prześladowała go w snach. Choć jej rysy zmieniły się nieco, nigdy nie zapomniałby tych oczu... czarnych oczu poprzecinanych szkarłatnymi żyłkami.

Lord Xavius powstał z martwych.

DWADZIEŚCIA DWA



Linie nocnych elfów były teraz tak płynne, że pozycja każdego żołnierza nieustannie się zmieniała. Niemniej jednak lord Ravenscrest robił wszystko, co w jego mocy, aby podtrzymać morale. Choć w przeszłości Rhonin często spierał się ze szlachcicem, teraz cieszył się, że ten ma u żołnierzy taki posłuch. Nie wyobrażał sobie, by ktoś taki jak Desdel Stareye był do tego zdolny. Ravenscrest dojrzał wreszcie człowieka. Jadąc w jego stronę, krzyknął:

– Czarodzieju! Potrzebuję cię tam, nie tutaj!

– Jeden z nas powinien ci towarzyszyć, panie! - Prawdę mówiąc, Rhonin chciał zostać w pobliżu, aby znać raporty zwiadu, ale ochrona dowódcy armii też była ważna.

– Wolałbym, żebyś trzymał się w pobliżu Księżycowej Gwardii i Illidana. - Ravenscrest po raz pierwszy zdobył się na taką szczerłość: - Czułbym się o wiele lepiej, gdybyś przejął na jakiś czas dowodzenie! Chłopak ma talent, ale niepotrzebny nam teraz chaos! Proszę!

Po takim wyznaniu Rhonin nie mógł mu odmówić. Czuł, że Illidan coraz łapczywiej czerpie moc ze swoich towarzyszy i ze Studni. Będąc

świadkiem szaleństwa czarnego smoka, Rhonin obawiał się, że Illidan może się do niego upodobnić, jeśli pograży się jeszcze bardziej we własnej magii.

– Jak sobie życzysz, panie! - Ponaglając rumaka, czarodziej rozejrzał się za Illidanem. Znalezienie go nie było trudne. Illidan wyróżniał się spośród obrońców. Otaczająca go srebrzysta światłość prawie oślepiła stojące najbliżej elfy, ale młodzik był zbyt zaślepiony własną potęgą, by zauważyć, jaki ma wpływ na innych.

Na oczach Rhonina odziana na czarno postać uderzyła w atakującą horde serią eksplodujących błyskawic. Demony poleciały we wszystkie strony, popalone skrawki ich ciał spadły nawet koło czarodzieja. Niestety, kilku żołnierzy, którzy znaleźli się na granicy działania zaklęcia, także spotkała straszliwa śmierć.

Jeden z Księżycowych Gwardzistów padł. Illidan warknął na resztę i magowie znacznie bardziej doświadczeni od niego potulnie zmienili ustawienie, aby wykluczyć poległego czarodzieja z magicznej matrycy.

Co on sobie wyobraża?, pomyślał Rhonin. W takim tempie oni i wszyscy wokół nich skończą martwi!

Illidan zaczął rzucać zaklęcie, ale dostrzegł czarodzieja. Nocny elf uśmiechnął się do Rhonina. W swym samouwielbieniu nie zauważył nawet, że reszta obrońców się chwieje.

– Mistrzu Rhoninie! Widziałeś, jak...

– Widziałem wszystko! Illidanie! Ravencrest chce, żebym przejął dowodzenie! Musimy skoordynować nasz atak i zaprowadzić jako taki porządek!

– Dowodzenie? - Przez twarz nocnego elfa przemknął groźny grymas. - Przejąć?

– Tak! - Rhonin nie widział powodów, by próbować ugłaskać brata Malfuriona, teraz gdy los całego ludu - całego świata - leżał w ich rękach.

Illidan zgodził się, choć był wyraźnie rozgoryczony, a potem zapytał:

– Co robimy?

Mag już to przemyślał. Na razie chciał usunąć Illidana z matrycy, aby dać Księżycowym Gwardzistom możliwość dojścia do siebie.

– Próbowałem skontaktować się z Krasusem, lecz na próżno. Otacza nas taka ilość magii, że kontakt jest znacznie utrudniony! Twoja więź z bratem powinna być silniejsza, bardziej pierwotna! Chcę, żebyś znalazł ich obu! Potrzebujemy także ich pomocy!

Czarodziej zmrużył oczy; musiał domyślać się, co planuje Rhonin. Niemniej jednak kiwnął głową.

– Znajdę mojego brata. Nie chcielibyśmy zostać pozbawieni jego mocy, nieprawdaż?

Illidan oddalił się, zanim Rhonin zdołał cokolwiek powiedzieć. Czarodziej zmarszczył brwi, ale wiedział, że nie może oczekiwać zrozumienia od tego zapalczywego młokosa.

Miał wrażenie, że kilku Księżycowych Gwardzistów przywitało jego przybycie z wyraźną ulgą. Nie obchodziło ich już to, że jest przybyszem; po prostu wiedzieli, że będzie dobrym przywódcą.

– Musimy zmieść ich pierwsze szeregi, tak jak już to kiedyś zrobiliśmy - oznajmił. - Złączcie się ze mną i zaczynamy...

Przygotowując się do czarów, Rhonin po raz ostatni rzucił okiem na Illidana. Elf wciąż wyglądał na zdenerwowanego, ale wydawało się, że robi, o co go poprosił. Kiedyś, pomyślał rudowłosy czarodziej, brat Illidana będzie mi za to wdzięczny.

A przynajmniej miał taką nadzieję.



Po takiej odprawie wdzięczność była ostatnią rzeczą, jaką odczuwał Illidan. Przez całe swoje życie nasłuchiwał się, że jest stworzony do wielkich czynów, że zostanie legendą, i sądził, że jego czas właśnie nadszedł. Jego lud ogarnęła panika, groziła mu eksterminacja. Z pewnością był to moment, w którym miał przejść do historii.

I może tak by się właśnie stało, gdyby nie dwie osoby, którym najbardziej ufał. Lord Ravencrest wziął go pod swoje skrzydła, w mgnieniu oka z nic nieznaczącej osoby uczynił wysokiej rangi czarodziejem. Jego pan powierzył mu dowodzenie niedobitkami Księżycowej Gwardii, a Illidan uważał, że świetnie sobie radził w roli głównego maga.

Teraz jednak Ravencrest odebrał mu tę funkcję, powierzając ją komuś, kto nie był nawet nocnym elfem. Choć Illidan szanował Rhonina, uznał, że tego już za wiele. Czarodziej też powinien to rozumieć. Gdyby Rhonin rzeczywiście miał do niego zaufanie, nie przyjąłby awansu.

Ukradziono mu jego wielką chwilę... a zamiast tego miał wezwać swojego podziwianego brata.

Mroczne myśli, które od pewnego czasu nie dawały mu spokoju, powróciły z pełną siłą. Choć zamierzał nawiązać kontakt, o który prosił Rhonin, w głębi ducha miał nadzieję, że Malfurion nie odpowie, bo padł ofiarą Płonącego Legionu. Illidan przypuszczał, że jego brat zginął śmiercią bohatera, ale przy okazji odkrył, że wizja śmierci Malfuriona wcale nim nie wstrząsnęła. Tyrande będzie zmartwiona, to jasne, ale już on ją pocieszy...

Myśl o Tyrande rozproszyła mrok spowijający jego umysł. Illidan zaczął żałować bólu, jaki mogło jej sprawić to, co sobie wyobraził. Jak mógł w ogóle pomyśleć o narażeniu ją na coś takiego, nawet dla siebie? Wybrała Malfuriona i koniec.

Illidan skupił wszystkie myśli na Malfurionie. Najpierw poradzi sobie z tą sytuacją, a potem podejmie decyzję co do swojej przyszłości. Myślał, że

znajdzie się w niej miejsce dla Ravencresta i Tyrande, ale w obu przypadkach był w błędzie.

Teraz musiał zdecydować, gdzie właściwie jest jego miejsce...



Brox zamachnął się z całej siły, odrabując łeb piekielnej bestii, która próbowała się przedrzeć przez linię obrońców. Obok niego Jarod i niedobitki jego gwardii przybocznej dwoili się i troili, żeby zatkać lukę. Większość z nich już dawno straciła wierzchowce, więc teraz walczyli ramię w ramię z piechotą.

Przez pole widzenia orka przemknął z łopotem przedarty na pół proporzec. Brox chrząknął ze zdziwieniem, bo rozpoznał w nim banderę towarzyszącą zwykle lordowi Ravencrestowi. Czyżby spychani obrońcy poszli już całkiem w rozsypkę?

Spojrzał w lewo i jego obawy się potwierdziły: czarny proporzec Gawroniej Twierdzy powiewał wcale nie tak daleko od miejsca, w którym stał. Brox nie przypominał sobie, żeby zmieniał w ogóle pozycję, ale miał oto przed sobą niezbity dowód.

W polu widzenia orka znalazł się też sam lord Ravencrest. Nie dbając o własne bezpieczeństwo, szlachcic ciął piekielnego gwardzistę, po czym kopnął rannego demona w łeb. Pan Gawroniej Twierdzy, flankowany przez swoją osobistą gwardię, prezentował się wspaniale nawet w oczach weterana. Początkowo Brox nie darzył nocnych elfów szacunkiem, ale Ravencrest udowodnił, że jest urodzonym wojownikiem, godnym nawet nazwania go orkiem.

Wokół szlachcica kłębił się tłum nocnych elfów, które czerpały siłę z jego niezłomnej postawy. Ravencrest dokonał tego, czego nie potrafili

nawet magowie - wzmacniał swoich podkomendnych samą swoją obecnością. Twarze, które widział Brox, były pełne determinacji i dumy. Byli przygotowani na śmierć, ale mieli zamiar zrobić wszystko, co w ich mocy, by zapobiec zwycięstwu demonów.

Otoczonemu gęstą ciżbą dowódcy groziło czasami zranienie przez własnych żołnierzy. Kilka razy czyjeś ostrze znalazło się zaledwie kilka cali od niego, ale nie zważał na to, skupiony wyłącznie na orężu nieprzyjaciela.

Nagle jeden z jeźdźców zbliżył się do pleców Ravencresta o wiele bardziej, niż Brox uznał to za konieczne. Nocny elf miał ponury wyraz twarzy, który jakoś nie pasował do min pozostałych, i nie patrzył na demony, tylko na swojego dowódcę.

Ork ruszył w stronę Ravencresta.

– Brox! - zawołał Jarod. - Gdzie idziesz?

– Szybko! - huknął zielonoskóry wojownik. - Trzeba go ostrzec!

Kapitan spojrzał we wskazanym kierunku i choć nie widział tego, co zobaczył ork, ruszył za nim.

– Z drogi! Z drogi! - wrzasnął Brox do zagradzających mu drogę elfów. Wyskoczył w powietrze i zobaczył, że jeździec zajmuje pozycję. W jednej ręce trzymał miecz i wodze pantery. Drugą wsunął za pas... za którym wisiał sztylet nieprzydatny w starciu z demonami. Dobył go i nachylił się w stronę dowódcy.

– Uwaga! - wrzasnął Brox, ale Ravencrest go nie słyszał. Głos orka zagłuszył bitewny zgiełk.

Wierzchowiec skrytobójcy przesunął się, zmuszając go do zmiany pozycji. Spychając z drogi kilku żołnierzy, Brox zamachał wysoko toporem, chcąc zwrócić na siebie uwagę Ravencresta.

Szlachcic niczego nie zauważył... ale zdradziecki żołnierz owszem.

Mrużąc oczy, z rosnącą desperacją na twarzy, skrytobójca rzucił się do przodu.

– Uwaga! - zawołał Brox.

Ravencrest zaczął się odwracać w stronę orka. Zmarszczył brwi, jak gdyby gniewał się, że ktoś odrywa go od walki.

Skrytobójca wbił mu sztylet w podstawę karku.

Dowódca nocnych elfów szarpnął się w siodle. Wypuścił miecz i sięgnął po krótsze ostrze, ale żołnierz już zdążył mu je odebrać. Z rany trysnęła krew, zalewając królewską szatę szlachcica.

Większość elfów otaczających Ravencresta nie zauważyła jeszcze, co się stało. Skrytobójca odrzucił sztylet i próbował odjechać, ale teraz morze ciał stanęło mu na drodze.

Brox wzniósł okrzyk bojowy, torując sobie drogę płazem topora. Nocne elfy patrzyły na niego jak na szaleńca. Ork nawet nie próbował im tłumaczyć, co się stało; liczyło się tylko to, żeby dopaść zdrajcę.

Dygocząc, lord Ravencrest zwałił się na grzbiet wierzchowca. Jego podkomendni wreszcie coś zauważyli. Kilku uniosło ręce, żeby go podtrzymać.

Brox przepchał się wreszcie do boku Ravencresta.

– Tam! Tam!

Kilka zdezorientowanych nocnych elfów spojrzało na niego ze zdziwieniem. Dwóch ruszyło w końcu za orkiem.

Skrytobójca nie był w stanie manewrować panterą w takim tłumie. Spojrzał przez ramię i zobaczył zbliżający się pościg. Przez jego ponurą twarz przemknął fatalistyczny grymas.

Krzykiem wydał swojej nocnej panterze jakiś rozkaz. Ku przerażeniu Broxa kot uderzył łapą żołnierza, który zagradzał mu drogę. Kiedy nieszczęśnik padał na ziemię, nocna pantera ugryzła kolejnego. Żołnierze,

przekonani że mają do czynienia z oszalałym zwierzęciem, szybko umykali jej z drogi.

Oceniwszy odległość, Brox skoczył. Wylądował blisko, tuż za panterą. Uniósł topór i z szerokiego zamachu ciął zwierzę w bok. Cios ledwie drasnął futro, ale zdołał przykuć uwagę olbrzymiego kota. Ignorując rozkazy jeźdźca, zwierzę obróciło się i zaatakowało agresora. Brox z trudem odbił długie pazury. Nocna pantera prychnęła i skoczyła.

Ork wzniósł topór, zatapiając go w podgardlu zwierzęcia. Ostrze rozerwało ciemne futro, zbryzgało Broxa krwią. Zwierzę spadło nań z całym impetem, nadziewając się na jego broń.

Lewą rękę orka przeszył ostry ból. Rzucił okiem i zobaczył wstążkę czerwonego mięsa. Skrytobójca cofnął się, aby zadać kolejny cios, ale czyjeś ostrze odbiło jego klingę. Jarod stęknął, gdy zadany z góry cios prawie obalił go na jedno kolano. Zdrajca spróbował go kopnąć, ale Jarod usunął się poza jego zasięg.

Kapitan zapomniał o konającej nocnej panterze. Rzucając się wściekle i brocząc posoką, kot drapał pazurami wszystko, co znalazło się w pobliżu. Uderzył Jaroda wierzchem jednej z łap, przewracając go na ziemię.

Czując, że zwierzę słabnie, Brox szybkim ruchem wyrwał z niego topór. Charcząc, nocna pantera poleciała naprzód. Przednie łapy załamały się pod nią i zwierzę zważyło się na ziemię.

Nocny elf skoczył na Broxa, zasłaniając się mieczem. Zaprawiony w bojach wojownik cofnął się. Zaskoczony skrytobójca wylądował na nogi, podczas gdy ork walczył mężnie o zachowanie równowagi.

– Śmierdzący stworze! - zaszydził nocny elf. Pchnął, prawie obcinając Broxowi ucho. Ork spróbował podciąć mu nogi kopniakiem, ale zdrajca wyskoczył zwinnie w górę.

Ork rąbnął go toporem, jeszcze zanim zdążył opaść na ziemię. Topór przeciął pancerz i wgrzył się w ciało. Zdrajca poleciał w tył z grymasem zaskoczenia na twarzy, w ręce wciąż ściskając miecz. Brox podniósł się i natarł na rannego skrytobójcę.

Przeciwnik Broxa wyprostował się, dysząc ciężko. Z mieczem w pogotowiu, patrzył wyzywająco na orka.

Brox zamachnął się.

...Ku jego zdumieniu skrytobójca odrzucił broń i zawołał:

– Za Azshare!

Topór wbił się w pierś ofiary. Nocny elf runął naprzód, martwy, nim jego ciało dotknęło skrwawionej ziemi.

Dysząc, Brox podszedł do trupa. Trącił go stopą, ale żołnierz nawet nie drgnął. Jarod podszedł do orka, ściskając własną rękę, jak gdyby mu zdrętwiała, ale oprócz tego był cały. Towarzyszył mu jeden z żołnierzy, którzy za nimi pobiegli.

– Zabiłeś go! - zawołał Jarod. - Doskonale! Dobra robota.

Ale ork pozostał głuchy na te wyrazy uznania. Odwrócił się, szukając wzrokiem lorda Ravencresta. Kilku żołnierzy zносиło właśnie szlachcica z pola bitwy. Dowódca miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby spał, ale Brox wiedział, że nie śpi. Szczeka nocnego elfa zwisała luźno, a jedna ręka obwisała bezwładnie w sposób, który weteran znał aż nadto dobrze.

Brox zawiódł. Pan Gawroniej Twierdzy zginął.

Armia została bez przywódcy.



Koźlonoga postać przekrzywiła głowę z rozbawieniem.

– Nie lubisz niespodzianek, Malfurionie Stormrage? Czy może stałem się kimś tak wielkim, że twój ograniczony umysł nie potrafi zgadnąć, kim kiedyś byłem? - Ukłonił się szyderczo. - Pozwól, że się przedstawię! Lord Xavius z Zin-Azshari, do niedawna sługa królowej... do niedawna żywy.

– Widziałem... widziałem, jak umierasz! - warknął druid. - Rozdarty...

– Chcesz powiedzieć, że mnie zabiłeś! - powiedział Xavius, a rozbawienie znikło na chwilę z jego twarzy. - Rozrzuciłeś moje szczątki po całym niebie!

Zrobił kolejny krok w stronę druida, na co Malfurion właśnie liczył. Im dalej ten potwór, który był kiedyś doradcą królowej, trzymał się od Tyrande, tym lepiej!

Malfurion przypominał sobie z legend stwora, którego postać przybrał martwy nocny elf. Satyry, bo tak je nazywano, były przebiegłymi demonami władającymi śmiertelnością magią.

– Zabiłeś mnie - ciągnął Xavius, uśmiechając się złowieszczo - i skazałeś na znacznie gorszy los! Zawiodłem prześwietnego, wielkiego Sargerasa... a ponieważ jako bóg miał do tego prawo, ukarał mnie bardzo surowo...

Malfurion, który był świadkiem okropnych zbrodni Płonącego Legionu, wyobrażał sobie, jak surowa musiała być kara wymierzona Xaviusowi. Litość była pojęciem całkowicie obcym demonom.

Potworne sztuczne ślepia zalśniły, gdy satyr podjął:

– Nie miałem ust, a wrzeszczałem. Nie miałem ciała, a jednak czułem niewyobrażalny ból. Nie winięm jednak mojego pana i władcy, bo zrobił tylko to, co do niego należało. - Mimo to rogata postać zadrżała. - Nie, nawet podczas tej próby myślałem tylko o jednym; przypominałem sobie raz po raz, kto sprowadził na mnie takie męki.

– Setki osób zginęły z twojego powodu - powiedział druid, próbując przyciągnąć satyra jeszcze bliżej. Jeśli chciał rzucić jakikolwiek czar na tego jeszcze straszniejszego Xaviusa, musiał go odciągnąć jak najdalej od Tyrande. - Zamordowałeś niewinne istoty!

– Niedoskonałe! Skalane! Świat musi zostać oczyszczony dla tych, którzy będą czcić Sargerasa!

– Sargeras zniszczy Kalimdor! Płonący Legion zniszczy wszystko!

Xavius wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Owszem... zniszczy.

Ta niespodziewana deklaracja zbiła Malfuriona z tropu.

– Przecież właśnie powiedziałaś...

– To, czego głupcy lubią słuchać! To, co dobry kapitan Varo'then i Szlachetnie Urodzeni uznali za pewnik... co ja kiedyś uznałem za pewnik! Sargeras oczyści świat dla swoich wyznawców... a potem zniszczy go za zbrodnię, jaką jest życie. Widzisz, jakie to proste?

– Chciałeś powiedzieć niedorzeczne i okrutne!

Satyr wzruszył ramionami.

– Wszystko zależy od punktu widzenia...

Malfurion miał już dość. Sięgnął ręką do jednej z sakw.

Bez żadnego ostrzeżenia czyjeś silne ramiona oplotły go, krępując mu ruchy. Druid zaszamotał się, ale uścisk był za silny.

Pozostałe satyry powlokły go w stronę Xaviusa, który uśmiechnął się jeszcze nikczemniej, mierząc nocnego elfa szyderczym spojrzeniem.

– Kiedy wielki Sargeras wysłał mnie z powrotem na ten plan, zrobił to, abym przyprowadził mu tego, który zniszczył pierwszy portal, opóźniając jego wspaniałe przybycie.

Malfurion nic nie odpowiedział, usiłując wyrwać się dwóm trzymającym go stworom.

Xavius nachylił się nad nim, tak że jego cuchnący oddech omywał falami twarz elfa.

– Ale stan, w jakim mam cię przed nim postawić, zostawił do mojej decyzji. Pomyślałem sobie, czy wystarczy, że po prostu oddam go Prześwietnemu? - Zarechotał. - Nie! Mój pan Sargeraz życzy sobie, aby Malfurion Stormrage cierpiał niewysłowione męki, a moim pierwszym obowiązkiem jest dopilnować, aby tak się stało...

Ku przerażeniu Malfuriona groteskowa postać odwróciła się do Tyrande, której sen wydał mu się niepokojąco głęboki. Satyr pochylił się nisko, prawie muskając elfkę ustami.

– Trzymaj się od niej z daleka! - ryknął elf.

– Tak, pomyślałem sobie. Musi cierpieć. Ale jak? Stanowczy młodzieniec, z pewnością gotowy złożyć swoje życie w ofierze... ale co z życiem innych? Najbliższych mu osób?

Szponiastą łapą pogłaskał włosy kapłanki. Malfurion wyciągnął się, pragnąc go udusić. Nigdy nie nienawidził żadnej istoty - wyłączając demony - ale w tej chwili z radością zmiażdżyłby byłemu doradcy tchawicę.

Jego furia tylko rozbawiła Xaviusa. Wciąż nachylając się nad Tyrande, dodał:

– Szybko odkryłem, że są dwie osoby, o które dba Malfurion Stormrage. Jedna była dla niego jak brat - chwileczkę! - była bratem, bliźniakiem! Bliscy sobie w młodości, teraz oddali się od siebie za sprawą różnych zainteresowań i pragnień. Ale nasz drogi Malfurion wciąż kocha swojego brata... nawet jeśli Illidan zaczął odczuwać zawiść wobec tego, na którego ona spojrzała przychylniej...

– Macie mnie! Zostawcie ich w spokoju!

– Ale co by to była za kara? - zapytał Xavius, podnosząc się. Jego twarz wykrzywił okrutny grymas. - Gdzie zemsta? O ileż większy będzie twój ból, kiedy stracisz nie jedno, lecz dwoje. - Roześmiał się. - Brata już straciłeś, nawet jeśli on jeszcze o tym nie wie, Malfurionie Stormrage! Ale tę ślicznotkę trudniej było odszukać. Dziękuję za zwabienie jej w to miejsce...

Satyry trzymające Malfuriona za ręce zarechotały, a młodzieniec przeklął się w duchu za to, że poprosił Tyrande, aby pomogła jemu i Krasusowi. W ten sposób wepchnął ją tylko w łapska tych bestii.

– Nie! Na Elune! Nie pozwolę wam!

– Elune... - Xavius wypowiedział to imię z pogardą. - Jest tylko jeden bóg... i nazywa się Sargerias.

Pstryknął palcami i jego pomocnicy pchnęli Malfuriona na kolana. Xavius znów podszedł do niego, stukając kopytami. Każdy krok odbijał się echem w umęczonej głowie nocnego elfa.

Nagle przez mgłę zasnuwającą jego umysł przebił się czyjś głos, głos tak zarazem podobny i niepodobny do jego własnego. *Bracie?*

– Illidan? - wybąkał, zanim zdążył się powstrzymać.

– Tak - odparł Xavius, który uznał widać, że jeniec pragnie się dowiedzieć, co takiego zrobił jego bratu. - To było proste. Kocha ją równie mocno jak ty, Malfurionie Stormrage... ale z tym, że wybrała ciebie, a nie jego, nie potrafi się pogodzić...

Illidan kocha Tyrande? Druid zdawał sobie sprawę, że nie jest obojętna jego bratu, ale nie wiedział, że darzy ją aż tak silnym uczuciem. *A ona kocha... mnie?*

Zbyt późno przypomniał sobie, że brat słyszy teraz jego myśli. Wściekłość i wstyd Illidana zalały teraz umysł Malfuriona. Zatoczył się w tył pod siłą uczuć brata.

Xavius znów źle odczytał to, co się stało.

– To dla ciebie aż takie zaskoczenie? Wspaniałe musi być odkrycie, że zdobyłeś jej miłość ale i straszna świadomość, że z tego powodu twoja wybranka będzie cierpieć jak nikt inny oprócz ciebie!

Illidanie!, zawołał brata Malfurion. *Illidanie! Tyrande grozi niebezpieczeństwo!*

Ale zamiast niepokoju wyczuł wyłącznie wzdarcie maga. *Więc czemu nie zwróci się do ciebie, bracie - potężnego, wspaniałego władcy przyrody? Jakiej pomocy może oczekiwać od przeklętego błazna, odmieńca, w którym kolor oczu wzbudził fałszywe sny, fałszywe nadzieje?*

Illidanie! Będzie torturowana! Zginie straszliwą śmiercią!

Z drugiej strony zaległa cisza. Illidan musiał się wycofać. Nie zerwał jeszcze połączenia, ale był tego bliski.

Illidanie!

Pole widzenia Malfuriona wypełniła twarz Xaviusa. Miał wrażenie, że nienaturalne oczy satyra wwiercają mu się w czaszkę, jak gdyby satyr zastanawiał się, co też dzieje się w jego umyśle.

– To ty skazałeś mnie na więcej niż śmierć? - syknął stwór. - Jeśli jesteś moją nemezis, zasłużyłem na wszystko, na co skazał mnie Prześwietny...

Pstryknął palcami i z prawej strony Malfuriona pojawiło się kolejne pół tuzina plugawych istot. Xavius wskazał rozciągnięte na ziemi ciało Tyrande, jednocześnie spoglądając w stronę bitwy.

– Wkrótce tu będą. Chodźmy stąd, zanim zrobi się tu... ciasno.

Xavius wrócił do Tyrande, a tymczasem trzy satyry, którzy najwyraźniej byli kiedyś Szlachetnie Urodzonymi, unieśli wysoko ręce i rozpoczęli czary. Malfurion natychmiast pojął, co zamierzają. Stwory mogły stąd uciec wyłącznie za pomocą portalu. Skoro udało im się otworzyć portal do innego wymiaru, z pewnością zdołają otworzyć bramę do Zin-Azshari.

A kiedy już się tam znajdą, Malfurion i Tyrande będą musieli porzucić wszelką nadzieję.

Illidanie! Pomimo nacisku, jaki włożył w to wołanie, nie otrzymał odpowiedzi. Był sam.

Odgłosy bitwy były coraz bliższe. Powietrze wokół trzech czarujących satyrów zrobiło się czarne.

Xavius wyciągnął ręce ku Tyrande z jeszcze szerszym i bardziej jadowitym uśmiechem.

– Będzie się cieszyć towarzystwem Prześwietnego - drażnił się - zanim umrze...

Portal rozszerzył się i wydłużył do rozmiarów pozwalających przejść przezeń demonom i ich jeńcom. Xavius podniósł kapłankę, jak gdyby nic nie ważyła...

W ramię satyra wbił się pierzasty grot.

DWADZIEŚCIA TRZY



Czarne myśli owładnęły Illidanem. Zrobił to, o co poprosił go Rhonin, odszukał brata, ale znów tylko mu przypomniano o jego wadach i porażkach. Nieważne, że jego brat i kobieta, którą obaj kochali, znaleźli się w tragicznym położeniu; w tej chwili liczyło się tylko to, że Malfurion zyskał sobie przychylność Tyrande nawet nie wiedząc, że o nią rywalizują. Jego niewinny braciszek zdobył przypadkiem nagrodę wszechczasów, podczas gdy Illidan, który o nią walczył, został nagrodzony za swoje wysiłki pustym sercem.

Jakaś część jego osoby mówiła mu, żeby zapomniał o tym i im pomógł. A przynajmniej Tyrande. Jakaś wroga siła służąca Płonącemu Legionowi miała ją w swoich szponach.

Płonący Legion. Czasami Illidan zastanawiał się, o ile lepiej by mu się wiodło, gdyby służył królowej Azsharze i Szlachetnie Urodzonym. Wszystko wskazywało na to, że zbiorą teraz płony sojuszu z demonami. Krasus i Rhonin twierdzili, że Legion unicestwi wszelkie życie, zabije nawet ludzi królowej, ale z pewnością nie mogło to być prawdą. Po co w takim razie Azshara by się z nimi sprzymierzyła? Wystarczyłoby, żeby

Szlachetnie Urodzeni zamknęli portal, aby oddalić zagrożenie. Skoro był otwarty, musieli wiedzieć lepiej.

Illidan prychnął. W głowie szumiało mu od sprzecznych myśli i pojęć, które jeszcze kilka dni temu wywołałyby w nim obrzydzenie. Spojrzał w bok, gdzie Rhonin dowodził wysiłkami Księżycowej Gwardii. Czarodziej nie wyglądał na takiego, który rezygnuje z raz zdobytej pozycji. Illidan zaklął. Teraz, oprócz brata, zdradzili go Rhonin i lord Ravencrest...

Illidanie!, usłyszał znów głos Malfuriona, tym razem jeszcze bardziej rozpaczliwy.

Zamknął przed nim swój umysł.



Tyrande wysunęła się z objęć satyra, ale wylądowała miękko na ziemi. Nawet się nie poruszyła, co ostatecznie przekonało Malfuriona, że została w którymś momencie zaczarowana przez Xaviusa.

Były doradca złapał się za ramię, w którym zatopiony był grot. Z rany leciała krew, ale Xavius był bardziej wściekły niż zraniony. Szarpnął za brzechwę, a kiedy nie chciała wyjść, złamał ją z wściekłością.

Ledwie reszta satyrów zorientowała się, że zostali zaatakowani, jeden z tych trzymających Malfuriona zadygotał gwałtownie, po czym runął twarzą na ziemię. Spomiędzy łopatek sterczała mu strzała identyczna jak pierwsza.

Druid wsunął wolną rękę do jednej z sakw i cisnął jej zawartość w twarz drugiego strażnika. Satyr z krzykiem przycisnął łapska do oczu, których miękką tkankę wypalało właśnie jedno z ziół zbieranych przez Malfuriona pod nadzorem Cenariusza. Stwór zatoczył się w bok, zapominając o jeńcu.

Malfurion nie oglądał się na swojego wybawcę. Dobył sztyletu i chlasnął nim szyję oślepionego stwora. Kiedy satyr zwałił się na ziemię, druid

wykorzystał wiatr, by poniosł celnie ostrze ciśnięte ku Xaviusowi.

Choć ranny, były doradca królowej z łatwością uchylił się przed mieczem. Rzuciwszy okiem w stronę trzech towarzyszy starających się podtrzymać portal, wyszczerzył kły i znów schylił się po Tyrande.

Trzecia strzała wbiła się w ziemię kilka cali od jego kopyta. Miotając wzrokiem błyskawice, Xavius machnął na satyry nie biorące udziału w czarach.

Dwa zaatakowały Malfuriona, trzeci nieznanego łuczniaka. Druid znów sięgnął do sakw i rzucił małym, okrągłym nasionkiem w jednego z szarżujących stworów.

Satyr cofnął się i nasionko spadło tuż przed nim. Ale kiedy jego usta zaczęły się już rozciągać w uśmiechu, strączek pękł, otaczając go chmurą białego pyłu. Satyr zaczął kaszleć i kichać tak zawzięcie, że w końcu padł na kolana. Ale nawet wtedy męczył się nieugięcie.

Malfurion cisnął drugim nasionkiem w następnego, ale chybił. Stwór skoczył na niego, sięgając mu szponiastymi łapskami do jego gardła. Za jego plecami Xavius usiłował podnieść Tyrande, ale rana wreszcie zaczęła mu się dawać we znaki. W końcu postanowił wlec elfkę zdrową ręką w stronę portalu.

Bojąc się, że mu się to uda, nocny elf poszukał w myślach zaklęcia, które pozwoliłoby mu wyeliminować bezpośrednio zagrożenie. Satyr zarechotał drwiąco, drapiąc go pazurami w podbródek. Z ust stworu wylał się potok niezrozumiałych słów i druid poczuł wokół szyi straszliwy żar, jak gdyby otoczyła ją zaciskająca się obroża.

W tej samej chwili na wzgórzu wpadli walczący.

Wokół nich zaroilo się od nocnych elfów i demonów. Wycofujący się żołnierze zderzyli się z Xaviusem i wleczoną przez niego elfką. Satyr

warknął i jednym machnięciem szponów skrócił jednego z nieszczęsnych wojowników o głowę.

Ale nawet Xavius nie był w stanie powstrzymać takiej fali zbrojnych. Wszystko ogarnął chaos. Satyry, które otworzyły portal, podtrzymywały go z wielkim trudem.

Malfurionowi zaczynało brakować tchu. Szcherzący się stwór, który przygniótł go do ziemi, uniósł szponiastą łapę, chcąc mu rozplątać pierś. Szukając po omacku sakiewki, druid chwycił pierwszą lepszą z brzegu i wcisnął jej zawartość w rozdziawiony pysk przeciwnika.

Wybałuszając ślepią, rogaty stwór cofnął się z przerażonym grymasem. W tej samej chwili druid przestał się dusić. Satyr zatoczył się w tył, oczy wyłaziły mu już prawie z orbit. Malfurion czuł, że bije od niego intensywne ciepło.

Szamoczący się demon stanął w płomieniach, które natychmiast objęły całą jego postać. Ciało potwora poczerniało, z pyska wydobywały mu się nieludzkie wrzaski.

Dławiąc się, druid zasłonił usta i nos. Podczas ich ostatniego spotkania Cenarius nauczył go, jak okiełznać żar kryjący się w nasionach i owocach niektórych roślin, a potem tysiącrotnie wzmóc jego intensywność. Najwidoczniej jedno z takich nasion wtłoczył w pysk satyra.

Kilka sekund po połknięciu nasienia stwór zwałił się na ziemię. Zostało z niego tylko kilka poczerniałych kości. Malfurion nie doceniał niektórych nauk swojego *shan'do*, ale teraz zrozumiał, że we wszystkim, co pokazał mu Cenarius, kryje się moc. Zaprawdę, nie było chyba większej potęgi niż siły natury.

Omijając wzrokiem martwego satyra, dostrzegł Xaviusa. Jeden ze stworów pospieszył z pomocą przywódcy i teraz obaj nieśli Tyrande w

stronę portalu. Ale kiedy Xavius obejrzał się i zobaczył biegnącego ku nim druida, zostawił kapłankę słudze i odwrócił się do nocnego elfa.

Satyr grzmotnął kopytem w ziemię. Wstrząs sprawił, że Malfurion i kilku walczących upadło. W ziemi powstała szczelina, która popędziła w stronę druida. Malfurion w ostatniej chwili odtoczył się w bok.

Mając wolną drogę, Xavius ruszył w stronę przeciwnika. Jego potworny, beczący śmiech wstrząsnął druidem do głębi.

– Aby zostać bohaterem, musisz czegoś dokonać - szydziła przerażająca postać. - A nie czołgać się w błocie i czekać bez tchu na śmierć.

Malfurion sięgnął ku sakiewkom przy pasie, ale Xavius był szybszy. Wykonał łapą zamaszysty gest i wszystkie woreczki odleciały w bok.

– Dość już tego, jeśli pozwolisz. - Xavius z każdym krokiem wydawał się rosnąć i upodabniać do zwierzęcia. - Wielki Sargerias chce cię dostać żywym, ale myślę, że w tej kwestii ośmielę mu się sprzeciwić. Twój brat i ta elfka powinni go zadowolić...

Cenarius nauczył Malfuriona troszczyć się o każdy przejaw życia, ale teraz druid czuł wyłącznie wstręt. Rzucił się na Xaviusa, próbując obalić go na ziemię.

Bestia chwyciła go zdrową ręką za szyję, uniosła i z wyjątkową satysfakcją przyglądała się, jak dynda nogami, usiłując ją dosięgnąć.

– Może jednak zostawię w tobie choć iskierkę życia, Malfurionie Stormrage... - zadrwiła. - Jeśli oczywiście zdołam się opanować.

Na myśl o Tyrande i Illidanie w szponach Płonącego Legionu druid zaszamotał się jeszcze gwałtowniej i wymierzył prześladowcy silnego kopniaka.

Trafił obcasem w ranne ramię, wbijając grot jeszcze głębiej.

Tym razem przywódca satyrów zawył i rozwarł łapę. Druid spadł na ziemię, przetoczył się w bok i zerwał na równe nogi.

– Zbyt wielu zdradziłeś - powiedział do Xaviusa. - Zbyt wielu skrzywdziłeś, lordzie doradco. Nie pozwolę ci już skrzywdzić nikogo więcej. - Wiedział, co ma robić. - Od tej pory będziesz dawać tylko życie, nie śmierć.

Szkarłatno-czarne ślepie Xaviusa zapłonęły. W jego uśmiechu nie było już wesołości. Cała jego postać emanowała mroczną mocą...

Ale druid, któremu nadłamane drzewce strzały nasunęło pewien pomysł, uderzył pierwszy.

Złamana strzała najpierw zrosła się, a potem wypuściła korzenie. Satyr przerwał rzucane zaklęcie, usiłując wyrwać ją z ramienia. Ale czar Malfuriona nie tylko ją unieruchomił; za jego sprawą korzenie rosły teraz także wewnątrz rany, czerpiąc siły z soków żywotnych Xaviusa.

Ciało Xaviusa wzdęło się jak u zdechłej ryby. Z okrzykiem wściekłości, nie bólu, dotknął płonąca łapą rozrastającego się drewna, chcąc je wypalić. Ale tylko krzyknął, bowiem korzenie zapuściły się już w głąb jego organizmu, przez co czuł wszystko to, co one.

Na oczach dawnych Szlachetnie Urodzonych jego szpony zakrzywiły się, przekształcając się w pączkujące gałązki. Rogi rozrosły się, zmieniając się w grube, wyższe konary, z których wystrzeliły liście. Xavius nie tyle stawał się drzewem, co jego ciało dostarczało tworowi Malfuriona składniki odżywcze i budulec niezbędny do wzrostu.

– To jeszcze nie koniec, Malfurionie Stormrage! - zdołał zawołać Xavius. - Nie... koniec!

Ale druid nie przejął się jego słowami. Nie zważając na toczące się wszędzie wokół zmagania, dokończył zaklęcie, przewyciężając opierającą mu się wolę demona.

– Koniec - wyszeptał, bardziej do siebie niż do Xaviusa. - To musi być koniec.

Przy wtórze ostatniego zwierzęcego skowytu po satyrze zaginął wszelki ślad, gdy drzewo, które druid stworzył z drzewca strzały, zakwitło. Skóra Xaviusa pokryła się plamami, a potem stała się grubą korą. Jego pysk, wykrzywiony wyciem, zmienił się w dziurawy sęk. Walczący dookoła zbrojni rozproszyli się, gdy korzenie wyrastające mu z kopyt zakopały się głęboko w ziemię, przygważdżając go na stałe w jednym miejscu.

W samym środku morza zniszczeń i krwi wielki, dumny dąb rozpostarł nad zboczem wzgórza baldachim bujnych zielonych liści. Życia odniosło triumf nad jego parodią.

Malfurion westchnął i osunął się na kolana. Chciał stać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Narzucenie zaklęcia potężnej woli Xaviusa straszliwie go wyczerpało. Choć wokół toczyła się bitwa, miał ochotę zwinąć się pod drzewem w kłębek i zasnąć na zawsze.

Wtedy przed oczyma stanęła mu twarz Tyrande.

– Tyrande! - Miał wrażenie, że oplata go tysiąc żelaznych łańcuchów, ale mimo to zdołał dźwignąć się z ziemi. W pierwszej chwili zobaczył tylko żołnierzy i demony, ale w końcu zauważył trzech rzucających zaklęcia satyrów. Czwarty, oddalony od nich o zaledwie kilka stóp, niósł Tyrande w stronę złowieszczej bramy.

– Nie! - Zawołał na pomoc wiatr, który załopotał wokół satyra, przyginając go do ziemi. Wyczerpany Malfurion z wysiłkiem ruszył w stronę kapłanki i jej porywacza.

Wtedy w pierś satyra wbiła się jeszcze jedna strzała. Potwór chwiał się przez chwilę, w końcu runął na ziemię jak długi. Tyrande wyśliznęła się z jego uścisku, ale wiatr, pamiętając o prośbie druida, sprawił, że wylądowała miękko na trawie.

Dziękując w duchu wiatrowi i niewidzialnemu sprzymierzeńcowi, Malfurion zdobył się na ostatni wysiłek. Brnął w stronę Tyrande, przy

każdym kroku walcząc z samym sobą, ale czekająca go nagroda nie pozwalała mu się zatrzymać.

Kiedy był już blisko, jeden z trzech czarujących satyrów oderwał się od pozostałych. Portal zamigotał, tracąc stabilność.

Koźlonoga postać porwała Tyrande z ziemi.

Nocny elf skoczył ku stworowi z bezgłośnym okrzykiem, ale nie zdołał go dosięgnąć. Coś świsnęło koło ucha satyra, wyszczerbiając mu ucho, z którego trysnęła mu na ramię krew. Nie dbając o ranę, potworna istota skoczyła w portal...

Satyr i Tyrande zniknęli.

Dwa ostatnie satyry poszły w ich ślady, jeszcze zanim portal się zawalił. Kiedy zniknął w nim trzeci i ostatni, czarna luka w rzeczywistości rozwiązała się, jak gdyby nigdy jej nie było.

Rozwiewając tym samym wszelkie nadzieje Malfuriona na uratowanie Tyrande.

Tego było już dla niego zbyt wiele. Nocny elf runął na ziemię tam, gdzie stał, lekceważąc zażarte zmagania przesuwające się w jego stronę. Znów pokonał Xaviusa, dopilnował, by ten, za którego sprawą ściągnięto tu Płonący Legion, już nigdy nie przyłożył swej nikczemnej ręki do podobnej podłości... ale teraz to wszystko nie miało znaczenia. Tyrande znikła. Mało tego, została porwana przez demony.

Po policzkach ciekły mu łzy. Niebo pociemniało groźnie, ale druid nie zwrócił na to uwagi. Liczyło się tylko to, że zawiódł Tyrande.

Zawiódł ją.

Z nieba, jakby do wtóru jego łzom, spadł deszcz. Ale ulewa szybko przeszła w gwałtowną nawałnicę, która, o dziwo, omijała tylko jego. Błyskały i grzmiało, jak gdyby dla podkreślenia coraz większej rozpacz,

która go ogarniała. Bez Tyrande nic już nie miało znaczenia. Teraz to wiedział... choć teraz świadomość ta była bezużyteczna.

Wicher wył, oplakując jego stratę. Drzewo wyrosłe na zboczu wzgórza drżało i gięło się ku ziemi, smagane porywami wichury o sile tornada, która omijała wyłącznie zrozpaczonego nocnego elfa...

W końcu czyjś głos zdołał przebić się przez jego rozpacz. Początkowo słyszał w głębi umysłu tylko natrętne mamrotanie, które w końcu przerodziło się w grzmiące nawoływanie. Malfurion zatkał uszy dłońmi, próbując przed nim uciec i zanurzyć się na powrót w czerni spowijającej jego myśli. Ale głos nie dawał się zagłuszyć, stając się z każdym słowem coraz bardziej natarczywy.

– Malfurionie, Malfurionie, musisz się wyrwać z tego stanu! Szybko, zanim potopisz wszystkich i wszystko!

Znał ten głos i choć pragnął go zignorować, jakaś część jego osoby buntowała się przed tym. Ostrzeżenie w głosie sprawiło, że druid rozejrzył się w końcu dookoła.

Odkrył, że tkwi w samym środku nadciągającego kataklizmu.

Deszcz padał z taką siłą i tak obficie, że nic nie mogło mu się oprzeć. Oprócz niego tylko nowe drzewo wydawało się odporne na szalejącą nawałnicę.

– Co? - wybąkał Malfurion. Ale gdy tylko się odezwał, burza uderzyła również w niego. Upadł w błoto, smagany piekielną ulewą.

Nagle, pomimo wyjącej wichury i niesłabnącego deszczu, załopotał nad nim jakiś kształt. Nocny elf podniósł głowę i zobaczył nurkującą ku niemu skrzydlatą postać. Pamiętał półboginię Avianę i przyszło mu nawet do głowy, że to ona pod postacią śmierci. Ale nie była jedną ze swoich istot i wątpił, by zrobiła wyjątek specjalnie dla niego.

Grzmiący głos rozległ się ponownie, pozwalając mu rozpoznać jego właściciela.

– Nocny elfie! Nie ruszaj się! Trudno się skupić pośród tego chaosu, a nie chcę cię przez przypadek zmiażdżyć!

Korialstrasz chwycił elfa gigantyczną łapą i porwał go w powietrze. Smok walczył mężnie z nawałnicą, ale każde uderzenie skrzydeł wymagało od niego ogromnego wysiłku. Malfurion wyczuł, że Korialstrasz nie czuje się najlepiej. Prawdę mówiąc był zaskoczony, że w ogóle przeżył starcie z Neltharionem.

Kiedy wznosili się coraz wyżej, Malfurion ogarnął wzrokiem teren bitwy. Obie armie uciekały: demony wracały na tereny spustoszone przez Nelthariona, nocne elfy biegły w przeciwną stronę. Obie strony walczyły z nowym i zabójczym wrogiem - lawinami błotnymi i zdradzieckimi osuwiskami. Jedno ze wzgórz właśnie się zawaliło, zalewając błotem grupę piekielnych gwardzistów. Jakaś nocna pantera pośliznęła się na krawędzi urwiska; drapiąc pazurami miękką, rozmokłą glebę, runęła razem z jeźdźcem w dół.

W samym środku tej masakry Malfurion zauważył drobną postać usiłującą zgramolić się z tego samego wzniesienia, z którego porwał go smok. Młodą elfkę zalewało ze wszystkich stron błoto, grzebiąc ją po pas. Wyżej część wzgórza zaczynała się już chwiać. Dziewczynę czekała śmierć.

W dłoni wciąż ścisnęła łuk.

– Zaczekaj! Tam! - zawołał do Korialstrasza. - Pomóż jej!

Czerwony smok bez wahania zanurkował ku ziemi, kierując się w stronę unieruchomionej dziewczynki. Była tak pochłonięta próbami wydostania się z grzędzawiska, że zauważyła Korialstrasza dopiero wtedy, gdy znalazła

się w jego szponach. Wrzasnęła, gdy smok wyrwał ją z trzęsawiska i poniósł w przestworza.

– Nie zrobię ci krzywdy! - zaryczał Korialstrasz. Dziewczyna wyraźnie mu nie uwierzyła, ale ucichła. Dopiero kiedy zobaczyła w drugiej łapie stwora Malfuriona, zapytała:

– Mistrzynie Tyrande! Gdzie...?

Druid potrząsnął głową. Dziewczyna pochyliła z rozpaczą głowę, łkając. Mimo to przez cały czas ścisnęła w dłoni łuk.

Malfurion wrócił myślami do burzy i uznał, że nie może ona być zjawiskiem naturalnym. Pojawiła się zbyt raptownie. Nie wyglądała jednak na efekt zamierzonego działania Płonącego Legionu, ani jego własnego ludu. Nawet Illidan nie pozwoliłby, żeby sprawy wymknęły mu się do tego stopnia spod kontroli.

Podniósł głowę, spodziewając się powrotu czarnego smoka. Nigdzie nie było jednak widać śladu Nelthariona, ani budzącego grozę dysku. Co było w takim razie przyczyną tej straszliwej nawałnicy?

Zadał to pytanie smokowi, ale to nie on mu na nie odpowiedział. Zamiast niego odezwała się wczepiona weń kurczowo postać, którą osłaniała przed żywiołem łuna złocistego, migotliwego blasku:

– Ty, Malfurionie! To ty ściągnąłeś na nas ten kataklizm!

Elf popatrzył na Krasusa, którego widział po raz ostatni na grzbiecie ponoszącej nocnej pantery. Mag nie wyglądał dobrze, obrzęk z boku jego głowy wciąż miał intensywnie czerwoną barwę, ale mimo to sprawiał wrażenie zdeterminowanego. Jednak jego słowa wydały się druidowi efektem pomieszania zmysłów.

– Co masz na myśli?

– Burzę rozpętało twoje cierpienie, druidzie! Ona jest odbiciem twojego bólu! Jeśli chcesz, żeby ktokolwiek ocalał, musisz położyć kres rozpaczom i

beznadziei, jaką czujesz!

– Oszalałeś!

Ale w chwili, w której to powiedział, wyczuł w burzy jakąś pokrewną siłę. Sięgnął ku niej tak, jak Cenarius nauczył go sięgać ku wszystkim żywiołom, jednak to, co odkrył, zdjęło go obrzydzeniem. To nie burza wydała mu się obrzydliwa, ale ta jej część, która, jak się przekonał, była częścią jego osoby. To on stworzył tę ohydę, czerpiąc z własnego smutku i przerażenia. Ale burza osaczyła nie tylko jego wrogów, ale i przyjaciół.

Jestem takim samym potworem jak demony i czarny smok!, pomyślał druid.

Krasus musiał to wyczuć, bo powiedział:

– Malfurionie! Nie pozwól, by te uczucia wzięły górę nad rozumem! To był przypadek! Musisz włożyć siłę swoich uczuć w pomaganie, nie niszczenie!

Ale po co? Druid znów pomyślał o Tyrande w łapskach pana Płonącego Legionu. Bez niej nie miał po co dalej żyć.

Ale to właśnie myśl o Tyrande sprawiła, że mrok zasnuwający jego umysł rozproszył się. Nie chciałyby tych zniszczeń. Robiła co w jej mocy, aby utrzymać swój lud przy życiu. Malfurion ją zawiódł; jeśli pozwoli tej burzy szaleć dalej, zawiedzie również jej pamięć.

Zerknął na młodą dziewczynę, która bez wątpienia narażała się na śmierć, aby ocalić kapłankę. Za młoda na nowicjuszkę, mimo to wykorzystywała umiejętność strzelania z łuku, nie dbając o satyry i demony.

Myśląc o tym i patrząc na płaczącą dziewczuszkę, Malfurion poczuł, jak wzbierają w nim wszystkie uczucia, jakie żywił wobec Tyrande. Bez wahania wbił wzrok w burzę, narzucając swą wolę wiatrowi, chmurom... wszystkim żywiołom, które wywołały ten potworny kataklizm.

Wiatr przycichł. Wciąż padało, ale deszcz zelżał tam, gdzie uciekały nocne elfy, a przybrał na sile nad ziemią spustoszoną przez Nelthariona, przez którą brnął Płonący Legion. Czując w głowie pulsowanie, walczył z pogodą, usiłując ją nakłonić, by skupiła swe wysiłki tam, gdzie znalazły się demony.

Deszcz nad nimi ustał. Burza przesunęła się w stronę Zin-Azshari.

Malfurion westchnął. Udało mu się.

Nocny elf obwisł w uścisku smoka. Z góry usłyszał krzyk Krasusa:

– Dobra robota, druidzie! Dobra robota!

Powinien być oszołomiony tym, czego dokonał nie raz, a dwa razy. Nawet Cenarius byłby pod wrażeniem. Jednak Malfurion potrafił myśleć tylko o tym, że zawiódł Tyrande.

Nic innego nie miało znaczenia.



Burza szalała trzy dni i trzy noce. Z niesłabnącą siłą, jaką nasycił ją jej twórca, pędziła przed sobą Płonący Legion. Zanim ustała, demony znalazły się o dwa dni drogi od Zin-Azshari.

Niestety nocne elfy nie były w stanie pogonić za nimi. Po drugiej stronie wulkanicznego wypiętrzenia stworzonego przez Nelthariona obrońcy opatrywali rany i próbowali się przegrupować. Jednak zniszczenia spowodowane przez burzę, Duszę Demona i wszystko inne traciło w oczach elfów na znaczeniu w porównaniu ze śmiercią lorda Kur'talosa Ravencresta.

Nocne elfy, choć nie mogły urządzić stosownej ceremonii pogrzebowej, zrobiły, co w ich mocy, by i tak zapewnić mu godny pochówek. Na żądanie lorda Desdela Stareye'a, przez szpaler pośrodku armii przejechał wóz

ciągniony przez sześć nocnych panter. Na nim leżał martwy szlachcic z ramionami skrzyżowanymi na piersi i z proporcem swojego klanu w dłoniach. Drogę torował mu oddział żołnierzy z Gawroniej Twierdzy. Za wozem druga grupa zbrojnych pilnowała, by łkający tłum nie próbował dotykać ciała, co groziła zwaleniem go na ziemię. Wzdłuż całej trasy heroldowie wygrywali na rogach posępną melodię, informując wszystkich o zbliżającym się kondukcie.

Potem ciało Ravencresta i wszystkich tych, którzy zginęli, wystawiono na widok publiczny w wydzielonym miejscu. Malfurionowi przyszło poprosić Korialstrasza o straszliwą przysługę, na którą smok chętnie się zgodził.

Na oczach setek elfów stojących w bezpiecznej odległości Korialstrasz zionął jedynym ogniem, który palił w przenikającej wszystko wilgoci.

Kiedy ciało lorda Ravencresta i pozostałych poległych trawił żar, Malfurion szukał samotności. Ale jedna osoba nie odstępowała go ani na krok - młodziutka dziewczyna, która próbowała uratować Tyrande, Shandris, bez przerwy dopytywała się, kiedy wyruszy ratować kapłankę. Malfurion nie znał, niestety, odpowiedzi na to pytanie i w końcu musiał ją oddać pod opiekę siostron, żeby się o nią bez przerwy nie potykać.

Lord Stareye, obwołany dowódcą, zaczął szukać pośród żołnierzy zdrajców. Dwaj żołnierze powiązani ze skrytobójcą zostali straceni po bezowocnym przesłuchaniu. Stareye uznał sprawę za zamkniętą i przeszedł do następnego etapu zmagania.

Krasus i Rhonin, którym dzielnie sekundowali Brox i Jarod Shadowsong, próbowali przekonać nowego głównodowodzącego, że powinien sprzymierzyć się z innymi rasami, ale ich prośby padały w próżnię.

– Kur'talos wypowiedział się już w tej kwestii, a ja pozostanę wierny jego pamięci - powiedział szczupły szlachcic, wciągając tabakierkę.

To oznaczało koniec dyskusji, ale nie kłopotów. Wiedzieli, że Płonący Legion wkrótce dojdzie do siebie, a Archimond znów wyśle demony przeciwko nocnym elfom. Nikt nie wątpił, że przywódca demonów wyładuje na nich swą furią w sposób jeszcze straszniejszy niż dotychczas.

I nawet jeśli obrońcom uda się powstrzymać wrażą horde, czy nawet zepchnąć ją aż pod same bramy Zin-Azshari, żaden z tych sukcesów nie będzie miał znaczenia, jeśli portal pozostanie otwarty, a Szlachetnie Urodzonym i demonom uda się go wzmocnić. Mogli zabić tysiąc tysięcy demonów i zdobyć sam pałac... ale na nic im się to nie zda, jeśli Sargeraz zdoła wkroczyć do ich świata. Rozniesie całą ich armię jednym machnięciem ręki, jednym nienawistnym spojrzeniem.

Właśnie to sprawiło, że Krasus podjął decyzję. Zebrał pozostałych i oświadczył, że jest tylko jedna rzecz, jaką mogą zrobić, by powstrzymać nieuniknione.

– Ravencrest się mylił - rzekł, sprzeniewierzając się pamięci zmarłego - a Stareye jest ślepy. Bez sojuszu wszystkich ras Kalimdor zginie.

– Ale lord Stareye nie chce z nimi rozmawiać - zauważył Jarod.

– Więc musimy zrobić to za niego... - Mag zmierzył wzrokiem każdego z nich. - Na razie nie możemy liczyć na smoki... jeśli w ogóle. Korialstrasz poleciał sprawdzić, co z nimi, ale obawiam się, że tak długo, jak dysk pozostaje w posiadaniu Nelthariona, nie są w stanie nic zrobić. Dlatego to my musimy się udać do krasnoludów, taurenów i furbolgów... i przekonać ich, że powinni pomóc tym, którzy wzgardzili ich pomocą.

Rhonin potrząsnął głową.

– Inne rasy mogą nie widzieć powodów do zawarcia sojuszu z tymi, którzy zmiotliby je z powierzchni prawie równie chętnie jak Płonący

Legion. Mówimy o wiekach wzajemnej wrogości, Krasusie.

Chuda postać kiwnęła ponuro głową, spoglądając ku niewidocznej stolicy.

– W takim razie wszystkich nas czeka śmierć. Czy to od ostrzy Płonącego Legionu, czy od plugawej mocy Duszy Demona, wszyscy z pewnością zginiemy.

Nikt nie mógł zaprzeczyć.



Malfurion był jedyną osobą, która nie uczestniczyła w tym zebraniu, bo przez kilka ostatnich dni polował. Miał pewien plan, rozpaczliwy plan, i istniała tylko jedna osoba, którą uważał za dość szaloną, by przyłączyła się do niego. Druid chciał wyruszyć za Tyrande, może nawet uratować ją z rąk demonów. Tylko jedna jedyna osoba spośród tysięcy obrońców mogła spojrzeć na tę sytuację z tej samej perspektywy co on, więc Malfurion poświęcił cały swój czas poszukiwaniom sprzymierzeńca swojej samobójczej misji.

Ale nigdzie nie mógł znaleźć nawet śladu swojego brata Illidana.

W końcu ośmielił się udać do Księżycowej Straży. Udając, że chce prosić brata o radę odnośnie zbliżającego się starcia, wyprosił widzenie z najstarszym rangą czarodziejem.

Łysiejący nocny elf o przerzedzonej brodzie podniósł głowę. Choć większość gwardzistów nie ufała magii druidycznej, potrafili docenić przerażające efekty zaklęć Malfuriona.

– Witaj, Malfurionie Stormrage - powiedział mag, wstając. Siedział na kamieniu, czytając jakiś zwój, który bez wątplenia zawierał wiedzę tajemną.

– Wybacz mi, Galar'thusie Rivertree. Szukam mojego brata, ale nigdzie nie mogę go znaleźć.

Galar'thus przyjrzał mu się z niepokojem.

– Nie doszły cię wieści?

Napięcie, jakie odczuwał Malfurion, sięgnęło zenitu.

– Jakie wieści?

– Twój brat... zniknął. Pojechał zbadać tereny wulkaniczne wypiętrzone przez smoka... ale nie wrócił.

Druid nie mógł w to uwierzyć.

– Illidan pojechał tam sam? Bez obstawy?

Czarodziej pochylił nisko głowę.

– Czy znasz choć jednego spośród nas, który byłby w stanie powstrzymać twojego brata, mistrzu druidzie?

Malfurion nie znał nikogo takiego.

– Powiedz mi, co wiesz.

– Niewiele. Wyjechał w noc po burzy, obiecując, że wróci przed brzaskiem. Ale dwie godziny po świcie wrócił tylko jego wierzchowiec.

– Czy... w jakim był stanie?

Galar'thus nie był w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Pantera była poturbowana... i trochę zakrwawiona. Próbowaliśmy znaleźć twojego brata za jej pośrednictwem, ale cała okolica wciąż promieniuje magią. Lord Stareye powiedział...

– Lord Stareye? - Malfurion spochmurniał jeszcze bardziej. - On wie, a mnie o niczym nie powiedziano?

– Lord Stareye powiedział, że nie możemy marnować czasu na kogoś, kto jest z pewnością martwy. Musimy myśleć o żyjących. Twój brat wyjechał na własną rękę. Przykro mi, Malfurionie Stormrage, ale tak zdecydował dowódca.

Druid już go nie słyszał. Odwrócił się i uciekł, przybity tą nową stratą. Illidan martwy! To niemożliwe! Pomimo wszystkich różnic między nimi, wciąż darzył brata głęboką miłością. Illidan nie mógł zginąć...

Kiedy tylko o tym pomyślał, po grzbiecie przebiegł mu dreszcz. Malfurion przystanął, patrząc nie wokoło, lecz w głąb siebie.

Wiedziałyby, gdyby jego brat nie żył. Z taką samą pewnością, z jaką czuł bicie własnego serca, był pewny, że gdyby Illidan zginął, wiedziałyby o tym. Choć wszystko świadczyło przeciwko temu, Illidan musiał być żywy.

Żywy... Druid omiótł wzrokiem dymiące ziemie, sięgnął jeszcze dalej, ale na próżno. Jeśli Illidan gdzieś tam jest, to gdzie?

Malfurion miał okropne przeczucie, że wie, gdzie...

DWADZIEŚCIA CZTERY



Smród panujący w spustoszonej mieście ani trochę nie przeszkadzał zakapturzonemu jeźdźcowi, który jechał powoli zrujnowanymi alejami. Jeździec przyglądał się obalonym wieżom i zmiażdżonym domostwom chłodnym, analitycznym okiem. Na gnijące powoli trupy spoglądał niemal z pogardą.

Jego wierzchowiec warknął i zasyczał. Jeździec natychmiast ścisnął trzymane mocno macki, przełamując opór piekielnej bestii. Kiedy wielki ogar wciąż się ociągał, wyładował na nim falę mrocznej energii, która zamiast wzmocnić wampirycznego stwora, zadała mu okropny ból. Piekielna bestia przyspieszyła kroku.

Zakapturzony jeździec jechał dalej przez martwe miasto. Wyczuwał na sobie spojrzenia wielu par oczu, ale nie zamierzał reagować. Strażnicy go nie interesowali; jeśli zostawią go w spokoju, on odwdzięczy im się tym samym.

Oporny wierzchowiec, którego schwytał dwa dni drogi od miasta, znowu zwolnił, dojeżdżając do rozstajów. Ale tym razem wiedział, że bestia

zwalnia nie dlatego, że się waha, ale dlatego, że wie, iż zbliżają się jej bracia.

Nie zostawią go w spokoju. Zamierzali zastawić pułapkę.

Byli głupcami.

Trzej piekielni gwardziści zaatakowali z przodu. Olbrzymy o brutalnych, rogatych pyskach, dzierzące w garści lśniący oręż, stanowiły prawdziwie przerażający widok. Wiedział jednak, że to nie one są właściwym zagrożeniem.

Z ruin po obu stronach rzuciły się na mającą się niczego nie spodziewać ofiarę dwie piekielne bestie. Ich macki wyciągnęły się żarłocznie ku naiwnemu czarodziejowi.

Pociągnął nosem, zawiedziony pułapką. Jednym szybkim ruchem urwał macki własnemu wierzchowcowi, aby stwór wiedział, że ma się nie włączać do walki. Kiedy ogar zawył, cisnął jego mackami w trzech wojowników.

Zakrwawione wąsy wydłużyły się w locie, skręcając się w żylastą pętlę, która oplótła całą trójkę. Bestialscy wojownicy runęli jak dłudzy, tworząc kłębowisko kończyn.

Jeździec spojrział na piekielną bestię szarżującą na niego z prawej strony. Demon zawył nagle i stanął w płomieniach. Padł kilka jardów dalej, a swąd spalenizny unoszący się znad jego płonącego truchła dołączył do ciężkiego odoru wiszącego nad miastem.

Drugi potwór zderzył się z jego wierzchowcem. Macki ogara wczepiły się w pierś i bok jeźdźca. Stwór zaczął się pożywiać.

Ale zamiast chłonać magię zakapturzonej postaci, piekielna bestia padła jej ofiarą. Rozpaczliwie usiłowała oderwać macki od ciała maga, ale ten jej na to nie pozwalał. Bestia pomarszczyła się, skóra obwisła jej na kościach.

Będąc istotą magiczną, składała się prawie wyłącznie z energii, którą wchłaniał teraz jeździec.

Wszystko odbyło się w przeciągu zaledwie kilku sekund. Z żalosnym skowytom bestia zwała się na ziemię w postaci kupy poszarpanego mięsa. Jeździec oderwał od piersi wczepione w nią wciąż macki, a potem ponaglił wierzchowca, nie zaszczycając spojrzeniem ani martwych ogarów, ani szamoczących się wciąż piekielnych gwardzistów.

Czuł, że w pobliżu jest ich więcej, ale żaden nie ośmielił się już zastąpić mu drogi. Nie zatrzymywany, dotarł wkrótce do celu podróży - bramy w wysokim murze, ze szczytu którego spoglądali na niego ponurzy elfi wartownicy.

Jeździec odrzucił kaptur z głowy.

– Przybywam zaproponować służbę mojej królowej! - krzyknął Illidan, nie do strażników, tylko do tych ukrytych w pałacu. - Mojej królowej... i panu Legionu!

Czekał z kamiennym wyrazem twarzy. Nim minęła minuta, wrota zaczęły się otwierać. Ich skrzypienie - zgrzyt podobny do widmowych jęków poległych mieszkańców miasta - słyhać było w całym Zin-Azshari.

Kiedy brama stanęła otworem, Illidan spokojnie wjechał do środka.

Brama szybko zamknęła się za nim.

**KOLEJNY TOM:
ROZBICIE**